

TRYLOGIA RUCHOMY CHAOS TOM I

PATRICK NESS

MA  
OSTRZU  
NOŻA

PAPIER  WYKSIEZYC

TRYLOGIA RUCHOMY CHAOS TOM I

PATRICK NESS

NA  
OSTRZU  
NOŻA



Przełożyła  
Agnieszka Hałas

PAPIER  WYKSIEŻYC

Stupsk 2014

Tytuł oryginału  
***The Knife of Never Letting Go***

Copyright © by Patrick Ness 2008  
Copyright © for the Polish edition by Papierowy Książyc 2014  
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Hałas 2014

Wydanie I  
Słupsk 2014

ISBN 978-83-61386-50-6

Wydawca:  
Wydawnictwo Papierowy Książyc  
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12  
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21  
e-mail: [wydawnictwo@papierowyksiazyc.pl](mailto:wydawnictwo@papierowyksiazyc.pl)  
[www.papierowyksiazyc.pl](http://www.papierowyksiazyc.pl)

## Spis treści:

### CZEŚĆ 1

1 Dziura w Szumie

2 Prentisstown

3 Ben i Cillian

4 Nie myśl tego

5 Rzeczy, które wiesz

6 Nóż w moim ręku

### CZEŚĆ 2

7 Gdyby dziewczyny żyły

8 Co mówi nóż

9 Kiedy nie masz szczęścia

10 Jedzenie i ogień

11 Notes, w którym nie ma odpowiedzi

12 Most

### CZEŚĆ 3

13 Viola

14 Po niewłaściwej stronie strzelby

15 Bracia w cierpieniu

16 Noc bez przeprosin

17 Spotkanie w sadzie

18 Daleka Gałąź

19 Co jeszcze mówi nóż

### CZEŚĆ 4

20 Armia mężczyzn

21 Szeroki świat

22 Wilf i morze stworów

23 Nóż jest wart tylko tyle, co ten, kto go trzyma

24 Śmierć bezwartościowego tchórza

25 Zabójca

### CZEŚĆ 5

26 Koniec wszystkiego

27 Idziemy dalej

28 Smród korzeni

29 Aaron na tysiąc sposobów

30 Chłopiec imieniem Todd

31 Niegodziwi zostają ukarani

## CZEŚĆ 6

32 W dole rzeki

33 Węglarskie Wzgórza

34 Ach, nie opuszczaj mnie

35 Prawo

36 Odpowiedzi na pytania

37 Jaki w tym sens?

38 Usłyszałem głos dziewczęcia

39 Wodospad

40 Ofiara

41 Jeśli jeden z nas upada

42 Ostatnia droga do Przystani

*Dla Michelle Kass*

Gdybyśmy potrafili bystro widzieć  
i wyczuwać wszelkie niuanse zwykłego ludzkiego życia,  
przypominałoby to zdolność słyszenia, jak rośnie trawa  
i jak bije serce wiewiórki, i zabiłby nas ten ryk,  
który czai się po drugiej stronie ciszy.

George Eliot, *Miasteczko Middlemarch*

# CZĘŚĆ 1



## Dziura w Szumie

Pierwsze, co odkrywasz, jak twój pies się nauczy mówić, to że psy nie mają za wiele do powiedzenia. O niczym.

- Chce mi się kupe, Todd.
- Zamknij pysk, Manczi.
- Kupe. Kupe, Todd.
- Powiedziałem, zamknij pysk.

Idziemy przez zarośnięte chwastami pola na południowy wschód od osady, te, co to opadają ku rzece i dalej, ku bagnom. Ben mnie wysłał, żebym mu narwał trochę bagiennych jabłek, i kazał mi zabrać Mancziego, choć wszyscy wiemy, że Cillian kupił go tylko po to, żeby się podlizać burmistrzowi Prentissowi i dlatego bach, na urodziny w zeszłym roku dostałem psa, chociaż nigdy nie mówiłem, że chcę psa. Mówiłem, że najbardziej to chcę, żeby Cillian wreszcie naprawił turbocykl, żebym nie musiał się tłuc na piechotę w każdy przeklęty kąt w tej głupiej dziurze, ale nie, wszystkiego najlepszego, Todd, masz tu szczeniaczka, Todd, i chociaż go nie chcesz, chociaż nigdy żeś o niego nie prosił, zgadnij, kto musi go karmić i tresować i kąpać i wyprowadzać i słuchać, jak pape, teraz, kiedy jest już wystarczająco duży, by zarazek gadania działał na jego japę. Zgadnij, kto?

- Kupa. – Manczi szczeka cicho do siebie. – Kupa, kupa, kupa.
- Po prostu zrób tę durną kupe i przestań o niej mleć ozorem.

Zrywam łodygę trawy rosnącej obok ścieżki i zamierzam się na niego. Nie trafiam, nie mam *zamiaru* go trafić, ale on tylko wydaje swój krótki szczekający śmiech i biegnie dalej. Idę za nim, uderzając trawy rosnące po obu stronach łodygą, którą trzymam w rękę, mrużąc oczy przed słońcem, próbując o niczym nie myśleć.

Tak naprawdę nie potrzebujemy tych jabłek z bagien. Ben może je

kupić w sklepie pana Phelps'a, jeśli naprawdę chce. Wiadomo też, że pójdzie na bagna, żeby zerwać parę jabłek, to nie robota dla mężczyzny, bo mężczyźni nigdy nie wolno się tak obijać. No cóż, ja *oficjalnie* stanę się mężczyzną dopiero za trzydzieści dni. Przeżyłem dwanaście lat liczących po trzynaście długich miesięcy i do tego jeszcze dwanaście miesięcy, i to wszystko oznacza, że od wielkich urodzin dzieli mnie jeszcze cały miesiąc. Powstają plany, trwają przygotowania, będzie niezłe przyjęcie, jak sądzę, choć zaczynam wyłapywać związane z nim dziwne obrazy, całe ciemne i jednocześnie zbyt jaskrawe, ale w każdym razie stanę się mężczyzną, a zrywanie jabłek na bagnach to nie robota dla mężczyzny, ani nawet dla prawie-mężczyzny.

Ale Ben wie, że może mnie poprosić, żebym tam poszedł, i wie, że powiem: dobrze, pójdę, bo bagna to jedyne miejsce w pobliżu Prentisstown, gdzie możesz zyskać chwilę wytchnienia od całego tego Szumu, co się wylewa z ludzi, całego zgiełku i jazgotu, co nigdy nie cichnie, nawet kiedy śpią, mężczyźni i te myśli, co sami nie wiedzą, że je mają, nawet kiedy wszyscy je słyszą. Mężczyźni i ich Szum. Nie wiem, jak oni to robią, że są w stanie wytrzymać jedni z drugimi. Mężczyźni robią wokół siebie mnóstwo Szumu.

– Wiewiórka! – woła Manczi i już leci, zbacając ze ścieżki, nie dbając o moje krzyki, więc ja też muszę za nim pobiec przez (rozwładam się, żeby mieć pewność, że jestem sam) cholerne pola, bo Cilliana szlag trafi, jeśli Manczi wpakuje się w jakąś cholerną węzową dziurę, i oczywiście to będzie moja cholerna wina, nawet jeśli ja w ogóle nie chciałem dostać tego cholernego psa, do jasnej cholery.

– Manczi! Wracaj tu!

– Wiewiórka!

Przedzieram się przez trawę. Pędrakulki przyklepiają mi się do podeszew. Gdy próbuję się ich pozbyć, jedna się rozwała, zostawiając na bucie zieloną smugę, której – jak wiem z doświadczenia – już się nie wywabi.

– Manczi! – wściekam się.

– Wiewiórka! Wiewiórka! Wiewiórka!

Ujada wokół drzewa, a wiewiórka biega tam i z powrotem po pniu, drażniąc się z nim. **No chodź, młyniecki psie** – mówi jej Szum. **Chodź złap, chodź złap. Młyniec młyniec młyniec.**

– Wiewiórka, Todd! Wiewiórka!

Kuźwa, ale durne te zwierzaki.

Łapię Mancziego za obrożę i daję mu solidnego kłapa po tylnych łapach.

– Au, Todd? Au? – Walę go znowu. I znowu. – Au? Todd?

– Chodź – mówię, a mój własny rozwścieczony Szum huczy tak głośno, że ledwo słyszę własne myśli, czego zaraz pożałuję, poczekajcie tylko.

**Młyniecki chłopak, młyniecki chłopak** – myśli wiewiórka pod moim adresem. **Chodź złap, młyniecki chłopaku.**

– Ty też się odpartol – odpowiadam, ale nie mówię „odpartol” tylko deczko mniej grzecznie.

I naprawdę, naprawdę powinienem był się jeszcze raz rozejrzeć.

Bo znikąd zjawia się Aaron, zniecka podrywa się z trawy, podrywa się i wali mnie z liścia w twarz, rozcinając mi wargę swoim wielkim pierścieniem, a potem zaciska dłoń w pięść i wymierza drugi cios na odlew, trafiając w kość policzkową, ale przynajmniej nie w nos, bo już upadam w trawę, próbując uciec przed jego sierpowym, i puszczam obrożę Mancziego, a on pędzi z powrotem ku wiewiórcy, szczekając jak najęty, zdrajca jeden, i łąduję na czworakach w trawie, zasyfiając sobie pędrakulkami całe ciuchy.

I zostaję tak, na ziemi, dysząc.

Aaron staje nade mną, jego Szum zasypuje mnie fragmentami Biblii i jego następnego kazania i pojedynczych myśli: Język, młody Todd i znalezienie ofiary i święty wybiera swą drogę a Bóg słyszy, a do tego ta powódź obrazów, która jest w każdym Szumie, znajomych rzeczy oraz przelotnych migawek...

Co? Co u diaska?

Ale głośny kawałek jego kazania zagłusza to coś, a ja spoglądam w górę, w jego oczy i nagle nie chcę wiedzieć. Czuję już smak krwi z wargi,

którą mi rozciął swoim pierścieniem i nie chcę wiedzieć. On nigdy tu nie przychodzi, mężczyźni nigdy tego nie robią, mają swoje powody, jak to mężczyźni, tylko ja i mój pies tu bywamy, ale teraz on tu jest i nie chcę nie chcę nie chcę wiedzieć.

Aaron uśmiecha się zza tej swojej brody, patrząc w dół, uśmiecha się patrząc na mnie, leżącego w trawie. Uśmiechnięta pięść.

– Język, młody Toddzie – mówi – wiąże nas jak więźniów na łańcuchu. Czy niczego się nie nauczyłeś w kościele, chłopcze? – A potem mówi to, co najczęściej powtarza z ambony. – Jeśli jeden z nas upada, wszyscy upadamy.

Tak, Aaronie – myślę.

– Ustami, Todd.

– Tak, Aaronie – mówię.

– A cholery? – nie odpuszcza. – A kuźwy? Nie myśl, że ich też nie słyszałem. Twój Szum cię zdradza. Zdradza nas wszystkich.

Nie do końca – myślę, ale równocześnie odpowiadam:

– Przepraszam, Aaronie.

Nachyla się nade mną, zbliżając wargi do mojej twarzy, i czuję zapach oddechu wydobywającego się z jego ust, czuję ten smród jak ciężar, jakby to były palce sięgające ku mnie.

– Bóg słyszy – szepcze. – Bóg słyszy.

I znów podnosi rękę, uchylam się odruchowo, on parska śmiechem, a potem już go nie ma, tak po prostu. Odchodzi z powrotem w kierunku osady, zabierając swój Szum ze sobą.

Cały się trzęsę od napięcia po tym, jak mnie walnął, trzęsę się przez to, że jestem tak nakręcony i zaskoczony i wściekły i tak bardzo nienawidzę tej osady oraz mieszkających w niej mężczyzn, że mija dłuższa chwila, nim jestem w stanie wstać i znowu złapać mojego psa. Co on tu do kuźwy nędzy robi? – myślę i jestem tak wkurzony, wciąż tak nabuzowany złością i nienawiścią (i strachem, tak, strachem, zamknijcie się) że nawet się nie odwracam, żeby sprawdzić, czy Aaron usłyszał mój Szum. Nie odwracam się. Nie odwracam się. A potem jednak się odwracam i idę po mojego psa.

- Aaron, Todd? Aaron?
- Nie powtarzaj więcej tego imienia, Manczi.
- Krwawisz, Todd. Todd? Todd? Todd? Krwawisz?
- Wiem. Zamknij się.
- Młyniec – mów, jakby to nic nie znaczyło. Łeb ma pusty jak niebo. Wymierzam mu klapsa w tyłek.
- Tego też nie powtarzaj.
- Au? Todd?

Idziemy dalej, trzymając się w bezpiecznej odległości od rzeki, którą mamy po lewej. Rzeka płynie w dół przez serię kanionów na wschód od osady; bierze swój początek daleko na północy, za naszą farmą, mija osadę i rozlewa się szerzej, tworząc podmokły obszar, który przechodzi w bagniska. Lepiej trzymać się z dala od rzeki, a zwłaszcza od tego podmokłego odcinka przed linią bagiennych drzew, bo żyją tam kroksy, wystarczająco duże, żeby załatwić prawie-mężczyznę i jego psa. Płetwy na ich grzbietach wyglądają zupełnie jak trzciny, a jeśli podejdziesz za blisko, WUUM! – wylatują z wody, rzucają się na ciebie z wyciągniętymi szponami i kłapiącą paszczą, i w zasadzie nie masz już wtedy szans.

Omijamy podmokły odcinek i staram się chłonać przybliżającą się ciszę bagien. Nie ma tu już nic ciekawego do oglądania, tak naprawdę, i to dlatego mężczyźni tu nie przychodzą. A także przez zapach. Nie udaję, że go nie ma, ale też wcale nie śmierdzi tu tak strasznie, jak powiadają mężczyźni. Czują smród swoich wspomnień, nie ten zapach, który teraz tu jest; czują zapach tego, co było kiedyś. Wszystkich martwych stworzeń. Szpakusy i ludzie mieli odmienne zdanie na temat grzebania zwłok. Szpakusy po prostu wykorzystywały bagno, wrzucały swoich zmarłych do wody, pozwalając im zatonać, i nie było żadnego problemu, pewnie dlatego, że ich ciała dobrze się do tego nadawały. Tak powiada Ben. Woda i muł i szpacka skóra dobrze się ze sobą łączyły, zwłoki nie zatruwały bagna, tylko je użyźniały, tak jak mężczyźni użyźniają ziemię.

A potem nagle, rzecz jasna, było o wiele więcej szpakusów do

pogrzebania niż normalnie, zbyt wiele, żeby mogło ich połknąć nawet tak wielkie bagno jak to, mimo że jest naprawdę pioruńsko wielkie. I nie było już żadnych żywych szpakusów, co nie? Tylko sterty szpackich trupów, gromadzące się w bagnisku, gnijące i cuchnące, i musiało minąć mnóstwo czasu, nim bagna stały się z powrotem bagnami, a nie paskudnym syfem pełnym much i smrodu i kto wie, jakich zarazków, co tamci je zachowali specjalnie dla nas.

Urodziłem się w tamtym czasie, w całym tamtym syfie, gdy bagna były przepelnione, cmentarz był przepelniony, a w osadzie zostało za mało ludzi, no więc nic nie pamiętam, nie pamiętam świata bez Szumu. Mój tatko zachorował i zmarł, zanim się urodziłem, a potem oczywiście zmarła też mama, jakżeby inaczej. Ben i Cillian mnie przygarnęli, wychowali mnie. Ben powiada, że moja mama była ostatnią z kobiet, ale wszyscy to mówią o wszystkich mamach. Może i Ben nie kłamie, on sądzi, że to prawda, ale kto wie?

Tak czy owak jestem najmłodszy z całej osady. Kiedyś wychodziłem rzucać kamieniami w polne wrony razem z Regiem Oliverem (starszym o siedem miesięcy i osiem dni), Liamem Smithem (starszym o cztery miesiące i dwadzieścia dziewięć dni) i Sebem Mundym, który był najmłodszy po mnie, starszy o trzy miesiące i jeden dzień, ale teraz już nawet on się do mnie nie odzywa, po tym jak stał się mężczyzną.

Chłopcy nigdy tego nie robią, gdy już skończą trzynaste lat.

Tak to już jest w Prentistown. Chłopcy stają się mężczyznami, którzy chodzą na swoje spotkania tylko-dla-mężczyzn, żeby tam gadać piorun wie o czym. Chłopcy zdecydowanie nie mają tam wstępu, a jeśli jesteś ostatnim chłopcem w osadzie, musisz po prostu czekać, całkiem sam.

No, ty i pies, którego nie chcesz.

Ale mniejsza o to; przed nami już bagna i włączmy tam, trzymając się ścieżek, które prowadzą nas wokół miejsc, gdzie stoi najwięcej wody, okrążając wielkie, cebulaste drzewa, co wyrastają z trzęsawiska i pną się w górę, w górę, a ich gałęzie tworzą iglasty okap wiele metrów wyżej. Powietrze jest tu parne, panuje mrok i duchota, ale nie jest to

przerażający rodzaj parności, mroku i duchoty. Wszystko tu tętni życiem, mnóstwem życia, totalnie ignorującego osadę – ptaki i zielone węże i żaby i kiwity i oba gatunki wiewiórek i (przysięgam wam) jeden czy dwa kassory i oczywiście trzeba uważać na czerwone węże, ale choć jest ciemnawo, to przez szczeliny między gałęziami sączy się światło i jeśli chcecie znać moje zdanie, a nie musicie chcieć, dla mnie bagna są jak jeden wielki, wygodny, prawie pozbawiony Szumu pokój. Mroczny, ale pełen życia, pełen życia, ale przyjazny, przyjazny, ale nienachalnie.

Manczi zadziera łapę praktycznie na każdym kroku, aż chyba zaczyna mu już brakować siuszków, po czym kieruje się w krzaki, gaworząc cicho do siebie. Pewno szuka miejsca, gdzie będzie mógł załatwić grubszą potrzebę.

Ale bagnu to nie przeszkadza. Bo i czemu? Wszystko to jest po prostu życie, które wciąż się powtarza, wraca po własnych śladach, zatacza kręgi i zjada samo siebie, żeby ponownie wyrosnąć. Znaczy się, nie żeby tu nie było Szumu. Jasne, że jest, nie da się uciec od Szumu, nie ma sposobu, żeby się od niego uwolnić, ale tu jest ciszej niż w osadzie. Tutejsze głośno to inne głośno, bo bagienne głośno to tylko ciekawość, różne stwory próbują dociec, coś ty za jeden i czy stanowisz zagrożenie. Osada zaś wie o tobie wszystko i chce się dowiedzieć więcej i chce ci dowalić tym, co już wie, i jak w tym wszystkim zachować choćby kawałek siebie?

Ale Szum bagien, Szum bagien to tylko małe, zaaferowane ptasie myśli trzepoczące w małych ptasich mózdkach. **Gdzie jedzenie? Gdzie gniazdo? Gdzie będzie bezpiecznie?** I woskowe wiewiórki, to wszystko małe łobuzy – jak cię zobaczą, to cię zaczepiają, a jak cię nie widzą, to dokuczają sobie nawzajem, i rdzawe wiewiórki, które są jak głupkowate dzieciaki. I czasem pojawiają się jeszcze bagienne lisy przyczajone wśród liści – można podsłuchać, jak naśladują Szum wiewiórek, na które polują, a jeszcze rzadziej trafiają się maruki, co śpiewają swe dziwne marucze pieśni, a raz to przysięgam, że widziałem kassora uciekającego na dwóch długich nogach, ale Ben powiada, że to niemożliwe, że wszystkie kassory

dawno zniknęły z bagien.

Nie wiem. Wierzę sobie.

Manczi wyłazi z krzaków i siada obok mnie, bo zatrzymałem się pośrodku ścieżki. Ogląda się, żeby zobaczyć, na co patrzę, po czym zagaduje:

– Fajna kupa, Todd.

– Wierzę ci na słowo, Manczi.

Lepiej, żebym na następne urodziny nie dostał następnego durnego psa. W tym roku chcę dostać myśliwski nóż, taki jak ten, który Ben nosi przy pasku. To jest porządny prezent dla mężczyzny.

– Kupa – mówi cicho Manczi.

Idziemy dalej. Główna kępa jabłoni rośnie nieco głębiej, trzeba przejść kilka ścieżek i przeleźć przez zwaloną kłodę, przy której Manczi zawsze potrzebuje pomocy. Gdy docieramy w to miejsce, łapię go za brzuch, podnoszę i stawiam na górze. Choć wie, co robię, i tak kopie łapami jak spadający pająk, robiąc zamieszanie nie wiadomo o co.

– Nie ruszaj się, głupku!

– Postaw, postaw, postaw! – skowycze, próbując się złapać powietrza.

– Durny pies.

Stawiam go na szczycie kłody i sam wążę. Obaj zeskakujemy po drugiej stronie. Manczi szczeka przy tym: – Skok! – a potem odbiega, nadal szczekając: – Skok!

Za tą kłodą tak naprawdę zaczyna się mrok bagien i pierwszą rzeczą, jaką się tam widzi, są stare budynki Szpakli, wychylające się z cieni. Wyglądają jak topiące się kleksy lodów karmelowych, tyle że są wielkości chat. Nikt nie wie ani nie pamięta, do czego miały służyć, ale Ben zgaduje – zgadywanie jest tak jakby jego specjalnością – że miały coś wspólnego z grzebaniem zmarłych. Może nawet było tu coś w stylu kościoła, choć szpakusy nie wyznawały niczego, co osadnikom z Prentisstown kojarzyłoby się z jakąkolwiek religią.

Omijam je z daleka i wchodzę w mały zagajnik dzikich jabłoni. Jabłka są dojrzałe, niemal czarne, prawie jadalne, jak powiedziałyby Cillian.



Zrywam jedno z pnia i odgryzam kawałek. Sok cieknie mi po brodzie.

– Todd?

– Co, Manczi? – Wyciągam plastikowy worek, który przyniosłem tu, złożony, w tylnej kieszeni, i zaczynam go napełniać jabłkami.

– Todd? – szczeka znowu i tym razem łapię, że coś tu nie gra. Odwracam się, a on stoi pyskiem do szpackich chałup i całą sierść wzdłuż grzbietu ma zjeżoną, a uszami strzyże jak nie wiem co.

Prostuję się.

– Co tam jest, piesku?

Teraz warczy, odsłaniając zęby. Znow czuję, jak narasta we mnie napięcie.

– Czy to kroks? – pytam..

– Cicho, Todd – warczy Manczi.

– Ale co tam jest?

– Jest cicho, Todd. – Wydaje ciche szczeknięcie, prawdziwe szczeknięcie, prawdziwe psie szczeknięcie, które znaczy tylko „Hau!” i napięcie w moim ciele jeszcze się nasila, jakby z mojej skóry miały się zaraz syznąć iskry. – Słuchaj – warczy.

No więc słucham.

I słucham.

Potem przekrzywiam głowę i nasłuchuję dalej.

W Szumie jest dziura.

A to niemożliwe.

Jest dziwna jak piorun, kryje się gdzieś tam wśród drzew, gdzie nie sposób sięgnąć wzrokiem. Miejsce, gdzie – jak mówią mi uszy i umysł – nie ma Szumu. Jest jak kształt, którego nie widzisz, widzisz tylko jego zarys, tam gdzie styka się ze wszystkim, co go otacza. Jak woda mająca kształt szklanki, ale bez szklanki. To dziura i wszystko, co w nią wpada, przestaje być Szumem, przestaje być czymkolwiek, po prostu znika. To nie cisza bagien, która nigdy nie jest tak naprawdę ciszą, po prostu zawiera mniej Szumu. Ale to jest kształt, kształt *niczego*, dziura, gdzie urywa się wszelki Szum.

Co jest niemożliwe.

W tym świecie nie ma niczego prócz Szumu, niczego prócz nieprzerwanych myśli mężczyzn i stworzeń, które cię atakują i atakują i atakują, odkąd szpakusy rozpyliły zarazek Szumu w czasie wojny, ten zarazek, który zabił połowę mężczyzn i wszystkie kobiety co do jednej, nie wyłączając mojej mamy; zarazek, który doprowadził resztę mężczyzn do szaleństwa, który oznaczał koniec wszystkich Szpakli, kiedy szaleństwo mężczyzn sięgnęło po broń.

– Todd? – Manczi ma cykora, poznaję to z jego tonu. – Co to, Todd? Co to, Todd?

– Czujesz coś?

– Czuję tylko cicho, Todd – szczeka, a potem zaczyna szczekać głośniej: – Cicho! Cicho!

A potem, gdzieś tam za szpackimi budynkami, cisza zaczyna się ruszać.

Napięcie w mojej krwi skacze tak, że prawie się przewracam. Manczi biegnie wokół mnie, skowycząc, szczekając i szczekając, przez co mam dwa razy większego cykora, więc znów daję mu kłapa w tyłek („Au, Todd?”), żeby się uspokoić.

– Nie ma czegoś takiego jak dziury – mówię. – Nie ma czegoś takiego jak nic. Więc coś tam musi być, co nie?

– Coś, Todd – szczeka Manczi.

– Słyszałeś, dokąd poszło?

– Jest cicho, Todd.

– Wiesz, co mam na myśli.

Manczi węszy, po czym daje krok, potem drugi, i rusza w stronę szpackich chałup. Czyli chyba szukamy tego czegoś. Zaczynam powoli podchodzić w stronę największego kleksa roztopionych lodów. Trzymam się poza zasięgiem czegokolwiek, co mogłoby wyglądać z małego otworu drzwiowego, przypominającego pogięty trójkąt. Manczi obwąchuje framugę, ale nie warczy, więc biorę głęboki oddech i zaglądam do środka.

Wewnątrz jest pusto. Sufit wznosi się aż do punktu położonego na tyle wysoko nad moją głową, że zmieściłby się tam jeszcze drugi ja.

Zamiast podłogi jest ubita ziemia, teraz porastają ją bagienne rośliny, pnącza i takie tam, ale nic więcej tu nie ma. Znaczy się, żadnego prawdziwego nic, żadnej dziury, i nie sposób poznać, co się tu kryło wcześniej.

To głupie, ale muszę to powiedzieć.

Zastanawiam się, czy Szpakle wrócili.

Ale to niemożliwe.

Ale dziura w Szumie też jest niemożliwa.

Czyli coś niemożliwego musi być prawdą.

Słyszę, jak Manczi znów węszy na zewnątrz, więc wyłażę i idę do drugiego loda. Ten ma na zewnętrznej ścianie napis, jedyne zapisane słowa w szpackim języku, jakie ktokolwiek kiedykolwiek widział. Jedyne słowa, jakie kiedykolwiek uznali za stosowne zapisać, jak przypuszczam. Litery to szpackie litery, ale Ben mówi, że czyta się je jako es'Paqili czy jakoś tak. Es'Paqili, Szpakle, „szpakusy” jeśli chcesz wypluć to słowo, jak robią to wszyscy, odkąd stało się to, co się stało. To znaczy „Lud”.

W drugim lodzie też nic nie ma. Wychodzę z powrotem na bagnisko i znów nasłuchuję. Pochylam głowę i nasłuchuję i wytężam te części mózgu, co są od słyszenia i nimi też nasłuchuję, nasłuchuję i nasłuchuję.

Nasłuchuję.

– Cicho! Cicho! – szczeka Manczi jak szalony, dwa razy, po czym rzuca się biegiem w stronę ostatniego loda. Ruszam za nim i też biegnę, napięcie narasta w mojej krwi, bo to tam, tam jest ta dziura w Szumie.

Słyszę ją.

No dobra, nie słyszę jej, w tym właśnie sęk, ale gdy biegnę w jej stronę, ta pustka dotyka mojej piersi i jej bezruch mnie ciągnie i jest w niej tyle ciszy, nie, nie ciszy, *milczenia*, tyle niewiarygodnego milczenia, że zaczynam się czuć naprawdę rozdarty, jakbym miał zaraz stracić najcenniejszą rzecz, jaka istnieje. To milczenie jest jak śmierć, biegnę i łzy mi ciekną z oczu, coś mnie ściska za gardło, nikt nie widzi ale i tak mi z tym źle, i moje oczy zaczynają płakać, zaczynają płakać, zaczynają do kuźwy *nędry* płakać i zatrzymuję się na minutę, pochylam się i Chryste pieprzony, nic mi nie mówcie, ale marnuję całą durną minutę, całą

śmierdzącą, durną minutę, stojąc tam pochylony, a przez ten czas, oczywiście, dziura się oddała, już zdążyła się oddalić, zniknęła.

Manczi nie może się zdecydować, czy pogonić za nią, czy wrócić do mnie, ale w końcu wraca do mnie.

– Płaczesz, Todd?

– Zamknij się – mówię i wymierzam mu kopniaka. Nie trafiam i tak właśnie miało być.

## Prentisstown

Wynosimy się z bagien i ruszamy z powrotem w stronę osady, a cały świat wydaje się czarny i szary niezależnie od tego, co słońce ma do powiedzenia w tym temacie. Nawet Manczi mało co mówi, gdy idziemy z powrotem przez pola. Mój Szum wre i bulgoce niczym gulasz na ogniu, aż muszę się zatrzymać na chwilkę, żeby się ciut uspokoić.

Nie ma czegoś takiego jak milczenie. Ani tutaj, ani nigdzie. Ani gdy śpisz, ani gdy jesteś sam, nigdy.

*Jestem Todd Hewitt – myślę sam do siebie z zamkniętymi oczami. Mam dwanaście lat i dwanaście miesięcy. Mieszkam w Prentisstown na Nowym Świecie. Dokładnie za miesiąc stanę się mężczyzną.*

To taka sztuczka, której nauczył mnie Ben. Pomaga wyciszyć mój Szum. Zamykasz oczy i tak wyraźnie i spokojnie, jak tylko potrafisz, powtarzasz sobie, kim jesteś, bo to się gubi w tym całym Szumie. *Jestem Todd Hewitt.*

– Todd Hewitt – mamrocze do siebie Manczi tuż obok.

Biorę głęboki oddech i otwieram oczy.

Oto, kim jestem. Jestem Todd Hewitt.

Idziemy dalej, oddalając się od bagien i od rzeki, wspinamy się po pokrytym nieużytkami zboczu aż na mały grzbiecik na południe od osady, gdzie kiedyś była szkoła, przez ten krótki i bezsensowny czas, gdy istniała. Zanim przyszedłem na świat, chłopcy byli uczeni w domach przez swoje mamy, a potem, kiedy zostali sami chłopcy i mężczyźni, po prostu siadaliśmy do widu i modułów uczących, aż w końcu burmistrz Prentiss zakazał takich rzeczy, twierdząc, że wid i nauka „mają szkodliwy wpływ na dyscyplinę naszych umysłów”.

Obczajcie to: burmistrz Prentiss ma Punkt Widzenia.

No więc przez prawie pół durnego roku pan Royal, ten z wiecznie

smutną miną, zbierał wszystkich chłopców i sadzał ich tutaj, w wolno stojącym budynku z dala od Szumu miasta. Nie żeby to coś pomagało. Praktycznie nie da się niczego uczyć w klasie pełnej Szumu chłopców, a już kompletnie nie idzie zrobić klasówki. Ściągasz nawet, jeśli tego nie chcesz, a wszyscy chcą.

A potem pewnego dnia burmistrz Prentiss postanowił spalić wszystkie książki, co do jednej, nawet te, które mężczyźni mieli w domach, bo ponoć książki też miały szkodliwy wpływ, a pan Royal, miękki gość, co robił z siebie twardego gościa, pijąc whisky w klasie, dał za wygraną i wziął strzelbę i skończył ze sobą, i to by było na tyle, gdy chodzi o moją naukę w szkole.

Ben nauczył mnie reszty w domu. Naprawiania maszyn i szykowania żarcia i cerowania ubrań i podstaw uprawy roli i takich tam. A także mnóstwa rzeczy związanych z survivaliem, takich jak myślistwo i to, które owoce można jeść i jak na podstawie księżyców wyznaczać strony świata i jak używać noża oraz strzelby i co robić, gdy wąż cię dziabnie i jak wyciszać swój Szum, na tyle, na ile się da.

Próbował mnie też uczyć czytania i pisania, ale burmistrz Prentiss wychwycił to w moim Szumie pewnego ranka i zamknął Bena w ciupie na tydzień i tak się skończyła moja nauka z książek, a że trzeba się było uczyć tylu innych rzeczy i tyle jest roboty na farmie do ogarnięcia na co dzień i trzeba po prostu jakoś przeżyć, nigdy tak naprawdę nie nauczyłem się porządnie czytać.

Nie szkodzi. Nikt z Prentisstown nigdy nie napisze żadnej książki.

Manczi i ja mijamy budynek szkoły, wspinamy się na grzbiecik i patrzymy na północ, a tam rozciąga się osada. Nie za dużo z niej teraz zostało. Jeden sklep, kiedyś były dwa. Jeden pub, kiedyś były dwa. Jedna klinika, jedno więzienie, jedna niedziałająca stacja benzynowa, jeden wielki dom – dom burmistrza, jeden posterunek policji. Kościół. Jeden krótki kawałek drogi biegnący przez środek, kiedyś wybrukowany, ale nigdy nie naprawiany, raz dwa zmienił się w żwirówkę. Wszystkie domy i takie tam rozrzucone są po obrzeżach, tak jakby, jak gospodarstwa. To miały w założeniu być gospodarstwa,

niektóre nadal są, a niektóre stoją puste albo jeszcze gorzej.

I to by było na tyle, gdy chodzi o Prentisstown. Populacja: sto czterdzieści siedem i spada, spada, spada. Stu czterdziestu sześciu mężczyzn i jeden prawie-mężczyzna.

Ben mówi, że kiedyś było więcej osad rozrzuconych po Nowym Świecie, że wszystkie statki wylądowały z grubsza w tym samym czasie, jakieś dziesięć lat przed tym, jak się urodziłem, ale kiedy zaczęła się wojna ze szpakusami, kiedy szpakusy rozpyliły zarazki i wszystkie pozostałe osady zostały wykoszone, to Prentisstown też prawie zostało wykoszone i przetrwało tylko dzięki temu, że burmistrz Prentiss był tak dobrym dowódcą, i nawet jeśli burmistrz Prentiss jest chodzącym koszmarem, to zawdzięczamy mu przynajmniej to, że dzięki niemu żyjemy tu sami na całym wielkim pustym pozbawionym kobiet świecie, o którym nie da się powiedzieć nic dobrego, w osadzie liczącej stu czterdziestu sześciu mężczyzn, która z każdym mijającym dniem umiera trochę bardziej.

Bo niektórzy mężczyźni nie są w stanie tego znieść, co nie? Kończą ze sobą jak pan Royal albo po prostu znikają pewnego dnia, jak pan Gault, nasz stary sąsiad, co kiedyś miał drugą farmę owiec, albo pan Michael, nasz drugi najlepszy cieśla, albo pan Van Wijk, co zniknął w dniu, gdy jego syn stał się mężczyzną. To się wcale nie zdarza tak rzadko. Jeśli cały twój świat to jedna pełna Szumu osada bez przyszłości, czasem po prostu musisz się z niej wynieść nawet, jeśli nie masz dokąd pójść.

Bo gdy prawie-mężczyzna, znaczy się ja, spogląda w górę ku osadzie, słyszy tych stu czterdziestu sześciu mężczyzn, co się ostali. Słyszę ich wszystkich, co do jednego. Ich Szum spływa ku mnie w dół wzgórza normalnie jak jakaś powódź, jak potwór wielkości nieba, co leci cię dorwać, bo nie masz dokąd zwać.

Oto, jak jest. Tak wygląda każda minuta każdego dnia mego durnego, śmierdzącego życia w tej durnej, śmierdzącej osadzie. Nie ma sensu zatykać uszu, to nic nie pomaga.

Jak mamy się kiedykolwiek stąd wydostać?

Koniec

To malutka, malutka, słodka, przepyszna

TAKI JEST BOŻY PORZĄDEK RZECZY

Kiedy wyjdziemy?

OCH, MOJA NAŁADANE, SZKOKUSY I UCHYPIEPRZONE

masz chęci, dzień śliczna mała szyjka

To niesprawiedliwe, po prostu niesprawiedliwe

PUNKT NA OBWODZIE

1 2 3 4 JEST BEG JEDEN TUTAJ ALBO

szlag szlag szlag szlag

POŁKNIĘĆ ODDYCHAN

Uchronić chłopa, raka, plik, rany, niecierpliwość, Boże

JAKO KAJSUN LUFĘ W KUMORĘ ZAMKOWA

OSTROŻNIE, JAKI PIĘKNY LIPIEC

Co ja było dał za kłosek mielony z prawdziwej wotowiny

TAKI JEST BOŻY PORZĄDEK RZECZY

Generator szwanków

ZARAZKI JEDEN ZARAZEK ZARAZEK

2 3 4 OTARCIA I SIWIAKI OTARCIA

To niesprawiedliwe, po prostu niesprawiedliwe

1 2 3 4 Jestem biczem Bożym

Nie mam niczego dać, sama potrzebujemy tych zapasów

Szkoda, żagle ich nie widzieli

prosze, Boże, pomóż Tomasowi

Pieprzone szpakusy i ich pieprzone zarazki

Musisz napliwić lufę, ale nie ruszać kolby

OTARCIA I SIWIAKI OTARCIA I SIWIAKI

1 2 3 4 Nie ma już żadnych szpakusów

Ben sady, że to będą mężczyźni

TYLKO DZIKIE ZWIERZĘTA

TAKI JEST BOŻY PORZĄDEK RZECZY

Uchronić chłopa, raka, od wadliwych wchłonek, Boże

PUNKT NA OBWODZIE KREGU PUNKT NA OBWODZIE

Och, moja, szlag szlag szlag szlag

Przytrzymać cię w gorze, przytrzymać cię w gorze

szlag szlag szlag szlag

SZLAGNIE MA IŻ ŚRODKOMI PRZECIWOŚCOWYCH

JEST DZIESIĄTEJ DZIESIĄTEJ

UCISZ TO, BOŻE, UCHON

Dwa razy szesnaście, dwa i trzy dziesięć dwa - razy dwa to szesnaście czte

A to są tylko słowa, głosy, co gadają, jęczą, śpiewają i płaczą. Są też obrazki, co się nagle pojawiają w myślach, nieważne, jak bardzo ich nie



chcesz, obrazki wspomnień i fantazji i sekretów i planów i kłamstw, kłamstw, kłamstw. Bo w Szumie można kłamać, nawet kiedy wszyscy wiedzą, co myślisz; możesz zagrzebać rzeczy pod innymi rzeczami, możesz je schować na widoku, po prostu nie myślisz o nich jasno albo przekonujesz sam siebie, że prawdziwa jest odwrotność tego, co chowasz, a wtedy kto rozróżni, co w powodzi jest prawdziwą wodą, a co cię nie zamoczy?

Mężczyźni kłamią, a sami przed sobą kłamią najgorzej.

Dla przykładu, nigdy nie widziałem na żywo kobiety, ani Szpakla, ma się rozumieć. Oczywiście, widziałem i kobiety, i Szpakli na widach, zanim te zostały zakazane, i widzę ich *cały czas* w Szumie mężczyzn, bo o czym niby myślą mężczyźni poza seksem i wrogami? Ale szpakusy są większe i paskudniej wyglądają w Szumie niż na widach, co nie? A kobiety z Szumu mają jaśniejsze włosy i większe piersi i noszą mniej ciuchów i dużo swobodniej się zachowują niż na widach. No więc to co trzeba zapamiętać, najważniejsza rzecz z tej całej mojej gadaniny, to że Szum nie jest prawdą. Szum jest tym, co mężczyźni by *chcieli*, żeby było prawdą, a między tymi dwiema rzeczami jest różnica tak wielka, że może cię, kuźwa, zabić, jeśli nie będziesz uważać.

– Dom, Todd? – Manczi szczeka ciut głośniej koło mojej nogi, bo tak właśnie trzeba gadać w Szumie.

– Taa, idziemy – odpowiadam. Mieszkamy po drugiej stronie, bardziej na północny wschód, i będziemy musieli przejść przez osadę, żeby się tam dostać, no więc oto i osada, trzeba ją minąć najszybciej, jak tylko się da.

Pierwszy z brzegu stoi sklep pana Phelps'a. Dogorywa ten jego sklep, tak jak i reszta osady, a pan Phelps spędza cały swój czas na rozpaczaniu. Nawet kiedy coś od niego kupujesz i jest tak uprzejmy, że ojeju, rozpacz sączy się z niego niczym ropa z rany **Kończy się, szepcze jego Szum, kończy się, wszystko się kończy i Strzępy i strzępy i strzępy i Moja Julia, moja droga, droga Julia**, która była jego żoną i która w Szumie pana Phelps'a nie ma na sobie zupełnie nic.

– Serwus, Todd – woła do mnie, gdy Manczi i ja przechodzimy

spiesznie obok.

– Serwus, panie Phelps.

– Cudny dziś dzień, no nie?

– To fakt, panie Phelps.

– Cud! – szczeka Manczi i pan Phelps się śmieje, ale jego Szum nadal powtarza: **koniec i Julia i strzępy** i wyświetla obrazy tego, czego mu najbardziej brakuje, gdy chodzi o żonę i co kiedyś robiła, jakby to było w jakiś sposób wyjątkowe.

Nie myślę w moim Szumie niczego szczególnego na użytek pana Phelps, po prostu to co zwykle, te rzeczy, co to się je myśli mimo woli. Choć nagle łapię się na tym, że myślę to wszystko troszkę głośniej, żeby zasłonić myśli o tej dziurze, którą odkryłem na bagnach, przyblokować ją za głośniejszym Szumem.

Nie wiem, czemu to robię, nie wiem, czemu miałbym to ukrywać.

Ale ukrywam.

Manczi i ja idziemy dalej, dosyć szybkim krokiem, bo następna jest stacja benzynowa i pan Hammar. Stacja benzynowa już nie działa, bo turbogenerator, co wytwarzał benzynę, wziął się popsuł w zeszłym roku i po prostu sterczy obok stacji jak wielki, brzydki, spuchnięty paluch i nikt by obok niego nie mieszkał oprócz pana Hammara, a pan Hammar jest dużo gorszy niż pan Phelps, bo wymierza swój Szum prosto w ciebie.

I jest to *paskudny Szum, gniewny Szum*, obrazy ciebie w takich okolicznościach, w jakich nie chcesz siebie oglądać, krwawe obrazy pełne przemocy i wszystko, co możesz zrobić, to nagłośnić swój własny Szum tak bardzo, jak tylko się da, i spróbować w niego wciągnąć również Szum pana Phelps, i cisnąć tym wszystkim z powrotem w pana Hammara. **Jabłka i Kończy się i pięść silniejsza od dłoni i Ben i Julia i Cud, Todd? i generator przerywa i strzępy i zamknij się, po prostu się zamknij i Spójrz na mnie, chłopcze.**

I mimo wszystko odwracam głowę, choć nie chcę tego robić, ale czasem dajesz się zaskoczyć, no więc odwracam głowę i pan Hammar stoi w oknie, patrząc prosto na mnie, i myśli: **Jeden miesiąc**, i w jego

Szumie pojawia się obrazek, gdzie stoję sam jeden, ale w jakiś sposób jeszcze bardziej samotny niż tylko sam i nie wiem, co to znaczy ani czy to jest prawdziwe, czy też to umyślne kłamstwo, więc myślę o młotku, który raz za razem trafia w głowę pana Hammara, a on tylko się uśmiecha ze swojego okna.

Droga okrąży stację benzynową i mija klinikę. Klinika to doktor Baldwin i całe to jęczenie oraz narzekanie, które mężczyźni uskuteczniają u doktorów, gdy nic im tak naprawdę nie dolega. Dzisiaj to pan Fox narzeka, że nie może oddychać, co byłoby przykre, gdyby tyle nie palił. A potem, gdy już miniesz klinikę, Jezu święty, przed tobą cholerny, cholerny pub, który nawet o tej godzinie jest jednym wielkim wyciem Szumu, bo oni tam podkręcają muzykę na maksa, żeby zagłuszała Szum, ale to działa tylko połowicznie, no więc w efekcie dostajesz prosto w twarz głośną muzyką i głośnym Szumem i co gorsza pijanym Szumem, co wali w ciebie niczym młot. Krzyki i wycia i płacz mężczyzn, których twarze nigdy nie zmieniają wyrazu, i w kółko tylko roztrząsanie przeszłości i bredzenie o tych kobietach, co były kiedyś. Całe mnóstwo o tych kobietach, co były kiedyś, ale nic z tego nie trzyma się kupy, bo pijany Szum jest jak pijany mężczyzna: rozchwiany i nudny i niebezpieczny.

Chodzenie po osadzie robi się trudne, ciężko myśleć o kolejnym kroku, kiedy obciąża cię tyle Szumu. Serio nie wiem, jak mężczyźni sobie z tym radzą, nie wiem, jak ja będę sobie z tym radził, gdy już się stanę mężczyzną, chyba że tego dnia stanie się coś, o czym jeszcze nie wiem.

Droga mija pub i biegnie dalej w prawo, mijając posterunek policji i więzienie – wszystko w jednym budynku i robi się z nich użytek częściej, niż można by się spodziewać w tak małej osadzie. Szeryfem jest pan Prentiss junior, ledwie dwa lata starszy ode mnie, który jest mężczyzną dopiero od niedawna, ale szybkoitko się wdrożył do nowej roboty, a w jego celi siedzi ten pechowiec, którego w danym tygodniu burmistrz Prentiss kazał panu Prentissowi juniorowi pokazowo ukarać. Tym razem jest to pan Turner, który po żniwach nie przekazał wystarczająco dużo kukurydzy „ku pożytkowi całej osady”, co znaczy po prostu, że nie dał

darmowej kukurydzy panu Prentissowi i jego ludziom.

No więc jak już przeszedłeś przez osadę razem ze swoim psem i tyle Szumu już zostało za tobą, pan Phelps i pan Hammar i doktor Baldwin i pan Fox i mnóstwo mnóstwo Szumu z pubu i Szum pana Prentissa juniora i jęczący Szum pana Turnera, to jeszcze nie jest koniec Szumu osady, bo oto przed sobą masz Kościół.

To Kościół jest przyczyną tego, żeśmy wszyscy w ogóle trafili na Nowy Świat, ma się rozumieć, i praktycznie w każdą niedzielę można posłuchać, jak Aaron głosi kazanie o tym, dlaczegośmy zostawili za sobą korupcję i grzechy Starego Świata i że naszym celem było rozpocząć nowe życie w nowym Edenie, w duchu czystości i braterstwa.

Nieźle to wyszło w praktyce, nie?

Ale ludzie nadal chodzą do kościoła, głównie dlatego, że muszą, mimo że sam burmistrz rzadko kiedy raczy się tam pofatygować. Nam każe słuchać tego, co Aaron powtarza w swoich kazaniach – że jesteśmy jedynym, co nam tu jeszcze pozostało, my, mężczyźni, wszyscy razem, i że wszyscy musimy się trzymać razem jako wspólnota.

Że jeśli jeden z nas upada, wszyscy upadamy.

Powtarza to bardzo często.

Manczi i ja przechodzimy obok frontowych drzwi Kościoła najciszej jak się da. Ze środka dobiega Szum modlitw. Ma szczególny odcień, szczególny purpurowy chory odcień, jakby był wyciekającą z męczyzn krwią, i choć za każdym razem są to te same słowa, to ta purpurowa krew ciągle cieknie. Pomóż nam, ocal nas, wybacz nam, pomóż nam, ocal nas, wybacz nam, zabierz nas stąd, błagamy, Boże, błagamy, Boże, błagamy, Boże, choć o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie usłyszał w odpowiedzi ani odrobiny Szumu tego całego Boga.

Aaron też jest tam w środku, wrócił ze swego spacerku i głosi kazanie, podczas gdy wierni się modlą. Słyszę jego głos, nie tylko jego Szum, i na okrągło gada tylko, że poświęcenie to, a Pismo tamto, i błogosławieństwa tu, a świętość tam, i gada tak szybko, że jego Szum jest jak szary ogień za nim i nie sposób czegokolwiek rozróżnić i możliwe, że Aaron coś knuje, co nie? Kazanie może być przykrywką dla czegoś i

zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wiem, czym jest to coś.

A potem słyszę w jego Szumie: **młody Todd?** I mówię: Pośpiesz się, Manczi, i zwijamy się stamtąd raz dwa.

Ostatnim miejscem, jakie mijasz wspinając się na wzgórze, gdzie leży osada Prentisstown, to dom burmistrza, gdzie Szum jest najdziwniejszy i najtrudniejszy do zniesienia, bo burmistrz Prentiss...

No cóż, burmistrz Prentiss jest inny niż wszyscy. Jego Szum jest strasznie przejrzysty i kiedy mówię „strasznie”, mam na myśli dokładnie to, co mówię. Widzicie, on wierzy, że w Szumie można zaprowadzić porządek. Wierzy, że z Szumem można sobie poradzić, że gdyby dało się go jakoś ujarzmić, można byłoby go wykorzystać. A kiedy mijasz dom burmistrza, da się go słyszeć, słyszeć jego oraz mężczyzn z jego otoczenia, jego zastępców i takich tam, i cały czas wykonują te ćwiczenia myślowe, z liczeniem i wyobrażaniem sobie figur geometrycznych i recytowaniem formuł, takich jak **JESTEM KRĘGIEM, A KRAĞ JEST MNĄ**, cokolwiek by to miało znaczyć, i jest tak, jakby kształtował swoją małą armię, jakby się przygotowywał na coś, jakby wykuwał z Szumu jakąś broń.

To się wydaje groźne. Jakby świat się zmieniał i zostawiał cię z tyłu.

**1 2 3 4 4 3 2 1 JESTEM KRĘGIEM A KRAĞ JEST MNĄ 1 2 3 4 4 3 2 1 JEŚLI JEDEN Z NAS UPADA WSZYSCY UPADAMY**

Już wkrótce będę mężczyzną, a mężczyźni nie uciekają, ale letko popycham Mancziego i jeszcze bardziej przyspieszamy kroku, omijając dom burmistrza tak szerokim łukiem, jak to możliwe, aż w końcu zostawiamy go z tyłu i już jesteśmy na wyżwirowanej ścieżce, która prowadzi do naszego gospodarstwa.

Po jakimś czasie osada znika z pola widzenia, a Szum zaczyna odrobinę cichnąć (choć nigdy nigdy nie milknie) i obaj możemy trochę odetchnąć.

Manczi szczeka:

– Szum, Todd.

– Tajest – odpowiadam.

– Cicho na bagnach, Todd – mówi Manczi. – Cicho, cicho, cicho.

– Tak – odpowiadam, a potem błyska mi myśl i przyspieszam kroku i mówię: – Zamknij się, Manczi. – I daję mu kłapa w tyłek, a on odpowiada: – Au, Todd? – ale ja już oglądam się do tyłu, w stronę osady. Nie ma jak powstrzymać Szumu po tym, jak się wydostał, co nie? A gdyby to było coś, co można zobaczyć, jak przemieszcza się w powietrzu, ciekawe, czy można byłoby zobaczyć dziurę w Szumie, jak wypływa ze mnie, z tych moich myśli, gdzie ją próbowałem ukrywać. To taka maleńka drobina Szumu, tak łatwo byłoby ją przeoczyć w wielkim huku wszystkiego innego, ale już frunie, już frunie, zmierzając z powrotem do świata mężczyzn.

### 3

## Ben i Cillian

– Co ty sobie wyobrazasz? Gdzieś ty był? – pyta Cillian, gdy tylko Manczi i ja pojawiajemy się w jego polu widzenia, opuściwszy ścieżkę. Leży na ziemi, schowany do połowy pod naszym małym turbogeneratorem, tym, co stoi przed domem, reperując to, co się popsło w tym miesiącu. Ręce ma całe w smarze, twarz całą w irytacji, jego Szum byczy niczym rozwścieczone pszczoły i czuję, że zaczynam się wkurzać, mimo że jeszcze nawet nie wróciłem do domu.

– Byłem na bagnach, zbierałem jabłka dla Bena – odpowiadam.

– Jest robota do zrobienia, a chłopcy poszli się bawić.

– Znowu zagląda do generatora. W środku coś wydaje głośny brzęk, a on warczy: – Niech to szlag!

– Powiedziałem, że się nie bawiłem, jeśli mnie w ogóle słuchasz! – odpowiadam, a właściwie krzyczę. – Ben chciał jabłek, więc poszłem mu nzbierać cholernych jabłek!

– Aha – stwierdza Cillian, patrząc z powrotem na mnie.

– To gdzie w takim razie masz te jabłka?

I oczywiście nie mam w ręku żadnych jabłek, co nie? Nawet nie pamiętam, kiedy upuściłem ten worek, co go zacząłem napełniać, ale oczywiście musiałem to zrobić, kiedy...

– Kiedy co? – pyta Cillian.

– Przestań tak nasłuchiwać – odpowiadam.

Wzdycha, jak to Cillian, i lecimy:

– Wcale nie wymagamy od ciebie tak dużo, Todd – co jest nieprawdą – ale nie jesteśmy w stanie sami prowadzić tej farmy – co jest prawdą – i nawet gdybyś zawsze robił wszystko, co do ciebie należy, a nigdy nie raczysz – kolejne kłamstwo, zmuszają mnie, żebym dla nich harował jak wół – nadal by nam tu brakowało rąk do pracy, nieprawdaż? – I to także

jest prawda. Osada nie ma szans się powiększyć, może się tylko kurczyć, i nie ma co liczyć na jakąkolwiek pomoc.

– Słuchaj, kiedy do ciebie mówię – dodaje Cillian.

– Słuchaj! – szczeka Manczi.

– Zamknij się – odpowiadam.

– Nie mów tak do swojego psa – mówi Cillian.

*Nie mówiłem do swojego psa* – odpowiadam w myślach, dostatecznie głośno i wyraźnie, żeby mnie usłyszał.

Cillian piorunuje mnie wzrokiem, a ja piorunuję jego. Zawsze tak to wygląda, nasz Szum pulsuje czerwono od handryczenia się i irytacji. Nigdy, ale to nigdy się za dobrze nie dogadywałem z Cillianem, to Ben zawsze był tym miłym, a Cillian tym drugim, ale robi się coraz gorzej, w miarę jak zbliża się ten dzień, kiedy w końcu stanę się mężczyzną i już nie będę musiał słuchać jego dziamolenia.

Cillian zamyka oczy i głośno wypuszcza powietrze nosem.

– Todd – zaczyna mówić, nieco ciszej.

– Gdzie Ben? – pytam.

Jego twarz twardnieje jeszcze bardziej.

– Za tydzień owce zaczną się kocić, Todd.

Odpowiadam tylko:

– Gdzie Ben?

– Nakarm owce i pozamykaj je w zagrodach, a potem chcę, żebyś wreszcie naprawił furtkę na wschodnie pastwisko, Toddzie Hewitt. Prosiłem cię o to już co najmniej dwa razy.

Staję w swobodniejszej pozie.

– „I co, jak się udała twoja wyprawa na bagna, Todd?” – mówię, a mój głos aż ocieka sarkazmem. – „No cóż, fajnie tam było, Cillian, dzięki, że pytasz.” „A widziałeś coś ciekawego tam na bagnach, Todd?” „No cóż, to zabawne, że pytasz, Cillian, bo faktycznie widziałem coś ciekawego, co może tłumaczyć tę rozciętą wargę, o którą nie zapytałeś, ale sądzę, że będzie to musiało poczekać do czasu, aż owce będą nakarmione, a ja naprawię cholerną furtkę!”

– Uważaj, co mówisz – odpowiada Cillian. – Nie mam czasu na twoje



gadki. Idź do owiec.

Zaciskam pięści i wydaję odgłos brzmiący jak „aggggh”, żeby dać Cillianowi do zrozumienia, że nie jestem w stanie znieść jego głupoty przez choćby sekundę dłużej.

– Chodź, Manczi – mówię.

– Owce, Todd – woła Cillian, gdy zaczynam odchodzić. – Najpierw owce.

– Taa, zajmę się tymi cholernymi owcami – mamroczę do siebie. Teraz oddalam się szybciej, krew się we mnie burzy, a Manczi zaczyna się ekscytować przez to, że mój Szum jest taki głośny.

– Owce! – szczeka. – Owce, owce, Todd! Owce, owce, cicho, Todd! Cicho, cicho na bagnach, Todd!

– Zamknij się, Manczi – mówię.

– Co on powiedział? – pyta Cillian i w jego głosie jest coś takiego, że obaj się odwracamy. Cillian siedzi teraz obok generatora, skupiając na nas całą uwagę, jego Szum celuje w nas niby laser.

– Cicho, Cillian – szczeka Manczi.

– O co mu chodzi z tym „cicho”? – Oczy i Szum Cilliana omiatają mnie od góry do dołu.

– A co cię to obchodzi? – Odwracam się plecami. – Muszę nakarmić cholerne owce.

– Todd, zaczekaj! – woła za nami, ale wtedy w generatorze coś zaczyna pikać, a on powtarza znowu: – Niech to szlag! – i musi się z powrotem skupić na robocie, chociaż czuję mnóstwo znaków zapytania w jego Szumie, który podąża za mną, cichnąc stopniowo, gdy odchodzę w stronę naszych pól.

*Do diabła z nim, do diabła z nim i z całą resztą* – myślę, w tych i w jeszcze gorszych słowach, idąc ze złością przez teren naszej farmy. Mieszkamy jakiś kilometr na północny wschód od osady i połowę naszej ziemi przeznaczamy pod wypas owiec, a drugą połowę pod uprawę zboża. Robota ze zbożem jest cięższa, więc zajmują się tym głównie Ben i Cillian. Odkąd urosłem na tyle duży, żeby być wyższy od owiec, zajmowałem się owcami. Znaczą się, ja sam, a nie ja i Manczi, choć kolejne z durnych,

kłamliwych wyjaśnień, czemu mi go dali, brzmiało, że będę mógł go wyuczyć na psa pasterskiego, co z oczywistych względów – czyli dlatego, że jest bezdennie głupi – nie wypaliło.

Karmienie i pojenie i strzyżenie i odbieranie porodów, a nawet kastrowanie i zarzynanie – ja się zajmuję tym wszystkim. Jesteśmy jednym z trzech dostawców mięsa i wełny w osadzie, kiedyś byliśmy jednym z pięciu, a niedługo będziemy jednym z dwóch, bo pan Marjoribanks pewno lada dzień się zachla na śmierć. Połączymy jego stado z naszym, to znaczy ja połączę, tak jak to zrobiłem, kiedy pan Gault zniknął dwie zimy temu, i będą nowe owce do zarzynania, nowe do strzyżenia, nowe barany do kastrowania, nowe do umieszczania w zagrodach razem z owcami w odpowiednim czasie, i czy ktoś mi za to wszystko podziękuje? Nie.

*Jestem Todd Hewitt* – myślę, bo dzisiejszy dzień robi wszystko, żeby nie pozwolić mi wyciszyć mojego Szumu. *Jestem już prawie mężczyzną.*

– Owce! – mówią owce, gdy mijam ich pastwisko, nie zatrzymując się.  
– Owce! – powtarzają, patrząc, jak przechodzę obok. – Owce! Owce!

– Owce! – szczeka Manczi.

– Owce! – odpowiadają owce.

Owce mają jeszcze mniej do powiedzenia niż psy.

Idąc przez teren farmy, nasłuchiwałem, próbując wychwycić Szum Bena, i wytropiłem go w rogu jednego z pól pszenicy. Już dawno po siewie, a żniwa będą dopiero za parę miesięcy, więc przy zbożu chwilowo nie ma za wiele roboty, trzeba tylko pilnować, żeby wszystkie generatory, turbotraktor i elektryczne młocarnie były sprawne. Myślałby kto, że wobec tego doczekam się pomocy przy owcach, ale nie ma tak dobrze.

Szum Bena nuci melodyjkę w pobliżu jednego z ujęć nawadniających, więc skręcam i idę ku niemu przez pole. Jego Szum jest całkiem niepodobny do Szumu Cilliana. Jest spokojniejszy i czystszy, i chociaż Szumu nie widać, to ten Cilliana zawsze wydaje się czerwony, a Bena – niebieski lub czasem zielony. Są zupełnie różni od siebie, tak różni jak woda i ogień, Ben i Cillian, moi mniej lub bardziej rodzice.

To było tak: moja mama przyjaźniła się z Benem, zanim odlecieli na Nowy Świat. Oboje należeli do Kościoła, kiedy pojawiła się oferta wyjazdu i założenia kolonii. Mama przekonała tatę, zaś Ben przekonał Cilliana, a kiedy statki wylądowały i powstała kolonia, to moi rodzice hodowali owce na sąsiedniej farmie, zaś Ben i Cillian uprawiali zboże, i wszystko było ładnie i cacy, i słońce nigdy nie zachodziło, a mężczyźni i kobiety żyli razem i śpiewali pieśni i kochali się i nigdy nie chorowali i nigdy nigdy nie umierali.

To jest w każdym razie historia wzięta z Szumu, więc kto wie, jak naprawdę było? Bo potem, oczywiście, ja się urodziłem i wszystko się zmieniło. Szpakusy rozpyliły swój zarazek, co pozabijał kobiety, i to by było na tyle, gdy chodzi o moją mamę, a potem zaczęła się wojna i została wygrana i to by było na tyle, gdy chodzi o całą resztę Nowego Świata. I zostałem ja, niemowlak, co nie wiedział nic o niczym, i oczywiście nie byłem jedynym niemowlakiem, było nas mnóstwo, i nagle tylko połowa osady, sami mężczyźni, musiała się zająć nami wszystkimi – niemowlakami i chłopcami. No więc masę nas poumierało, a ja się zaliczam do tych, co mieli szczęście, bo Ben i Cillian przygarnęli mnie i wykarmili i wychowali i uczyli i generalnie umożliwili mi przeżycie.

No więc jestem tak jakby ich synem. No cóż, więcej niż „tak jakby”, ale mniej niż gdybym faktycznie był ich synem. Ben mówi, że Cillian cały czas się ze mną kłóci, bo mu leży na sercu moje dobro, ale jeśli to prawda, to ma dziwny sposób okazywania tego, który nie wydaje się mieć wiele wspólnego z sercem, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Ale Ben jest ulepiony z innej gliny niż Cillian, Ben to dobry człowiek, co nie jest normą w Prentisstown. Stu czterdziestu pięciu mężczyzn w tej osadzie, nawet ci świeżo upieczeni tuż po trzynastych urodzinach, nawet Cillian, chociaż w mniejszym stopniu, oni mnie traktują w najlepszym razie jak coś do zignorowania, a w najgorszym – jak coś, co można stłuc na kwaśne jabłko, no więc spędzam większość czasu na wynajdywaniu sposobów na to, żeby mnie ignorowali, bo wtedy mnie nie biją.

Wszyscy poza Benem, którego nie umiem lepiej opisać, bo zabrzmia

to miękko i głupio i dziecinnie, no więc nie będę tego robił. Powiem tylko tyle, że nigdy nie poznałem mojego tatki, ale gdybyście się zbudzili pewnego dnia i mieli wybrać jedną osobę z szeregu, gdyby ktoś powiedział: w porządku, chłopcze, to teraz wybierz sobie, kogo chcesz, to Ben nie byłby najgorszą osobą, którą moglibyście wybrać tego ranka.

Gwizdże, gdy podchodzimy, a choć jeszcze go nie widzę i on też mnie nie widzi, zmienia melodię gdy wyczuwa, że podchodzę, i teraz gwizdże piosenkę, którą rozpoznaję. „Pewnego ranka, o bladej godzinie” – twierdzi zawsze, że to była ulubiona piosenka mojej mamy, ale sądzę, że to po prostu jego ulubiona piosenka, bo gwizdał i śpiewał ją dla mnie, odkąd pamiętam. Krew nadal się we mnie burzy po kłótni z Cillianem, ale od razu czuję się trochę spokojniejszy.

Nawet jeśli to jest piosenka dla dzieciaków, wiem, zamknijcie się.

– Ben! – szczeka Manczi i zaczyna biegać wokół urządzenia nawadniającego.

– Cześć, Manczi – słyszę, skręcając za róg i widzę, że Ben drapie Mancziego za uszami. Oczy Mancziego są zamknięte, zaś ogon uderza o ziemię z zadowolenia, a choć Ben z pewnością widzi po moim Szumie, że znowu ściąłem się z Cillianem, mówi jedynie:

– Witaj, Todd.

– Cześć, Ben. – Patrzę w ziemię, kopiąc leżący kamień.

A szum Bena mówi **Jabłka i Cillian i Ależ urosteś** i znowu **Cillian i śwędzi mnie łokieć i jabłka i obiad i Ależ to słońce grzeje** i wszystko to jest gładkie i kojące niczym leżenie w strumyku w upalny dzień.

– Uspokajasz się, Todd? – pyta w końcu. – Przypominasz sobie, kim jesteś?

– Taa – odpowiadam – tylko czemu on musi tak na mnie najeżdżać? Czemu nie może po prostu powiedzieć cześć? Nawet mnie nie przywita, tylko zawsze „Wiem, że zrobiłeś coś złego i będę cię nękał tak długo, aż się dowiem, co.”

– On po prostu tak ma, Todd. Wiesz o tym.

– Zawsze to powtarzasz. – Zrywam źdźbło młodego zboża i

wsadzam czubek do ust, unikając jego spojrzenia.

– Zostawiłeś jabłka w domu, tak?

Spoglądam na niego. Żuję żdźbło. Wie, że tego nie zrobiłem. Tyle potrafi wyczytać.

– I jest jakiś powód – powiada, nadal drapiąc Mancziego. – Jest powód, którego nie widzę. – Próbuje czytać mój Szum, sprawdza, co będzie w stanie z niego wyłowić, co większość mężczyzn uważa za powód do wszczęcia awantury, ale nie przeszkadza mi, gdy Ben to robi. Przekrzywia głowę i przestaje drapać Mancziego. – Aaron?

– Taa, widziałem Aarona.

– To on ci tak załatwił wargę?

– Taa.

– Skurwiel. – Marszczy brwi i daje krok naprzód. – Chyba będę musiał z nim zamienić parę słów.

– Nie – odpowiadam. – Opuść. Będzie z tego tylko więcej kłopotów, a wcale tak bardzo nie boli.

Ben ujmuje dłonią mój podbródek i unosi mi głowę, żeby obejrzeć skaleczenie.

– Skurwiel – powtarza cicho. Dotyka palcami skaleczenia, a ja się wzdrygam i cofam głowę.

– To nic takiego – mówię.

– Trzymaj się z dala od tego człowieka, Toddzie Hewitt.

– Taa, myślałby kto, że pobiegłem na bagna z *nadzieją*, że go tam spotkam?

– Ma nierówno pod sufitem.

– Jasny gwint, dzięki za tę informację, Ben – odpowiadam, a potem wychwytyuję coś w jego Szumie, co brzmi: **Za miesiąc** i to jest coś nowego, coś zupełnie nowego, a on szybko zasłania to innym Szumem.

– Co się dzieje, Ben? – pytam. – O co chodzi z moimi urodzinami?

Ben się uśmiecha i przez sekundę nie jest to całkiem szczerzy uśmiech, przez sekundę jego uśmiech jest zmartwiony, ale potem staje się w zasadzie szczerzy.

– To niespodzianka – odpowiada – więc nie próbuj węszyć.

Chociaż jestem już prawie mężczyzną i chociaż jestem teraz prawie jego wzrostu, on wciąż jeszcze letko się pochyla, aby jego twarz znalazła się na tej samej wysokości co moja – nie na tyle blisko, żeby to było niemiłe, tylko tak, żebym się czuł bezpiecznie, i na chwilę odwracam wzrok. I chociaż to jest Ben, chociaż ufam Benowi bardziej niż komukolwiek innemu w tej kijowej osadzie, chociaż to Ben uratował mi życie i wiem, że zrobiłby to jeszcze raz, to i tak nie mam ochoty mu pokazywać w moim Szumie, co się stało na bagnach, głównie dlatego, że zacznę czuć ucisk w piersi, ilekroć ta myśl powraca.

– Todd? – pyta Ben, uważnie mi się przyglądając.

– Cicho – szczerka niegłośno Manczi. – Cicho na bagnach.

Ben patrzy na Mancziego, potem znowu na mnie, a jego spojrzenie staje się łagodne, pytające i pełne troski.

– O czym on mówi, Todd?

Wzdycham.

– Widzieliśmy coś – mówię. – Tam na bagnach. No dobra, nie widzieliśmy, bo było schowane, ale to było jak rozdarcie w Szumie, jak dziura...

Przestaję mówić, bo on przestał słuchać mojego głosu. Otworzyłem dla niego mój Szum i przypominam sobie wszystko tak dokładnie, jak tylko jestem w stanie, on wpatruje się we mnie bystro jak nie wiem co, a z tyłu słyszę, że nadchodzi Cillian i woła „Ben?” i „Todd?” i w jego głosie oraz Szumie słychać niepokój, a Szum Bena też zaczyna się trochę burzyć. A ja nadal myślę o tej dziurze w Szumie, którą znaleźliśmy, ale cicho, cicho, cichutko, żeby osada niczego nie usłyszała, jeśli to możliwe. I oto zbliża się do nas Cillian, a Ben po prostu się we mnie wpatruje i wpatruje, aż w końcu muszę zadać to pytanie.

– Czy to szpakusy? – pytam. – To Szpakle? Wrócili?

– Ben? – Teraz Cillian woła głośno, idąc na przełaj przez pole.

– Czy jesteście w niebezpieczeństwie? – pytam Bena. – Będzie następna wojna?

Ale Ben stwierdza tylko:

– O mój Boże. – Mówi to bardzo cicho, a potem po raz drugi: – O

mój Boże – a potem, nie ruszając się ani nie odwracając głowy, powiada:  
– Musimy cię stąd zabrać. Musimy cię stąd zabrać *i to już*.

## 4

# Nie myśl tego

Cillian podbiega, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, Ben to ucina, mówiąc:

– Nie myśl tego!

Ben odwraca się do mnie.

– Ty też tego nie myśl. Zamaskuj to swoim Szumem. Ukryj to. Ukryj to najlepiej jak potrafisz. – I mówiąc to łapie mnie za ramiona, i ścisną tak mocno, że przechodzą mnie jeszcze większe ciarki niż przedtem.

– Co się dzieje? – pytam.

– Czy przyszedłeś z powrotem przez osadę? – pyta Cillian.

– Pewnie, że przyszedłem z powrotem przez osadę – warczę. – A jest, kuźwa, jakaś inna droga do domu?

Twarz Cilliana tężeje, ale nie dlatego, że jest na mnie wkurzony za odwarkiwanie – tężeje ze strachu, ze strachu, który w jego Szumie jest głośny jak krzyk. Nie ochrzaniają mnie też za „kuźwę”, przez co wszystko jest w jakiś sposób jeszcze gorsze. Manczi szczeka teraz jak wariat:

– Cillian! Cicho! Kuźwa! Todd!

Ale nikt nie każe mu się zamknąć. Cillian spogląda na Bena.

– Musimy to załatwić teraz.

– Wiem – odpowiada Ben.

– Co się dzieje? – pytam jeszcze raz, głośno. – Co załatwić teraz? – Wyrwam się Benowi i stoję patrząc na nich obu.

Ben i Cillian znowu spoglądają na siebie nawzajem, a potem na mnie.

– Musisz opuścić Prentisstown – powiada Ben.

Wgapiam się to w jednego z nich, to w drugiego, ale nie ujawniają w swoim Szumie nic poza ogólnym niepokojem.

– Jak to muszę opuścić Prentisstown? – pytam. – Na Nowym Świecie



jest tylko Prentisstown.

Znowu spoglądają jeden na drugiego.

– Przestańcie! – mówię.

– Chodź – powiada Cillian. – Już spakowaliśmy ci plecak.

– Jak to już spakowaliście mi plecak?

Cillian powiada do Bena:

– Pewnie nie mamy za wiele czasu.

A Ben mówi do Cilliana:

– Może pójść wzdłuż rzeki.

Cillian do Bena:

– Wiesz, co to oznacza.

A Ben do Cilliana:

– To nie zmienia planu.

– CO SIĘ TU, KUŻWA, DZIEJE? – ryczę, ale nie mówię „kużwa”, co nie?

Bo zdaje się, że okoliczności wymagają czegoś ciutkę mocniejszego. – JAKI, KUŻWA, PLAN?

Ale oni nadal się nie wkurzają.

Ben zniża głos i widzę, jak próbuje choć trochę uładzić swój Szum, i powiada do mnie:

– To bardzo, bardzo ważne, żebyś w miarę możliwości starał się nie ujawniać w swoim Szumie tego, co się wydarzyło na bagnach.

– Czemu? Czy szpakusy wracają, żeby nas pozabijać?

– Nie myśl o tym! – ucina Cillian. – Zamaskuj to, ukryj to głęboko i milcz, aż znajdziesz się tak daleko od osady, że nikt nie będzie mógł cię usłyszeć. A teraz chodź!

I rusza z powrotem do domu, biegiem, autentycznie *biegiem*.

– Chodź, Todd – powiada Ben.

– Tylko pod warunkiem, że ktoś mi coś wyjaśni.

– Dostaniesz wyjaśnienie – mówi Ben. Bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą. – Dostaniesz więcej wyjaśnień niż kiedykolwiek chciałeś usłyszeć. – I kiedy to mówi, jest w nim tyle smutku, że już się nie odzywam, tylko biegnę za nim do domu, a za nami gna Manczi, szczekając jak opętany.

Gdy dobiegamy na miejsce, spodziewam się zobaczyć...

Nie wiem, co spodziewam się zobaczyć. Armię Szpakli wyłaniającą się z lasu. Rząd ludzi burmistrza Prentissa ze strzelbami w pogotowiu. Pożar. Sam nie wiem. Z Szumu Bena i Cilliania ciężko wyczytać coś sensownego, moje własne myśli kipią niby wulkan, a Manczi nie przestaje czekać, więc kto by się czegoś dosłuchał w tym zgiełku?

Ale nikogo tam nie ma. Dom, nasz dom, cichy i taki, jak to na wsi, stoi jak stał. Cillian wpada do środka kuchennymi drzwiami, biegnie do pokoju modlitewnego, z którego nigdy nie korzystamy, i zaczyna odrzucać deski, które piętczą się na podłodze. Ben idzie do spiżarni i zaczyna wrzucać suchy prowiant oraz suszone owoce do worka z materiału, po czym rusza do kibla, gdzie wyjmuje z szafki mały medipak i też wkłada go do środka.

A ja tylko stoję jak kretyn, zastanawiając się, co do kuźwy nędzy jest grane.

Wiem, co sobie myślicie: jakim cudem tego *nie* wiem, jeśli przez cały dzień, dzień w dzień słyszę każdą myśl dwóch mężczyzn, którzy się mną opiekują? Ale tu właśnie tkwi haczyk. Szum to szum. To huk i hałas i zwykle sprowadza się do jednej wielkiej kotłowania dźwięków, myśli i obrazów, i przez większość czasu nie sposób się w nim w ogóle doszukać sensu. Umysły mężczyzn są pełne bajzlu, a Szum przypomina żywe, oddychające oblicze tego bajzlu. Jest tam to, co prawdziwe i to, w co wierzysz i to, co sobie wyobrażasz i to, o czym fantazjujesz i mówisz jedno, a równocześnie coś przeciwnego i chociaż prawda z całą pewnością tam tkwi, to jak masz poznać, co jest prawdą, a co nią nie jest, kiedy odbierasz wszystko?

Szum to nieprzefiltrowany człowiek, a bez filtra człowiek to tylko ruchomy chaos.

– Nie odejdę – mówię, podczas gdy oni dalej robią swoje. Nie zwracają na mnie uwagi. – Nie odejdę – powtarzam, ale Ben mija mnie i wchodzi do pokoju modlitewnego, żeby pomóc Cillianowi podnosić deski. Znajdują to, czego szukali: Cillian wyciąga schowany pod spodem plecak, mój stary plecak, co myślałem, że go zgubiłem. Ben rozpina go i szybko przegląda zawartość. Widzę tam trochę moich ubrań oraz coś,

co wygląda jak...

– Czy to książka? – pytam. – Przecież już dawno mieliście je wszystkie spalić.

Ale oni mnie ignorują, a powietrze jakby znieruchomiło, kiedy Ben wyjmuję to coś z plecaka. On i Cillian oglądają to, a ja widzę, że to właściwie nie jest książka, raczej notes, pamiętnik czy coś w tym guście, z ładną skórzaną okładką. Ben przerzuca kartki – są kremowe i wypełnione ręcznym pismem.

Ben zamyka notes, jakby było to coś ważnego, zawija go w plastikowy worek dla ochrony i wsuwa do plecaka. Obaj odwracają się do mnie.

– Nigdzie nie idę – mówię.

I wtedy słychać pukanie do drzwi.

Przez sekundę nikt nic nie mówi, wszyscy po prostu zamieramy. Manczi chce wyszczekać tyle różnych rzeczy, że przez minutę nie jest w stanie nic wykrztusić, aż w końcu szczeka:

– Drzwi!

Ale Cillian łapie go jedną ręką za obrozę, a drugą za pysk, żeby się zamknął. Wszyscy patrzymy na siebie, zastanawiając się, co tu robić.

Znowu słychać pukanie, a potem zza ściany dolatuje głos:

– Wiem, że tam jesteście.

– Niech to jasny szlag – powiada Ben.

– Cholerny Davy Prentiss – dodaje Cillian.

To pan Prentiss junior. Przedstawiciel prawa.

– Myślicie, że nie słyszę waszego Szumu? – pyta zza drzwi pan Prentiss junior. – Benison Moore. Cillian Boyd. – Robi małą pauzę. – Todd Hewitt.

– No, to by było na tyle, gdy chodzi o ukrywanie się – mówię, splatając ręce na piersi, nadal z lekka wkurzony tym wszystkim.

Cillian i Ben znowu patrzą na siebie. Potem Cillian puszcza Manczkiego. Mówi do nas obu:

– Zostańcie tutaj.

I kieruje się do drzwi. Ben wsuwa worek z prowiantem do plecaka i

zawiązuje klapę. Podaje mi plecak.

– Założ – szepcze.

Początkowo nie chcę tego zrobić, ale Ben gestykuluje z poważną miną, więc biorę plecak i zakładam go. Waży tonę. Słyszymy, jak Cillian otwiera frontowe drzwi.

– Czego chcesz, Davy?

– Dla ciebie jestem szeryf Prentiss, Cillian.

– Jemy właśnie obiad, Davy – powiada Cillian. – Przyjdź później.

– Nie wydaje mi się. Muszę zamienić słówko z młodym Toddem.

Ben spogląda na mnie, a w jego Szumie czuć niepokój.

– Todd ma robotę – odpowiada Cillian. – Właśnie wychodzi tylnymi drzwiami, słyszę go.

I to jest instrukcja dla mnie i dla Bena, co nie? Ale chcę, cholera jasna, słyszeć, co się dzieje, więc ignoruję rękę Bena na ramieniu, próbującą mnie pociągnąć w stronę tylnych drzwi.

– Bierzesz mnie za durnia, Cillian? – pyta pan Prentiss junior.

– Naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź, Davy?

– Słyszę jego Szum niecałe dziesięć metrów za tobą. Szum Bena też.

– Słyszymy zmianę w jego tonie. – Chcę z nim tylko pogadać. Nie wpakował się w żadne kłopoty.

– To czemu masz ze sobą strzelbę, Davy? – pyta Cillian, a Ben zaciska mi palce na ramieniu, pewnie nawet nie mając świadomości, że to robi.

Głos i Szum pana Prentissa juniora znowu się zmieniają.

– Przyrowadź go tu, Cillian. Wiesz, czemu tu jestem. Zdaje się, że waszemu chłopakowi wypsnęło się w osadzie śmieszne małe słówko, tak po prostu, i chcemy tylko sprawdzić, o co chodzi, to wszystko.

– My? – pyta Cillian.

– Jego Dostojność burmistrz chciałby zamienić słówko z młodym Toddem. – Pan Prentiss junior podnosi głos. – Wychodźcie wszyscy, słyszycie? Nikomu nic nie grozi. Chodzi tylko o przyjacielską pogawędkę.

Ben skinieniem głowy wskazuje tylne drzwi, tak stanowczo, że tym razem już nie próbuję się z nim spierać. Zaczynamy się powoli skradać w tamtą stronę, ale Manczi trzymał już pysk na kłódkę tak długo, że nie

jest w stanie dłużej zdzierżyć i szczerka:

– Todd?

– Nie zamierzacie się chyba stąd wykraść tylnymi drzwiami, co? – woła pan Prentiss junior. – Zejdź mi z drogi, Cillian.

– Wynoś się z mojej farmy, Davy – odpowiada Cillian.

– Nie będę powtarzał dwa razy.

– Zdaje się, że powtórzyłeś mi to już jakieś trzy razy, Davy, więc jeśli próbujesz mi grozić, to kiepsko ci idzie.

Następuje pauza, ale Szum ich obu narasta, a Ben i ja już wiemy, co będzie za chwilę, i nagle wszystko się zamazuje i słyszymy głośny odgłos uderzenia, a zaraz potem kolejne dwa. Ja, Ben i Manczi pędzimy do kuchni, ale gdy tam wpadamy, jest już po wszystkim. Pan Prentiss junior leży na podłodze trzymając się za usta, z których cieknie krew. Cillian ma w rękach strzelbę pana Prentissa juniora i celuje z niej w pana Prentissa juniora.

– Powiedziałem: wynoś się z mojej farmy, Davy – powiada raz jeszcze.

Pan Prentiss junior spogląda na niego, potem na nas, nadal trzymając się za krwawiące usta. Jak powiedziałem, jest ode mnie starszy o marne dwa lata, ledwo potrafi wypowiedzieć pełne zdanie tak, żeby mu się głos w trakcie nie załamał, ale ma za sobą te urodziny, po których stajesz się mężczyzną, no więc oto i on, nasz szeryf.

Krew z jego ust rozmazała się na tych małych brązowych włoskach, o których on mówi, że to wąsy, a cała reszta osady, że guzik prawda.

– Wiesz, że to jest odpowiedź na pytanie, co nie? – Wypluwa na naszą podłogę krew i wybitego zęba. – Wiesz, że to nie koniec. – Patrzy prosto na moje oko. – Znalazłeś coś, no nie, chłopcze?

Cillian celuje ze strzelby w jego głowę.

– Wynocha – mówi.

– Wiążemy z tobą plany, chłopcze. – Pan Prentiss junior uśmiecha się do mnie krwawo i dźwiga się na nogi. – Ostatni chłopiec. Został ci jeszcze miesiąc, nie?

Spoglądam na Cilliana, ale on tylko odwodzi znacząco kurek strzelby.

Pan Prentiss junior znów na nas popatruje, spluwa po raz drugi i powiada:

– Na razie. – Próbuje brzmieć jak twardziel, ale głos przechodzi mu w pisk. Potem puszcza się biegiem, gna co tchu z powrotem w kierunku osady.

Cillian zatrząskuje za nim drzwiami.

– Todd musi ruszać, ale już. Z powrotem przez bagna.

– Wiem – odpowiada Ben. – Miałem nadzieję...

– Ja też – ucina Cillian.

– Moment, moment – przerywam. – Nie wrócę na bagna. Jest tam Szpakiel!

– Ucisz swoje myśli – mówi Cillian. – To ważniejsze niż ci się zdaje.

– No cóż, to nic trudnego, skoro nic nie wiem – odpowiadam. – Nigdzie się nie wybieram, póki ktoś mi nie wyjaśni, co jest grane!

– Todd... – zaczyna Ben.

– Oni wrócą, Todd – powiada Cillian. – Davy Prentiss tu wróci i nie będzie sam, a my nie damy rady cię obronić przed nimi wszystkimi naraz.

– Ale...

– Żadnych ale! – ucina Cillian.

– Chodź, Todd – mówi Ben. – Manczi będzie musiał pójść z tobą.

– O ludzie, coraz lepiej – stwierdzam.

– Todd – mówi Cillian. Spoglądam na niego i widzę, że trochę się zmienił. W jego Szumie pojawiło się coś nowego: smutek, taki smutek jak przy żałobie. – Todd – powtarza raz jeszcze, a potem nagle łapie mnie i przytula z całej siły. Robi to zbyt gwałtownie, tak że trafiam rozciętą wargą na jego kołnierz i wołam: – Au! – po czym go odpycham.

– Możesz nas za to nienawidzić, Todd – mówi – ale postaraj się uwierzyć, że robimy to tylko dlatego, że cię kochamy, dobrze?

– Nie – odpowiadam. – Nie jest dobrze. Za kija nie jest dobrze.

Ale Cillian, jak zwykle, nie słucha. Wstaje i mówi do Bena:

– Idź, biegnij, ja ich tu zatrzymam na tak długo, jak się da.

– Wrócę inną drogą – odpowiada Ben. – Zobaczę, czy uda mi się sprawić, żeby zgubili trop.

Wymieniają długi uścisk dłoni, po czym Ben spogląda na mnie i mówi:  
– Chodź.

A gdy wyprowadza mnie siłą z pokoju, kierując się do tylnych drzwi, widzę, jak Cillian znowu podnosi strzelbę, po czym spogląda w górę, na mnie, napotyka moje spojrzenie i jest w nim coś takiego, na jego twarzy i w jego Szumie wypisane jest coś, co mówi mi, że to pożegnanie znaczy jeszcze więcej niż mi się zdaje, że to koniec, to ostatni raz, kiedy Cillian spodziewa się mnie zobaczyć, i otwieram usta, by coś powiedzieć, ale wtedy drzwi się zamykają i już go nie ma.

## 5

# Rzeczy, które wiesz

– Doprowadzę cię do rzeki – mówi Ben, gdy idziemy śpiesznie przez nasze pola po raz drugi tego ranka. – Możesz pójść wzdłuż niej aż do miejsca, gdzie rozlewa się w bagna.

– Tam nie ma żadnej ścieżki, Ben – odpowiadam – i wszędzie są kroksy. Chcesz mnie mieć na sumieniu?

Spogląda na mnie, oczy ma całkiem spokojne, ale nawet na moment nie zwalnia kroku.

– Nie ma innej drogi, Todd.

– Kroksy! Bagna! Cicho! Kupa! – szczeka Manczi.

Przestałem już się dopytywać, co jest grane, bo nikt nie uważa za stosowne czegokolwiek mi wyjaśnić, więc po prostu idziemy prędko, mijając owce, które nadal nie są w zagrodach i może już nigdy tam nie trafią. – Owce! – mówią, patrząc na nas, gdy przechodzimy obok. Idziemy dalej, obok głównej stodoły, wzdłuż jednego z dużych kanałów nawadniających, a potem skręcamy i idziemy wzdłuż mniejszego, zmierzając tam, gdzie zaczyna się dzika roślinność, co mniej więcej równa się granicy reszty całej tej pustej planety.

Ben nie puszcza pary z ust aż do momentu, gdy docieramy do linii drzew.

– W plecaku masz dość prowiantu, żeby ci starczyło na jakiś czas, ale powinieneś go oszczędzać, jak długo się da, jedząc takie owoce, jakie znajdziesz, oraz wszystko, co ci się uda upolować.

– Na jak długo będzie musiał mi starczyć? – pytam. – Kiedy będę mógł wrócić?

Ben przystaje. Dopiero co minęliśmy drzewa. Od rzeki dzieli nas trzydzieści metrów, ale już ją słychać, bo to ten odcinek, gdzie woda zaczyna z szumem spływać w dół zbocza, zanim natrafi na bagno.



Nagle zdaje się, że to najbardziej opuszczone miejsce na całym szerokim świecie.

– Już tu nie wrócisz, Todd – mówi cicho Ben. – Nie możesz.

– Dlaczego nie? – pytam, a mój głos brzmi tak, jakby kociak miauczał, ale nie jestem w stanie nic na to poradzić. – Co ja takiego zrobiłem, Ben?

Ben podchodzi do mnie.

– Nic nie zrobiłeś, Todd. Nie zrobiłeś zupełnie nic.

– Przytula mnie naprawdę mocno i czuję, jak coś znów mnie dławi w piersi i jestem tak strasznie ogłupiały, przestraszony i zagniewany. Kiedy dziś rano wstawałem z łóżka, wszystko na świecie było tak jak zawsze, a teraz Ben i Cillian wysyłają mnie nie wiedzieć dokąd, zachowują się tak, jakbym umierał i to niesprawiedliwe, i nie wiem, czemu to niesprawiedliwe, ale to niesprawiedliwe i kropka.

– Wiem, że to niesprawiedliwe – powiada Ben, odsuwając się i spoglądając mi bystro w twarz. – Ale jest wytłumaczenie. – Okręca mnie, otwiera mój plecak i czuję, jak wyjmuje coś ze środka.

Notes.

Spoglądam na niego, po czym odwracam wzrok.

– Wiesz, że nie umiem za dobrze czytać, Ben – mówię zawstydzony, jak głupek.

On nieco się pochyla, tak, abyśmy znaleźli się twarzą w twarz. Jego Szum ani trochę mnie nie uspokaja.

– Wiem – odpowiada, jakoś tak łagodnie. – Ciągle planowałem, że spróbuję poświęcić więcej czasu na... – Urywa. Ponownie wyciąga rękę z notesem. – Należał do twojej mamy – mówi. – To jej pamiętnik. Zaczęła go pisać w dniu twoich narodzin, Todd. – Spogląda w dół, na okładkę. – I pisała go aż do dnia swojej śmierci.

Mój Szum otwiera się szeroko. Moja mama. Pamiętnik mojej mamy. Ben przejeżdża dłonią po okładce.

– Obiecaliśmy jej, że będziemy cię chronić – mówi. – Obiecaliśmy jej, a potem musieliśmy to wyrzucić z pamięci, żeby w naszym Szumie nie było nic, ale to nic, co pozwoliłoby komukolwiek się dowiedzieć, co zamierzamy zrobić.

– Wliczając w to mnie – mówię.

– Wliczając ciebie. Gdyby choć odrobina przedostała się do twojego Szumu i rozniosłoby się to po osadzie...

Nie kończy.

– Tak jak cisza, na którą dziś natrafiłem na bagnie – mówię. – Tak, jak to się rozniosło po osadzie i wywołało ten cały bajzel.

– Nie, to była niespodzianka. – Spogląda w górę, w niebo, jakby i niebu mówił, jak kompletnie go to zaskoczyło. – Nikomu przez myśl nie przeszło, że do tego dojdzie.

– To jest *niebezpieczne*, Ben, czułem.

Ale on tylko znowu wyciąga notes w moją stronę.

Zaczynam kręcić głową.

– Ben...

– Wiem, Todd – odpowiada – ale postaraj się.

– Nie, Ben...

Znów spogląda mi w oczy. Świdruje mnie spojrzeniem.

– Czy mi ufasz, Toddzie Hewitt?

Drapię się w bok. Nie wiem, co na to rzec.

– Jasne, że tak – odpowiadam – a w każdym razie *ufałem*, dopóki nie zacząłeś pakować dla mnie plecaków, nie mówiąc mi o tym.

Spogląda na mnie jeszcze przenikliwiej, jego Szum jest teraz skoncentrowany niczym promień słońca.

– Czy mi ufasz? – pyta ponownie.

Patrzę na niego, i tak, odpowiedź brzmi „tak”, nawet teraz.

– Ufam ci, Ben.

– W takim razie uwierz mi na słowo, że rzeczy, które teraz wiesz, Todd, te rzeczy nie są prawdą.

– Które rzeczy? – pytam, podnosząc z lekka głos. – Czemu nie możesz mi po prostu powiedzieć?

– Bo wiedza jest niebezpieczna – odpowiada Ben. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak poważnego, a gdy zaglądam w jego Szum, żeby sprawdzić, co ukrywa, jego Szum wzbiera z rykiem, odpędzając mnie. – Gdybym ci teraz powiedział, brzęczałoby to w tobie głośniejszym niżli ul

podczas podbierania miodu, a burmistrz Prentiss znalazłby cię w try miga. A ty musisz stąd uciec. Musisz uciec tak daleko, jak zdołasz.

– Ale dokąd? – pytam. – *Nie ma żadnego innego miejsca!*

Ben bierze głęboki oddech.

– Jest – odpowiada. – Jest inne miejsce.

Nie odzywam się na to ani słowem.

– W notesie, złożona z przodu – mówi Ben – jest mapa. Sam ją narysowałem, ale *nie zaglądaj do niej* do czasu, aż znajdziesz się daleko poza osadą, dobra? Po prostu idź na bagna. Jak już tam dotrzesz, będziesz wiedział, co dalej robić.

Ale jego Szum mówi mi wyraźnie, że Ben wcale nie jest przekonany, czy będę wiedział, co dalej robić.

– Ani co tam zastanę, co nie?

Nie odpowiada na to ani słowem.

A ja myślę.

– Skąd żeście wiedzieli, że trzeba mi spakować plecak? – pytam, cofając się o krok. – Jeśli to coś na bagnach pojawiło się tak niespodziewanie, jakim cudem jesteś przygotowany na to, żeby mnie dzisiaj wykopać w dzicz?

– Taki był plan od zawsze, odkąd byłeś małym dzieckiem. – Widzę, jak przełyka, słyszę jego smutek wszędzie wokół. – Że gdy tylko urośniesz na tyle duży, żeby sam dać sobie radę...

– Zamierzaliście mnie po prostu wyrzucić z domu, żeby krokusy mogły mnie zeżreć. – Cofam się jeszcze bardziej.

– Nie, Todd... – Ben daje krok do przodu, nadal z notesem w rękę. Znow się cofam. On gestem sygnalizuje jakby „no dobra”.

A potem zamyka oczy i otwiera przede mną swój Szum.

Za miesiąc – to pierwsze, co słyszę.

I oto nadchodzą moje urodziny...

Dzień, w którym stanę się mężczyzną...

I...

I...

I wszystko tam jest...

Co się dzieje...

Co zrobili pozostali chłopcy, ci, którzy stali się mężczyznami...

Całkiem sami...

Zupełnie na własną rękę...

Jak zabija się całą chłopięcość, aż do ostatka...

I...

I...

I co tak naprawdę stało się z ludźmi, którzy...

O jasny szlag...

I nie chcę nic więcej mówić na ten temat.

I w ogóle nie potrafię opisać, jak się teraz czuję.

Spoglądam na Bena, który teraz jest innym człowiekiem niż zawsze był, innym niż ten, którego zawsze znałem. Wiedza jest niebezpieczna.

– To dlatego nikt ci nie mówi – powiada. – Żebyś nie uciekł.

– Nie ochronilibyście mnie? – pytam, znów miauczając (zamknijcie się).

– Teraz właśnie cię chronimy, Todd – mówi Ben. – Umożliwiając ci ucieczkę. Musieliśmy mieć pewność, że przeżyjesz pozostawiony sam sobie, dlatego właśnie nauczyliśmy cię tych wszystkich rzeczy. A teraz, Todd, musisz iść...

– Jeśli to ma się stać za miesiąc, czemu czekaliście tak długo? Nie mogliście mnie zabrać wcześniej?

– Nie możemy z tobą pójść. W tym cały problem. I nie potrafiliśmy znieść myśli, że mielibyśmy cię wyprawić samego w drogę. Patrząc, jak odchodzisz. Nie, dopóki byłeś mały. – Znów pociera palcami okładkę notesu. – I mieliśmy nadzieję, że może zdarzy się cud. Że nie będziemy musieli...

*Nie będziemy musieli cię stracić* – dopowiada jego Szum.

– Ale nie zdarzył się żaden cud – mówię po chwili.

Ben kręci głową. Wyciąga notes.

– Tak mi przykro – mówi. – Tak mi przykro, że to się musi odbyć w ten sposób.

I w jego Szumie jest tyle autentycznego żalu, tyle niepokoju i napięcia, że wiem już, że mówi prawdę, wiem, że nie może nic poradzić na to, co

się dzieje. Czuję się wściekły i nieszczęśliwy, ale biorę od niego notes i zawijam z powrotem w plastikowy worek, a potem wkładam do plecaka. Nie mówimy już nic więcej. Co tu więcej powiedzieć?

Wszystko i nic. Nie możesz powiedzieć wszystkiego, więc nie mówisz nic.

Ben znów przyciąga mnie do siebie, tak że uderzam wargą o jego kołnierz jak o kołnierz Cilliana, ale tym razem się nie wyrrywam.

– Zawsze pamiętaj – mówi – kiedy zmarła twoja mama, stałeś się naszym synem. Ja cię kocham i Cillian cię kocha, zawsze tak było i zawsze będzie.

Zaczynam mówić: „Nie chcę odchodzić”, ale nie udaje mi się powiedzieć ani słowa.

Bo właśnie wtedy rozlega się najgłośniejsze BACH!!! jakie kiedykolwiek słyszałem w Prentisstown, jakby coś wybuchło, wyleciało w powietrze aż do samiutkiego nieba.

I ten huk może dochodzić tylko z naszej farmy.

Ben prędko mnie puszcza. Nic nie mówi, ale jego Szum wrzeszczy wniebogłosy: **Cillian!**

– Wrócę z tobą – mówię. – Pomogę wam walczyć.

– Nie! – krzyczy Ben. – Musisz uciekać. Obiecuj mi to. Idź przez bagna i uciekaj stąd.

Przez sekundę nic nie mówię.

– Obiecuj mi – powtarza Ben i tym razem jest to rozkaz.

– Obiecuj! – szczeka Manczi i nawet w jego szczeknięciu słychać strach.

– Obiecuję – odpowiadam.

Ben sięga za plecy i odpina coś. Rusza tym przez sekundę czy dwie, żeby się odczepiło, po czym podaje mi. To jego nóż myśliwski, ten wielki, potężny, z kościaną rękojeścią i zębatym ostrzem, które przetnie praktycznie wszystko na świecie. Nóż, który miałem nadzieję dostać na te urodziny, kiedy stanę się mężczyzną. Jest nadal zamocowany na pasku, więc mogę go założyć.

– Weź go – mówi Ben. – Weź go ze sobą na bagna. Może ci się

przydać.

– Ja nigdy nie walczyłem ze Szpakłami, Ben.

Nadal trzyma nóż wyciągnięty w moją stronę, więc biorę go. Od strony farmy słychać kolejne BACH. Ben spogląda w tamtą stronę, a potem na mnie.

– Leć. Wzdłuż rzeki na bagna i dalej. Biegnij tak szybko jak tylko zdołasz i nie waż się wracać, Toddzie Hewitt. – Ujmuje mnie za ramię i ściska mocno. – Jeśli będę mógł cię odnaleźć, to cię odnajdę, przysięgam – dodaje. – Ale teraz biegnij, Todd. Tak, jak obiecałeś.

Koniec. To jest pożegnanie. Pożegnanie, którego nie chciałem.

– Ben...

– Leć! – krzyczy, a potem rusza pędem; w biegu raz ogląda się do tyłu, a potem już gna co tchu z powrotem ku farmie, gdzie właśnie zaczął się koniec świata.

## Nóż w moim ręku

– Chodź, Manczi – mówię, odwracając się, by biec, choć każda cząstka mnie chce się rzucić za Benem, który biegnie z powrotem przez pola inną drogą, tak jak zapowiedział, żeby zmylić każdego, kto szukałby Szumu.

Przystaję na sekundę, słysząc od strony domu serię cichszych huków – to muszą być wystrzały – i myślę o strzelbie, którą Cillian odebrał panu Prentissowi juniorowi, o wszystkich strzelbach, które burmistrz Prentiss oraz jego ludzie trzymają pod kluczem w mieście, i o tym, że cała ta broń przeciwko skradzionej strzelbie Cilliana oraz kilku innym, które mamy w domu oznacza, że walka nie będzie za długa. To każe mi się zastanawiać, czym były te głośniejsze huki, i zgaduję, że przypuszczalnie to Cillian wysadził generatory, żeby zdezorientować napastników i sprawić, aby Szum wszystkich stał się tak głośny, żeby nie byli w stanie usłyszeć mojego, który tu, w oddali, jest cichy jak szept.

Wszystko po to, żebym mógł uciec.

– Chodź, Manczi – mówię raz jeszcze, a potem biegiem pokonujemy ostatnich kilka metrów, które nas dzielą od rzeki. Potem skręcamy w prawo i podążamy zgodnie z kierunkiem jej biegu, w dolinę, trzymając się z dala od trzcin rosnących nad samą wodą.

Trzciny, gdzie żyją krokusy

Wyciągam nóż z pochwy i trzymam go w dłoni, gdy tak śpieszymy naprzód.

– Co dzieje, Todd? – szczeka raz po raz Manczi; to jego sposób pytania, co się dzieje.

– Nie wiem, Manczi. Zamknij się, żebym mógł myśleć.

Plecak obija mi się o plecy, gdy biegniemy, ale wytrwale pędzimy naprzód, przedzierając się przez zarośla i przeskakując przez zwalone

pnie.

Wróć. Oto, co zrobię. Wróć. Powiedzieli, że będę wiedział, co zrobić, a teraz wiem. Pójdę na bagna i zabiję Szpakla, jeśli zdołam, a potem wrócę i pomogę Cillianowi oraz Benowi, a wtedy wszyscy będziemy mogli uciec do tego innego miejsca, o którym mówił Ben.

Tak, to właśnie zrobię.

– Obiecał, Todd – odzywa się Manczi, a w jego głosie znać niepokój, w miarę jak wzniesienie terenu, wzdłuż którego podążamy, coraz bardziej zbliża się do trzcin.

– Zamknij się – odpowiadam. – Obiecałem, że będę uciekał, ale może ucieczka oznacza, że najpierw trzeba wrócić.

– Todd? – pyta Manczi, i ja również w to nie wierzę.

Jesteśmy już tak daleko od farmy, że nie dolatują stamtąd żadne dźwięki, a rzeka zakręca nieco na wschód, nim dotrze do górnej części bagien, więc podążając wzdłuż niej, oddalamy się też od osady, i minutę później nic nas nie goni, gdy tak biegniemy, słychać tylko mój Szum, Szum Mancziego oraz płynącą szybko rzekę, która jest akurat wystarczająco głośna, żeby zagłuszyć Szum polującego krokosa. Ben powiada, że to „ewolusja” czy jakoś tak, ale żeby o tym nie myśleć za dużo przy Aaronie.

Oddycham ciężko, a Manczi dyszy tak, jakby miał zaraz kipnąć, ale nie zatrzymujemy się. Słońce już zachodzi, ale nadal jest całkiem jasno, na tyle jasno, że wszystko dobrze widać, łącznie z nami. Teren staje się bardziej płaski, zesliśmy już prawie na poziom rzeki, która zaczyna przechodzić w mokradła. Zrobiło się grząsko i spowalnia to nas. Wokół przybywa też trzcin, nie da się na to nic poradzić.

– Nasłuchuj, czy nie ma krokosów – mówię Mancziemu. Nadstawiaj ucha.

Bo nurt rzeki zwalnia i jeśli jesteś w stanie wystarczająco wyciszyć twój własny Szum, stąd możesz już pomału zacząć je słyszeć. Grunt stał się jeszcze bardziej podmokły. Teraz ledwo jesteśmy w stanie iść w przyzwoitym tempie, brodząc w błocku. Mocniej zaciskam w dłoni nóż i trzymam go przed sobą.



– Todd? – odzywa się Manczi.

– Słyszysz je? – szepczę, próbując równocześnie patrzeć, gdzie stawiam stopy, patrzeć na trzciny i uważać na Mancziego.

– Kroksy, Todd – powiada Manczi, najcichszym szczeknięciem, na jakie go stać.

Zatrzymuję się i nasłuchuję bacznie. I tam w trzcinach, w więcej niż jednym miejscu, słyszę je. **Mięso**, mówią. **Mięso i ucztą i ząb**.

– Szlag – mówię.

– Kroksy – powtarza Manczi.

– Chodź – mówię, po czym zaczynamy znowu brodzić, chlapiąc, bo teraz brniemy w błocku. Moje buty zapadają się przy każdym kroku, woda sięga powyżej nich, a jedyna droga prowadzi przez trzciny. Zaczynam machać nożem, próbując ścinać te, które mam przed sobą.

Spoglądam przed siebie i widzę, dokąd zmierzamy – pod górę i w prawo. Minęliśmy już osadę i teraz idziemy przez tę połać terenu, gdzie nieużytki za szkołą obniżają się i dochodzą do bagien, a jeśli przebrniemy przez ten tu podmokły kawałek, dotrzemy na bezpieczny grunt i będziemy mogli wejść na którąś ze ścieżek prowadzących w ciemność bagien.

Czy naprawdę to dzisiaj rano byłem tu ostatnio?

– Pośpiesz się, Manczi – mówię. – Już prawie dochodzimy.

**Mięso i ucztą i ząb** i przysięgam, że te głosy się przybliżają.

– No chodź!

**Mięso.**

– Todd?

Ciacham nożem trzciny i z trudem wyciągam nogi z błota i **mięso i ucztą i ZĄB**.

A potem słyszę: **Młyniecki pies... I** wiem, że już po nas.

– Uciekaj! – wrzeszczę.

I uciekamy. Manczi skamle przerażony i mija mnie długim susem, ale widzę, że z trzciny przed nim nagle wyłania się kroks i skacze na niego, ale Manczi jest tak spanikowany, że skacze jeszcze wyżej, wyżej niż tak naprawdę potrafi, więc zęby kroksa natrafiają tylko na puste powietrze i

stwór łąduje z głośnym chłapnięciem tuż obok mnie, cholernie wkurzony. Słyszę, jak jego Szum syczy: **młyniecki chłopak** i biegnę, a on rzuca się na mnie, więc kompletnie nie myśląc odwracam się wyrzucając dłoń w górę, a kroks zwala się na mnie całym ciężarem. Paszczę ma otwartą, pazury wysunięte i błyska mi myśl, że już nie żyję, i rozpaczliwie usiłuję się wygramolić z błocka wyżej, na suchy grunt, a kroks na tylnych łapach wyłazi za mną z trzciny, ja wrzeszczę, Manczi szczeka jak opętany, aż po dobrej minucie dociera do mnie, że kroks już wcale mnie nie goni, że jest martwy, że mój nowy nóż przebił mu łeb na wylot, a kroks rzuca się tylko dlatego, że ja się nadal rzucam. Strząsam z noża jego zwłoki, kroks pada na ziemię i ja też jakoś tak się osuwam z czystej radości, że nadal żyję.

A kiedy łapię ciężko powietrze, uspokajając szalejącą krew, a Manczi szczeka i szczeka, i obaj śmiejemy się z ulgą, nagle dociera do mnie, że zachowywaliśmy się zbyt głośno, aby usłyszeć coś ważnego.

– Wybierasz się dokąds, młody Toddzie?

To Aaron. Stoi tuż nade mną.

Zanim mogę cokolwiek zrobić, wali mnie pięścią w twarz.

Padam do tyłu na ziemię, łądując niezgrabnie na plecaku jak żółw wywrócony na grzbiet. Mój policzek i oko aż wyją z bólu i nim udaje mi się choćby poruszyć, Aaron już łapie mnie za przód koszuli oraz skórę pod spodem i stawia na nogi. Wrzeszczę z bólu.

Manczi szczeka gniewnie: – Aaron! – i rzuca się ku nogom Aarona, ale Aaron, nawet się nie oglądając, solidnym kopniakiem usuwa go z drogi.

Aaron trzyma mnie tak, żebym mu spoglądał prosto w twarz. Jestem w stanie na niego patrzeć tylko jednym okiem, tym, które nie boli.

– A co ty, na wspaniałe dzieło Stwórcy, porabiasz tu na bagnach, Toddzie Hewitt? – pyta. Jego oddech cuchnie mięsem, a jego Szum jest tak przerażająco szalony, że nigdy nie chcielibyście tego słyszeć. – Powinieneś teraz być na farmie, chłopcze.

Wolną ręką wymierza mi cios w żołądek. Próbuję się zgiąć wpół z bólu, ale on nadal trzyma mnie za koszulę z przodu i skórę pod spodem.

– Musisz wrócić – powiada. – Są rzeczy, które musisz zobaczyć.

Z trudem łapię oddech, ale sposób, w jaki to mówi, przykuwa moją uwagę i niektóre z przebłysków, które wyłapuję z jego Szumu, pozwalają mi zobaczyć kawałeczek prawdy.

– Ty ich wysłałeś – mówię. – To nie mnie usłyszeli. To ciebie.

– Ze sprytnych chłopców rosną bezużyteczni mężczyźni – odpowiada Aaron, przekręcając rękę, która mnie trzyma.

Krzyczę z bólu, ale nie daję, kuźwa, za wygraną.

– Nie usłyszeli o ciszy w moim Szumie. Usłyszeli o niej w twoim Szumie, a ty ich wysłałeś po mnie, żeby nie ruszyli po ciebie.

– O nie, Todd – odpowiada. – Usłyszeli o niej w twoim Szumie. Ja tylko o to *zadbałem*. Dołożyłem starań, by mieli świadomość, kto odpowiada za ściągnięcie zagrożenia na naszą osadę. – Szczerzy zacisnięte zęby w dzikim uśmiechu za gęstwiną brody. – Oraz kto powinien zostać nagrodzony za swoje wysiłki.

– Odbiła ci szajba – mówię, i matko, jest to stuprocentowa prawda i matko, ależ bym chciał, żeby tak nie było.

Jego uśmiech znika, a zęby zaciskają się jeszcze mocniej.

– Źródło ciszy jest moje, Todd – mówi. – Moje.

Nie wiem, co to znaczy, ale nie zastanawiam się nad tym, bo nagle dociera do mnie, że obaj z Aaronem zapomnieliśmy o czymś ważnym.

Nie wypuściłem z ręki noża.

I w jednej chwili dzieje się mnóstwo rzeczy.

Aaron słyszy w moim Szumie słowo „nóż” i załapuje swoją pomyłkę. Bierze zamach wolną pięścią, żeby znów mnie rąbnąć.

Ja zamierzam się nożem, niepewny, czy będę w stanie mu zadać cios.

Z trzcin słychać odgłos łamanych łodyg, a Manczi szczeka:

– Kroks!

A równocześnie słyszymy: **młyniecki mężczyzna**.

Nim Aaron zdąży się odwrócić, kroks już na niego skacze, wgryza się zębami w jego ramię, łapie go szponami i wlecze z powrotem w kierunku trzcin. Aaron puszcza mnie i znowu padam na ziemię, odruchowo macając wszystkie sińce, jakie mi pozostawił na piersi. Podnoszę wzrok i widzę, że Aaron miota się teraz w błocie, walcząc z kroksem, a płetwy

grzbietowe pozostałych kroków zmierzają ku niemu.

– Wynośmy się! – szczeka, niemal wrzeszczy Manczi.

– Święta cholerna racja – odpowiadam i chwycenie dźwigam się na nogi. Plecak trochę mi utrudnia utrzymanie równowagi, daremnie usiłuję rozkleić podbite oko, ale nie zatrzymujemy się, tylko biegniemy i biegniemy i biegniemy.

Wydostajemy się z mokradeł i uciekamy brzegiem pól aż do miejsca, gdzie zaczyna się bagienna ścieżka, po czym wbiegamy nią na bagna, a gdy docieramy do tej kłody, przez którą Mancziego zawsze trzeba przenieść, on nawet nie przystaje, tylko z rozpędu przeskakuje nad nią, a ja gnam zaraz za nim i biegniemy w kierunku szpackich budynków, tak jak dziś rano.

A nóż nadal trzymam w ręku. Mój Szum łomocze tak głośno, jestem tak przerażony, obolały i wściekły, że jedno wiem ponad wszelką wątpliwość. Znajdę tego Szpackla, który się ukrywa w swojej dziurze w Szumie i zabiję go na śmierć śmierć śmierć za to wszystko, co się dzisiaj stało.

– Gdzie jest to coś? – pytam Mancziego. – Gdzie jest cicho?

Manczi węszy jak wariat, biegając od chaty do chaty, a ja usiłuję wyciszyć mój Szum, ale zdaje się, że nie ma na to szans.

– Pośpiesz się! – mówię. – Zanim ucieknie...

I zaraz potem znów to słyszę. Wyrwę w Szumie, tak wielką i straszną jak samo życie. Słyszę ją kawałek dalej, za szpackimi chatami, za krzakami.

Tym razem nam nie zwieje.

– Cicho! – szczeka Manczi, cały nakręcony, po czym przebiega obok chat i wpada w krzaki.

A cisza też się porusza, i choć znów czuję ucisk w piersi i okropny żal gryzie mnie w oczy, tym razem się nie zatrzymuję, tym razem biegnę za psem i się nie zatrzymuję, tylko wciągam oddech i przetykam, żeby się pozbyć ucisku, i ścieram wilgoć z oczu, ściskam w ręku nóż i słyszę, jak Manczi szczeka, słyszę ciszę i to jest zaraz za tym drzewem zaraz za tym drzewem zaraz za tym drzewem i krzyczę i wpadam za drzewo i

biegnę w stronę ciszy i twarz wykrzywia mi grymas i wrzeszczę i Manczi szczeka i...

I staję.

Staję w miejscu jak wryty.

Nie opuszczam, absolutnie *nie opuszczam* noża.

Oto jest, spogląda na nas, oddychając ciężko, skulone u stóp drzewa, cofając się przed Manczim, jego oczy mówią, że praktycznie umiera ze strachu, ale ręce i tak ma uniesione w żalosnej parodii groźby.

A ja po prostu stoję. Trzymam nóż.

– Szpakiel! – szczeka Manczi, choć ma zbyt wielkiego cykora, żeby teraz zaatakować, kiedy widzi, że ja się waham.

Szpakiel! Szpakiel! Szpakiel!

– Zamknij się, Manczi – mówię.

– Szpakiel!

– Powiedziałem, *zamknij się!* – krzyczę i to go ucisza.

– Szpakiel? – pyta Manczi, teraz niepewny, co jest grane.

Przełykam ślinę, próbując się pozbyć ucisku w gardle, niewiarygodnego smutku, który napływa wciąż i wciąż, gdy na to patrzę, a ono patrzy na mnie. Wiedza jest niebezpieczna, mężczyźni kłamią, a świat wciąż się zmienia, czy tego chcę, czy nie.

Bo to nie żaden Szpakiel.

– To dziewczyna – mówię.

To dziewczyna.

# CZĘŚĆ 2

## Gdyby dziewczyny żyły

– To dziewczyna – mówię znowu. Nadal łapię oddech, nadal czuję ucisk w piersi, zdecydowanie nadal trzymam nóż daleko przed sobą.

To coś to dziewczyna.

Patrzy na nas tak, jakbyśmy mieli je zabić. Kuli się zwinięte w kłębek, próbując się zrobić tak małe jak się da, odwracając wzrok od Mancziego tylko po to, żeby szybko zerkać na mnie. Na mnie i na mój nóż.

Manczi dyszy i sapie, sierść na grzbiecie ma całą zjeżoną i podskakuje, jakby ziemia go parzyła w łapy. Wydaje się równie spięty i ogłupiały, jak ja się czuję, i nie ma ludzkiej mocy, żeby miał się zdobyć na jakąkolwiek namiastkę opanowania.

– Co dziewczyna? – szczeka. – Co dziewczyna?

W tłumaczeniu: „Co to takiego dziewczyna?”

– Co dziewczyna? – szczeka znowu Manczi, a kiedy to coś spina się tak, jakby miało zaraz skoczyć do tyłu przez wielki korzeń, przy którym się kuli, szczekanie Mancziego zmienia się we wściekłe warczenie: – Stój, stój, stój, stój, stój, stój, stój, stój...

– Dobry pies – mówię, choć nie wiem, czemu właściwie to, co on robi, miałoby być dobre, ale co innego mógłbym powiedzieć? To się wydaje bez sensu, całkiem bez sensu, i czuję się tak, jakby wszystko zaczynało się osuwać, jakby świat był przechylonym stołem, z którego wszystko zaczyna spadać.

Jestem Todd Hewitt – myślę, ale kto wie, czy nawet to jest nadal prawdą?

– Kim jesteś? – pytam w końcu, choć nie wiem, czy ono mnie w ogóle słyszy, podczas gdy mój Szum huczy wniebogłosy, a Manczi histeryzuje.  
– Kim jesteś? – pytam ponownie, głośniej i wyraźniej. – Co tu robisz? Skąd pochodzisz?

Ono wreszcie spogląda na mnie dłużej niż przez sekundę, odwracając wzrok od Mancziego. Patrzy na mój nóż, a potem na moją twarz ponad nożem.

Ona na mnie patrzy.

Ona patrzy.

Ona.

Wiem, co to takiego dziewczyna. Jasne, że wiem. Widywałem je w Szumie ich ojców w osadzie, opłakiwane tak, jak ich żony, ale dużo rzadziej. Widywałem je też na widach. Dziewczyny są małe i grzeczne i uśmiechnięte. Noszą sukienki i mają długie włosy i te włosy są ściągnięte w różne kształty z tyłu głowy albo po bokach. Wykonują wszystkie prace wewnątrz domu, podczas gdy chłopcy wykonują te na zewnątrz. Stają się kobietami, gdy skończą trzynaście lat, tak jak chłopcy stają się mężczyznami, a potem mężczyźni się z nimi żenią.

Tak działa Nowy Świat, a w każdym razie tak działa Prentisstown. Działo. Miało działać, ale nie ma już dziewczyn. Wszystkie poumierały, tak jak ich matki, ich babcie, ich siostry i ich ciotki. Umarły w ciągu miesięcy po tym, jak się urodziłem. Wszystkie, co do jednej.

Ale tu przede mną jest dziewczyna.

I jego włosy nie są długie. Jej włosy. Jej włosy nie są długie. I nie ma na sobie żadnej sukienki, nosi ubranie, które wygląda jak dużo nowsza wersja mojego, tak nowe, że prawie przypomina mundur, choć jest porwane i zabłocone, I nie jest wcale taka mała. Zdaje się, że jest z grubsza mojego wzrostu, i w ogóle się nie uśmiecha.

Nie, za cholerę się nie uśmiecha.

– Szpakiel? – szceka cicho Manczi.

– Czy ty się do kuźwy nędzy wreszcie zamkniesz? – pytam. No więc skąd wiem? Skąd wiem, że to dziewczyna?

Cóż, przede wszystkim to nie żaden Szpakiel. Szpakiły wyglądały jak ludzie, tylko wszystko miały jakby spuchnięte, trochę dłuższe i dziwniejsze niż u człowieka, z ustami trochę wyżej niż powinny być, a uszy i oczy miały zupełnie, zupełnie inne od ludzkich. I szpakusy hodowały ubrania wprost na ciele, jak porosty, które można było



przycinać do takiego kształtu, jakiego się akurat potrzebowało. Efekt życia na bagnach, zgodnie z kolejnym zgadywanio-domysłem Bena, a ona tak nie wygląda i jej ubranie jest normalne, no więc nie ma ludzkiej mocy, żeby była Szpakiem.

A po drugie, po prostu wiem. Wiem i już. Nie powiem wam, jakim sposobem, ale patrzę, widzę i po prostu wiem. Ona nie wygląda jak te dziewczyny, co je widywałem na widach albo w Szumie, no i nigdy nie widziałem żywej dziewczyny, ale stoi tam, jest dziewczyną i tyle. Nie pytajcie mnie. Coś w jej kształcie, coś w jej zapachu, nie wiem co, ale tak jest i ona jest dziewczyną.

Gdyby dziewczyny żyły, to tym właśnie by była.

I nie jest innym chłopcem. Po prostu nie. Nie jest mną. Zupełnie nie przypomina mnie. Jest czymś kompletnie, ale to kompletnie innym i nie wiem, skąd to wiem, ale wiem, kim jestem, jestem Todd Hewitt i wiem, kim nie jestem, to znaczy nie jestem nią.

A ona patrzy na mnie. Patrzy na moją twarz, w moje oczy. Patrzy i patrzy.

I nie słyszę nic.

O ludzie. Moja pierś. Tak, jakbym leciał w przepaść.

– Kim jesteś? – pytam znowu, ale mój głos się łamie, załamuje się, jakbym miał płakać (cicho bądźcie). Zaciskam zęby i robię się ciut bardziej wściekły i powtarzam to jeszcze raz. – Kim jesteś? – I wyciągam nóż nieco dalej do przodu. Drugą ręką muszę szybko wytrzeć oczy.

Coś musi się wydarzyć. Ktoś musi się ruszyć. Ktoś musi coś zrobić.

I nadal nie ma tu nikogo prócz mnie, bez względu na to, co się dzieje ze światem.

– Umiesz mówić? – pytam.

Ona tylko na mnie patrzy.

– Cicho – szczeka Manczi.

– Stul pysk, Manczi – mówię. – Muszę pomyśleć.

A ona nadal tylko na mnie patrzy. Bez żadnego Szumu.

Co mam robić? To niesprawiedliwe. Ben mi powiedział, że jak dotrę na bagna, to już będę wiedział, co dalej, ale ja nie wiem, co dalej. Nic mi

nie mówili o żadnej dziewczynie, nic nie powiedzieli o tym, dlaczego cisza wywołuje we mnie taki ból, że ledwo mogę się, kurna, powstrzymać od płaczu, jakbym za czymś tęsknił tak strasznie, że nie jestem nawet w stanie jasno myśleć, jakby ta pustka nie była w niej, tylko we mnie i nie istniało nic, co kiedykolwiek zdoła ją wypełnić.

Co mam robić?

Co mam robić?

Zdaje się, że dziewczyna się uspokaja. Już nie trzęsie się tak jak wcześniej, nie podnosi rąk tak wysoko i nie wygląda, jakby chciała uciec przy pierwszej okazji, choć jak to poznać, kiedy ktoś nie ma w ogóle Szumu? Jak można w ogóle być osobą, nie posiadając Szumu?

I czy ona mnie słyszy? Czy słyszy? Czy osoba bez Szumu w ogóle jest w stanie go słyszeć?

Patrzę na nią i myślę, tak głośno i wyraźnie, jak tylko potrafię: Słyszysz mnie? Słyszysz?

Ale wyraz jej twarzy się nie zmienia, spojrzenie się nie zmienia.

– Dobra – mówię i daję krok do tyłu. – Dobra. Ty tam zostań, dobra? Po prostu zostań tam, gdzie jesteś.

Cofam się jeszcze o kilka kroków, ale nie odrywam od niej oczu, a ona nie odrywa oczu ode mnie. Opuszczam rękę z nożem i wysuwam ją spod jednego z pasków plecaka, a potem pozwalam plecakowi upaść na ziemię. Trzymam nóż w jednej ręce, a drugą rozpinam plecak i wyciągam notes.

Jest cięższy, niż można byłoby się spodziewać po czymś, co jest zrobione ze słów. I pachnie skórą. I są tam całe strony i strony zapisane pismem mojej...

To będzie musiało poczekać.

– Pilnuj jej, Manczi – mówię.

– Pilnuj! – odszczekuje mój pies.

Zaglądam za okładkę notesu, a tam, tak jak powiedział Ben, tkwi złożona kartka. Rozkładam ją. Po jednej stronie widnieje narysowana ręcznie mapa, a z tyłu napisano mnóstwo rzeczy, ale to jeden wielki blok literek i mój Szum nie jest teraz na tyle spokojny, żebym mógł choćby

spróbować je odczytać, więc tylko patrzę na mapę.

Nasz dom jest na samej górze, a osada zaraz niżej, zaś rzeka, wzdłuż której przyszliliśmy tu Manczi i ja, przebiega z jednej strony, dochodząc do bagna i to tam jesteśmy teraz. Ale to nie wszystko, co nie? Bagna ciągną się dalej, aż w końcu znów zmieniają się w rzekę, a wzdłuż jej brzegu biegną strzałki, więc Ben chce, żebyśmy to tam szli razem z Manczim. Wędruję palcem za tymi strzałkami, a one opuszczają bagna, biegną prosto do...

ŁUP!!! Świat na sekundę rozbłyskuje bielą, gdy coś wali mnie w bok głowy, prosto w to obolałe miejsce, gdzie mnie rąbnął Aaron. Przewracam się, ale padając, z rozmachem dźgam nożem w górę i słyszę cichy okrzyk bólu. Udaje mi się złapać równowagę w ostatniej chwili i przekręcam się tak, że siadam ciężko na ziemi, przyciskając bolącą głowę grzbietem tej dłoni, w której trzymam nóż, ale patrzę tam, skąd nastąpił atak, i tutaj dociera do mnie najpierwsza lekcja: jeśli coś nie ma Szumu, może się do ciebie niepostrzeżenie podkraść. Podkraść się tuż do ciebie tak, jakby go w ogóle nie było.

Dziewczyna też wylądowała na tyłku, siedzi na ziemi kawałek ode mnie, przyciskając dłoń do ramienia, a spomiędzy jej palców spływa krew. Zdążyła już upuścić kij, którym mnie walnęła, a jej twarz jest cała ściągnięta, pewno z bólu.

– PO COŚ TO ZROBIŁA, DO CHOLERY? – krzyczę, próbując obmacać twarz, ale nie za mocno. O ludzie, jak ja mam dzisiaj dość obrywania.

Dziewczyna tylko na mnie patrzy, czoło nadal ma zmarszczone, a drugą dłonią przyciska rozciętą rękę.

Która krwawi, że hej.

– Kij, Todd! – szczeka Manczi.

– A gdzie ty byłeś, niech cię szlag? – pytam go.

– Kupa, Todd.

Wydaję z siebie odgłos brzmiący jak „Agh!” i kopię w jego kierunku nieco ziemi. On odrzuca ją tylnymi łapami w moją stronę, po czym zaczyna obwąchiwać krzaki, jakby na świecie nie działało się nic niezwykłego. Psy umieją się skupić tylko na czas krótszy niż zapałka.

Debilne zwierzaki.

Teraz zaczyna się robić ciemno, słońce zaszło na dobre, mroczne bagna stały się jeszcze mroczniejsze, a ja nadal nie otrzymałem odpowiedzi. Czas wciąż płynie, a ja nie powinienem tu czekać ani nie powinienem wracać, i przede wszystkim *nie powinno tu być dziewczyny*.

Ludzie, to jej zranione ramię naprawdę krwawi.

– Hej – mówię. Mój głos jeszcze drży od napięcia. *Jestem Todd Hewitt – myślę. – Jestem prawie mężczyzną.* – Hej – mówię ponownie, próbując trochę się uspokoić.

Dziewczyna patrzy na mnie.

– Nie zrobię ci krzywdy – mówię, dysząc ciężko, tak jak ona. – Słyszysz mnie? Nie zrobię ci krzywdy. Pod warunkiem, że już nie będziesz próbowała mnie walić kijem, dobra?

Patrzy mi w oczy. Potem na nóż.

Czy rozumie?

Opuszczam nóż prawie do ziemi, ale nadal go trzymam. Wolną ręką znów zacznę grzebać w plecaku, aż znajduję medipak, który wrzucił tam Ben. Podnoszę go.

– Medipak – mówię. Jej mina się nie zmienia. – Me-di-pak – powtarzam wolniej. Wskazuję własne ramię, w tym miejscu, gdzie ona ma zranienie. – Krwawisz.

Nic.

Wzdycham i zaczynam wstawać. Dziewczyna wzdryga się i prędko odsuwa na pupie, ale ja tylko wzdycham znowu, tym razem ze złością.

– *Nie zrobię ci krzywdy.* – Podnoszę medipak. – To lek. Zatrzyma krwawienie.

Nadal nic. Może ona w ogóle nie ma niczego w głowie.

– Patrz – mówię, po czym otwieram medipak. Niezgrabnie grzebię w nim jedną ręką, aż wydobywam gazik przeciwko krwawieniom i zębami odrywam z niego papierowe opakowanie. Przypuszczalnie krwawię tam, gdzie najpierw walnął mnie Aaron, a potem dziewczyna, więc biorę gazik i pocieram nim powiekę oraz brew. Potem patrzę na niego i owszem, widać krew. Wyciągam gazik w kierunku dziewczyny, żeby

mogła zobaczyć.

– Widzisz? – Wskazuję moje oko. – Widzisz? Powstrzymuje krwawienie.

Daję krok do przodu, tylko jeden. Dziewczyna wzdryga się i cofa, ale mniej gwałtownie niż poprzednio. Daję jeszcze jeden krok, potem następny i już jestem przy niej. Nadal wpatruje się w nóż.

– Nie odłożę go, więc po prostu o nim zapomnij – mówię. Wyciągam gazik w stronę jej ramienia. – Nawet jeśli rana jest głęboka, to ją zaszyje, dobra? Próbuję ci pomóc.

– Todd? – szczeka pytająco Manczi.

– Za minutę – odpowiadam. – Zobacz, okropnie krwawisz, tak? A ja mam coś, co na to pomoże, dobra? Tylko nic już nie kombinuj z żadnymi cholernymi kijami.

Ona patrzy. I patrzy. I patrzy. Próbuję być spokojny, spokojniejszy niż się czuję. Nie wiem, czemu jej pomagam, zwłaszcza po tym, jak mi przywaliła w łeb, ale w ogóle nie wiem, co robić. Ben powiedział, że na bagnach znajdę odpowiedzi, a tu żadnych odpowiedzi nie ma, jest tylko ta dziewczyna, która krwawi, bo ją zraniłem, nawet jeśli sobie na to zasłużyła, a jeśli jestem w stanie zatrzymać krwawienie, może to podpada pod zrobienie czegoś.

Nie wiem. Nadal nie wiem, co robić, więc po prostu robię to.

Dziewczyna nadal na mnie patrzy, nadal oddycha ciężko. Ale nie ucieka ani nie wzdryga się, a potem leciutko, niemal niedostrzegalnie przekręca ramię w moją stronę, żebym mógł dosięgnąć rany.

– Todd? – szczeka znowu Manczi.

– Sza – odpowiadam, nie chcąc jeszcze bardziej przestraszyć dziewczyny. Kiedy jestem tak blisko niej, serce mało mi nie pęka od jej ciszy. Czuję się tak, jakby cisza ściągała mnie w otchłań bez dna, jakby wołała, żebym leciał, leciał i leciał.

Ale udaje mi się zachować zimną krew. Jakimś cudem. Zachowuję zimną krew i przyciskam gazik do ramienia dziewczyny, pocierając ranę, która jest dosyć głęboka, aż ta częściowo się zasklepia i przestaje krwawić.

– Musisz uważać – mówię. – To się tak naprawdę nie zrosło. Musisz uważać do czasu, aż twoje ciało załatwi resztę, dobra?

A ona tylko na mnie patrzy.

– Dobra – mówię, w równym stopniu do siebie co do kogokolwiek innego, bo teraz, kiedy tamto mamy już załatwione, co dalej?

– Todd? – szczeka Manczi. – Todd?

– I żadnych więcej kijów, dobra? – mówię do dziewczyny. – Nie próbuj więcej mnie bić.

– Todd? – To znowu Manczi.

– No tak, i na imię mam Todd.

I tam, w gasnącym świetle, czy widzę maleńki zaczątek kiełkującego uśmiechu? Czyżby?

– Czy ty... – mówię, zaglądając jej tak głęboko w oczy, jak pozwala mi ucisk w klatce piersiowej – czy ty mnie rozumiesz?

– Todd! – Szczekanie Mancziego staje się o ton głośniejsze.

Odwracam się do niego.

– Co?

– Todd! TODD!!!

I teraz już wszyscy to słyszymy. Łomot w krzakach i trzask łamanych gałęzi i biegnące kroki i Szum i Szum i och, szlag, Szum.

– Wstawaj – mówię do dziewczyny. – Wstawaj! Już!

Łapię mój plecak i zakładam go, a dziewczyna wygląda na przerażoną, ale strach tylko ją paraliżuje. Krzyczę do niej jeszcze raz: – Chodź! – i łapię ją za ramię, nie myśląc teraz o jej zranieniu, i próbuję ją dźwignąć na nogi, ale nagle jest już za późno, bo słychać wrzask, ryk i taki huk, jakby waliły się całe drzewa. Mnie i dziewczynie starczy czasu tylko na to, żeby się odwrócić i to Aaron i jest wściekły i zmasakrowany i pędzi prosto na nas.

## Co mówi nóż

Dopada do nas w trzech krokach. Zanim zdążyłem choćby spróbować uciec, rzuca się na mnie, wyciągając ręce, łapie mnie za gardło i przyciska plecami do drzewa.

– Ty mały GNOJU! – wrzeszczy i wciska mi kciuki w krtań. Rozpaczliwie próbuję się na niego zamachnąć nożem, ale plecak mi spadł, a pasek unieruchomił ramię, tak że Aaron może mnie swobodnie dusić tak długo, jak uzna za stosowne.

Jego twarz jest koszmarem, okropieństwem, którego nie przestanę mieć przed oczami nawet, jeśli wyjdę z tego żywy. Kroksy odgryzły mu lewe ucho, oddzierając przy tym długi pas skóry i mięsa biegnący wzdłuż lewego policzka. W ranie widać jego zęby, a lewe oko wyłazi do przodu, jakby jego głowa miała zaraz eksplodować. Na podbródku i szyi ma więcej ran, jego ubranie jest podarte, krew jest praktycznie wszędzie i widzę nawet ząb kroksa wystający z poszarpanego ciała na jego ramieniu.

Duszę się, próbując złapać oddech, ale nie udaje mi się i nie uwierzylibyście, jak to strasznie boli i świat zaczyna wirować, z moim mózgiem dzieje się coś dziwnego i błyska mi głupia myśl, że Aaron jednak nie przeżył ataku kroksów, że zginął, ale jest na mnie tak wkurzony, że nawet śmierć go nie powstrzymała przed przyjściem tu, żeby mnie zabić.

– Z CZEGO SIĘ ŚMIEJESZ?! – wrzeszczy, opryskując mi twarz kropelkami krwi, śliny i kawałeczkami ciała. Jeszcze mocniej zaciska mi ręce na gardle i czuję, że zaczynam wymiotować, ale wymiociny nie mają którędy się wydostać i nie mogę oddychać, światło i kolory zlewają się ze sobą i umieram, zaraz umrę.

– AACH! – Aaron nagle odskakuje w tył, puszczając mnie. Padam na

ziemię i rzygam jak kot, po czym łapię gigantyczny haust powietrza, który sprawia, że zaczynam kaszleć tak, jakbym nigdy nie miał przestać. Podnoszę wzrok i widzę, że Manczi wpił pysk w łydkę Aarona, gryząc go z całych sił.

*Dobry pies.*

Aaron ciosem ręki posyła Mancziego w krzaki. Słyszę głuchy odgłos uderzenia, skomlenie i okrzyk: – Todd?

Aaron znów odwraca się do mnie i nie mogę przestać się gapić na jego twarz, na wszystkie te rany, których nikt nie mógłby przeżyć, nikt, to niemożliwe.

Może on naprawdę nie żyje.

– Gdzie znak? – pyta, a wyraz jego zmasakrowanej twarzy błyskawicznie się zmienia. Rozgląda się w nagłej panice.

Znak?

Zna...

Dziewczyna.

Ja też się rozglądam. Nie ma jej.

Aaron obraca się gwałtownie to w jedną stronę, to w drugą, a potem widzę, że coś usłyszał w tym momencie co ja. Słyszymy szelesty i trzaski gałęzi oznaczające, że ona biegnie, słyszymy ciszę oddalającą się od nas, i nawet nie spojrzawszy na mnie, Aaron rusza za nią i już go nie ma.

Zostałem sam. Tak po prostu.

Tak po prostu, jakbym nie miał nic wspólnego z tym, co tu się dzieje.

Jaki to był durny dzień.

– Todd? – Manczi wyłazi z krzaków, kulejąc.

– Nic mi nie jest, stary. – Próbuję wykrztusić te słowa mimo kaszlu, choć to nieprawda. – Nic mi nie jest.

Próbuję oddychać pomiędzy napadami kaszlu, z czołem opartym o ziemię, przyskajac wszędzie śliną i rzygowinami.

Oddycham i nachodzą mnie myśli. Przychodzą nieproszone, obczajacie?

Bo może właśnie tu jest pies pogrzebany, co nie? Może wszystko mogłoby się zakończyć ot tak. Dziewczyna ewidentnie jest tym, czego



chce Aaron, bez względu na to, co ma na myśli, mówiąc „znak”, co nie? Dziewczyna ewidentnie jest tym, czego chce osada, sądząc po tym, jaką aferę zrobili o ciszę w moim Szumie. No więc jeśli Aaron ją sobie zabierze i osada ją sobie zabierze, to może być koniec wszystkiego, nie? Mogliby dostać to, czego chcą i zostawić mnie w spokoju i mógłbym wrócić i wszystko mogłoby być tak jak wcześniej i tak, pewnie nie skończyłoby się to dobrze dla dziewczyny, ale może ocaliłoby Bena i Cilliana.

Może ocaliłoby mnie.

Ja tylko tak myślę, co nie? Myśli napływają, to wszystko.

Myśli, że to wszystko mogłoby się skończyć równie szybko, jak się zaczęło.

– Skończyć – mamrocze Manczi.

A potem słyszę okropny, okropny krzyk oznaczający rzecz jasna, że dziewczyna została złapana, i decyzja już jest podjęta, nie?

Kolejny krzyk rozbrzmiewa sekundę później, ale ja już jestem na nogach, nawet się nad tym nie zastanawiając. Zsuwam plecak, pochylam się nieco, trochę kaszlę, chwytam oddech, ale nóż mam w rękę i biegnę.

Łatwo iść ich tropem. Aaron przedzierał się przez krzaki jak byk, jego Szum ryczy wniebogłosey i ciągle, ciągle, ciągle jest też cisza dziewczyny, nawet mimo jej krzyków, które jakby ją częściowo zagłuszają. Biegnę za nimi najszybciej jak potrafię, Manczi gna tuż za mną i nie mija nawet pół minuty, a jużemy ich doścignęli, tylko taki ze mnie geniusz, że nie mam zielonego pojęcia, co teraz. Aaron zagnał ją w małe rozlewisko wody sięgającej gdzieś do kostek i dorwał, przyciśniętą plecami do drzewa. Mocno trzyma ją za nadgarstki, lecz ona z nim walczy, walczy i kopie ile sił, ale na jej twarzy widać takie przerażenie, że ledwo jestem w stanie wydobyć z siebie głos.

– Zostaw ją! – chrypię, ale nikt mnie nie słyszy. Szum Aarona huczy tak głośno, że nie jestem przekonany, czy usłyszałby mnie nawet, gdybym wrzeszczał. NAJŚWIĘTSZY SAKRAMENT i ZNAK OD BOGA i DROGA DO ŚWIĘTOŚCI i obrazki przedstawiające dziewczynę w kościele, dziewczynę pijącą wino i jedzącą hostię, dziewczynę jako anioła.

Dziewczynę jako ofiarę.

Aaron łapie obie jej nadgarstki w jedną pięść, niezgrabnie ściąga sznur, którym przepasana jest jego szata, i zaczyna jej krępować ręce. Dziewczyna kopie go mocno w to miejsce, gdzie ugryzł go Manczi, a on wali ją w twarz grzbietem dłoni.

– Zostaw ją! – wołam ponownie, próbując podnieść głós.

– Zostaw! – szczeka Manczi, kulejący, ale nadal waleczny. Jaki to cholernie dobry pies.

Daję krok do przodu. Aaron stoi do mnie plecami, jakby w ogóle go nie obchodziło, że tam jestem, jakby w ogóle mnie nie uważał za zagrożenie.

– Puść ją! – próbuję krzyknąć, ale sprawia to tylko, że znów zaczynam kaszleć. I nadal nic. Żadnej reakcji ze strony Aarona czy kogokolwiek innego.

Będę musiał to zrobić. Będę musiał to zrobić. O ludzie o ludzie o ludzie, będę musiał to zrobić.

Będę musiał go zabić.

Podnoszę nóż.

Podniosłem nóż.

Aaron się odwraca, nawet nie szybko, po prostu się odwraca, jakby ktoś go zawołał po imieniu. Widzi, że stoję z nożem w górze, bez ruchu, bo jestem beznadziejnym tchórzliwym idiotą, i uśmiecha się. I matko, nie jestem w stanie nawet opisać, jak okropnie wygląda uśmiech na tej zmasakrowanej twarzy.

– Twój Szum ujawnia twe zamiary, młody Toddzie – mówi, puszczając dziewczynę, która jest związana i tak pobita, że nawet nie próbuje uciekać. Aaron daje krok w moją stronę.

Daję krok do tyłu (zamknijcie się, proszę, po prostu się zamknijcie).

– Burmistrz będzie zawiedziony, gdy usłyszy, że przedwcześnie odszedłeś z tego padołu łez, chłopcze – powiada Aaron, dając kolejny krok w moją stronę. Ja też daję kolejny krok do tyłu, trzymając nóż w powietrzu, jakby nie mógł mi się do niczego przydać. – Ale Bóg nie ma żadnego pożytku z tchórze – kończy Aaron – czyż nie tak, chłopcze?

Jego lewa ręka szybko jak wąż uderza w moją prawą, wytrącając mi

nóż. Aaron wali mnie z liścia w twarz prawą dłońią, obalając mnie do tyłu, w wodę, i czuję, jak jego kolana lądują na mojej piersi, a jego dłonie zaciskają się na gardle, żeby zakończyć sprawę, ale tym razem moja twarz jest pod wodą, więc to potrwa dużo krócej.

Szamoczę się, ale przegrałem. Przegrałem. Miałem swoją szansę, ale przegrałem i zasłużyłem na to i szarpnięcie, ale nie jestem nawet w przybliżeniu tak silny jak byłem przedtem i czuję, że nadchodzi koniec. Czuję, jak daję za wygraną.

Już po mnie.

Po mnie.

A potem, w wodzie, moja dłoń natrafia na kamień.

ŁUP! Podnoszę go i bez zastanowienia walę Aarona w bok głowy.

ŁUP! Robię to raz jeszcze.

ŁUP! I jeszcze raz.

Czuję, jak Aaron zsuwa się ze mnie, więc podnoszę głowę, krztusząc się wodą i powietrzem, ale siadam i podnoszę kamień, żeby znów go rąbnąć, ale on leży w wodzie, z twarzą zanurzoną do połowy, jego zęby uśmiechają się do mnie z dziury wyrwanej w policzku. Cofam się pośpiesznie, kaszląc i plując, ale on zostaje tam, gdzie jest. Letko zapada się w wodę. Leży bez ruchu.

Czuję się tak, jakbym miał zmiążdżone gardło, ale wyrzucuję trochę wody i potem oddycha mi się nieco lżej.

– Todd? Todd? Todd? – pyta Manczi. Podbiega do mnie, szczekając, żeby mnie lizać jak mały szczeniak. Drapię go między uszami, bo nie jestem jeszcze w stanie nic powiedzieć.

A potem obaj czujemy ciszę i podnosimy wzrok i widzimy, że dziewczyna stoi nad nami. Ręce nadal ma związane.

W palcach trzyma nóż.

Przez sekundę siedzę zmrożony, a Manczi zaczyna warczeć, ale potem załapuję. Biorę jeszcze kilka wdechów, po czym sięgam w górę, wyjmuję nóż z jej palców i przecinam sznur, którym Aaron skrupował jej nadgarstki. Więzy opadają, a ona rozciera skórę, nadal gapiąc się na mnie, nadal nic nie mówiąc.

Ona wie. Wie, że nie byłem w stanie tego zrobić.

Niech cię szlag – myślę. Niech cię szlag.

A ona patrzy na nóż. Potem na Aarona, leżącego w wodzie.

Aaron wciąż oddycha. Z każdym oddechem słychać bulgot wody, ale oddycha.

Zaciskam w dłoni nóż. Dziewczyna patrzy na mnie, na ostrze, na Aarona, potem znów na mnie.

Czyżby mi mówiła? Mówiła mi, żebym to zrobił?

On tam leży, bezbronny, pewnie prędzej czy później utonie.

A ja mam nóż.

Staję na nogi, przewracam się, bo tak mi się kręci we łbie, i znów staję na nogi. Daję krok w jego stronę. Podnoszę nóż. Znowu.

Dziewczyna bierze oddech i słyszę, jak go wstrzymuje.

Manczi mówi: – Todd?

A ja stoję, unosząc nóż nad Aaronem. Znowu dostałem szansę. Znowu podniosłem nóż.

Mógłbym to zrobić. Nikt na Nowym Świecie nie miałby mi tego za złe. To moje prawo.

Mógłbym to po prostu zrobić.

Ale nóż nie jest pierwszą lepszą rzeczą, co nie? To wybór, to coś, co robisz. Nóż mówi: tak albo nie, tnij albo nie, umieraj albo nie. Nóż odbiera tobie decyzję i puszcza ją w świat i potem już nie możesz tego cofnąć. Nigdy.

Aaron umrze. Twarz ma poszarpaną, głowę rozwaloną tonie w płytkiej wodzie i już się nie obudzi. Próbował mnie zabić, próbował zabić dziewczynę, on odpowiada za cały bajzel w osadzie, to on musi być tym, kto wysłał burmistrza na farmę i w związku z tym odpowiada też za los Bena i Cilliana. Zasługuje na śmierć. Zasługuje.

A ja nie jestem w stanie opuścić noża, żeby go ostatecznie załatwić.

Kim jestem?

Jestem Todd Hewitt.

Jestem, kuźwa, największą chodzącą beznadzieją w historii ludzkości.

Nie jestem w stanie tego zrobić.

*Niech cię szlag* – myślę ponownie pod swoim adresem.

– Chodź – mówię do dziewczyny. – Musimy stąd pryskać.

## Kiedy nie masz szczęścia

Moja pierwsza myśl to że ona nie pójdzie. Nie ma żadnego powodu, żeby miała to zrobić, a ja nie mam żadnego powodu, żeby ją prosić, ale kiedy mówię: – Chodź – po raz drugi, przynaglająco, i gestykuluję dłonią, ona rusza za mną, rusza za Manczim, i tak właśnie jest, tak właśnie robimy, kto wie czy to dobrze, ale tak robimy.

Noc już zapadła na dobre. Bagna wydają się teraz jeszcze bardziej zakrzaczone, czarno tu jak nie wiem co. Spiesznie wracamy się kawałek, żeby zabrać mój plecak, a potem po ciemku odchodzimy jeszcze trochę dalej, naokoło, żeby ciut większy dystans nas dzielił od zwłok Aarona (proszę, niech to będą zwłoki). Przełazimy obok drzew i nad korzeniami, coraz dalej w głąb bagien. Gdy docieramy do polanki, gdzie teren jest płaski i nie ma drzew, zarządzam, że mamy stanąć.

Nadal trzymam nóż. Spoczywa w mojej dłoni, błyszcząc jak wyrzut sumienia, jak słowo *tchórz* błyskające raz po raz. Odbija światło obu księżyców i mój Boże, to potężna rzecz. Potężna rzecz. Prawie tak, jakbym ja musiał się zgodzić na bycie częścią noża, a nie nóż był częścią mnie.

Sięgam za siebie i wsuwam nóż do pochwy umocowanej między moimi plecami a plecakiem. Teraz przynajmniej nie będę musiał na niego patrzeć.

Ściągam plecak i szperam w nim, szukając latarki.

– Wiesz, jak się tego używa? – pytam dziewczynę, kilkakrotnie pstrykając włącznikiem.

Ona tylko na mnie patrzy, tak, jak i wcześniej.

– Mniejsza z tym – mówię.

Gardło nadal mnie boli, twarz nadal mnie boli, pierś nadal mnie boli, a mój Szum nadal wali we mnie wizjami złych wieści. Jak skutecznie Ben i

Cillian byli w stanie się bronić na farmie, jak dużo czasu upłynie, zanim pan Prentiss junior odkryje, w jakim kierunku uciekłem, ile czasu zajmie mu ruszenie w pościg za mną, za *nami* (na pewno niewiele, o ile już nie wyruszył), więc kogo do cholery interesuje, czy ona umie używać latarki. Jasne, że nie umie.

Świecąc sobie latarką, wyciągam notes z plecaka. Znowu otwieram go w tym miejscu, gdzie jest mapa, i wędruję wzrokiem za strzałkami Bena – od naszej farmy wzdłuż rzeki, przez bagna, a potem dalej, tam, gdzie bagna zamieniają się z powrotem w rzekę.

Nietrudno jest znaleźć wyjście z bagien. Na horyzoncie za nimi zawsze widać trzy góry, jedną blisko, a dwie dalej, ale blisko siebie. Rzeka na mapie Bena przepływa między tą bliższą a dwiema dalszymi, więc wszystko, co musimy zrobić, to kierować się w stronę przestrzeni pośrodku, a wtedy powinniśmy znaleźć znowu rzekę i iść wzdłuż niej. Iść wzdłuż niej tam, gdzie pokazują strzałki.

Iść aż do innej osady.

Tam jest. O tam, na samym dole strony, gdzie kończy się mapa.

Inna osada.

Jakbym i tak nie miał już wystarczająco dużo nowych rzeczy, nad którymi muszę sobie łamać głowę.

Patrzę w górę, na dziewczynę, która nadal się na mnie gapi, nawet nie mrugając. Oświetlam latarką jej twarz. Ona krzywi się i odwraca głowę.

– Skąd jesteś? – pytam. – Może stąd?

Oświetlam latarką mapę i kładę palec na drugiej osadzie. Dziewczyna się nie porusza, więc daję jej znak, żeby podeszła. Nadal się nie porusza, więc wzdycham, biorę notes i zanoszę do niej, i znowu oświetlam stronę latarką.

– Ja – wskazuję siebie – jestem stąd. – Wskazuję naszą farmę, na północ od Prentisstown na mapie. – To wszystko – macham rękami, wskazując mokradła – jest tutaj. – Pokazuję palcem rysunek bagien. – Musimy dojść tutaj. – Wskazuję drugą osadę. Ben napisał pod spodem jej nazwę, ale... No nic. – Czy to stąd jesteś? – Wskazuję ją, potem drugą

osadę i znowu ją. – Czy jesteś stąd?

Dziewczyna patrzy na mapę, ale na tym koniec. Wzdycham sfrustrowany i daję krok do tyłu. Nieswojo mi, gdy stoję tak blisko niej.

– No cóż, mam nadzieję, że tak – mówię, zerkając znów na mapę. – Bo to tam idziemy.

– Todd – szczeka Manczi. Podnoszę wzrok. Dziewczyna zaczęła chodzić w kółko wokół polany, przyglądając się drzewom i krzakom, jakby skądś to miejsce znała.

– Co ty robisz? – pytam.

Ona patrzy na mnie, na latarkę w mojej ręce, a potem wskazuje coś za drzewami.

– Co? – pytam. – Nie mamy czasu...

Ona znów wskazuje coś za drzewami, a potem zaczyna iść w tamtą stronę.

– Hej! – wołam. – Hej!

Wygłąda na to, że muszę iść za nią.

– Musimy się trzymać mapy! – Muszę się schylać, żeby przechodzić pod gałęziami. Mój plecak ciągle o coś zahacza. – Hej! Zaczekaj!

Potykając się biegnę za nią, a Manczi za mną. Latarka nie przydaje się na wiele, gdy wokół pełno jest gałęzi, korzeni i kałuż, jak to na mokradłach. Ciągle muszę schylać głowę i wyszarpywać plecak, który się zaplątuje w chaszczach, tak że ledwo widzę, dokąd poszła. W końcu widzę, że stoi obok zwalonego drzewa, które wygląda na częściowo spalone, czekając na mnie, patrząc, jak nadchodzę.

– Co ty robisz? – pytam, gdy w końcu udaje mi się do niej dotrzeć. – Dokąd...

A potem widzę.

To drzewo jest spalone, świeżo spalone i niedawno zwalone; sterczące z niego nieosmalone drzazgi są czyste i białe jak nowe drewno. A w pobliżu widać więcej takich drzew – cały szereg, po jednej i drugiej stronie wielkiego rowu wyrytego w bagnie. Teraz wypełnia go woda, ale po obu stronach piętrzy się ziemia i spalone rośliny, więc musiał powstać niedawno, jakby coś tu przyleciało i wydrążyło go jedną ognistą salwą.



– Co się stało? – Świecę latarką wzdłuż niego. – Po czym to jest?

Dziewczyna tylko spogląda w lewo, tam, gdzie rów znika w ciemności. Świecę latarką w tamtą stronę, ale jej światło tam nie sięga. Choć czuję, że coś tam jest.

Dziewczyna rusza w mrok, w stronę tego czegoś.

– Gdzie idziesz? – pytam, nie oczekując odpowiedzi, i nie otrzymuję jej. Manczi wbiega między mnie a dziewczynę, jakby teraz podążał za nią, a nie za mną, i ruszają w ciemność. Ja trzymam się w pewnej odległości, ale też idę za nimi. Cisza nadal sączy się z dziewczyny, nadal wytrąca mnie z równowagi, jakby się szykowała, żeby połknąć cały świat i mnie razem z nim.

Oświetlam latarką każdy centymetr kwadratowy rozlewiska. Kroksy zwykle nie przyłazą tak daleko w głąb bagna, ale tylko zwykle, plus żyją tu czerwone węże, które są jadowite, a także wodne łasice, które gryzą, i wygląda na to, że nikt z nas nie ma dzisiaj szczęścia, więc jeśli może się stać coś nefajnego, to pewnie się stanie.

Podchodzimy bliżej i świecę latarką w miejsce, ku któremu się kierujemy, i zaczynam widzieć odbłaski na powierzchni czegoś, co nie jest ani drzewem, ani krzakiem, ani zwierzęciem, ani wodą.

To coś metalowego. Coś wielkiego i metalowego.

– Co to? – pytam.

Podchodzimy bliżej i w pierwszej chwili błyska mi myśl, że to po prostu duży turbocykl, i zastanawiam się, jaki kretyn próbował jeździć turbocyklem po bagnach, gdzie jest pełno wody i korzeni, skoro te ustrojstwa ledwo działają na normalnej polnej drodze.

Ale to nie żaden turbocykl.

– Czekaj.

Dziewczyna przystaje.

Kto by pomyślał? Dziewczyna przystaje.

– Czyli rozumiesz, co mówię?

Ale ona nic nie odpowiada, nadal nic.

– No cóż, poczekaj chwilę – mówię, bo coś mi przyszło do głowy. Od tajemniczego obiektu dzieli nas jeszcze kawałek, ale wciąż świecę

latarką na jego metalową powierzchnię. A potem na prostą linię rowu. I znów na metal. I na spalone chaszczce po obu stronach rowu. I wciąż gryzie mnie jedna myśl.

Dziewczyna rezygnuje z czekania i kieruje się w stronę metalowego czegoś, a ja idę za nią. Musimy obejść wielką spaloną kłodę, która wciąż jeszcze słabo dymi w jednym czy dwóch miejscach, żeby dotrzeć do tego czegoś, a gdy tam docieramy, widzę, że to jest o wiele większe niż największy turbocykl, a wygląda jak część czegoś jeszcze większego. Prawie całe jest powgniatane i osmalone, a choć nie mam pojęcia, jak wyglądało, zanim się rozwaliło i spaliło, jest oczywiste, że to wrak.

Wrak statku.

Latającego statku. Może nawet statku kosmicznego.

– To twój? – pytam, świecąc latarką w stronę dziewczyny. Ona nic nie mówi, jak zwykle, ale robi to w sposób, który może być potwierdzeniem. – Rozbiliście się tutaj?

Oświetlam ją latarką od stóp do głów, oświetlam jej ubranie, które jest trochę inne niż moje, ale nie aż tak inne, żebym nigdy nie miał podobnego.

– Skąd pochodzisz? – pytam.

Ale ona oczywiście nic nie mówi, tylko patrzy gdzieś dalej w ciemność, krzyżuje ręce na piersi i zaczyna tam iść. Tym razem nie idę za nią. Nadal patrzę na statek. To coś musiało być statkiem. Ludzie, starczy się przyjrzeć. Część jest tak rozwalona, że nie da się nic rozpoznać, ale nadal widać kształty, które mogły być kadłubem, silnikiem, nawet coś, co mogło być okienkiem.

Widzicie, pierwsze domy w Prentisstown zostały zbudowane ze statków, w których wylądowali koloniści. Jasne, później zaczęto wznosić domy z desek i kłód, ale Ben mówi, że pierwsze, co robisz po wylądowaniu, to budujesz prowizoryczne schronienie, a prowizoryczne schronienie robi się z tego, co się ma pod ręką. Kościół i stacja benzynowa w osadzie nadal częściowo składają się z metalowych kadłubów, ładowni, kajut i takich tam. A choć ta tutaj sterta złomu jest dosyć gruntownie skasowana, to jeśli dobrze się jej przyjrzeć, mogłaby

być starym domem z Prentisstown, który spadł z nieba. Spadł z nieba, płonąc.

– Todd! – szczeka Manczi gdzieś poza zasięgiem wzroku. – Todd!

Ruszam biegiem tam, gdzie zniknęła dziewczyna. Okrążam wrak, docierając do fragmentu, który wydaje się trochę mniej zmasakrowany. Gdy podbiegam, widzę nawet właz, który został otwarty w jednej z metalowych ścian, trochę wyżej, a w środku pali się światło.

– Todd! – szczeka Manczi, a ja świecę latarką tam, skąd słychać szczekanie. Mój pies stoi obok dziewczyny, która po prostu tkwi w miejscu, patrząc na coś, co leży przed nią, no więc kieruję tam latarkę i widzę, że ona stoi obok dwóch długich stert odzieży.

I tak naprawdę to są zwłoki, obczajacie?

Podchodzę, oświetlając je latarką. Leży tam mężczyzna, którego ubrania i ciało od piersi w dół są mniej lub bardziej spalone na węgiel. Na jego twarzy też widać oparzenia, ale nie tyle, żeby nie dało się poznać, że był mężczyzną. Ma ranę na czole, która zabiłaby go nawet, gdyby nie umarł od oparzeń, ale to nie ma znaczenia, bo tak czy owak nie żyje. Jest martwy i leży tu w bagnie.

Świecę latarką kawałek dalej i on leży obok kobiety, co nie?

Wstrzymuję oddech.

To pierwsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem na żywo. I jest tak samo, jak z dziewczyną. Nigdy nie widziałem prawdziwej kobiety, ale gdyby istniała prawdziwa kobieta, to tak by wyglądała.

I oczywiście jest martwa, ale na jej ciele nie widać żadnych oparzeń ani ran, nawet krwi na ubraniu, więc może coś ma rozwalone w środku.

Ale to kobieta. Prawdziwa kobieta.

Świecę latarką na dziewczynę. Ona się nie cofa.

– To twoja mama i twój tatko, co nie? – pytam, zniżając głos.

Dziewczyna nic nie mówi, ale to musi być prawda.

Świecę latarką na wrak i myślę o rowie oraz spalonych roślinach za nim, i wszystko to może oznaczać tylko jedno. Rozbili się tutaj, ona, jej mama i tatko. Oni zginęli. Ona przeżyła. I nie ma znaczenia, czy pochodzi z jakiegoś innego miejsca na Nowym Świecie, czy też w ogóle skądś

indziej. Oni zginęli, ona przeżyła i jest tutaj całkiem sama.

I znalazł ją Aaron.

Kiedy nie masz szczęścia, to go nie masz za cholere.

Na ziemi widzę ślady po wleczeniu czegoś ciężkiego. Dziewczyna musiała wyciągnąć ciała z wraku i przywlec je tutaj. Ale bagno nie nadaje się do grzebania w nim innych zwłok niż szpackie, bo pięć centymetrów pod powierzchnią gruntu jest już woda, no więc trupy leżą tutaj. Przykro mi to mówić, ale śmierdzą, choć nie tak paskudnie, jak można byłoby się spodziewać, bo wokół wisi też zapach bagien, no więc kto wie, jak długo ona tu już jest.

Dziewczyna znów na mnie patrzy, nie płacząc, nie uśmiechając się, po prostu z tą samą nieruchomą twarzą co wcześniej. Potem przechodzi obok mnie, mija ślady na ziemi, podchodzi do otwartych drzwi z boku wraku, wspina się do nich i znika w środku.

## Jedzenie i ogień

– Hej! – mówię, idąc za nią w kierunku wraku. – Nie możemy tutaj zo...

Podchodzę do drzwi akurat w momencie, gdy ona się z nich wyłania, tak nagle, że odskakuję do tyłu. Czekam, aż się odsunę, po czym schodzi na ziemię i przechodzi obok mnie, niosąc w jednej ręce torbę, a w drugiej parę paczuszek. Znowu spoglądam na drzwi i stoję na palcach, próbując zajrzeć do środka. Wewnątrz wszystko jest porozwalane, tak jak można byłoby się spodziewać – masa porozrzucanych rzeczy, mnóstwo ustrojstwa rozpiżonego w drobny mak.

– Jak ci się udało to przeżyć? – pytam, odwracając się.

Ale ona coś robi. Położyła na ziemi torbę oraz paczuszki i wyjęła coś, co wygląda jak małe, płaskie zielone pudełko. Kładzie je w miejscu, gdzie grunt jest ciut suchszy, i teraz układa na nim trochę patyków. Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Nie ma czasu rozpalać...

Ale ona wciska guzik na bocznej ścianie pudełka i pszszsz, w jednej chwili już mamy przed sobą piękne, duże, płonące ognisko.

Po prostu stoję tam jak dureń, z rozdziawioną gębą.

Też bym chciał mieć takie ogniowe pudełko.

Dziewczyna patrzy na mnie, rozciera letko ramiona i dopiero wtedy dociera do mnie, że jestem przemoczony do nitki, zziębnięty i obolały od stóp do głów i że ogień jest najbardziej wymarzoną rzeczą, jaką sobie mogę wyobrazić.

Spoglądam do tyłu, w ciemność bagien, tak jakbym był w stanie zobaczyć, że ktoś nadchodzi. Oczywiście nic nie widzę, ale nie słyszę też żadnych dźwięków. Nikogo nie ma w pobliżu. Jeszcze.

Znowu spoglądam na ognisko.

– Tylko przez chwilę – mówię.

Podchodzę do ognia i zaczynam grzać nad nim ręce, nie zdejmując plecaka. Dziewczyna rozrywa jedno z opakowań i rzuca mi, a ja gapię się na nie, aż ona zanurza palce w swoim, wyjmując coś, co musi być suszonym owocem albo czymś podobnym i zjada.

Ofiarowuje mi jedzenie. I ogień.

Jej twarz jest nadal zupełnie pozbawiona wyrazu, nieruchoma jak kamień, gdy dziewczyna stoi przy ogniu i je. Ja też zaczynam jeść. Owoce, czy co to tam jest, to małe pomarszczone kuleczki, ale są słodkie i miękkie i w ciągu minuty udaje mi się wszamać całą paczuszkę, zanim dociera do mnie, że Manczi żebrze.

– Todd? – pyta, oblizując się.

– Oj – mówię. – Przepraszam.

Dziewczyna patrzy na mnie, na Mancziego, po czym wyjmuje garstkę z własnej paczuski i wyciąga rękę do mojego psa. Gdy ten podchodzi, ona cofa się gwałtownie, jakby mimo woli, i upuszcza owoce na ziemię. Mancziem to nie przeszkadza. Pochłania je w mgnieniu oka.

Dziękuję jej kiwnięciem głowy. Nie odwzajemnia go.

Zapadła już noc, poza naszym małym kręgiem światła jest ciemno jak diabli. Przez dziurę między gałęziami, którą pozostawił spadający statek, widać gwiazdy. Próbuję cofnąć się pamięcią i przypomnieć sobie, czy w ciągu ostatniego tygodnia słyszałem jakiś odległy huk dolatujący od strony bagien, ale przypuszczam, że kraksa, do której doszło tak daleko od osady, mogła zostać zagłuszona przez Szum Prentisstown i wszyscy ją przeoczyli.

Myślę o pewnym kaznodziei.

Prawie wszyscy.

– Nie możemy tu zostać – mówię. – Przykro mi z powodu twoich starych i w ogóle, ale będą nas ścigać. Nawet jeśli Aaron nie żyje.

Gdy pada imię Aarona, dziewczyna się wzdryga, tak troszkę. Musiał jej powiedzieć swoje imię. Albo coś. Może.

– Przepraszam – mówię, choć nie wiem, po co. Poprawiam plecak. Wydaje się cięższy niż kiedykolwiek. – Dzięki za żarcie, ale musimy się

zbierać. – Spoglądam na nią. – Idziesz?

Dziewczyna patrzy na mnie przez sekundę, po czym czubkiem buta zrzuca płonące patyki z małego zielonego pudełka. Schyla się, znów wciska przycisk i podnosi pudełko, nawet się nie oparzywszy.

O ludzie, jak ja bym chciał mieć taki sprzęt.

Wkłada pudełko do torby, którą wyniosła z wraku, po czym zarzuca ją na plecy jak plecak. Tak jakby już wcześniej planowała, że ze mną pójdzie.

– No cóż – mówię po chwili, widząc, że ona tylko się we mnie wpatruje. – To chyba jesteśmy gotowi.

Żadne z nas się nie rusza.

Znów kieruję wzrok tam, gdzie leżą jej mama i tatko. Ona też, ale tylko przez sekundę. Chcę jej coś powiedzieć, coś więcej, ale co tu mówić? Otwieram usta, ale ona zaczyna grzebać w swojej torbie. W pierwszej chwili myślę, że wyjmie coś, co jej pozwoli, nie wiem, upamiętnić rodziców albo wykonać jakiś gest czy coś, ale ona znajduje to, czego szukała, i jest to tylko latarka. Pstryka włącznikiem – czyli jednak wie, jak one działają – i zaczyna iść, najpierw w moją stronę, a potem mija mnie, tak jakbyśmy już byli w drodze.

I to by było na tyle, tak jakby jej mama i tatko nie leżeli tutaj martwi.

Patrzę za nią przez sekundę, po czym mówię:

– Hej!

Odwraca się z powrotem do mnie.

– Nie tędy. – Wskazuję w lewo. – Tam.

Ruszam we właściwym kierunku, Manczi rusza za mną, a gdy oglądam się do tyłu, dziewczyna idzie za nami. Jeszcze raz szybko patrzę w mrok za jej plecami i chociaż strasznie chciałbym zostać, żeby przetrząsnąć ten wrak w poszukiwaniu innych fajnych rzeczy, a kusi mnie to jak piorun, musimy iść, choć jest noc i żadne z nas nie spało, musimy iść.

No więc idziemy. Od czasu do czasu widzimy za drzewami horyzont i kierujemy się w stronę pustej przestrzeni między bliższą górą a dwiema dalszymi górami. Oba księżyce zbliżają się do pełni, niebo jest

bezchmurne, więc przynajmniej mamy dość światła, żeby dało się iść, nawet pod baldachimem gałęzi na bagnach, mimo że jest głęboka noc.

– Nadstawiaj uszu – mówię do Mancziego.

– Po co? – szczeka Manczi.

– Nasłuchuj, czy nic nas tu nie dopadnie, głupku.

W ciemności na bagnach, nocą, nie da się za bardzo biec, więc idziemy tak szybko jak jesteśmy w stanie. Oświetlam latarką drogę przed sobą. Potykamy się o korzenie drzew i próbujemy nie leżeć przez najgorsze błoto. Manczi to wybiega do przodu, to wraca, węsząc wokół, czasem szczekając, ale nic poważnego się nie dzieje. Dziewczyna dotrzymuje mi kroku, ani na chwilę nie zostając z tyłu, ale nie zbliża się też zanadto. I bardzo dobrze, bo choć mój Szum jest teraz cichszy niż wcześniej przez cały dzień, to nadal czuję napór jej ciszy, ilekroć podchodzi za blisko.

Dziwne, że nic więcej nie zrobiła z ciałami rodziców, gdyśmy odchodzili, co nie? Nie płakała, nie podeszła do nich po raz ostatni ani nic. Żle mówię? Ja oddałbym wszystko, żeby jeszcze raz zobaczyć Bena czy nawet Cilliana, nawet jeśli... No cóż, nawet jeśli.

– Ben – mówi Manczi obok moich kolan.

– Wiem. – Drapię go między uszami. Idziemy dalej.

Chciałbym ich pogrzebać, gdyby do tego przyszło. Chciałbym coś zrobić, nie wiem co. Przystaję i oglądam się do tyłu, na dziewczynę, ale jej twarz wygląda tak samo, tak samo jak zawsze, i czy to dlatego, że rozbiła się tu statkiem, a jej rodzice zginęli? Czy dlatego, że Aaron ją znalazł? Czy dlatego, że jest z jakiegoś innego miejsca?

Czy nic nie czuje? Może w środku nie ma zupełnie nic?

Patrzy na mnie, czeka, aż zacznę znowu iść.

No więc po sekundzie podejmuję marsz.

Godziny. Całe godziny tego cichego nocnego czasu pełzną szybko, mijają. Całe godziny. Kto wie, jak daleko zaszliśmy i czy idziemy w dobrym kierunku i tak dalej, ale *godziny*. Od czasu do czasu słyszę Szum jakiegoś nocnego stwora – bagienne sowy, co pohukują, wypatrując obiadu, i pikują w dół, zapewne za krótkoogoniastymi myszami, których



Szum jest tak cichy, że ledwo przypomina mowę, ale przez większość czasu słyszę tylko szybko oddalający się Szum takich czy innych zwierzaków, uciekających przed hałasem, który powodujemy, przedzierając się nocą przez bagienne zarośla.

To dziwne, ale za nami nadal nic nie słysząc, żadnej pogoni, żadnego Szumu, żadnych łamanych gałęzi, nic. Może Ben i Cillian skierowali ich fałszywym tropem. Może powód mojej ucieczki jednak nie jest wcale taki ważny. Może...

Dziewczyna przystaje, żeby wyciągnąć but z błota.

Dziewczyna.

Nie. Nadchodzą. Jedyne „może” to że może czekają do świtu, żeby móc się szybciej przemieszczać.

No więc idziemy i idziemy, coraz bardziej zmęczeni, zatrzymując się tylko raz, żeby każdy mógł się dyskretnie wysikać w krzakach. Wyciągam z plecaka trochę prowiantu od Bena i obdzielam wszystkich po trochu, bo teraz moja kolej.

A potem znowu wędrowanie i wędrowanie.

A potem przychodzi godzina tuż przed świtem, kiedy dłużej już po prostu nie da rady.

– Musimy stanąć – mówię, zrzucając plecak u stóp drzewa. – Musimy odpocząć.

Dziewczyny wcale nie trzeba przekonywać. Odstawia swoją torbę pod innym drzewem i oboje osuwamy się na ziemię, wykorzystując nasz bagaż jako poduszki.

– Pięć minut – mówię. Manczi zwija się w kłębek przy moich nogach i prawie natychmiast zamyka oczy. – Tylko pięć minut – wołam do dziewczyny, która wyciągnęła ze swojej torby kocyk, żeby się nim przykryć. – Nie dłużej.

Musimy iść dalej, to nie ulega wątpliwości. Zamknę tylko oczy na minutkę czy dwie, odpocznę trochę, a potem będziemy szli dalej, jeszcze szybciej niż przedtem.

Tylko trochę odpocznę, to wszystko.

Otwieram oczy, a słońce już wzeszło. Ledwie kawałek, ale wzeszło

jak cholera.

Szlag. Straciliśmy co najmniej godzinę, może dwie.

A potem uświadamiam sobie, że zbudził mnie jakiś odgłos.

To Szum.

Panikuję, myśląc o mężczyznach, którzy nas znaleźli, i zrywam się prędko na nogi...

Tylko po to, żeby zobaczyć, że to nie żaden mężczyzna.

To kassor. Góruje nade mną, Manczim i dziewczyną.

**Jedzenie?** – mówi jego Szum.

*Wiedziałem*, że one nie opuściły bagien.

Z miejsca, gdzie śpi dziewczyna, słyszę odgłos wciąganego oddechu. Już nie śpi. Kassor odwraca się, żeby na nią spojrzeć. A potem Manczi zrywa się i szczeka: – łąp! łąp! łąp! – i szyja kassora przekręca się z powrotem w naszą stronę.

Wyobraźcie sobie największe ptaszysko, jakie kiedykolwiek widzieliście, wyobraźcie sobie, że zrobiło się tak wielkie, że już nawet nie może latać, ma dwa i pół czy nawet trzy metry wzrostu, i superdługą giętką szyję sięgającą daleko powyżej waszych głów. Ma pióra, ale wyglądają bardziej jak futro, a jego skrzydła nadają się w zasadzie tylko do ogłuszania zwierzaków, które zamierza zjeść. Ale przede wszystkim trzeba uważać na jego stopy. Ma długie nożyska i stopy, którymi potrafi sięgnąć na wysokość mojej piersi, zakończone pazurami. Może zabić nieostrożnego człowieka jednym kopniakiem.

– Nie bój się – wołam do dziewczyny. – One są przyjazne.

No bo są. A w każdym razie w teorii powinny. Podobno jedzą gryzonie, a kopiają tylko wtedy, gdy się je zaatakują, ale jeśli się ich nie atakuje, Ben mówi, że są przyjazne i ciapowate i pozwalają się karmić. I mają też smaczne mięso. To połączenie sprawiło, że pierwsi osadnicy z Prentisstown bardzo chętnie na nie polowali, tak że do czasu, gdy się urodziłem, w promieniu iluś mil od Prentisstown nie ostał się ani jeden. Kassory to kolejna rzecz, którą widywałem tylko na widach i w Szumie.

Świat ciągle się powiększa.

– łąp! łąp! – szczeka Manczi, biegnąc w kółko wokół kassora.

– Nie gryź go! – wołam.

Szyja kassora kołysze się niczym pnącze, wędrując w ślad za Manczim jak kot, co śledzi owada. **Jedzenie?** – zapytuje jego szum.

– Nie jedzenie – odpowiadam, a wielka szyja przekręca się w moją stronę.

**Jedzenie?**

– Nie jedzenie – mówię znowu. – Tylko pies.

**Pies?** – myśli kassor i znów zaczyna śledzić Mancziego, próbując go capnąć dziobem. Ten dziób nie ma w sobie nic strasznego, to tak, jakby cię capnęła gęś, ale Manczi nie daje się złapać. Odskakuje i szczeka, szczeka, szczeka.

Śmieję się do niego. Zabawnie to wygląda.

A potem słyszę cichy śmiech, który nie jest moim śmiechem.

Spoglądam w tamtą stronę. Dziewczyna stoi obok swojego drzewa, patrząc, jak olbrzymi ptak drażni się z moim **głupim** psem, i się śmieje.

Uśmiecha się.

Widzi, że patrzę, i przestaje.

**Jedzenie?** – słyszę. Odwracam się i widzę, że kassor zaczyna mi wsadzać dziób do plecaka.

– Hej! – wołam i zaczynam go odganiać.

**Jedzenie?**

– Masz. – Wyciągam małą kostkę sera zawiniętą w płótno, którą Ben mi zapakował.

Kassor obwąchuje ją, nadgryza, po czym pożera. Jego szyja porusza się długimi falami, gdy przełyka. Kłapie kilka razy dziobem, zupełnie jak człowiek, który mlaska po tym, jak zjadł coś smacznego. Potem jednak jego szyja zaczyna falować w drugą stronę, słychać głośne kasznięcie i kostka sera wylatuje z powrotem w moim kierunku, pokryta śliną, ale nawet nie zgnieciona. Trafia mnie w policzek, zostawiając na mojej twarzy oślizły ślad.

**Jedzenie?** – mówi kassor i powoli odchodzi w głąb bagien, jakbyśmy stali się mniej interesujący niż liście.

– Łap! Łap! – szczeka za nim Manczi, ale nie puszcza się w pościg.

Wycieram rękawem śluz z twarzy i widzę przy tym, że dziewczyna uśmiecha się do mnie.

– Wydaje ci się, że to śmieszne, co? – pytam, a ona cały czas udaje, że się nie uśmiecha, ale to jest uśmiech. Odwraca się i podnosi swoją torbę.

– Taa – mówię, znów przejmując dowodzenie. – Spaliśmy o wiele za długo. Musimy iść.

Ruszamy, żeby znowu wędrować, już bez słowa i bez uśmiechów. Teren wkrótce staje się mniej równy i ciut suchszy. Drzewa zaczynają się trochę przeredzać, słońce od czasu do czasu prześwieca przez nie prosto na nas. Przeszedłszy kawałek, docieramy na łączkę, która wygląda niemal jak nieduże pole ciągnące się aż do szczytu małego wzniesienia, tuż nad wierzchołkami drzew. Wspinamy się tam i zatrzymujemy się na górze. Dziewczyna wyciąga następną paczuszkę tego owocowego czegoś. Śniadanie. Jemy na stojąco.

Gdy się patrzy ponad drzewami, jasne jest, dokąd powinniśmy iść. Większa góra wznosi się na horyzoncie, a za nią w oddali widać dwie mniejsze, zasnuwane mgiełką.

– To tam idziemy – mówię, wskazując palcem. – A w każdym razie zdaje mi się, że to tam powinniśmy iść.

Dziewczyna odstawia swoją paczuszkę owoców i znów zaczyna szperać w torbie. Wyciąga najzgrabniejszą lornetkę, jaką kiedykolwiek widzieliście. Moja stara lornetka w domu, która popsuka się ileś lat temu, wyglądałaby przy niej jak pudło na chleb. Dziewczyna przykłada to cudo do oczu i patrzy przez chwilę, po czym przekazuje lornetkę mnie.

Biorę ją i patrzę tam, gdzie mamy iść. Wszystko jest tak wyraźne. Teren przed nami to zielona puszcza, tworząca prawdziwe doliny i wąwozy, bo znów jest to porządny suchy grunt, a nie błotnista misa bagien. Widać nawet, od którego miejsca mokradła znów zmieniają się w prawdziwą rzekę, która wycina coraz głębsze kaniony, zbliżając się do gór. Wyteżywszy słuch, można wychwycić jej szum. Patrzę i patrzę i nie widzę żadnej osady, ale kto wie, co się kryje za zakrętami i meandrami jej nurtu? Kto wie, co jest przed nami?

Spoglądam do tyłu, w kierunku, z którego przyszliśmy, ale jest

jeszcze na tyle wcześniej, że większą część bagien spowija mgła, skrywając wszystko, nie ujawniając niczego.

– Świetna jest – mówię, oddając dziewczynie lornetkę. Ona chowa sprzęt z powrotem do torby i stoimy tam przez chwilę, jedząc.

Stoimy na odległość wyciągniętego ramienia od siebie, bo jej cisza nadal mi przeszkadza. Żuję suszone owoce i zastanawiam się, jak to jest nie mieć w ogóle Szumu, pochodzić z miejsca bez Szumu. Co to oznacza? Jakie to miejsce? Czy jest wspaniałe? A może okropne?

Wyobraźcie sobie, że stoicie na wzgórzu z kimś, kto nie ma Szumu. Czy byłoby tak, jakbyście stali tam sami? Jak dzielilibyście się tym, co się dzieje? Czy chcielibyście się dzielić? Znaczy się, rozumiecie, stoimy tam, dziewczyna i ja, uciekamy przed niebezpieczeństwem, kierując się w nieznaną, i nie łączy nas Szum, nic nie mówi nam, co myśli to drugie. Czy to tak powinno być?

Kończę szamać owoce i zgniatam paczuszkę. Dziewczyna wyciąga rękę, po czym wciska śmiecie z powrotem do torby. Żadnych słów, żadnej wymiany zdań, tylko mój Szum i wielkie, potężne nic wokół niej.

Czy to tak wszystko wyglądało dla moich rodziców zaraz po wylądowaniu tutaj? Czy cały Nowy Świat był milczącym miejscem, zanim...

Nagle podnoszę wzrok na dziewczynę.

Zanim.

O, nie.

Jestem takim kretynem.

Jestem takim pieprzonym, durnym kretynem.

Ona nie ma Szumu. I przyleciała tu statkiem. To znaczy, że pochodzi z miejsca, gdzie nie ma Szumu, ty *idiot*.

To znaczy, że wylądowała tutaj i nie złapała jeszcze zarazka Szumu.

To znaczy, że kiedy go złapie, zarazek zrobi z nią to, co zrobił ze wszystkimi innymi kobietami.

Zabije ją.

Zabije ją.

Patrzę na nią, słońce świeci na nas z góry, a jej oczy stają się szersze i

szersze, gdy to myślę, i właśnie wtedy dociera do mnie jeszcze jedna głupia, oczywista rzecz.

To, że ja nie słyszę jej Szumu, nie oznacza, że ona nie słyszy każdego słowa w moim.

## Notes, w którym nie ma odpowiedzi

– Nie! – mówię szybko. – Nie słuchaj! To nieprawda! To nieprawda! To pomyłka! To nieprawda!

Ale ona już cofa się ode mnie, upuszcza własne puste opakowanie po owocach, wytrzeszczając oczy.

– Nie, nie...

Daję krok w jej stronę, ale ona daje jeszcze szybszy krok do tyłu, upuszczając torbę.

– To... – mówię, ale co mogę powiedzieć? – To nieprawda. To nieprawda. Myślałem o kimś innym.

Co jest najgłupszym z możliwych tekstów, bo przecież ona słyszy mój Szum, co nie? Widzi, jak usiłuję wymyślić, co powiedzieć, a nawet jeśli wszystko w mojej głowie wygląda jak totalny chaos, to ona widzi tam wszędzie siebie, a poza tym teraz już wiem, że nie ma jak cofnąć tego, co poszło w świat.

Niech to szlag. Niech to jasny dunder świśnie.

– Szlag! – szczeka Manczi.

– Czemu nie *powiedziałaś*, że mnie słyszysz? – krzyczę, ignorując to, że nie pisnęła ani słówka, odkąd ją spotkałem.

Ona cofa się jeszcze bardziej, podnosząc rękę do twarzy, żeby zakryć usta, a jej oczy wysyłają w moim kierunku znaki zapytania.

Próbuję wymyślić coś, co mógłbym powiedzieć, cokolwiek, żeby ją uspokoić, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Tylko Szum, w którym pełno jest śmierci i rozpacz.

Dziewczyna odwraca się i ucieka ode mnie, z powrotem w dół zbocza, ile sił w nogach.

Szlag.

– Czekaj! – wrzeszczę, rzucając się biegiem za nią.

Pędzi z powrotem w kierunku, z którego przyszliśmy, w dół przez łąkę, i znika wśród drzew, ale jestem tuż za nią, a Manczi gna za mną.

– Stój! – krzyczę. – Zaczekaj!

Ale czemu miałyby to robić? Jaki mogłaby mieć powód, żeby czekać?

Wiecie co, naprawdę jest zadziwiająco szybka, kiedy chce.

– Manczi! – wołam, a on rozumie i rusza jak rakieta za nią. Nie żebym mógł zgubić jej trop, tak jak ona nie mogłaby zgubić mojego. Goni ją mój głośny Szum, a jej cisza z przodu jest równie głośna, nawet teraz. Nawet gdy już wie, że umrze, dziewczyna nadal milczy jak grób.

– Stój! – krzyczę. Potykam się o korzeń i ląduję ciężko na łokciach. Wszystkie sińce na ciele i twarzy protestują bólem, ale muszę wstać. Muszę wstać i biec za nią. – Niech to szlag!

– Todd! – Słyszę szczekanie Mancziego z przodu, poza zasięgiem wzroku. Potykając się biegnę jeszcze kawałek, omijam wielką płataninę krzewów i oto ona. Siedzi na wielkim, płaskim głazie wystającym z ziemi, kolana ma podciągnięte pod brodę i się kiwa, tam i z powrotem. Oczy ma szeroko otwarte, ale tak samo pozbawione wyrazu jak zawsze.

– Todd! – szczeka znowu Manczi na mój widok. Potem wskakuje na głaz obok dziewczyny i zaczyna ją obwąchiwać.

– Zostaw ją w spokoju, Manczi – mówię, ale pies mnie nie słucha. Obwąchuje jej twarz, liże ją raz czy dwa, po czym siada obok niej, przytulając się do jej boku. A ona się kiwa.

– Słuchaj – mówię do niej, łapiąc oddech i wiedząc, że nie wiem, co teraz powiedzieć. – Słuchaj – mówię znowu, ale nie potrafię wymyślić nic więcej.

Po prostu stoję tam, dysząc, nic nie mówiąc, a ona siedzi kiwając się, aż w końcu wygląda na to, że nie mogę zrobić nic innego, jak też usiąść na kamieniu, trzymając się w odpowiedniej odległości, z szacunku i dla bezpieczeństwa. Tak sędzę, no więc tak robię. Ona się kiwa, ja siedzę i zastanawiam się, co teraz.

W ten sposób mija dobrych kilka minut, dobrych kilka minut, kiedy powinniśmy iść, a wokół nas bagna żyją swoim życiem.



W końcu błyska mi kolejna myśl.

– Może się mylę – mówię od razu. – Mogę nie mieć racji, rozumiesz? – Odwracam się do niej i zaczynam szybko mówić. – Wszyscy mnie okłamywali i możesz przeszukać mój Szum, jeśli chcesz mieć pewność, że to prawda. – Wstaję, mówiąc jeszcze szybciej. – Miało nie być drugiej osady. Prentisstown miało być jedyną osadą na całej durnej planecie. Ale tam na mapie jest druga osada! Więc może...

I myślę i myślę i myślę.

– Może zarazek był tylko w Prentisstown. A jeśli nie trafiłaś do osady, może jesteś bezpieczna. Może nic ci nie jest. Bo nie słyszę od ciebie niczego, co przypominałoby Szum, i nie wyglądasz na chorą. Więc może nic ci nie grozi.

Patrzy na mnie, nadal się kiwa i nie wiem, co sobie myśli. Może przypuszczalnie nie jest zbyt pocieszającym słowem, kiedy całe zdanie brzmi *może nie umierasz*.

Nadal myślę i pozwalam jej widzieć mój Szum, tak jasno i wyraźnie, jak tylko mogę.

– Może my wszyscy złapaliśmy zarazek, i, i tak! – Błyska mi kolejna myśl, dobra myśl. – Może odizolowaliśmy się, żeby ta druga osada nie mogła się zarazić! Tak musiało być! Więc jeśli trzymałaś się bagien, jesteś bezpieczna!

Dziewczyna przestaje się kiwać, nadal patrząc na mnie. Może mi wierzy?

Ale potem, jak jakiś debil, co to nie wie, kiedy przestać, pozwalam myślom pobiec dalej w tym samym kierunku, co nie? Bo jeśli to prawda, że Prentisstown zostało odcięte, to może ta druga osada nie będzie szczególnie szczęśliwa, gdy tam zawędruję? Może to ta druga osada odcięła się od Prentisstown, bośmy *naprawdę* zarażali.

A jeśli można złapać Szum od innych ludzi, to dziewczyna może go złapać ode mnie, co nie?

– O ludzie – mówię, pochylając się i kładąc dłonie na kolanach. Choć nadal stoję w tym samym miejscu, czuję się tak, jakbym leciał w przepaść. – O ludzie.

Dziewczyna znów obejmuje się rękoma, siedząc na kamieniu, i jest jeszcze gorzej niż na początku.

To niesprawiedliwe. Powiadam wam, że to nie jest sprawiedliwe za cholere. *Jak już dotrzesz na bagna, będziesz wiedział, co dalej robić, Todd. Będziesz wiedział.* Taa, dzięki wielkie za te słowa, Ben, dzięki za całą twoją pomoc i troskę, bo jestem teraz na bagnach i nie mam zielonego pojęcia, co robić. To niesprawiedliwe. Wykopano mnie z domu, zbito na kwaśne jabłko, ludzie, którzy mówią, że im na mnie zależy, okłamywali mnie przez tyle lat, muszę iść za durną mapą do osady, o której istnieniu w ogóle nie wiedziałem, muszę jakimś sposobem odczytać durny pamiętnik...

Pamiętnik.

Zsuwam plecak z ramion i wyciągam notes. Ben powiedział, że wszystkie odpowiedzi są w środku, więc może naprawdę są. Tyle że...

Wzdycham i otwieram go. Kartki są całe zapisane, całe w słowach, wszystko charakterem pisma mojej mamy, całe strony i strony i strony, a ja...

No cóż, mniejsza z tym. Znów patrzę na mapę i na to, co Ben napisał po drugiej stronie. Po raz pierwszy mam okazję się jej przyjrzeć w innym świetle niż światło latarki, które nie nadaje się za bardzo, żeby przy nim czytać. Słowa Bena widnieją w rzędach, zaczynając od góry. Na początku jest napisane *Idź do*, to z całą pewnością pierwsze słowa, potem jest parę dłuższych, których nie mam teraz czasu sylabizować, a potem parę wielkich akapitów, których *naprawdę* nie mam teraz czasu odcyfrowywać, ale na samym dole strony Ben podkreślił całą grupę słów.

Patrzę na dziewczynę, która nadal się kiwa, po czym odwracam się do niej plecami. Kładę palec na pierwszym z podkreślonych słów.

Zobaczmy. *Fy? Ty, to musi być ty. Ty Dobra, ja co? M. Mn? Mnsi? Mnsisz? Ty mnsisz. Ty mnsisz? A co to do pioruna ma znaczyć? Idh. Idh. Idh? Os. Ostrz? Ostrzce. Ty mnsisz idh ostrzce?* Nie, moment, *ich*. Tu jest napisane *ich*, idioto.

Ale *Ty mnsisz ich ostrzce?*

Że co?

Pamiętacie, jak mówiłem, że Ben próbował mnie nauczyć czytania? Pamiętacie, jak mówiłem, że nie wychodzi mi to najlepiej? No cóż...

No cóż, mniejsza z tym.

Ty mnsisz ich ostrzce.

*Idiota.*

Znów patrzę na notes, kartkuję go. Tuziny stron, tuziny i tuziny, na każdej pełno słów, a wszystkie one nic mi nie mówią, nie ma tam żadnych odpowiedzi.

Durny, kuźwa, notes.

Z powrotem wsuwam mapę do środka, zatraskuję go i rzucam na ziemię.

Ty *idioto*.

– Durny, kuźwa, notes! – wołam, tym razem na głos, kopiąc go w paprocie. Odwracam się z powrotem do dziewczyny, która nadal tylko się kiwa, tam i z powrotem, tam i z powrotem, i wiem, wiem, dobra, wiem, ale zaczyna mnie to wkurzać. Bo jeśli to jest ślepy zaułek, to ja nie mam nic więcej do zaoferowania, a ona w żaden sposób nie próbuje pomóc.

Mój Szum zaczyna trzeszczeć.

– Nie prosiłem się o to, wiesz? – mówię. Ona nawet nie raczy na mnie spojrzeć. – Hej! Mówię do ciebie!

Ale nic. Nic, nic, nic.

– NIE WIEM, CO ROBIĆ! – wrzeszczę. Wstaję i zaczynam tupać, krzycząc tak, że aż gardło mnie zaczyna boleć. – NIE WIEM, CO ROBIĆ! NIE WIEM, CO ROBIĆ! – Odwracam się z powrotem do dziewczyny. – PRZYKRO MI! Przykro mi, że spotkało cię nieszczęście, ale nie wiem, co mam zrobić w związku z tym I DO KUŻWY NĘDZY PRZESTAŃ SIĘ KIWAĆ!

– Wrzeszczysz, Todd – szczeka Manczi.

– Arrghh! – krzyczę, zakrywając rękami twarz. Opuszczam je i nic się nie zmieniło.

Oto, czego się uczę w kwestii radzenia sobie po tym, jak cię wykopią w świat. Nikt *nic* dla ciebie nie robi. Jeśli sam czegoś nie zmienisz, nie

będzie zmienione.

– Musimy iść dalej – mówię, nielicho wkurzony, podnosząc plecak. – Jeszcze się nie zaraziłaś, więc może po prostu trzymaj się ode mnie na dystans i nic ci nie będzie. Głowy za to nie dam, ale innego wyjścia nie ma, więc musimy tak zrobić i tyle.

Kiwu, kiwu, kiwu.

– Nie możemy zawrócić, więc musimy iść naprzód i koniec, kropka.

A ta dalej się kiwa.

– WIEM, że mnie SŁYSZYSZ!

Ani drgnie.

I nagle znów jestem zmęczony jak nie wiem co.

– W porządku – wzdycham. – W porządku, jak chcesz, siedź tu i się kiwaj. Kogo to obchodzi? Komu to, cholera, robi jakąś różnicę?

Patrzę na notes leżący na ziemi. Durny pamiętnik. Ale jest teraz mój, więc schylam się, podnoszę go, wkładam z powrotem do plastikowego worka, potem do plecaka, i znowu zakładam plecak.

– Chodź, Manczi.

– Todd?! – szczeka mój pies, patrząc to na mnie, to na dziewczynę. – Nie może odejść, Todd!

– Ona może z nami iść, jeśli zechce – mówię – ale...

Tak naprawdę wcale nie wiem, co znaczy to *ale*. Ale jeśli zechce tu zostać i umrzeć całkiem sama? Ale jeśli woli wrócić, żeby pan Prentiss junior mógł ją złapać? Ale jeśli chce zaryzykować, że złapie ode mnie zarazek Szumu i umrze w ten sposób?

Co za durny świat.

– Hej – mówię, starając się, żeby mój głos brzmiał trochę delikatniej, ale mój Szum tak szaleje, że to właściwie nie ma sensu. – Wiesz, dokąd szliśmy, prawda? W kierunku rzeki płynącej między górami. Po prostu idź wzdłuż niej, aż dotrzesz do osady, dobra?

Może mnie słyszy, a może nie.

– Będę się za tobą rozglądał – mówię. – Rozumiem, jeśli nie chcesz podchodzić za blisko, ale będę się za tobą rozglądał.

Stoję tam jeszcze przez minutę, żeby zobaczyć, czy coś do niej

dotarło.

– No cóż – mówię w końcu. – Miło było cię poznać.

Zaczynam odchodzić. Gdy dochodzę do wielkiej kępy krzewów, odwracam się, dając jej jeszcze jedną szansę. Ale nic się nie zmieniło, ona nadal tylko się kiwa i kiwa.

Czyli to by było na tyle. Odchodzę. Manczi z ociąganiem truchta za mną, oglądając się, kiedy tylko może, i cały czas wyszczekując moje imię.

– Todd! Todd! Odchodzi, Todd? Todd! Nie może odejść, Todd! – W końcu daję mu klapsa w tyłek. – Au, Todd?

– Nie wiem, Manczi, więc przestań się dopytywać.

Idziemy z powrotem przez las do miejsca, gdzie grunt staje się suchszy, na polanę i w górę na małe wzniesienie, gdzie zjedliśmy śniadanie i patrzyliśmy na piękny dzień i błysnąłem genialną dedukcją czy jak tam to się mówi, że dziewczynę czeka śmierć.

Na małe wzniesienie, gdzie jej torba wciąż jeszcze leży na ziemi.

– A niech to szlag!

Patrząc na nią przez sekundę i jedno wynika z drugiego, nie? Znaczący się, powinienem jej tę torbę odnieść? Czy po prostu mieć nadzieję, że ją znajdzie? Czy ściągnę na nią niebezpieczeństwo, jeśli to zrobię? A może jeśli tego nie zrobię?

Słońce weszło już wysoko, a niebo jest niebieskie niczym świeże mięso. Kładę ręce na biodrach i rozglądam się długo, tak jak ludzie to robią, gdy się namyślają. Patrząc na horyzont, spoglądam z powrotem w kierunku, z którego przyszliśmy. Większa część mgieł już opadła, a cały bagieny las zalany jest blaskiem słońca. Ze szczytu pagórka można ogarnąć wzrokiem cały jego obszar, całą tę przestrzeń, którą przeszliśmy na piechotę, aż padliśmy nad ranem. Gdyby powietrze było dostatecznie czyste i miałoby się wystarczająco dobrą lornetkę, pewnie dałoby się stąd zobaczyć osadę.

Dobrą lornetkę.

Patrząc w dół, na torbę dziewczyny, leżącą na ziemi.

Sięgam po nią, gdy nagle wydaje mi się, że coś słyszę. Jak szepc. Mój szum się wzdryga i podnoszę wzrok, żeby sprawdzić, czy dziewczyna

jednak postanowiła pójść za mną. Ta myśl napełnia mnie większą ulgą niż miałbym chęć przyznać.

Ale to nie dziewczyna. Znów to słyszę. Szept. Więcej niż jeden szept. Jakby wiatr niósł ze sobą szepty.

– Todd? – pyta Manczi, węsząc.

Mrużę oczy przed słońcem, żeby popatrzeć do tyłu, na bagna.

Czy coś tam jest?

Łapię torbę dziewczyny i przepatruję zawartość w poszukiwaniu lornetki. Są tam różne fajowe rzeczy, ale ja wyciągam lornetkę i przykładam do oczu.

Widzę tylko bagna, wierzchołki bagiennych drzew, małe rozlewiska, gdzie stoi woda, i formującą się z powrotem rzekę. Opuszczam lornetkę i oglądam ją. Wszędzie są małe guziki; wciskam kilka i załamuję, że mogę sprawić, aby wszystko stało się jeszcze bliższe. Robię to kilka razy i teraz jestem już pewien, że słyszę szepty. Jestem tego pewien.

Odnajduję przecinkę w bagnie, rów, odnajduję wrak statku dziewczyny, ale nic tam nie ma prócz tego, co myśmy zostawili. Spoglądam ponad lornetką, zastanawiając się, czy widzę ruch. Znów patrzę przez nią, trochę bliżej nas, tam, gdzie drzewa tak jakby szeleszczą.

Ale to tylko wiatr, co nie?

Patrzę tam i z powrotem, wciskając guziki, żeby przybliżyć i oddalać obraz, ale wciąż wracam do tych szeleszczących drzew. Kieruję lornetkę na taki jakby kręty jar pomiędzy mną a nimi.

Trzymam tam lornetkę.

Trzymam tam lornetkę i patrzę, a kiszki mi się skręcają. Może słyszę szeptanie, a może nie.

Patrzę.

Aż szelest dociera do polany i widzę, jak sam burmistrz wyjeżdża konno spomiędzy drzew, a za nim inni ludzie, też na koniach.

I zmierzają prosto w naszą stronę.

## 12

# Most

Burmistrz. Nie tylko jego syn, ale sam burmistrz. Ze swoim czystym kapeluszem i czystą twarzą i czystym ubraniem i błyszczącymi butami i wyprostowaną sylwetką. Nie widzujemy go za często w Prentissstown, już nie, jeśli ktoś nie należy do ścisłego kółka jego wielbicieli, ale gdy się pojawia, zawsze wygląda tak jak teraz, nawet widziany przez lornetkę. Jakby dawał do zrozumienia, że on umie o sobie zadbać, a ty nie.

Wciskam jeszcze parę guzików, aż widzę ich z tak bliska, jak się da. Jest ich pięciu, nie, sześciu – tych mężczyzn, których Szum można usłyszeć, gdy wykonują te swoje niesamowite ćwiczenia w domu burmistrza. **JA JESTEM KRĘGIEM, A KRAJ JEST MNAJ**, te sprawy. Pan Collins, pan MacInerney, pan O'Hare i pan Morgan, wszyscy na koniach, co stanowi rzadki widok, bo konie ciężko utrzymać przy życiu na Nowym Świecie, a osobistego stada burmistrza pilnuje cała drużyna mężczyzn ze strzelbami.

I jest też pan cholerny Prentiss junior. Jedzie tuż obok ojca, a oko ma pięknie podbite po tym, jak Cillian go rąbnął. Świetnie.

Ale potem dociera do mnie, co to znaczy: cokolwiek stało się na farmie, definitywnie jest już zakończone. Cokolwiek stało się z Benem i Cillianem, już po wszystkim. Na sekundę opuszczam lornetkę i przełykam ślinę.

Z powrotem podnoszę lornetkę do oczu. Grupa zatrzymała się na moment i rozmawiają między sobą, oglądając wielką płachtę papieru, która musi być o wiele lepszą mapą od mojej, po czym...

O ludzie.

O ludzie, ja chyba śnię.

Aaron.

Aaron wychodzi zza drzew za ich plecami.

Przekłęty, śmierdzący, durny, pieprzony Aaron.

Większą część jego głowy spowijają bandaże, ale chodzi tam i z powrotem kawałek za burmistrzem, wymachując rękami w powietrzu. Wygląda tak, jakby głosił kazanie, choć zdaje się, że nikt go nie słucha.

JAKIM CUDEM? Jakim cudem mógł przeżyć? Czy on nigdy, kuźwa, nie umrze?

To moja wina. Moja, kuźwa, durna wina. Bo jestem tchórzem. Jestem słabym, głupim tchórzem i przeze mnie Aaron żyje i teraz prowadzi burmistrza za nami przez te cholerne bagna. Przez to, że ja go nie zabiłem, on teraz zabije mnie.

Mdli mnie. Zginam się w pół i łapię się za brzuch, pojękując. Krew tętni we mnie tak mocno, że słyszę, jak Manczi się ode mnie odsuwa.

– To moja wina, Manczi – mówię. – To przeze mnie.

– To przez ciebie – odpowiada mój pies. Jest zdezorientowany i powtarza po mnie, ale ma sto procent racji, co nie?

Zmuszam się, żeby znowu popatrzeć przez lornetkę i widzę, że burmistrz woła Aarona. Odkąd ludzie zaczęli słyszeć ich myśli, Aaron uważa, że zwierzęta są nieczyste i nie chce się do nich zbliżać, więc burmistrz musi go zawołać kilka razy, ale w końcu Aaron niechętnie podchodzi, żeby popatrzeć na mapę. Słucha, podczas gdy burmistrz o coś go pyta.

A potem podnosi wzrok.

Patrzy poprzez gałęzie bagiennych drzew, w niebo.

Patrzy w kierunku tego pagórka.

Patrzy prosto na mnie.

Nie widzi mnie. Nie ma mowy. No nie? Nie bez takiej lornetki, jak ta dziewczyny, a nie widzę, żeby któryś z mężczyzn miał podobną, nigdy nie widziałem *niczego* podobnego w Prentisstown. Nie widzi mnie. Nie ma ludzkiej mocy, żeby mnie widział.

Ale niczym wielki, bezlitosny robot, Aaron podnosi rękę i wskazuje, wskazuje prosto na mnie, jakbym siedział przy stole naprzeciwko niego.

Biegnę, nie zastanowiwszy się nawet, co robię. Gnam z powrotem w dół z boczka w kierunku dziewczyny, sięgając do tyłu i wyciągając nóż, a



Manczi leci za mną, szczekając jak opętany. Wpadam między drzewa, pędzę w dół, okrążam wielką kępę krzewów i widzę, że dziewczyna nadal siedzi na swoim głązie, ale przynajmniej podnosi wzrok, gdy do niej podbiegam.

– Chodź! – wołam, łapiąc ją za ramię. – Musimy iść!

Próbuje się wyrwać, ale ja nie puszczam.

– Nie! – krzyczę. – Musimy iść! TERAZ!

Dziewczyna zaczyna mnie bić pięściami, kilkakrotnie trafiając prosto w twarz.

Ale ja nie zamierzam jej puścić.

– SŁUCHAJ! – mówię, po czym otwieram przed nią swój Szum. Dziewczyna uderza mnie jeszcze raz, ale potem patrzy na to, co napływa ku niej, widzi obrazy tego, co na nas czeka na bagnach. Wróć – tego, co na nas nie czeka, tylko robi wszystko, żeby nas dogonić i złapać. Aaron, który nie chce umrzeć, wytężający wszystkie myśli, żeby nas odnaleźć, i tym razem zmierzający ku nam razem z mężczyznami jadącymi na koniach. Które są o wiele szybsze niż my.

Jej twarz się wykrzywia, jakby w strasznym bólu. Dziewczyna otwiera usta, jakby chciała krzyczeć, ale nic się z nich nie wydobywa. Nadal nic. Nadal żadnego Szumu, żadnego dźwięku, zupełnie nic.

Nie kapuję tego i już.

– Nie wiem, co jest przed nami – mówię. – Nie wiem nic o niczym, ale cokolwiek to jest, musi być lepsze niż to, co jest za nami. Musi być.

A gdy dziewczyna mnie słyszy, jej twarz się zmienia. Wyglądają się, tak że znów jest niemal bez wyrazu, zaś usta zaciskają się w kreskę.

– Iść! Iść! Iść! – szczeka Manczi.

Dziewczyna wyciąga rękę po swoją torbę. Podaję jej. Ona wstaje, wsuwa lornetkę do środka, zarzuca torbę na ramię i patrzy mi w oczy.

– W porządku – mówię.

I tym sposobem ruszam biegiem w kierunku rzeki po raz drugi w ciągu dwóch dni, znów razem z Manczim, ale tym razem pędzi za mną również dziewczyna.

No dobra, przez większość czasu pędzi przede mną. Jest szybka jak

diabli.

Wspinamy się z powrotem na pagórek i zbiegamy po drugiej stronie. Wokół nas mokradła zaczynają już ostatecznie zanikać, przechodząc w zwykły las. Grunt staje się dużo twardszy i łatwiej po nim biec, a teren częściej opada niż się wznosi, więc po raz pierwszy można powiedzieć, że mamy odrobinę szczęścia. Gdy biegniemy, między drzewami po lewej stronie co jakiś czas miga nam rzeka. Plecak obija mi się o plecy i z trudem łapię oddech.

Ale mocno trzymam nóż.

Przysięgam. Przysięgam na Boga czy na kogo tam. Jeśli jeszcze kiedykolwiek będę miał Aarona w zasięgu ręki, zabiję go. Nie zawaham się drugi raz. Nie ma mowy. Nie ma bata. Zabiję go. Przysięgam to wam.

Zabiję go.

Zabiję go, do kuźwy nędzy.

Zobaczycie.

Grunt, po którym biegniemy, przechodzi w mały jar, który prowadzi nas między rzadszymi, bardziej ulistnionymi drzewami, to bliżej rzeki, to dalej od niej, znów i znów. Biegniemy. Manczi dyszy, jęzor zwisa mu z pyska, podskakując przy każdym kroku. Moje serce tłucze się w tempie milion uderzeń na minutę, a nogi mi zaraz odpadną, ale biegniemy.

Znów skręcamy bliżej wody i wołam:

– Czekaj!

Dziewczyna, która wysforowała się dosyć daleko do przodu, przystaje. Podbiegam na sam brzeg rzeki, rozglądam się szybko, czy w pobliżu nie ma kroksów, po czym schylam się, nabieram w dłonie wody i piję kilka razy. Woda smakuje lepiej niż powinna. Kto wie, co w niej jest, skoro wypływa z bagien, ale trzeba się napić. Czuję, jak cisza dziewczyny nachyla się tuż obok mnie, gdy ona też pije. Odsuwam się kawałek. Manczi chłopcze i słyhać, jak wszyscy łapiemy wielkie, rozdygotane hausty powietrza między kolejnymi łykami.

Ocierając usta, patrzę w kierunku, w którym zmierzamy. Teren przy samej rzece zaczyna się stawać zbyt kamienisty i stromy, żeby tędy biec, ale widzę ścieżkę wyciętą w zaroślach porastających skarpe, biegnącą

wzdłuż kanionu, górą.

Mrugam, gdy dociera to do mnie.

Widzę ścieżkę. Ktoś tu wyciął ścieżkę.

Dziewczyna odwraca się i patrzy. Ścieżka biegnie w górę, a później prosto, podczas gdy rzeka w dole płynie coraz niżej, staje się głębsza, bardziej wartka i przechodzi w wodospady. Ktoś zrobił tę ścieżkę.

– Musi prowadzić do tej drugiej osady – mówię. – Na pewno.

A potem w oddali słyszymy stukot kopyt. Cichy, ale coraz bliższy

Nie mówię więcej ani słowa, bo już znowu biegniemy ścieżką pod górę. Rzeka jest coraz dalej i dalej pod nami, a na jej drugim brzegu wznosi się ta większa góra. Po naszej stronie, za kanionem, rozpościera się gęsty las. Ścieżka najwyraźniej została wycięta po to, żeby ludzie mieli którąś podróżować w dół rzeki.

Jest tak szeroka, że bez problemu można nią jechać konno. Pięć czy sześć koni przejedzie tędy bez najmniejszego kłopotu.

To nie jest żadna ścieżka, uświadamiam sobie. To droga.

Pędzimy nią, mijając zakręt za zakrętem, dziewczyna na przedzie, potem gnający za nią Manczi.

Aż wtem prawie zderzam się z nią, mało nie zrzucając jej w dół.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczę, łapiąc ją za ramiona, żebyśmy oboje nie zlecieli w przepaść, i próbując jej niechcący nie zabić nożem.

A potem widzę to, co widzi ona.

Most, daleko przed nami. Sięga od jednego zbocza kanionu do drugiego, a rzeka płynie pewnie ze trzydzieści, czterdzieści metrów pod nim. Droga czy ścieżka czy co to tam jest urywa się po naszej stronie mostu, a dalej są skały i gęsty las. Nie da się przejść inaczej niż mostem.

W mojej głowie zaczynają się formować pierwsze zarysy pomysłu.

Stukot kopyt staje się głośniejszy. Oglądam się do tyłu i widzę chmury pyłu wznoszące się tam, gdzie burmistrz gna za nami.

– Chodź! – wołam, przebiegając obok dziewczyny, zmierzając w stronę mostu tak szybko, jak jestem w stanie. Z tupotem pędzimy drogą, też wzbijając kurz. Manczi położył uszy po sobie i gna co tchu. Dobiegamy do mostu i widzimy, że jest wielki, nie tylko dla piechurów,

szeroki na dwa metry albo lepiej. Wygląda na to, że jest zrobiony z lin przywiązanych do drewnianych słupów wbitych w skałę po obu stronach przepaści. Ciasno ułożone drewniane deski biegną od jednego końca do drugiego.

Sprawdzam go stopą i jest tak solidny, że nawet się nie kołysze. Więcej niż wystarczająco solidny, aby utrzymać mnie, dziewczynę i psa.

Co gorsza – więcej niż wystarczająco solidny, żeby utrzymać jeźdźców, którzy zechcą po nim przejechać konno.

Ktokolwiek zbudował ten most, chciał, żeby był trwały.

Znów spoglądam do tyłu, wzdłuż rzeki, na drogę, tam gdzie biegliśmy. Więcej pyłu, głośniejszy stukot kopyt i przybliżające się szeptanie – Szum mężczyzn zmierzających w naszą stronę. Mam wrażenie, że słyszę słowa „młody Todd”, ale to musi być złudzenie, bo jeśli Aaron podąży za nimi pieszo, to musiał zostać daleko z tyłu.

Ale widzę też to, co chciałem zobaczyć: ten most jest jedynym miejscem, gdzie można się przeprowić przez rzekę, od trasy, którą biegliśmy, przez całe mile naprzód, jak tylko można sięgnąć wzrokiem.

Może znów mamy szczęście.

– Chodźmy – mówię. Przebiegamy na drugą stronę. Most jest tak dobrze zrobiony, że nie widać nawet szczelin między deskami. Równie dobrze moglibyśmy nadal być na drodze. Jesteśmy już po drugiej stronie i dziewczyna się zatrzymuje, odwraca do mnie. Bez wątplenia widzi w moim Szumie pomysł, na który wpadłem, i czeka, aż zacznę go wprowadzać w czyn.

Nadal mam w garści nóż. Można nim całkiem sporo zdziałać.

Może wreszcie będę mógł nim zdziałać coś dobrego.

Spoglądam tam, gdzie koniec mostu po naszej stronie uwiązany jest do słupów wbitych w skałę. Nóż ma na części klingi groźne zębate ostrze, więc wybieram najbardziej obiecujący węzeł i zaczynam go piłować.

Piłuję i piłuję.

Stukot kopyt staje się coraz głośniejszy, niesie się echem przez kanion.

Ale gdyby nagle *nie było* już mostu...

Piłuję dalej.

I jeszcze.

I jeszcze.

I w ogóle nie widać, żeby nóż naruszył linę.

– Co jest, do cholery? – pytam, patrząc na miejsce, gdzie usiłowałem ją przeciąć. Nie widać tam nawet zadrapania. Dotykam palcem ząbków na ostrzu noża, a one prawie natychmiast rozcinają skórę, tak że pojawia się krew. Przyglądam się linie z bliska. Wygląda na to, że jest pokryta cienką warstwą jakiejś żywicy.

Jakiejś cholernej, twardej jak stal żywicy, której nie da się przeciąć.

– Nie wierzę – mówię, podnosząc wzrok na dziewczynę. Przyłożyła lornetkę do oczu, spoglądając wstecz, na drogę biegnącą wzdłuż rzeki.

– Widzisz ich?

Patrzę w tym samym kierunku, ale widać ich nawet bez lornetki. Wystarczy własnych dwoje oczu. Malutkie sylwetki, ale coraz większe, i nie zwalniają – gnają tu jak szaleni, z grzmiącym łomotem kopyt.

Mamy trzy minuty. Może cztery.

Szlag.

Zaczynam znowu piłować, tak szybko i mocno, jak tylko jestem w stanie, zmuszając się do ruszania ręką tam i z powrotem, naciskając z całej siły. Pot leje się ze mnie strumieniami, a różne nowe miejsca zaczynają boleć, żeby te, które bolały już wcześniej, miały towarzystwo. Piłuję i piłuję i piłuję, a pot kapie mi z nosa na nóż.

– Dawaj, dawaj – mruczę przez zęby.

Podnoszę nóż. Udało mi się przepiłować jeden malutki kawałek żywicy na jednym malutkim węźle w jednym wielkim, kuźwa, moście.

– Niech to szlag! – Spluwam.

Piłuję dalej i dalej i dalej. I jeszcze i jeszcze. Pot spływa mi do oczu, które zaczynają piec.

– Todd! – szczeka Manczi, siejąc wokół przerażeniem.

Piłuję dalej. I jeszcze.

Ale efekt jest tylko taki, że nóż się zahacza, tak że walę dłońią o słup,

rozkrwawiając sobie kostki.

– NIECH TO SZLAG! – wrzeszczę, rzucając nóż na ziemię. Odbija się, lądując przy samych stopach dziewczyny. – NIECH TO WSZYSTKO JASNY SZLAG!

Bo to by było na tyle, co nie?

To koniec wszystkiego.

Nasza jedna głupia szansa wcale nie była szansą.

Nie jesteśmy w stanie uciec przed końmi ani zwalić w przepaść durnego, olbrzymiego mostu i zostaniemy złapani. Ben i Cillian nie żyją i my też zostaniemy zabici i świat się skończy i to by było na tyle.

W moim Szumie nagle wybucha czerwień, niepodobna do niczego, co czułem kiedykolwiek wcześniej, nagła i brutalna, jak rozpalona żagiew wciśnięta w sam środek mnie, paląca jaskrawa czerwień wszystkiego, co mnie zraniło i nadal sprawia ból, dzika wściekłość na całą niesprawiedliwość i bezprawie i wszystkie kłamstwa.

A wszystko sprowadza się do jednej rzeczy.

Podnoszę wzrok na dziewczynę, a ona cofa się, wyczuwając moją furję.

– Ty – mówię i żadna siła mnie już nie uciszy. – Wszystko to przez ciebie! Gdybyś się nie pojawiła na tych cholernych bagnach, nic z tego by się nie wydarzyło! Byłbym teraz W DOMU! Zajmowałbym się, kuźwa, owcami i mieszkałbym, kuźwa, z moją rodziną i spałbym we własnym, KUŹWA, ŁÓŻKU!

Tyle że nie mówię „kuźwa”.

– Ale NIE! – kontynuuję, krzycząc jeszcze głośniejsze. – TY się musiałaś zjawić! TY i twoja CISZA! I wszystko się ZRYPAŁO!

Nie zdaję sobie sprawy, że idę w jej stronę, do momentu, gdy widzę, że ona zaczyna się cofać. Ale wciąż tylko na mnie patrzy.

I nie słyszę, kuźwa, nic a nic.

– Jesteś NICZYM! – wrzeszczę, dając jeszcze parę kroków naprzód. – NICZYM! Jesteś tylko PUSTKĄ! Nic w tobie nie ma! Jesteś PUSTA i jesteś NICZYM i umrzemy ZA NIC!

Pięści mam zaciśnięte tak mocno, że paznokcie wbijają się w ciało.

Jestem tak wściekły, mój Szum ryczy tak głośno, płonie taką czerwienią, że muszę się na nią zamierzyć pięściami, muszę ją uderzyć, muszę ją zbić, muszę ZAGŁUSZYĆ jej cholerną ciszę, zanim POŁKNIE MNIE I CAŁY, KUŻWA, ŚWIAT!

Robię zamach pięścią i walę się z całej siły w twarz.

Robię to jeszcze raz, uderzając tam, gdzie moje oko jest zapuchnięte po ciosie Aarona.

I po raz trzeci, rozwalając wargę rozciętą w miejscu, gdzie Aaron mnie rąbnął wczoraj rano.

Ty durniu, ty beznadziejny durniu.

Robię to jeszcze raz, na tyle mocno, że tracę równowagę. Upadam, podpieram się rękami i wypluwam trochę krwi na ścieżkę.

Podnoszę wzrok na dziewczynę, dysząc ciężko.

Nic. Po prostu patrzy na mnie i nic.

Oboje odwracamy się, żeby zobaczyć, co się dzieje za rzeką. Pościg dotarł już w miejsce, skąd wyraźnie widać most. Wyraźnie widać nas po drugiej stronie. Widzimy twarze jadących mężczyzn. Słyszymy jazgot ich Szumu, płynącego w górę rzeki, ku nam. Pan MacInerney, najlepszy z jeźdźców burmistrza, jest na przedzie, a burmistrz zaraz za nim. Minę ma tak spokojną, jakby wybrał się tylko na niedzielną przejażdżkę. Mamy może minutę czasu, pewnie mniej. Odwracam się z powrotem do dziewczyny, próbując wstać, ale jestem taki zmęczony. Tak strasznie zmęczony.

– Równie dobrze możemy uciekać – mówię, wypluwając więcej krwi.

– Równie dobrze możemy spróbować.

I widzę, jak jej mina się zmienia.

Jej usta otwierają się szeroko, oczy też. Nagle łapie swoją torbę i zaczyna w niej grzebać.

– Co ty robisz? – pytam.

Wyciąga ogniowe pudełko i rozgląda się, aż widzę, że zauważyła spory kamień. Stawia pudełko na ziemi i podnosi kamień.

– Nie, czekaj, może się nam jeszcze...

Kamień trafia w pudełko, które pęka z trzaskiem. Dziewczyna

chwytają je i wykręcają mocno, żeby poszerzyć pęknięcie. Ze środka zaczyna wyciekać jakiś płyn. Dziewczyna podbiega do mostu i zaczyna ochlapywać tym płynem węzły na najbliższym słupie, po czym wytrząsa ostatnie krople u jego podstawy, gdzie tworzy się kałuża.

Jeźdźcy zbliżają się do mostu, coraz bliżej, bliżej, bliżej...

– Pośpiesz się! – mówię.

Dziewczyna odwraca się do mnie, gestami nakazuje mi odejść do tyłu. Cofam się kawałek, po drodze łapiąc Mancziego za skórę na karku i też go odciągając. Dziewczyna daje krok do tyłu i trzymając pudełko w wyciągniętej ręce wciska guzik na nim. Słyszę kliknięcie. Rzuciła pudełko w powietrze i skacze do tyłu, ku mnie.

Konie docierają do mostu...

Dziewczyna ląduje tuż koło mnie i patrzymy, jak ogniowe pudełko spada...

Spada...

Spada...

W stronę małej kałuży płynu, klikając w locie...

Koń pana MacInerny'ego stawia kopyto na moście...

Ogniowe pudełko ląduje w kałuży...

Klika jeszcze raz...

A potem...

WUUUUUM!!!!

Powietrze zostaje wysane z moich płuc, gdy kula ognia, DUUŻO większa niż można byłoby się spodziewać po tak małej ilości płynu, sprawia, że świat wokół na sekundę cichnie, a potem...

BUUM!!!!!!

Rozwala liny i słup, obsypując nas płonącymi drzazgami, głusząc wszelkie myśli, Szum i dźwięki.

Gdy jesteśmy w stanie znowu podnieść wzrok, płomienie ogarnęły już tak dużą część mostu, że zaczyna się on przechylać. Widzimy, jak koń pana MacInerny'ego staje dęba i potyka się, próbując się wycofać i wpadając na cztery czy pięć innych nadjeżdżających koni.

Płomienie z rykiem nabierają dziwnej zielonej barwy i nagła fala



gorąca jest niewiarygodna, pali jak najgorsze oparzenie słoneczne i mam już wrażenie, że sami za moment zajmiemy się ogniem, gdy wtem ten koniec mostu po prostu się zapada, a pan MacInerney i jego koń spadają w przepaść. Siadamy i patrzymy, jak lecą i lecą i lecą, aż wpadają do rzeki tam w dole, o wiele zbyt daleko, żeby to przeżyć. Most nadal jest zamocowany do słupa po ich stronie i uderza o przeciwległą ścianę przepaści, ale płonie tak wściekle, że za chwilę cały się rozsypie w popiół. Burmistrz, pan Prentiss junior i reszta muszą wycofać swoje konie dalej od kanionu. Dziewczyna odpełza dalej ode mnie i leżymy tak przez chwilę, dysząc i kaszłąc, próbując się otrząsnąć z oszołomienia. Niech to szlag.

– Nic ci nie jest? – pytam Mancziego, którego nadal przytrzymuję ręką.

– Ogień, Todd! – odszczekuje.

– Tak. – Kaszlę. – Duży ogień. A tobie nic się nie stało? – pytam dziewczynę, która nadal kuli się przy ziemi i kaszle. – Ludzie, co było w tym pudełku?

Ale ona, oczywiście, nic nie mówi.

– TODDZIE HEWITT! – słyszę krzyk z przeciwległej strony kanionu.

Podnoszę wzrok. To burmistrz. Po raz pierwszy krzyczy coś do mnie osobiście, przez fale dymu i żaru, które sprawiają, że jego sylwetka się zamazuje.

– Nie skończyłem z tobą, młody Toddzie – woła, przekrzykując trzaski płonącego mostu oraz ryczący nurt daleko w dole. – Nie myśl sobie.

I jest spokojny, nadal cholernie wymuskany i wygląda tak, jakby żadna siła nie mogła go powstrzymać przed zdobyciem tego, co chce dostać.

Wstaję, wyciągam rękę i pokazuję mu środkowy palec, ale on już znika za wielkimi chmurami dymu.

Kaszlę i znów spluwam krwią.

– Musimy iść – mówię, nadal kaszłąc. – Może zawrócą, może nie ma innego miejsca, gdzie można się przeprawić przez rzekę, ale nie

powinniśmy tu czekać, żeby się o tym przekonać.

Widzę nóż leżący w pyłe. Od razu zalewa mnie wstyd, jak zupełnie nowy rodzaj bólu. Rzeczy, które wykrzyczałem. Schylam się, podnoszę nóż i wsuwam z powrotem do pochwy.

Dziewczyna nadal klęczy ze zwieszoną głową i kaszle. Podnoszę jej torbę i podaję, żeby mogła ją założyć.

– Chodź – mówię. – Może chociaż wyjdźmy z tego dymu.

Podnosi na mnie wzrok.

Odwzajemniam jej spojrzenie. Twarz mnie pali, i to nie od gorąca.

– Przepraszam. – Odwracam od niej wzrok, od jej oczu i twarzy, równie pozbawionej wyrazu i milczącej co zawsze.

Zaczynam iść.

– Viola – słyszę.

Odwracam się gwałtownie, patrzę na nią.

– Co? – pytam.

A ona na mnie patrzy. Otwiera usta. Mówi.

– To moje imię – powiada. – Jestem Viola.

# CZĘŚĆ 3

# 13

## Viola

Przez dobrą minutę nie odzywam się ani słowem. Ona też. Ogień płonie, dym się wznosi, jezioro dyszącego w oszołomieniu Mancziego zwisa, aż w końcu mówię:

– Viola.

Ona kiwa głową.

– Viola – mówię raz jeszcze.

Tym razem już nie ma kiwnięcia.

– Jestem Todd – mówię.

– Wiem – odpowiada.

Wyraźnie unika patrzenia mi w oczy.

– Czyli potrafisz mówić? – pytam, ale ona tylko spogląda szybko na mnie, po czym odwraca wzrok. Znowu spoglądam na płonący most. Dym ściele się między nami a drugą stroną rzeki i nie jestem pewien, czy dzięki temu czuję się bezpieczniej, czy nie, czy nie widzieć burmistrza i jego ludzi jest lepiej niż ich widzieć.

– To było... – zaczynam mówić, ale ona już wstaje i wyciąga rękę po swoją torbę.

Uświadamiam sobie, że nadal ją trzymam.

– Musimy iść dalej – powiada dziewczyna. – Oddalić się stąd.

Jej akcent jest dziwny, brzmi inaczej niż mój, inaczej niż akcent kogokolwiek w Prentisstown. Jej wargi w inny sposób wymawiają litery, jakby te litery sfruwały na nie z góry, układając je we właściwy kształt, instruując je, co powiedzieć. W Prentisstown wszyscy mówią tak, jakby podkradali się do swoich słów, gotowi rąbnąć je znieścacka pałką.

Manczi jest nią zachwycony i onieśmielony.

– Oddalić – powtarza, gapiąc się na nią z zadartym pyskiem, jakby

była zrobiona z czegoś smacznego.

Czuję, że mógłbym zacząć ją pytać o różne rzeczy, skoro już zaczęła mówić. Mógłbym ją zasypać wszystkimi pytaniami, jakie mi przychodzą do głowy – kim ona jest, skąd pochodzi, co się stało, i te pytania kotłują się w moim Szumie, lecą w jej stronę jak śrut, ale tyle rzeczy próbuje się wydostać z moich ust, że nie wydostaje się z nich nic, więc moje usta pozostają nieruchome, a dziewczyna zarzuca torbę na ramię, spuszcza wzrok, po czym przechodzi obok mnie, obok Mancziego i rusza szlakiem pod górę.

– Hej – mówię. Zatrzymuje się i odwraca.

– Zaczekaj na mnie – mówię.

Podnoszę plecak, zarzucając go na ramiona. Przyciskam dłońią nóż, bezpieczny w pochwie przypiętej za moimi plecami. Ruchem ramion poprawiam plecak, mówię: – Chodź, Manczi – i my też ruszamy pod górę, w ślad za dziewczyną.

Po tej stronie rzeki droga skręca i powoli oddala się od przepaści, zagłębiając się w teren porośnięty gęstymi, kolczastymi zaroślami i krzakami. Okrąża większą górę, która wznosi się po naszej lewej ręce, po czym zostawia ją z tyłu.

W miejscu, gdzie szlak zakręca, oboje zatrzymujemy się i bez słowa spoglądamy do tyłu. Most nadal płonie jak nie wiem co, zwisając po drugiej stronie przepaści niczym wodospad ognia. Płomienie pożerają go na całej długości, wściekłe, zielonkawożółte. Dym jest tak gęsty, że nadal nie sposób zobaczyć, co robi burmistrz i jego ludzie, co zrobili, czy odjechali, czy też nadal tam czekają, albo jeszcze coś innego. Możliwe, że dolatuje stamtąd szept Szumu, ale możliwe też, że nie dolatuje stamtąd szept Szumu, bo ogień huczy, drewno trzeszczy, a w dole szumi wzburzona woda. Na naszych oczach ogień do reszty kasuje słupy po przeciwległej stronie kanionu i z głośnym trzask płonący most spada, spada, spada, objając się o skały, po czym z pluskiem wpada do rzeki, posyłając w górę jeszcze większe obłoki dymu i pary, które zasnuwają wszystko..

– Co było w tym pudełku? – pytam dziewczynę.

Ona spogląda na mnie, otwiera usta, ale potem je zamyka i odwraca się.

– Nie bój się – mówię. – Nie zrobię ci krzywdy.

Dziewczyna znów spogląda na mnie, a mój Szum jest pełen tego, co działo się zaledwie kilka minut temu, kiedy zamierzałem zrobić jej krzywdę, kiedy zamierzałem...

Ech, nieważne.

Nie mówimy już nic więcej. Dziewczyna odwraca się i rusza ścieżką, a Manczi i ja idziemy w ślad za nią, zagłębiając się w zarośla.

Świadomość, że ona potrafi mówić, nijak nie pomaga znosić ciszy. Świadomość, że w jej głowie są słowa, nic nie znaczy, jeśli te słowa słyhać tylko wtedy, kiedy mówi. Patrząc na tył jej głowy, kiedy idzie, nadal czuję, jak jej cisza przyciąga moje serce, nadal czuję się tak, jakbym poniósł okropną stratę, jakby spotkało mnie coś tak smutnego, że zbiera mi się na płacz.

– Płacz – szczeka Manczi.

Tył jej głowy po prostu idzie dalej.

Ścieżka nadal jest dość szeroka, wystarczająco szeroka dla koni, ale teren wokół nas staje się coraz bardziej kamienisty, a szlak się wiję. Nadal słyszymy w dole rzekę, płynącą teraz po naszej prawej stronie, ale wygląda na to, że trochę się od niej oddalamy. Zagłębiaamy się w obszar sprawiający wrażenie niemalże ogrodzonego przez skalne ściany, które od czasu do czasu pojawiają się po jednej i drugiej stronie, jakbyśmy szli po dnie pudełka. Małe kłujące świerczki wyrastają z każdej szczeliny, a wokół pni świerczków owijają się żółte kolczaste pnącza. Przechodząc obok, słyszymy jak syczą na nas jaszczurki brzytwowe. **Gryźć!** – odgłaszają się. **Gryźć! Gryźć!**

Wszystko, czego tutaj dotkniesz, zrobi ci krzywdę.

Po jakichś dwudziestu, trzydziestu minutach ścieżka dociera do miejsca, gdzie staje się szersza, gdzie zaczynają znowu rosnać prawdziwe drzewa i wygląda na to, że chyba z powrotem zaczyna się las. Jest trawa i trochę kamieni, wystarczająco niskich, żeby dało się na nich usiąść. I to właśnie robimy. Siadamy.

Wyciągam z plecaka trochę suszonej baraniny i nożem odcinam paski dla siebie, dla Mancziego oraz dla dziewczyny, która bierze swoją porcję, nic nie mówiąc. Siedzimy w pewnej odległości od siebie i jemy przez chwilę w milczeniu.

*Jestem Todd Hewitt* – myślę, zamykając oczy i żując. Wstydzę się swojego Szumu, teraz gdy już wiem, że ona go słyszy, gdy już wiem, że może o nim rozmyślać.

Rozmyślać o nim w sekrecie. *Jestem Todd Hewitt*.

*Za dwadzieścia dziewięć dni stanę się mężczyzną.* A to jest prawda, jak sobie uświadamiam, otwierając oczy. Czas płynie, nawet gdy tego nie śledzisz. Odgryzam kolejny kęs.

– Nigdy nie słyszałem o takim imieniu jak „Viola” – mówię po jakimś czasie, patrząc to w ziemię, to na mój pasek baraniny. Dziewczyna nic nie mówi, więc mimo woli zerkam na nią.

I odkrywam, że ona też patrzy na mnie.

– Co? – pytam.

– Twoja twarz – odpowiada. Marszczę brwi.

– Co jest z moją twarzą?

Dziewczyna zaciska obie pięści i udaje, że bije się nimi. Czuję, że oblewam się rumieńcem.

– Taa, no cóż.

– I po wcześniejszym też – dodaje. – Po tym, jak... – Urywa.

– Aaron – mówię.

– Aaron – szceka Manczi, a dziewczyna letko się wzdryga.

– Tak miał na imię – mówi. – No nie?

Przytakuję, żując baraninę.

– Ano – mówię. – Tak ma na imię.

– Ani razu nie powiedział go na głos. Ale wiedziałam, że tak się nazywa.

– Witaj na Nowym Świecie. – Odgryzam jeszcze jeden kęs. Muszę oderwać zębami szczególnie ciągnący się kawałek, co uraża jedno z wielu obolałych miejsc w moich ustach. – Au! – Wypluwam kęs baraniny i całe mnóstwo krwi.

Dziewczyna patrzy, jak pluje, po czym odkłada swoją porcję. Podnosi torbę, otwiera ją i znajduje małe niebieskie pudełko, nieco większe od zielonego ogniowego. Naciska guzik z przodu, żeby je otworzyć, a następnie wyjmuję coś, co wygląda jak biała sztuczna tkanina, oraz mały metalowy skalpel. Wstaje ze swojego kamienia i podchodzi do mnie, niosąc jedno i drugie.

Nadal siedzę, ale odchylam się do tyłu, gdy wyciąga ręce w stronę mojej twarzy.

– Opatrunki – mówi.

– Mam własne.

– Te są lepsze.

Odchylam się jeszcze bardziej.

– Twoja... – mówię, wypuszczając nosem oddech. – Twoja cisza tak jakby... – Nieznacznie potrząsam głową.

– Przeszkadza ci?

– Tak.

– Wiem – odpowiada dziewczyna. – Nie ruszaj się.

Uważnie ogląda opuchliznę wokół mojego oka, po czym odcina małym skalpelem kawałek opatrunku. Chce go nałożyć na moje oko, ale mimo woli cofam się przed jej dotykiem. Nic nie mówi, tylko trzyma dłonie w górze, jakby czekała. Biorę głęboki oddech, zamykam oczy i nadstawiam twarz.

Czuje, jak opatrunek dotyka napuchniętego miejsca, a ono natychmiast robi się chłodniejsze, ból zaczyna słabnąć, jakby coś go zmiatało miotełką z piór. Dziewczyna nakłada drugi na skaleczenie tuż pod linią włosów, potem jej palce muskają moją twarz, gdy przykleja trzeci tuż pod moją dolną wargą. Przynoszą taką ulgę, że jeszcze nawet nie otworzyłem oczu.

– Nie mam nic na twoje zęby – mówi.

– Nie szkodzi – odpowiadam, prawie szeptem. – O raju, faktycznie są lepsze od moich.

– Są częściowo żywe – mówi. – Syntetyczna ludzka tkanka. Kiedy rana się zagoi, umierają.



– Aha – odpowiadam, udając, że rozumiem, co to znaczy.

Następuje dłuższa chwila milczenia, na tyle długa, że z powrotem otwieram oczy. Dziewczyna cofnęła się do kamienia, na którym można usiąść, i siadła na nim, patrząc na mnie, patrząc na moją twarz.

Czekamy. Bo coś mi mówi, że tak trzeba.

I tak trzeba, bo po krótkiej chwili czekania ona zaczyna mówić.

– Rozbiliśmy się – zaczyna cicho, nie patrząc na mnie. Potem odchrząkuje i mówi to znowu. – Rozbiliśmy się. Był pożar i lecieliśmy nisko i sądziliśmy, że uda się nam bezpiecznie wylądować, ale coś się skopało z zaworami bezpieczeństwa i... – Rozkłada ręce, pokazując, co się stało po „i”. – Rozbiliśmy się.

Urywa.

– Czy to byli twoi mama i tatko? – pytam po chwili.

Ale ona tylko spogląda w górę, w niebo, niebieskie i jałowe, z chmurami wyglądającymi jak kości.

– A kiedy weszło słońce – kontynuuje – pojawił się tamten człowiek.

– Aaron.

– I to było strasznie dziwne. Krzyczał i wrzeszczał, a potem odchodził. A ja próbowałam uciekać. – Splata ręce na piersi. – Ciągłe próbowałam się ukrywać, żeby mnie nie znalazł, ale krążyłam w kółko i zawsze, gdy się gdzieś schowałam, on się tam pojawiał. Nie wiem, jakim sposobem. W końcu natrafiłam na te dziwne jakby chatki.

– Chaty Szpakli – mówię, ale ona tak naprawdę nie słucha.

Spogląda na mnie.

– Potem przyszedłeś ty. – Patrzy na Mancziego. – Ty i twój pies, który mówi.

– Manczi! – szczeka Manczi.

Dziewczyna jest blada, a kiedy znowu napotyka mój wzrok, widzę, że jej oczy zrobiły się mokre.

– Co to za miejsce? – pyta dziwnie zachrypniętym głosem. – Czemu zwierzęta tutaj mówią? Czemu słyszę twój głos, kiedy nie ruszasz ustami? Czemu słyszę twój głos po wiele razy, jako mnóstwo nakładających się na siebie słów, tak jakby dziewięć milionów Toddów

mówiło naraz? Czemu, kiedy patrzę na ciebie, widzę obrazy innych rzeczy? Czemu mogłam widzieć, co tamten człowiek...

Milknie. Podciąga kolana do piersi i obejmuje je rękami. Czuję, że lepiej, abym szybko zaczął mówić, bo inaczej ona znów zacznie się kiwać.

– Jesteśmy kolonistami – mówię. Ona słysząc to podnosi wzrok. Nadal obejmuje rękami kolana, ale przynajmniej się nie kiwa. – Byliśmy kolonistami – kontynuuję. – Wylądowaliśmy tutaj jakieś dwadzieścia lat temu, żeby tu zbudować Nowy Świat. Ale byli tutaj obcy. Szpacle. I oni... nie chcieli nas tutaj. – Mówię jej to, co wie każdy chłopiec w Prentisstown; nawet najgłupszy chłopaczek z farmy, taki jak niżej podpisany, zna tę historię na pamięć. – Ludzie latami usiłowali doprowadzić do pokoju, ale Szpacle nie chcieli do tego dopuścić. No więc zaczęła się wojna.

Słyszając słowo wojna, dziewczyna znów spuszcza wzrok. Mówię dalej.

– A Szpacle walczyli za pomocą zarazków, chorób, kapujesz? To była ich broń. Wypuszczali zarazki, które robiły różne rzeczy. Sądzimy, że jeden z nich miał pozabijać nasze zwierzęta, ale zamiast tego sprawił, że zaczęły mówić. – Patrzę na Mancziego. – Co nie jest wcale tak fajne, jak się wydaje. – Znów spoglądam na dziewczynę. – A inny to był Szum.

Czekam. Ona nic nie mówi. Ale oboje tak jakby wiemy, co teraz będzie, bo jużśmy to przerabiali, co nie?

Biorę głęboki oddech.

– I ten zabił połowę mężczyzn oraz wszystkie kobiety, w tym moją mamę, i sprawił, że myśli tych mężczyzn, którzy przeżyli, nie są już tajemnicą dla reszty świata.

Dziewczyna ukrywa podbródek za kolanami.

– Czasami słyszę to wyraźnie – mówi. – Czasami potrafię poznać, co myślisz. Ale tylko czasami. Przez większość czasu to tylko...

– Szum – mówię. Ona przytakuje.

– A obcy?

– Nie ma już obcych.

Znów przytakuje. Siedzimy tak przez minutę, ignorując to, co oczywiste, aż nie da się go już dłużej ignorować.

– Czy ja umrę? – pyta cicho dziewczyna. – Czy to mnie zabije?

Słowa wypowiedziane z jej akcentem brzmią inaczej, ale znaczą to samo, a mój Szum jest w stanie powiedzieć tylko *przypuszczalnie*, ale zmuszam moje usta, żeby powiedziały:

– Nie wiem.

Dziewczyna patrzy na mnie, czekając na więcej.

– *Naprawdę* nie wiem – odpowiadam i mówię to z przekonaniem. – Gdybyś mnie spytała tydzień temu, byłbym pewien, ale dzisiaj... – Patrzę w dół, na mój plecak, na schowany wewnątrz notes. – Nie wiem. – Znów spoglądam na nią. – Mam nadzieję, że nie.

*Ale przypuszczalnie tak* – dopowiada mój Szum. – *Przy puszczalnie umrzesz*. I choć próbuję to zagłuszyć innym Szumem, jest to tak niesprawiedliwa rzecz, że uparcie wyrывa się na wierzch.

– Przykro mi – mówię.

Dziewczyna nie odpowiada.

– Ale może jeśli dotrzemy do następnej osady... – mówię ale nie kończę, bo nie znam odpowiedzi. – Jeszcze nie zachorowałaś. To już coś.

– Ty musisz ich ostrzec – mówi do swoich kolan. Gwałtownie podnoszę wzrok.

– Co?

– Wcześniej, kiedy próbowałeś czytać ten notes...

– *Nie próbowałem* – odpowiadam, trochę głośniej.

– Widziałam słowa w twoim co to tam jest – mówi dziewczyna – i tam jest napisane: „Ty musisz ich ostrzec”.

– Wiem! Wiem, co tam jest napisane.

Cholera jasna, oczywiście, że to *Ty musisz ich ostrzec*. Jasne, że tak. Idioto.

Dziewczyna mówi:

– Wyglądało to tak, jakbyś...

– Umiem czytać.

Ona podnosi rękę.

– W porządku.

– Umiem!

– Mówię tylko, że...

– No to przestań mówić tylko, że. – Marszczę brwi, a mój Szum burzy się tak, że aż Manczi podrywa się z miejsca. Ja również wstaję. Podnoszę plecak i zakładam go z powrotem. – Musimy ruszać.

– Kogo ostrzec? – pyta dziewczyna, która nadal siedzi. – Przed czym?

Nie mam szans odpowiedzieć (choć i tak *nie znam* odpowiedzi), bo nad nami nagle słychać głośne kliknięcie, głośne metaliczne kliknięcie, które w Prentisstown mogłoby oznaczać tylko jedno.

Że ktoś odbezpieczył strzelbę.

I na skale nad nami faktycznie stoi ktoś, kto trzyma w rękach odbezpieczoną strzelbę, spoglądając w celownik, celując prosto w nas.

– Przyznam, że najbardziej mnie tera intryguje – odzywa się głos zza strzelby – co też sobie wyobrażam te dwa szczeniaki, co spaliły mój most?

## Po niewłaściwej stronie strzelby

– Strzelba! Strzelba! Strzelba! – zaczyna szczekać Manczi, podskakując jak piłka, wzbijając kurz.

– Lepiej ucisz tego twojego zwierzaka – mówi strzelba. Ponieważ patrzy przez celownik prosto na nas, broń zasłania jego twarz. – Nie chciałbyś chyba, żeby mu się stała krzywda, co?

– Cicho, Manczi! – mówię. Pies odwraca się w moją stronę.

– Strzelba, Todd? – szczeka. – Bum, bum!

– Wiem. Zamknij się.

Przestaje szczekać i jest cicho. Pominąwszy mój Szum, jest cicho.

– Zdaje się, że do pewnej pary szczeniaków wystosowane zostało zapytanie – mówi głos – i teraz czekam na odpowiedź.

Spoglądam na dziewczynę. Ta wzrusza ramionami, choć widzę, że oboje trzymamy ręce w górze.

– Co? – rzucam w kierunku strzelby.

Strzelba wydaje gniewny pomruk.

– Pytam – powiada – czemuż to uważacie, że wolno wam tak radośnie podpalać cudze mosty, hę?

Nic nie mówię. Dziewczyna też nie.

– Myślicie se, że to *patyk*, to, co w was celuje? – Lufa strzelby wykonuje pojedynczy ruch w górę, potem w dół.

– Ścigano nas – mówię, bo nie wiem, co innego powiedzieć.

– Ścigano was, co? – pyta strzelba. – A któż to was ścigał, hę?

I nie wiem, co na to odpowiedzieć. Czy prawda byłaby bardziej niebezpieczna od kłamstwa? Czy strzelba jest po stronie burmistrza? Czy może chceć mu nas sprzedać dla nagrody? A może nigdy nawet nie słyszał o Prentisstown?

Świat jest niebezpiecznym miejscem, gdy nie wiesz wystarczająco

dużo.

Na przykład czemu jest tak cicho?

– O tak, wiem, co to Prentisstown, no ba – powiada strzelba, odczytując mój Szum z niepokojącą trafnością i ponownie kierując lufę w naszą stronę, gotów do strzału. – A jeśli to stamtund jesteś...

Wtedy odzywa się dziewczyna i mówi to, co sprawia, że zaczynam o niej myśleć już nie *dziewczyna*, tylko *Viola*.

– Uratował mi życie.

Uratowałem jej życie.

Mówi Viola.

Zabawne, jak to działa.

– Doprawdy? – pyta strzelba. – A skund wiesz, że go nie uratował tylko dla własnej korzyści, he?

Dziewczyna, Viola, spogląda na mnie, marszcząc brwi. Tym razem to ja wzruszam ramionami.

– Ale nie. – Głos strzelby się zmienia. – Nie, tego w tobie nie widzem, co, chłopcze? Boś ty wciunż jeszcze chłopiec, zgadza się, szczeniaku?

Przełykam ślinę.

– Stanę się mężczyzną za dwadzieścia dziewięć dni.

– To żaden powód do dumy, szczeniaku. W każdym razie tam, skund ty pochodzisz.

A potem opuszcza strzelbę, odsłaniając twarz.

I już wiadomo, skąd ta cisza.

On jest kobietą.

Dorośłą kobietą.

Starą kobietą.

– Bardzo proszem, żebyś łaskawie myślał o mnie: *ona* – powiada kobieta, nadal celując w nas ze strzelby, trzymanej teraz na wysokości piersi. – I nie jestem jeszcze taka stara, żeby nie móc do ciebie strzelić.

Patrzy teraz na nas jeszcze uważniej, lustrując mnie od stóp do głów, zaglądając głęboko w mój Szum, tak umiejętnie, jak przed nią potrafił to tylko Ben. Jej twarz układa się w najróżniejsze miny, jakby mnie oceniała, tak jak zmienia się twarz Cilliana, kiedy próbuje on we mnie czytać, żeby

się przekonać, czy kłamię. Tyle że ta kobieta nie ma w ogóle Szumu, więc może sobie nawet śpiewać w myślach piosenkę, a ja i tak się o tym nie dowiem.

Odwraca się w stronę Violi i przygląda jej się równie długo.

– Jak na szczeniaka – powiada, ponownie spoglądając na mnie – dajesz się czytać tak łatwo jak noworodek, chłopaczkę. – Zwraca twarz ku Violi. – Ale twoja historia, tycia dziewczynko, jest ciut bardziej niezwykła, nie?

– Wszystko pani opowiem, jeśli tylko przestanie pani do nas celować z tej strzelby – mówi Viola.

Jest to tak zaskakujące, że nawet Manczi podnosi wzrok. Odwracam się do Violi z rozdziawionymi ustami.

Ze skały dolatuje cichy chichot. Stara kobieta śmieje się do siebie. Jej ubranie wygląda na skórzane, bardzo zakurzone, zniszczone i popękane przez lata i lata noszenia. Ma też kapelusz z szerokim rondem oraz takie buciory, co to nic sobie nie robią z błota. Jakby była po prostu farmerem, tak naprawdę. Ale nadal celuje do nas ze strzelby.

– Uciekał żeś z Prentisstown, co? – pyta, znów zaglądając w mój Szum. Nie ma sensu tego ukrywać, więc śmiało pokazuję jej to, przed czym uciekaliśmy, co się wydarzyło na moście i kto nas gonił. Kobieta widzi to wszystko, wiem, że widzi, ale tylko marszczy usta i letko mruży oczy.

– No cóż – powiada, opierając strzelbę w zgięciu łokcia, po czym zaczyna schodzić ze skały, kierując się tam, gdzie stoimy. – Nie powiem, że mnie nie zgniewało to, żeście wysadzili w powietrze mój most. Usłyszała żem huk aż na farmie, oj tak. – Schodzi z ostatniego głązu i staje kawałek od nas, a siła jej dorosłej ciszy jest taka, że czuję, jak daję krok do tyłu, nie wiedząc nawet, kiedy zdecydowałem się to zrobić. – Ale miejsce, do którego wiódł, przestało być warte odwiedzin dekadę temu albo i lepiej. Nie rozebraliśmy go tylko w nadziei, że to się kiedyś odmieni. – Znowu mierzy nas wzrokiem. – Kto wie, czyśmy mieli rację?

Nadal trzymamy ręce w górze, bo to, co ona mówi, nie ma za wiele sensu, nie?

– Zapytam tylko raz – powiada kobieta, ponownie unosząc strzelbę.  
– Będzie mi potrzebna?

Wymieniam krótkie spojrzenie z Violą.

– Nie – mówię.

– Nie, proszę pani – odpowiada Viola.

Proszę pani? – myślę.

– To tak, jak *proszem pana*, chłopcze. – Kobieta przewiesza pasek od strzelby przez ramię. – Kiedy rozmawiasz z damom. – Kuca, żeby znaleźć się na wysokości Mancziego.

– A kimże ty jesteś, piesku?

– Manczi! – szczeka mój pies.

– No, tak się właśnie zowiesz, nie inaczej, co? – pyta kobieta, czochrając go energicznie. – A wy, szczeniaki? – zagaduje, nie podnosząc wzroku. – Jakże was ochrzciły wasze matusy?

Ja i Viola wymieniamy kolejne spojrzenie. Wyjawienie naszych imion sprawia wrażenie ceny, którą trzeba zapłacić – ale może tak wypada, w zamian za opuszczenie strzelby.

– Ja jestem Todd, a to Viola.

– Prawda, jak słońce na niebie – odpowiada kobieta, której udało się tymczasem sprawić, by Manczi przewrócił się na grzbiet i pozwolił się czochrać po brzuchu.

– Czy da się jeszcze gdzieś przeprowić przez tą rzekę? – pytam. – Jest inny most? Bo tamci mężczyźni...

– Jestem Mathilde – przerywa mi stara kobieta – ale ludzie, co mnie tak nazywajom, nie znajom mnie, winc możecie mi mówić: Hildy, a kiedyś może nawet zasłużycie na to, żeby mi uścisnąć dłoń.

Znów spoglądam na Violę. Jak poznać, czy ktoś, kto nie ma Szumu, jest wariatem? Stara kobieta chichocze.

– Zabawny jesteś, chłopcze. – Wstaje, zostawiając Mancziego, który przewraca się z powrotem na brzuch i gapi na nią, już oczarowany. – A odpowiadajunc na twe zapytanie, som płytkie miejsca, gdzie można się przeprowić, oddalone o kilka dni jazdy w górę rzeki, ale żadnych mostów jeszcze dużo dalej, w jednom i drugom stronę.



Zwraca się z powrotem ku mnie. Patrzy bystro, bez drgnienia, z uśmiezkami na ustach. Widać znów czyta mi w Szumie, ale nie czuję tego jakby szturchania, co wtedy, gdy próbują mnie czytać mężczyźni.

A pod wpływem tego, jak się we mnie wpatruje, zaczynam sobie uświadamiać parę rzeczy, parę rzeczy składa mi się w głowie w całość. To musi być prawda, że Prentisstown zostało objęte kwarantanną z powodu zarazki Szumu, co nie? Bo tu przed nami stoi dorosła kobieta, której ten zarazek nie zabił, która patrzy na mnie przyjaźnie, ale trzyma się z daleka, kobieta gotowa powitać nieznanomych przybywających od strony Prentisstown strzałem ze strzelby.

A jeśli ja zarażam, to znaczy, że Viola przypuszczalnie na pewno już dawno złapała to ode mnie, może jest już umierająca, i że przypuszczalnie na pewno nie zostaną ciepło powitani w osadzie, przypuszczalnie na pewno każą mi się trzymać daleko, daleko od nich i na tym się przypuszczalnie zakończy sprawa, co nie? Moja podróż się skończy, choć nawet nie rozkminiłem jeszcze, dokąd mógłbym iść.

– Oj, nie będziesz ty mile widziany w osadzie – powiada kobieta. – Nie „przypuszczalnie” a na bank. Ale – i tu mruga do mnie, autentycznie mruga – czego oczy nie widzom, tego sercu nie żal.

– A założymy się? – pytam.

Kobieta odwraca się i wspina z powrotem po kamieniach, po których zesła. Patrzymy za nią do chwili, gdy dociera na szczyt skały i ponownie się odwraca.

– No co, to idziecie ze mną? – pyta, tak jakby nas wcześniej zaprosiła, abyśmy z nią poszli, a teraz czekała, aż się ruszymy.

Spoglądam na Violę. Ta woła do kobiety:

– Powinniśmy iść do osiedla. – Znów spogląda na mnie.

– Bez względu na to, jak nas tam powitają.

– Och, traficie tam – odpowiada kobieta – ale pierwej, szczeniaczki, potrzebujecie się dobrze wyspać i dobrze najeść. Każdy to widzi.

Wizja snu oraz gorącego jedzenia jest tak kusząca, że na sekundę zapominam, że Hildy jeszcze przed chwilą celowała do nas ze strzelby. Ale tylko na sekundę. Bo są inne rzeczy, o których trzeba myśleć.

Podejmuję decyzję za nas oboje.

– Musimy się trzymać szlaku – mówię cicho do Violi.

– Nawet nie wiem, dokąd zmierzamy – odpowiada równie cicho. – A ty? Szczerze?

– Ben powiedział...

– Szczeniaczki, nie kombinujcie, tylko chodźcie ze mną na farmę. Pojście do syta, wyśpicie się na łożku – choć miękkie nie jest, to fakt – a rano pójdziemy do osiedla. – Hildy podkreśla ostatnie słowo, otwierając szerzej oczy, jakby rozbawiło ją, żeśmy go użyli.

Nadal nie ruszamy się z miejsca.

– Słuchajcie – powiada stara kobieta. – Mam tu strzelbę. – Macha nią. – Ale zapraszam was, żebyście ze mną poszli.

– Czemu nie mielibyśmy z nią pójść? – szepcze Viola. – Po prostu żeby zobaczyć.

Mój Szum letko się burzy ze zdziwienia.

– Co zobaczyć?

– Chętnie bym się wykąpała – odpowiada dziewczyna.

– I przespała choć trochę.

– Ja też – mówię – ale gonią nas ludzie, których raczej nie powstrzyma zwalony most. A poza tym nic o niej nie wiemy. Może być zabójczynią.

– Wydaje się w porządku. – Viola zerka w górę, na kobietę. – Trochę zwariowana, ale nie sprawia wrażenia *niebezpiecznie* zwariowanej.

– W ogóle się nie wydaje. – Prawdę mówiąc, jestem ciut wkurzony. – O ludziach, którzy nie mają Szumu, nie da się kompletnie nic powiedzieć.

Viola raptem spogląda na mnie, marszcząc czoło i zaciskając z lekka zęby.

– No, oczywiście nie mam na myśli *ciebie* – dodaję.

– Za każdym razem... – zaczyna mówić dziewczyna, ale potem tylko kręci głową.

– Za każdym razem co? – szepczę, ale Viola jedynie przymyka oczy, po czym zwraca się w stronę kobiety.

– Momencik – mówi poirytowanym tonem. – Wezmę moje rzeczy.

– Hej! – wołam. Co, już zapomniała, że uratowałem jej życie? – Zaczekaj chwilę. Musimy się trzymać drogi. Musimy dotrzeć do osiedla.

– Drogi nigdy nie som najszybszym sposobem, żeby dokundś dojść – powiada kobieta. – Nie wiedziałaś?

Viola nic nie mówi, po prostu podnosi swoją torbę, a minę ma skwaszoną jak nie wiem co. Jest gotowa iść, gotowa odejść z pierwszą cichą osobą, jaką widzi, gotowa mnie zostawić na pierwsze uprzejme zaproszenie.

I nie łapie tego, czego nie chcę mówić na głos.

– Ja nie mogę z nią pójść, Violu – mówię cicho przez zaciśnięte zęby, trochę siebie nienawidząc, gdy wypowiadam te słowa. Moją twarz zalewa gorący rumieniec, co z jakiegoś powodu sprawia, że jeden z opatrunków odpada. – Roznoszę zarazek. Jestem niebezpieczny.

Dziewczyna odwraca się do mnie, a w jej głosie słychać nutkę jadu.

– Więc może nie powinieneś z nami iść.

Szczeka mi opada.

– Zrobiłabyś to? Tak po prostu byś odeszła?

Viola ucieka spojrzeniem, ale nim zdąży odpowiedzieć, odzywa się stara kobieta.

– Szczeniaczku – powiada – jeśli boisz się, że zarażasz, to twoja koleżanka może ruszyć przodem ze starom Hildy, a ty idź ciut z tyłu, z tym twoim psiakiem. Będzie cię pilnował.

– Manczi! – szczeka Manczi.

– Wszystko jedno – powiada Viola. Odwraca się i zaczyna wspinać po gałęziach do miejsca, gdzie stoi stara kobieta. Ta zaś dorzuca:

– I powiedziałam ci, jestem *Hildy*, a nie *stara kobieta*.

Viola dociera do niej i odchodzą, już bez słowa, znikając z pola widzenia. Tak po prostu.

– Hildy – mówi do mnie Manczi.

– Zamknij się – odpowiadam.

I nie mam innego wyboru, jak tylko wspiąć się po skałach za nimi, co nie?

No więc tak sobie wędrujemy dużo węższą ścieżyną wśród gałęzi i

kolczastych zarośli. Viola i stara Hildy trzymają się razem, na ile mogą, ja i Manczi idziemy daleko z tyłu, zdążając ku cholera wie jakim niebezpieczeństwom. Co rusz oglądam się przez ramię, w każdej chwili spodziewając się zobaczyć, że burmistrz, pan Prentiss junior i Aaron gnają za nami.

Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Czemu Ben i Cillian sądzili, że jestem przygotowany na coś takiego? Z jakiej mańki? Jasne, łóżko i gorące jedzenie brzmią jak coś, za co warto zaryzykować kulkę, ale może to pułapka i jesteśmy tak głupi, że zasługujemy na to, aby nas złapano.

I idzie za nami pościg, więc powinniśmy uciekać.

Ale może naprawdę nie ma innej drogi, żeby się przeprawić przez tę rzekę.

Zaś Hildy mogła nas zmusić do pójścia z nią, ale tego nie zrobiła. A Viola mówi, że Hildy wydaje się w porządku, i może jedna pozbawiona Szumu osoba jest w stanie czytać inną.

Widzicie? Skąd mam niby wiedzieć?

I kogo obchodzi, co twierdzi Viola?

– Popatrz tylko na nie – mówię do Manczkiego. – Od razu się zgadały. Myślałyby kto, że są z jednej rodziny i się odnalazły po latach, albo co.

– Hildy – powtarza Manczi. Wymierzam mu klapsa w tyłek, ale on umyka, biegnąc do przodu.

Viola i Hildy rozmawiają ze sobą, ale do mnie dolatują tylko urywki słów. W ogóle nie potrafię rozróżnić, co mówią. Gdyby były normalnymi, Szumiącymi ludźmi, nie miałyby znaczenia, jak daleko od nich jestem, moglibyśmy wszyscy prowadzić rozmowę i nikt nie miałby automatycznie sekretów. Wszyscy by trajkotali jeden przez drugiego, czy chcieliby tego, czy nie.

I nikt nie byłby wyrzucony poza nawias. Nikt nie zostałby pozostawiony samemu sobie przy pierwszej okazji.

Wszyscy kontynuujemy marsz.

A ja myślę dalej.

I zaczynam pozwalać, żeby one się oddaliły trochę bardziej.

I dalej myślę.

Bo z upływem czasu wszystko zaczyna do mnie docierać.

Bo może teraz, gdyśmy trafili na Hildy, może ona będzie mogła się zaopiekować Violą. Ewidentnie są z jednej bajki, co nie? A w każdym razie różnią się ode mnie. No więc może Hildy będzie mogła pomóc Violi wrócić tam, skąd przyleciała, gdziekolwiek to jest, bo ja oczywiście nie mam na to żadnych szans. I oczywiście nie ma żadnego miejsca, gdzie mógłbym się schronić, poza Prentisstown, co nie? Bo noszę w sobie zarazek, który zabiłby Violę, który wciąż jeszcze może ją zabić, może zabić każdego, kogo spotkam, zarazek, który przesądza o tym, że nigdy nie będę mógł wkroczyć do tamtego osiedla. Pewnie skończy się tak, że będę spał w stodole Hildy, razem z owcami i kartoflami.

– I to by było na tyle, kapujesz, Manczi? – Przystaję, czując narastający ucisk w piersi. – Nie ma tu żadnego Szumu poza tym, który myśmy przynieśli. – Ocieram z czoła nieco potu. – Nie mamy dokąd pójść. Nie możemy iść naprzód. Nie możemy zawrócić.

Siadam na kamieniu, uświadamiając sobie, co to oznacza.

– Nie mamy dokąd pójść – powtarzam. – Nie mamy nic.

– Ja mam Todda – powiada Manczi, merdając ogonem.

To niesprawiedliwe.

To po prostu niesprawiedliwe.

Jedyne miejsce, gdzie przynależysz, to miejsce, do którego nigdy nie wolno ci wrócić.

No więc zawsze już będziesz sam. Zawsze i po wieczne czasy.

Czemu tak mnie urządziłeś, Ben? Co ja takiego straszego zrobiłem?

Ocieram rękawem oczy.

Chciałbym, żeby Aaron i burmistrz *naprawdę* tu się pojawili i mnie złapali.

Chciałbym, żeby było już po wszystkim.

– Todd? – szczeka Manczi, podchodząc do mojej twarzy i próbując ją obwąchać.

– Zostaw mnie – odpowiadam, odpychając go.

Hildy i Viola oddalają się coraz bardziej i jeśli zaraz nie wstanę, zgubię je.

Nie wstaję.

Nadal słyszę, jak rozmawiają, choć ich głosy cichną i żadna się nie ogląda, żeby sprawdzić, czy nadal za nimi idę.

**Hildy, słyszę, i dziewczynko i cholerna przeciekająca rura, a potem znowu: Hildy i płonący most.**

I podnoszę głowę.

Bo to nowy głos.

I nie słyszę go. Nie uszami.

Hildy i Viola się oddalają, ale ktoś nadchodzi ku nim z przeciwnej strony, ktoś, kto podnosi rękę w powitalnym geście.

Ktoś, czyjś Szum powiada: **Witajcie.**

# 15

## Bracia w cierpieniu

To stary mężczyzna. Też niesie strzelbę, ale ta wisi u jego boku, skierowana lufą ku ziemi. Gdy podchodzi do Hildy, jego Szum staje się głośniejszy i pozostaje głośniejszy, gdy staruszek obejmuje ją i całuje na przywitanie; brzęczy, gdy odwraca się i zostaje przedstawiony Violi, która cofa się letko, słysząc tak przyjazne powitanie.

Hildy jest żoną mężczyzny z Szumem.

Dorośłego mężczyzny, który chodzi sobie i Szumi jak nie wiem co.

Ale jak...?

– Hej, szczeniaku! – woła do mnie Hildy. – Będziesz tam siedział cały dzień i dłubał w nosie, czy przyjdiesz i zjesz z nami kolację?

– Kolacja, Todd! – szczeka Manczi i pędzi do nich.

Nic nie myślę. Nie wiem, co myśleć.

– Jeszcze jeden Szumiący gość! – woła staruszek. Wymija Violę oraz Hildy i rusza w moją stronę. Szum wylewa się z niego niczym jaskrawa parada, pełen wkurzającej przyjacielskości i natarczywie dobrego samopoczucia. **Szczeniaku i spadające mosty i przeciekajunca rura i brat w cierpieniu i Hildy, moja Hildy.** Nadal niesie swoją strzelbę, ale gdy dociera do mnie, wyciąga dłoń, żebym mógł ją ucisnąć na przywitanie.

Jestem tak oszołomiony, że robię to.

– Na imię mi Tam! – woła, prawie krzyczy staruszek. – A ciebie jak wołajom, szczeniaku?

– Todd – odpowiadam.

– Miłocięwidzieć, Todd! – Obejmuje mnie ramieniem i praktycznie wlecze mnie w górę ścieżki. Potykając się idę za nim, z trudem utrzymując równowagę, gdy on mnie ciągnie w stronę Hildy i Violi, nawijając przez całą drogę. – Nie mieliśmy gości na obiedzie od wielu, wielu księżyców, winc bedziecie nam musieli wybaczyć naszom

skromnom chałupkę. Od dziesięciu lat albo lepiej nie widzieliśmy tu żadnych podróźnych, ale witamy was serdecznie! Wszystkich was serdecznie witamy!

Docieramy do pozostałych i nadal nie wiem, co powiedzieć, więc patrząc to na Hildy, to na Violę, to na Tama i z powrotem.

Chciałbym tylko, żeby świat od czasu do czasu trzymał się kupy, czy to aż taki błąd?

– To w ogóle nie błąd, Todd, szczeniaczku – powiada życzliwie Hildy.

– Jak to możliwe, że nie zaraziła się pani Szumem? – pytam. Słowa wreszcie wydobywają się z mojej głowy przez usta. Potem moje serce nagle podskakuje, podskakuje tak wysoko, że czuję, jak oczy wyłażą mi z orbit, gardło zaczyna się zaciskać, a mój własny Szum wypełnia jasna biel nadziei.

– Czy macie lek? – pytam, a głos prawie mi się przy tym łamie. – Czy istnieje lek?

– No, gdyby istniał lek – powiada Tam, nadal prawie krzycząc – to czy serio myślisz, że katowałbym was wszystkich tymi śmieciami, co mi wylatujom z głowy?

– A spróbowałbyś tylko – dodaje z uśmiechem Hildy. – i lepiej, by cię niebiosa wtenczas miały w opiece.

– I lepiej, by *ciebie* niebiosa miały w opiece, gdybyś mi nie potrafiła rzec, co powinienem myśleć. – Tam odwzajemnia jej uśmiech, a jego Szum jest miękki od miłości. – Nie, szczeniaku – powiada do mnie. – Nic mi nie wiadomo o żadnym leku.

– No cóż – dodaje Hildy. – Ponoć w Przystani pracujom nad czymś takim. Tak twierdzom ludzie.

– Jacy ludzie? – pyta sceptycznie Tam.

– Talia – odpowiada Hildy. – Susan F. Moja siostra.

Tam szepce: *ćśśś*.

– Nie ma o czym gadać. Plotki o plotkach o plotkach. Twoja siostra prędzej własne nazwisko przekrynci niż przekaże jakieś sensowne wieści.



– Ale... – mówię, spoglądając to na jedno z nich, to na drugie, nie chcąc porzucić tematu. – Ale w takim razie jakim cudem pani żyje? – pytam Hildy. – Szum zabija kobiety. Wszystkie kobiety.

Hildy i Tam wymieniają spojrzenie i słyszę, nie, czuję, jak Tam coś tłamsi w swoim Szumie.

– Nie, to nieprawda, Todd, szczeniaku – odpowiada Hildy, nieco zbyt delikatnie. – Już to mówiłam twojej koleżance Violi. Jest bezpieczna.

– Bezpieczna? Jak może być bezpieczna?

– Kobiety som na to odporne – powiada Tam. – Szczęściary.

– Nie, nie są! – protestuję. Zaczynam mówić coraz głośniej. – Nie, nie są! Wszystkie kobiety w Prentisstown złapały ten zarazek i *pomarły*, co do jednej! Moja *mama* na to zmarła! Może ta wersja, którą nas potraktowały Szpacle, była silniejsza od waszej, ale...

– Todd, szczeniaku. – Tam kładzie mi rękę na ramieniu, żeby mnie uciszyć.

Strząsam ją, ale nie wiem, co teraz powiedzieć. Viola nie odzywa się ani słowem, więc spoglądam na nią. Nie patrzy na mnie.

– Wiem, co wiem – mówię, choć połowa wszystkich kłopotów wynikała właśnie z tego, co nie?

Jak to może być prawda?

Jak to może być *prawda*?

Tam i Hildy wymieniają kolejne spojrzenie. Zaglądam w Szum Tama, ale ten jest jednym z najbardziej doświadczonych ludzi, jakich spotkałem, gdy chodzi o chowanie różnych rzeczy przed cudzym wścibstwem. Jednak wszystko to, co widzę, jest życzliwe.

– Prentisstown ma smutnom przeszłość, szczeniaku – powiada. – Spaprało się tam mnóstwo rzeczy.

– Myli się pan – mówię, ale nawet mój głos pokazuje, że nie jestem pewien, w jakiej właściwie kwestii miałyby się mylić.

– To nie miejsce na takie rozmowy, Todd – powiada Hildy, głaszcząc ramię Violi, przy czym Viola najwyraźniej nie przeszkadza to głaskanie. – Obojgu wam się przyda trochę jedzenia i trochę snu. Viola powiada,

żeście mało spali, a przewędrowali wiele mil. Wszystko będzie wyglądało lepiej, jak już się najecie i wyśpicie.

– Ale ja jej nie zagrażam? – pytam, demonstracyjnie nie patrząc na „Violcię”.

– No cóż, z całym pewnością nie grozi jej, że się zarazi twoim Szumem – odpowiada Hildy, a na jej twarzy pojawia się uśmiech. – Gdy chodzi o inne sprawy, za słabo cię jeszcze znamy.

Chciałbym, żeby miała rację, ale mam też ochotę powiedzieć, że się myli, więc nie mówię nic.

– Chodźcie – powiada Tam, przerywając milczenie. – Uczta czeka.

– Nie! – wołam, przypominając sobie wszystko. – Nie mamy czasu na uczty. – Spoglądam na Violę. – Na wypadek, gdybyście zapomnieli, idzie za nami pościg. Ludzie, którym nie zależy na tym, żebyśmy żyli długo i szczęśliwie. – Patrzę w górę, na Hildy. – Ta wasza uczta to na pewno świetna sprawa...

– Todd, szczeniaczku... – zaczyna mówić Hildy

– Nie jestem szczeniakiem! – wykrzykuję.

Hildy składa usta w ciup, a jej brwi dają do zrozumienia, że się uśmiecha.

– Todd, szczeniaczku – powiada jeszcze raz, tym razem nieco ciszej.

– Ani jeden mężczyzna mieszkający za tom rzekom nie postawi stopy na jej drugim brzegu, pojmujesz?

– Tak – potwierdza Tam. – Święta prawda.

Moje oczy wędrują od jednego z nich do drugiego.

– Ale...

– Pilnowała żem tego mostu ponad dziesięć lat, szczeniaczku – powiada Hildy – a jeszcze wcześniej baczyła żem na niego przez długie lata. Wypatrywanie, kto nadjeżdża, jest częścią moją. – Spogląda na Violę. – Nikt się tu nie zjawi. Wszyscy jesteście bezpieczni.

– Święta prawda – powtarza Tam, kołyszając się tam i nazad na piętach.

– Ale... – mówię ponownie, lecz Hildy nie pozwala mi dokończyć.

– Pora na ucztę.

I to by było na tyle, jak się zdaje. Viola nadal na mnie nie patrzy, nadal ma założone ręce, a Hildy obejmuje ją teraz ramieniem i idą razem. Ja jestem skazany na towarzystwo Tama, który czeka, aż zacznę iść. Nie powiem, żebym miał wielką ochotę się ruszyć z miejsca, ale skoro wszyscy pozostali idą, to ja też. Zdamy małą, prywatną dróżkę Tama i Hildy, a Tam gada jak najęty, generując tyle Szumu, że starczyłoby dla całej osady.

– Hildy powiada, żeście wysadzili w powietrze nasz most – mówi.

– Mój most – poprawia go idąca przodem Hildy.

– Ona go zbudowała, to fakt – mówi do mnie Tam. – Tyle że od wieków nikt go nie używał.

– Nikt? – pytam, przez sekundę myśląc o wszystkich tych mężczyznach, którzy zniknęli z Prentisstown, o wszystkich, którzy zaginęli bez wieści, gdy dorastałem. Żaden z nich nie dotarł tak daleko.

– To był niezły kawałek inżynierskiej roboty, ten most – kontynuuje Tam, jakby mnie nie słysząc. Może faktycznie mnie nie usłyszał, zważywszy na to, jak głośno gada. – Trochę szkoda, że już go nie ma.

– Nie mieliśmy wyboru – mówię.

– Och, szczeniaku, zawsze ma się jakiś wybór, ale z tego co słyszę, wybrali żeście to co trzeba.

Przez chwilę idziemy w milczeniu.

– Jest pan pewien, że nic nam nie grozi? – pytam.

– No cóż, pewności nie ma nigdy – odpowiada staruszek. – Ale Hildy dobrze prawi. – Uśmiecha się; mam wrażenie, że z odrobiną smutku. – Jest coś więcej niżli brak mostu, co każe mężczyznom się trzymać po tamtej stronie rzeki.

Próbuję czytać w jego Szumie, żeby sprawdzić, czy mówi prawdę, ale prawie wszystko tam jest lśniące i czyste; jasne, ciepłe miejsce, gdzie prawdziwe mogłoby być wszystko, co tylko chcesz.

W niczym nie przypomina mężczyzn z Prentisstown.

– Nie pojmuję tego – mówię, nadal przetrawiając to, co usłyszałem. – To musi być inny zarazek Szumu.

– A co, mój Szum brzmi inaczej niż twój? – pyta Tam z autentycznym

zaciekawieniem.

Patrzę na niego i nasłuchuję przez sekundę. **Hildy i Prentisstown i kartofle i owce i koloniści i przeciekajunca rura i Hildy.**

– Ciągłe pan myśli o żonie.

– To mój anioł stróż, szczeniaku. Zatraciłbym się w Szumie, gdyby nie wyciungła była do mnie pomocnej ręki.

– Jak to? – pytam, głowiąc się, o czym on mówi. – Walczył pan na wojnie?

To sprawia, że Tam milknie. Jego Szum staje się równie szary i nijaki co zachmurzone niebo i nie jestem już w stanie nic stamtąd wyczytać.

– Walczyłem, młody szczeniaku – odpowiada. – Ale wojna nie jest czymś, o czym należy rozprawiać na polu, gdy świeci słońce.

– Czemu nie?

– Obyś się tego nigdy nie dowiedział. – Kładzie mi rękę na ramieniu. Tym razem jej nie strząsam.

– Jak pan to robi? – pytam.

– Co takiego?

– Tak pan wycisza swój Szum, żeby go nie mógł odczytać.

Staruszek się uśmiecha.

– Lata praktyki w ukrywaniu różnych rzeczy przed mojom żonom.

– To dlatego ja umiem tak dobrze czytać ludzi – woła do nas Hildy. – On się coraz bardziej wprawia w ukrywaniu. Ja się coraz bardziej wprawiam w *znajdowaniu*.

Znów śmieją się oboje. Łapię się na tym, że wyczekuję na odpowiedni moment, żeby przewrócić oczami tak, aby Viola to zobaczyła, ale Viola na mnie nie patrzy, więc przestaję próbować.

Schodzimy wszyscy z kamienistego odcinka ścieżki, obchodzimy niski pagórek i nagle przed nami widać farmę. Teren faluje, usiany niewielkimi wzniesieniami, ale widać pola pszenicy, pola kapusty oraz łąkę, gdzie pasie się kilka owiec.

– Hej tam, owce! – woła Tam.

– Owce! – odkrzykują owce.

Pierwszym budynkiem obok ścieżki jest wielka drewniana stodoła,

równie wodoodporna i solidnie zbudowana co most. Wygląda tak, jakby mogła przetrwać w tym miejscu w nieskończoność, gdyby tego oczekiwano.

– Chyba żebyście spróbowali jom wysadzić w powietrze – powiada Hildy, nadal się śmiejąc.

– Chciałbym zobaczyć, jak próbujecie – dorzuca Tam, też ze śmiechem.

Zaczyna mnie trochę męczyć to, że śmieją się z każdej dupereli.

A potem docieramy do domu, który jest z totalnie innej bajki. Wygląda na zbudowany z metalu, podobnie jak stacja benzynowa i kościół w Prentisstown, ale w dużo lepszym stanie. Połowa budynku błyszczący i wygina się w górę, ku niebu, niczym żagiel. Jest też komin, który zakrzywia się i wznosi wysoko, zwięzając się w wąski wylot, z którego wydobywają się chmurki dymu. Druga połowa domu jest z drewna, nadbudowana na metalu, równie solidna jak stodoła, lecz uformowana tak, by przypominać...

– Skrzydła – mówię.

– Skrzydła, zgadza się – odpowiada Tam. – A co to za skrzydła?

Patrzę drugi raz. Cały dom przywodzi na myśl ptaka; komin to jego głowa i szyja, przód jest błyszczący, a złożone skrzydła wystają z tyłu, jak u ptaka unoszące się na wodzie. Czy coś w tym guście.

– To łabędź, Todd, szczeniaczku – powiada Tam.

– Co?

– Łabędź.

– Co to takiego łabędź? – pytam, nadal przypatrując się domowi.

Jego Szum jest zdezorientowany przez sekundę, a potem czuję małą falę smutku, więc spoglądam na staruszka.

– Co?

– Nic, szczeniaczku – odpowiada. – Wspomnienia sprzed wielu lat.

Viola i Hildy nadal idą kawałek przed nami. Viola wytrzeszczyła oczy i rozdziawia usta niczym ryba.

– Co ci mówiłam? – pyta Hildy.

Viola podbiega do płotu. Gapi się na dom, ogląda jego metalową

część od góry do dołu, z jednej i drugiej strony. Podchodzę do niej i też patrzę. Przez dobrą minutę ciężko wymyślić, co tu powiedzieć (zamknijcie się).

– To ma być podobno łabędź – mówię w końcu. – Cokolwiek to jest. Dziewczyna ignoruje mnie i odwraca się do Hildy.

– Czy to Ekspansja Trzy 500?

– Co?

– Jeszcze starszy model, Violciu – odpowiada Hildy. – Iks Trzy 200.

– Doszliśmy już do Iksów Siedem – mówi Viola.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdza Hildy.

– O czym wy do jasnej cholery mówicie? – pytam. – Ekspansja co?.

– Owce! – słychać w oddali szczenie Mancziego.

– Nasz statek kolonizacyjny – wyjaśnia Hildy. Sprawia wrażenie zaskoczonej, że tego nie wiem. – Ekspansja klasa Trzy, seria 200.

Spoglądam od twarzy do twarzy. W Szumie Tama widać lecący statek kosmiczny, którego przednia część kadłuba wygląda identycznie, jak metalowa fasada domu.

– A tak – mówię, przypomniawszy sobie, próbując to powiedzieć tak, jakbym wiedział przez cały czas, o co chodzi. – Buduje się domy z tych materiałów, które się ma pod ręką.

– Zgadza się, szczeniaku – powiada Tam. – Lub robi się z nich dzieła sztuki, jeśli się ma taki kaprys.

– O ile twoja żona jest inżynierem i potrafi zmusić twe cholerne rzeźby, żeby stały prosto jak należy – dorzuca Hildy.

– Skąd wiesz o tym wszystkim? – pytam Violę. Ona gapi się w ziemię, unikając mego wzroku.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... – zaczynam mówić, ale urywam.

Już kapuję.

Oczywiście, że kapuję.

O wiele za późno, jak zawsze, ale już kapuję.

– Jesteś kolonistką – mówię. – Jesteś nową kolonistką.

Viola unika mego wzroku, lecz wzrusza ramionami.

– Ale ten statek, w którym się rozbiliście – ciągnę – on był o wiele za

mały, żeby być statkiem kolonizacyjnym.

– To była tylko jednostka zwiadowcza. Mój statek macierzysty to Ekspansja klasy Siedem.

Spogląda na Hildy i Tama, którzy nic nie mówią. Szum Tama jest jaskrawy i zaciekawiony. Nie potrafię niczego odczytać z myśli Hildy. Mam jednak dziwne wrażenie, że ona wiedziała, a ja nie, że Viola jej to powiedziała, a mnie nie, i nawet jeśli to dlatego, że ani razu nie spytałem, i tak jestem skwaszony jak nie wiem co.

Patrzę w górę, na niebo.

– On krąży gdzieś tam w górze, co nie? – pytam. – Ta twoja Ekspansja klasy Siedem.

Viola przytakuje.

– I wiezie tu więcej kolonistów. Więcej kolonistów zmierza na Nowy Świat.

– Wszystko się roztrzaskało, gdyśmy się rozbili – mówi Viola. – Nie mam jak się z nimi skontaktować. Żadnego sposobu, żeby ich ostrzec, żeby nie lądowali. – Podnosi wzrok, łapiąc z nagłą oddech. – Ty musisz ich ostrzec

– To nie może być to, co miał na myśli – odpowiadam prędko. – Niemożliwe.

Viola marszczy twarz i brwi.

– Czemu nie?

– Co kto miał na myśli? – pyta Tam.

– Ilu ich jest? – zapytuję, nadal patrząc na Violę, czując, jak świat zmienia się już na zawsze. – Ilu kolonistów tu leci?

Viola bierze głęboki oddech, a potem odpowiada i jestem skłonny się założyć, że tego jeszcze nie wyjawiała Hildy.

– Tysiące – mówi. – Są ich tysiące.

## Noc bez przeprosin

– Minom miesiunce, zanim tutaj dotrom – powiada Hildy, podając mi purée z kartofli, żebym mógł wziąć jeszcze jedną dokładkę. Viola i ja tak się opychamy, że tylko Hildy i Tam cokolwiek mówią przy stole.

Cokolwiek *prawiom* przy stole.

– Podróże kosmiczne wyglundajom inaczej niż na widach – mówi Tam, a sos z baraniny ścieka mu po siwej brodzie. – Mijajom lata i lata i lata, zanim gdziekolwiek doleczisz. Sześćdziesiunt cztery, żeby dolecieć ze Starego Świata na Nowy Świat.

– Sześćdziesiąt cztery lata? – pytam, opluwając się ugniecionymi kartoflami.

Tam kiwa głową.

– Przez większość podróży jesteś zamrożony, czas mija i cię nie tyka, ale tylko pod warunkiem, że nie umrzesz po drodze.

Odwracam się do Violi.

– Masz sześćdziesiąt cztery lata?

– Sześćdziesiunt cztery lata wedle rachuby Starego Świata – powiada Tam, postukując palcami, jakby coś liczył – to by było... ile? Jakies pindziesiunt osiem, pindziesiunt dziewięć wedle rachuby Nowego...

Ale Viola kręci głową.

– Urodziłam się na pokładzie statku. Nigdy nie byłam uśpiona.

– Czyli albo twoja matusia, albo twój tatko musieli być czuwajuncymi – powiada Hildy, odgryzając kęs czegoś, co przypomina rzepę, po czym wyjaśnia mi: – Czuwajuncy to ci, co nie śpiom, tylko pilnujom statku.

– Oboje – oznajmia Viola. – I mama mojego taty przed nim, a jeszcze wcześniej jego dziadek.

– Czekajże minutkę – mówię do niej, jak zawsze dwa kroki z tyłu. –



Jeśli my żyjemy na Nowym Świecie od dwudziestu iluś lat...

– Dwudziestu trzech – powiada Tam. – Choć wydaje się, jakby to było więcej.

– To wyście odlecieli, zanim myśmy tu w ogóle *dotarli* – stwierdzam. – Czy twój tatko, czy dziadek, czy kto tam jeszcze.

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze głowi się nad tym, nad czym ja się głowię.

– Dlaczego? – pytam. – Dlaczego żeście tu przylecieli, nie wiedząc nawet, co zastaniecie?

– A czemu *pierwsi* koloniści tu przylecieli? – pyta mnie Hildy. – Czemu ktokolwiek szuka nowego miejsca, by się tam osiedlić?

– Bo w miejscu, które opuszczasz, nie warto już zostawać – powiada Tam. – Bo miejsce, które opuszczasz, jest już tak paskudne, że musisz stamtąd wiać.

– Stary Świat jest brudny, zatłoczony i pełen przemocy – stwierdza Hildy, wycierając twarz serwetką. – Rozpada się na kawałki, ludzie tam nienawidzom jedni drugich i zabijajom jedni drugich, nikt nie jest szczęśliwy, póki wszyscy inni nie bedom płakać. Przynajmniej tak to wyglundało lata temu.

– Ja nie wiem – powiada Viola. – Nigdy tego nie widziałam. Moja matka i ojciec... – Urywa.

Ale ja nadal rozmyślam o tym, jak to jest urodzić się na statku kosmicznym, takim prawdziwym, najprawdziwszym *statku kosmicznym*. Dorastać lecąc wśród gwiazd, móc podróżować, dokąd dusza zapragnie, zamiast tkwić na jakiejś beznadziejnej planecie, która cię ewidentnie nie chce. Można byłoby polecieć gdziekolwiek. Gdyby jedno miejsce ci nie pasowało, znalazłoby się inne. Pełna wolność pod każdym względem. Czy na całym świecie mogłoby istnieć cokolwiek fajniejszego? Dopiero po chwili zauważam, że przy stole zapadła cisza. Hildy znów głaszcze Violę po plecach i widzę, że oczy Violi są mokre, kapią z nich łzy i zaczęła się trochę kiwać w przód i w tył.

– Co? – pytam. – Co znów jest nie tak?

Viola tylko marszczy czoło, patrząc na mnie.

– Co? – pytam.

– Myślę, że już chyba dość na dzisiaj rozmów o matusi i tatku Violci – mówi cicho Hildy. – Myślę, że chłopaczek i dziewczynka powinni teraz złapać nieco snu.

– Ale jeszcze wcale nie jest późno. – Wyglądam przez okno. Słońce dopiero zachodzi. – Powinniśmy ruszyć do osiedla...

– Osiedle zwie się Daleka Gałunź – powiada Hildy – i pójdziemy tam jutro z samego rana.

– Ale ci mężczyźni...

– Pilnowała żem tu porzundku, zanim jeszcze przyszedłeś na świat, szczeniaczku – mówi Hildy, życzliwie, lecz stanowczo. – Dam sobie radę ze wszystkim, co tu zmierza lub nie.

Nie odpowiadam na to ani słowem, a Hildy ignoruje to, co słyszy w moim Szumie.

– Czy mogem spytać, jakież to interes macie w Dalekiej Gałęzi? – pyta Tam, ogryzając kolbę kukurydzy, nadając głosowi mniej zaciekawiony ton niż sugeruje jego Szum.

– Po prostu musimy tam dotrzeć – mówię.

– Oboje?

Patrzę na Violę. Przestała płakać, ale twarz nadal ma zapuchniętą. Nie odpowiadam na zapytanie Tama.

– No cóż, pracy tam nigdy nie brak – stwierdza Hildy, wstając i zabierając swój talerz. – Jeśli o to wam chodzi. Zawsze potrzebujom pomocy w sadach.

Tam wstaje i we dwójkę sprzątają naczynia ze stołu, wynosząc je do kuchni i zostawiając nas z Violą samych. Słyszymy, jak rozmawiają ze sobą, ale tak cicho, a Tam tak skutecznie blokuje swój Szum, że nie jesteśmy w stanie niczego wyłapać.

– Naprawdę sądzisz, że powinniśmy tu spędzić całą noc? – pytam, zniżając głos.

Ale ona odpowiada gwałtownym szeptem, jakbym w ogóle nie zadał pytania.

– To, że moje myśli i uczucia nie wylewają się w świat niekończącym

się wrzaskiem, nie znaczy, że ich nie mam.

Odwracam się ku niej, zaskoczony.

– Że jak?

Ona szepcze dalej, wkurzona jak nie wiem co.

– Za każdym razem, gdy myślisz, *Och, ona jest tylko pustką*, albo *Nie ma w niej żadnych uczuć*, albo *Może będę mógł ją zostawić z tymi ludźmi*, ja to słyszę, pojmujesz? Słyszę każdą twoją durną myśl, jasne? I rozumiem o wiele więcej, niżbym chciała.

– Taak? – szepczę w odpowiedzi, choć mój Szum w niczym nie przypomina teraz szeptu. – Za każdym razem, kiedy ty coś myślisz albo czujesz albo masz jakąś durną myśl, ja tego *nie słyszę*, więc jak niby mam cokolwiek, kuźwa, wiedzieć na twój temat? Skąd mam wiedzieć, co się dzieje, jeśli wszystko ukrywasz?

– Niczego nie *ukrywam*. – Teraz dziewczyna zaciska zęby. – Po prostu jestem *normalna*.

– Tutaj to nie jest normalność, *Violciu*.

– A skąd niby miałbyś to wiedzieć? Słyszę, jaki jesteś zaskoczony praktycznie wszystkim, co oni mówią. Czy tam, skąd jesteś, nie było żadnej szkoły? *Niczego się nie nauczyłeś*?

– Historia nie jest taka ważna, kiedy starasz się po prostu przeżyć – wyrzucam z siebie, niemal wypluwając każde słowo.

– Wprost przeciwnie, to wtedy jest *najważniejsza* – powiada Hildy, stając u szczytu stołu. – A jeśli ta niemundra kłótnia między wami nie wystarczy, żeby was przekonać, jacy jesteście zmęczeni, to jesteście tak wymęczeni, żeście dawno przestali myśleć. Chodźcie.

Viola i ja piorunujemy się nawzajem wzrokiem, ale wstajemy i idziemy za Hildy do dużego salonu.

– Todd! – szczeka Manczi. Leży w rogu i nie wstaje, tylko ogryza baranią kość, którą wcześniej dał mu Tam.

– Już dawno żeśmy przeznaczyci nasze pokoje gościnne na inne cele – powiada Hildy. – Będziecie musieli się zadowolić sofami.

Pomagamy jej oblec pościel i przygotować pośłania. Viola nadal ma zmarszczone brwi, a mój Szum brzęczy czerwono.

– A teraz – powiada Hildy, gdy mamy już pościelone – przeprosicie się ładnie.

– Co? – pyta Viola. – *Dlaczego?*

– Nie wydaje mi się, aby to była pani sprawa – mówię.

– Nigdy nie chodźcie spać pokłóceni – powiada Hildy, stojąc z rękami wspartymi na biodrach, wyglądając tak, jakby nie zamierzała się ruszyć z miejsca i tylko czekała na to, żeby ktoś spróbował ją do tego zmusić – jeśli chcecie się nadal przyjaźnić.

Viola i ja nic nie mówimy.

– Uratował ci życie? – pyta ją Hildy.

Viola spuszcza wzrok, a po dłuższej chwili odpowiada:

– Tak.

– Zgadza się – dodaję.

– A ona uratowała twoje tam przy moście, nieprawdaż? – kontynuuje Hildy.

Oj.

– Tak – powiada Hildy. – Oj. Nie wydaje wam się, że to coś znaczy?

Nadal nic nie mówimy. Hildy wzdycha.

– W porzundku. Dwa szczeniaki, którym tak niewiele brakuje do dorosłości, pewnie można zostawić, żeby się same przeproszały, jeśli uznajom za stosowne. – Wychodzi, nawet nie mówiąc „dobranoc”.

Odwracam się plecami do Violi, a ona do mnie. Zdejmuję buty i kładę się na jednej z „sof” Hildy – zdaje się, że to po prostu bardziej eleganckie określenie na kanapę. Viola robi to samo. Manczi wskakuje na moją sofę i zwiija się w kłębek przy moich stopach.

Nie słychać nic prócz mojego Szumu i paru trzasków wydawanych przez ogień w kominku, na który jest za ciepło. Na zewnątrz chyba dopiero zmierzcha, ale miękkość poduszek, miękkość przykrycia i gorąco ognia sprawiają, że oczy od razu zaczynają mi się kleić.

– Todd? – mówi Viola ze swojej sofy po drugiej stronie pokoju.

Już prawie zapadłem w sen, ale się otrząsam.

– Co?

Dziewczyna przez sekundę nic nie mówi i myślę sobie, że widać

obmyśla przeprosiny. Ale nie.

– W twoim notesie jest napisane, że co powinienesz zrobić, gdy już dotrzesz do Dalekiej Gałęzi?

Mój Szum staje się nieco czerwieńszy.

– Nie twój interes, co pisze w moim notesie – mówię. – To moja własność, przeznaczona dla mnie.

– Pamiętasz, jak mi pokazałeś mapę tam w lesie? – pyta. – I powiedziałeś, że musimy dotrzeć do tego osiedla? Pamiętasz, co było napisane pod spodem?

– Jasne, że tak.

– Co to było?

W jej głosie nie słychać, żeby się ze mną drażniła, w każdym razie tego nie słyszę, ale ewidentnie to robi, co nie? Drażni się.

– Po prostu idź spać, dobra? – odpowiadam.

– Tam było napisane: *Daleka Gałąź* – mówi Viola. – Nazwa tego miejsca, dokąd mamy dotrzeć.

– Zamknij się. – Mój Szum znów zaczyna brzęczeć.

– To żaden wstyd nie umieć...

– Powiedziałem: *zamknij się!*

– Mogłabym ci pomóc...

Wstaję gwałtownie, zrzucając z sofy Mancziego, który spada z głuchym stukiem. Zgarniam pod pachę prześcieradło, koc i wychodzę wściekły do tego pokoju, gdzieśmy jedli. Rzucam wszystko na podłogę i kładę się, oddzielony ścianą od Violi i tej jej zagadkowej, przeklętej ciszy.

Manczi zostaje tam w środku razem z nią. Typowe.

Zamykam oczy, ale nie mogę zasnąć przez całe wieki i wieki.

Aż w końcu, jak sądzę, udaje mi się to.

Bo nagle stoję na ścieżce i ścieżka biegnie przez bagna, ale jest to też osada i jest to też nasza farma i stoi tam Ben i stoi tam Cillian i stoi tam Viola i wszyscy mówią: „Co tutaj robisz, Todd?“, a Manczi szczeka: „Todd! Todd!“ i Ben łapie mnie za ramię, żeby mnie wywlec za drzwi, a Cillian otacza mnie ramieniem, pchając mnie w górę ścieżki, zaś Viola stawia ogniowe pudełko przy frontowych drzwiach naszego domu, a

koń burmistrza wjeżdża do środka przez te drzwi i tratuje ją, po czym kroks z twarzą Aarona wznosi się za plecami Bena, a ja krzyczę „Nie!” i...

I nagle siadam na posłaniu, pocąc się jak mysz, serce łomocze mi jak szalone i spodziewam się, że zobaczę pochylających się nade mną burmistrza i Aarona.

Ale to tylko Hildy, która mówi:

– A ty co u diabła tutaj robisz? – Stoi w drzwiach, a za nią świeci poranne słońce, tak jaskrawe, że muszę podnieść dłoń, aby osłonić oczy.

– Tu jest wygodniej – mamroczę, ale serce nadal tłucze mi się w piersi.

– Jasne – odpowiada, bezbłędnie czytając w moim dopiero co rozbudzonym Szumie. – Śniadanie już się szykuje.

Zapach smażącego się baraniego boczku budzi Violę i Mancziego. Wypuszczam Mancziego na dwór, żeby mógł tam załatwić poranną potrzebę, ale Viola i ja nic do siebie nie mówimy. Tam wchodzi, kiedy jemy; pewnie wypuszczał owce na pastwisko. Ja bym to właśnie robił, gdybym był teraz w domu.

W domu – myślę.

Ech, nieważne.

– Głowa do góry, szczeniaczku – powiada Tam, stawiając przede mną kubek z kawą. Pijąc ją, ani razu nie podnoszę wzroku.

– Czy ktoś jest tam na zewnątrz? – pytam, wpatrując się w dno kubka.

– Ani żywej duszy – odpowiada Tam. – I mamy piękny dzień.

Zerkam na Violę, ale ona nie patrzy na mnie. Kończymy jeść, myjemy twarze, przebieramy się i ponownie pakujemy bagaże, nie mówiąc do siebie ani słowa.

– Wszystkiego dobrego, trzymajcie się zdrowo oboje – powiada Tam, gdy mamy już ruszać z Hildy do Dalekiej Gałęzi. – Zawsze to miło, gdy dwoje ludzi, co nie majom nikogo innego, zostaje przyjaciółmi.

I nie odpowiadamy na to ani słowem.

– Chodźcie, szczeniaczki – mówi Hildy. – Czas ucieka.

Wracamy na ścieżkę, która niezadługo dochodzi do tej samej drogi,

co musiała przebiegać przez most.

– To była niegdyś główna droga z Dalekiej Gałęzi do Prentisstown – powiada Hildy, zarzucając na ramię swój mały plecak. – Czy też do Nowej Elizabeth, jak je kiedyś zwano.

– Jak co kiedyś? – pytam.

– Prentisstown – odpowiada. – Zwało się kiedyś Nowa Elizabeth.

– Nie, nigdy – mówię, unosząc brwi.

Hildy patrzy na mnie, a jej własne brwi drwią sobie z moich.

– Nie? To widać jestem w błędzie.

– Widocznie – odpowiadam, obserwując ją.

Viola wydaje pogardliwy odgłos samymi wargami. Posyłam jej mordercze spojrzenie.

– Czy będzie tam jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się zatrzymać na dłużej? – pyta, ignorując mnie.

– Zabieram was do mojej siostry – powiada Hildy. – Jest w tym roku zastępcom burmistrza, dacie wiarę?

– I co potem zrobimy? – pytam, kopiąc butem pył, gdy idziemy dalej.

– No cóż, to chyba od was zależy – mówi Hildy. – To wy odpowiadacie za swój los, nieprawdaż?

– Nie do końca. – Słyszę, jak Viola mówi to pod nosem, a ponieważ dokładnie te same słowa mam w swoim Szumie, oboje podnosimy wzrok i łapiemy nawzajem swoje spojrzenie.

Prawie się uśmiechamy. Ale tylko prawie. I właśnie wtedy zaczynamy słyszeć Szum.

– Ach – powiada Hildy, która też go słyszy. – Daleka Gałunź.

Droga dociera do wylotu dolinki.

I oto jest.

Drugie osiedle. To osiedle, którego miało nie być.

To, do którego Ben kazał nam iść.

Gdzie może będziemy bezpieczni.

Pierwsze, co widzę, to droga wijąca się dnem doliny między sadami – równe rzędy zadbanych drzew, a między nimi ścieżki i systemy nawadniające. Tak wyglądają zbocza, a w dole widać budynki i potok o

spokojnym nurcie, płynący po płaskim, wijący się w przeciwnym kierunku niż idziemy, na pewno uchodzący do tej większej rzeki.

I wszędzie widać mężczyzn oraz kobiety.

Większość jest rozproszona po sadach i pracuje pilnie, w grubych roboczych fartuchach; wszyscy mężczyźni w koszulkach z długim rękawem, a kobiety w długich spódnicach. Ścinają maczetami wielkie kolczaste owoce albo wnoszą pełne kosze albo naprawiają rury nawadniające i tak dalej.

Mężczyźni i kobiety, kobiety i mężczyźni.

Może parę tuzinów mężczyzn, takie w każdym razie odnoszę wrażenie; mniej niż w Prentisstown.

I kto wie, ile kobiet.

Żyją w zupełnie innym miejscu.

Szum (i cisza) ich wszystkich unosi się nad doliną niczym lekka mgiełka.

**Dwa poproszę i Moim skromnym zdaniem i Zachwaszczone nieużytki i Może się zgodzi, a może nie i Jeśli msza skończy się o pierwszej, zawsze mogę i tak dalej, i tak dalej, bez końca, amen.**

Po prostu przystaję na środku drogi i gapię się przez chwilę. Nie jestem jeszcze gotów, żeby tam zejść.

Bo jest dziwnie.

Prawdę mówiąc, więcej niż dziwnie.

Wszystko jest takie, nie wiem, *spokojne*. Jak normalna pogawędka z kumplami. Nic przypadkowego ani obraźliwego.

I nikt tutaj za niczym nie tęskni.

Nigdzie nie słyszę ani nie czuję żadnej strasznej, strasznej, rozpaczliwej tęsknoty.

– ło w mordę, ciut inaczej tu wszystko wygląda niż w Prentisstown – szepczę do Mancziego.

A pół sekundy później słyszę, jak z pola niedaleko nas nadpływa myśl:

**Prentisstown?**

I zaraz potem słyszę to jeszcze z paru innych miejsc. **Prentisstown?** i **Prentisstown?** Po czym uzmysławiam sobie, że mężczyźni w pobliskich



sadach już nie zrywają owoców, czy co tam innego robili. Stoją bez ruchu. Patrzą na nas.

– Chodźcie – mówi Hildy. – Nie zatrzymujcie się. To tylko ciekawość.

Słowo „Prentisstown” rozprzestrzenia się po polach niczym trzeszczący ogień. Manczi przesuwa się bliżej moich nóg. Ludzie gapią się na nas ze wszystkich stron. Nawet Viola trzyma się teraz tuż obok, żebyśmy tworzyli ciaśniejszą grupkę.

– Nie martwcie się – powiada Hildy. – Po prostu mnóstwo ludzi będzie chciało zobaczyć...

Urywa w pół zdania.

Na drogę przed nami wychodzi mężczyzna. Jego twarz nie wygląda ani trochę tak, jakby się cieszył, że nas widzi.

– Prentisstown? – pyta, a jego Szum niepokojąco szybko staje się niepokojąco czerwony.

– Witaj, Matthew – odpowiada Hildy. – Właśnie prowadzeni...

– Prentisstown – mówi ponownie mężczyzna. Nie patrzy na Hildy, i już nie jest to zapytanie.

Patrzy prosto na mnie.

– Nie jesteś tu mile widziany – powiada. – Ani trochę.

I ma w ręku największą maczetę, jaką żeście kiedykolwiek widzieli.

## Spotkanie w sadzie

Moja dłoń wędruje za plecak, po mój własny nóż.

– Zostaw to, Todd, szczeniaku – powiada Hildy, nie odrywając oczu od mężczyzny. – Nie w ten sposób.

– Co ty sobie wyobrażasz, Hildy? Kogo żeś sprowadziła do naszej wioski? – pyta mężczyzna, mocno dzierżąc maczetę w dłoni. Nadal się we mnie wpatruje, a w jego zapytaniu słychać autentyczne zaskoczenie oraz...

Czy to smutek?

– Prowadzem chłopaczkę i dziewczynkę, co zgubili drogę – powiada Hildy. – Odsuń się, Matthew.

– Nie widzem tu żadnego chłopaczkę – odpowiada Matthew, a jego oczy zaczynają płonąć. Jest rostry, wielki, z ramionami jak wół i pobrużdżonym czołem, które wyraża mnóstwo zdziwienia, ale niewiele sympatii. Wygląda niczym chodząca, mówiąca burza. – Widzem mężczyznę z Prentisstown. Widzem mężczyznę z Prentisstown, co ma w swoim Szumie pełno syfu z Prentisstown.

– Nie, to nie jest to, co widzisz – odpowiada Hildy. – Przypatrz się uważniej.

Szum typa imieniem Matthew już napiera na mnie niczym natrętne ręce, wciskając się w moje własne myśli, próbując je przetrząsnąć. Jest wściekły i pytający i tak hałaśliwy jak trzaskające ognisko, tak nierówny, że nie jestem w stanie z niego za cholerę nic wyczytać.

– Znasz prawo, Hildy – mówi Matthew.

Prawo?

– Prawo jest dla mężczyzn – odpowiada Hildy, a jej głos pozostaje spokojny, jakbyśmy stali tam rozmawiając o pogodzie. Czy nie widzi, jak czerwony stał się Szum tego człowieka? Czerwień to nie jest kolor na

przyjacielską pogawędkę. – Ten tu szczeniak to jeszcze nie mężczyzna.

– Zostało mi dwadzieścia osiem dni – mówię bez zastanowienia.

– Twoje liczby nic tu nie znaczą, chłopcze. – Matthew spluwa. – Nie obchodzi mnie, ile jeszcze dni ci zostało.

– Uspokój się, Matthew – mówi Hildy, ostrzej niżbym chciał. Ale ku mojemu zaskoczeniu Matthew zerka na nią cały obrażony i cofa się o krok. – Ten szczeniak ucieka z Prentisstown – dodaje nieco ciszej. – Uszedł stamtąd.

Matthew patrzy na nią podejrzliwie, potem znów kieruje wzrok na mnie, ale opuszcza maczetę. Odrobinę.

– Tak, jak ty sam swego czasu – dorzuca Hildy.

Co?

– Pan jest z Prentisstown? – pytam głupio.

Maczeta się wznosi, a Matthew znów daje krok do przodu. Wygląda to tak groźnie, że Manczi zaczyna szczekać:

– Strach! Strach! Strach!

– Byłem z *Nowej Elizabeth* – warczy Matthew przez zaciśnięte zęby. – Nigdy nie miałem nic wspólnego z Prentisstown, chłopcze, nigdy. Pamiętaj o tym.

Teraz widzę w jego Szumie wyraźniejsze przebłyski. Niemożliwe rzeczy, szalone rzeczy, napływające gwałtowną falą, jakby nie był w stanie ich powstrzymać. Rzeczy gorsze niż najgorsze z nielegalnych widów, które pan Hammar kiedyś po cichu wypożyczał najstarszym i najniegrzeczniejszym chłopakom w osadzie, te, gdzie wydawało się, że ludzie naprawdę umierają, ale nie było sposobu, by się kiedykolwiek dowiedzieć, czy faktycznie tak jest. Obrazy i słowa i krew i krzyki i...

– Przestań w tej chwili! – woła Hildy. – Opanuj się, Matthew! Opanuj się, *ale już!*

Szum typa przycicha nagle, choć nadal się burzy. Nie jest tak uładzony jak u Tama, ale nadal bardziej niż u jakiegokolwiek mężczyzny z Prentisstown.

Jednak gdy tylko błyska mi ta myśl, Matthew znów podnosi maczetę.

– Nie będziesz wymawiał tego słowa w naszej wiosce, chłopcze – mówi. – Jeśli ci życie miłe.

– Nikt nie będzie groził moim gościom, póki chodzę po tym świecie – odpowiada Hildy, a głos ma donośny i wyraźny. – Zrozumiano?

Matthew patrzy na nią; nie kiwa głową, nie mówi „tak”, ale wszyscy wiemy, że zrozumiał. Nie jest jednak uszczęśliwiony. Jego Szum nadal napiera i naciska na mnie; czuję, że spoliczkowałby mnie, gdyby mógł. W końcu spogląda na Violę.

– W takim razie kto to jest? – pyta, wskazując ją ostrzem maczety.

I to się dzieje, zanim choćby się zorientowałem, że to robię, przysięgam.

W jednej minucie stoję tam za wszystkimi, a w następnej jestem już między tym typem a Violą. Nóż mam w rękę i wycelowany w niego, mój własny Szum huczy jak lawina, a moje usta mówią:

– Lepiej niech się pan od niej cofnie o dwa kroki i to szybko.

– Todd! – krzyczy Hildy

I „Todd!” – szceka Manczi. I „Todd!” – woła Viola.

A ja stoję tam z dobytym nożem, zaś serce łomocze mi jak szalone, jakby dopiero teraz się kapnęło, co robię. Ale nie można już tego cofnąć. Jak do tego doszło? Wiecie może?

– Tylko daj mi powód, prentisiarzu – powiada Matthew, unosząc maczetę. – Daj mi jeden jedyny powód.

– Dość! – mówi Hildy.

I tym razem jej głos ma coś w sobie, niczym przykazanie. Brzmi tak, że Matthew letko się wzdryga. Wciąż trzyma maczetę w górze, wciąż piorunuje wzrokiem mnie i Hildy, a jego Szum pulsuje bólem niczym rana.

A potem jego twarz nieznacznie się krzywi.

I Matthew, wierzcie lub nie, zaczyna płakać.

Gniewnie, wściekle usiłuje się powstrzymać, ale stoi tam, wielki jak byk, z maczetą w rękę, i płacze.

Nie tego się spodziewałem.

Głos Hildy nieco łagodnieje.

– Todd, szczeniaczku, odłóż ten nóż.

Matthew upuszcza maczetę na ziemię i zasłania ręką oczy, smarkając, szlochając i jęcząc. Spoglądam na Violę. Tylko się gapi na tego gościa, chyba równie zdezorientowana co ja.

Opuszczam nóż, ale nie wsuwam go do pochwy. Jeszcze nie.

Matthew odycha głęboko, Szum bólu i Szum żalu aż z niego kapią, a także furia, że stracił nad sobą kontrolę tak na widoku.

– To miało być zakończone – mówi kaszląc. – Dawno zakończone.

– Wiem – odpowiada Hildy, podchodząc do niego i kładąc mu rękę na ramieniu.

– O co tu chodzi? – pytam.

– Nieważne, Todd, szczeniaczku – odpowiada Hildy. – Prentisstown ma smutnom przeszłość.

– To samo powiedział Tam – mówię. – Tak jakbym nie wiedział.

Matthew podnosi wzrok.

– Nic na ten temat nie wiesz, chłopcze – powiada, znów zaciskając zęby.

– Wystarczy już – ucina Hildy. – Ten chłopiec nie jest twoim wrogiem.

– Patrzy na mnie, nieco szerzej rozwierając oczy. – I właśnie dlatego chowa nóż.

Obracam nóż w dłoni raz czy dwa razy, ale potem sięgam za plecak i chowam broń. Matthew znów piorunuje mnie spojrzeniem, ale teraz naprawdę zaczyna się wycofywać, a ja głowię się, kim też jest Hildy, że tak bezszmerowo jej posłuchał.

– Oboje są niewinni jak jagnięta, Matthew, szczeniaczku – powiada Hildy.

– Nikt nie jest niewinny – odpowiada z goryczą Matthew. Po raz ostatni pociąga nosem, po czym podnosi maczetę. – Nikt, ale to nikt.

Odwraca się plecami i wkracza do sadu, nie zaszczycając nas już ani jednym spojrzeniem.

Cała reszta ludzi nadal się na nas gapi.

– Dzień ucieka – mówi do nich Hildy, obracając się tak, by zwrócić się do wszystkich. – Później będzie dość czasu na spotkania i powitania.

Ja i Viola patrzymy, jak robotnicy zaczynają wracać do swoich

drzew, koszy i czego tam jeszcze. Oczywiście nadal patrzą w naszą stronę, ale większość ludzi ponownie bierze się do pracy.

– Jest pani tutaj kimś ważnym, czy coś w tym guście? – pytam.

– Coś w tym guście, Todd, szczeniaku. Chodźcie, jesteście nawet nie widzieli naszej osady.

– O jakim prawie on mówi?

– To długa historia – odpowiada Hildy. – Później ci powiem.

Droga, nadal wystarczająco szeroka dla ludzi, wozów i koni, choć widzę tu tylko ludzi, wije się i biegnie przez kolejne sady na zboczach dolinki.

– Co to za owoce? – pyta Viola, gdy przed nami przechodzą dwie kobiety z pełnymi koszami. Odchodząc, popatrują na nas.

– Pierzasta sosna – odpowiada Hildy. – Słodkie jak cukier, mnóstwo witamin.

– Nigdy o nich nie słyszałem – mówię.

– No tak – odpowiada Hildy. – Nie dziwi mnie to.

Patrzę na drzewa, których jest o wiele za dużo jak na osiedle, gdzie na pewno nie mieszka więcej niż pięćdziesiąt osób.

– Żywie się tutaj tylko tym?

– Oczywiście, że nie – odpowiada Hildy. – Handlujemy z innymi osadami położonymi wzdłuż tej drogi.

W moim Szumie tak wyraźnie słychać zaskoczenie, że nawet Viola zaczyna się śmiać.

– Nie myślałaś chyba, że na całym Nowym Świecie som tylko dwie osady, co? – pyta Hildy.

– Nie – odpowiadam, czując, że oblewa mnie rumieniec – ale wszystkie pozostałe osady zostały zniszczone podczas wojny.

– Mhm – mruczy Hildy, przygryzając dolną wargę i kiwając głową, ale nie mówi już nic więcej.

– Czy to jest Przystań? – pyta cicho Viola.

– Czy co Przystań? – pytam.

– Ta inna osada – mówi Viola, nie paląc się do tego, żeby na mnie spojrzeć. – Powiedziała pani, że w Przystani mają lek na Szum.

– Ach. – Hildy cmoka lekceważąco. – To aby pogłoski i domysty.

– Czy Przystań naprawdę istnieje? – pytam.

– To największa i najstarsza z osad na Nowym Świecie – odpowiada Hildy. – Nie mamy tu prawdziwych wielkich miast, ale Przystań jest największym. Całe mile stund. Nie dla wieśniaków, takich jak my.

– Nigdy o niej nie słyszałem – mówię ponownie.

Nikt nie odzywa się na to ani słowem, a ja mam wrażenie, że milczą z grzeczności. Viola w zasadzie nie patrzy na mnie od czasu tamtej dziwnej historii ze mną, typem imieniem Matthew i z nożem. Prawdę mówiąc, ja też nie jestem pewien, o co w tym chodziło.

Więc wszyscy po prostu idziemy dalej.

W Dalekiej Gałęzi jest wszystkiego może ze siedem budynków. Są mniejsze niż w Prentisstown i w sumie to tylko budynki, ale w jakiś sposób są też tak bardzo inne, że czuję się tak, jakbym wywędrował z Nowego Świata do jakiegoś całkiem innego miejsca.

Pierwszy budynek, jaki mijamy, to mała kamienny kościółek, nowiutki, czyściutki i otwarty na oścież, w niczym nie przypominający mroku, w którym Aaron głosił swe kazania. Dalej jest sklep, a obok niego warsztat mechanika, choć nie widzę wokół zbyt wielu maszyn. Nie widziałem tu nawet turbocykla, choćby i zepsutego. Jest budynek, który wygląda jak sala zebrań, i drugi, który ma na fasadzie wyrzeźbione węże – znak lekarza, i jeszcze dwa, podobne do stodół, które chyba służą za magazyny.

– Nie jest to nic nadzwyczajnego – mówi Hildy. – Ale to nasz dom.

– Nie wasz dom – odpowiadam. – Mieszkacie kawałek drogi stąd.

– Jak większość tutejszych – potwierdza Hildy. – Nawet gdy jest się przyzwyczajonym, przyjemniej słyszeć wokół domu tylko szum swoich najbliższych. W osadzie ciut za duży zgiełk.

Nadstawiam ucha, żeby posłuchać tego zgiełku, ale nadal nie jest to nawet w przybliżeniu to, co w Prentisstown. Jasne, że w Dalekiej Gałęzi słychać Szum; ludzie zajmują się swymi nudnymi codziennymi słowami, trajkoczą w myślach o rzeczach, które nic nie znaczą. **Ciach, ciach, ciach** i **Dam tylko siedem za cały tuzin** i **Posłuchaj, jak ona śpiewa, tylko**

**posłuchaj i Trzeba dziś naprawić ten kurnik i On zaraz stamtąd spadnie** i tak dalej i tak dalej. Wszystko to jest tak jawne i brzmi tak bezpiecznie, że przypomina ciepłą kąpiel w porównaniu z tym czarnym Szumem, do którego przywykłem.

– Och, tu też bywa czarny, Todd, szczeniaczku – powiada Hildy. – Mężczyźni potrafiom się gniewać. Kobiety też.

– Niektórzy powiedzieliby, że to niegrzeczne, bez przerwy podsłuchiwać Szum mężczyzny – mówię, oglądając się.

– Święta prawda, szczeniaczku. – Hildy uśmiecha się szeroko. – Ale ty jeszcze nie jesteś mężczyznom. Sam żeś to powiedział.

Przechodzimy przez główną drogę w osadzie. Trochę ludzi – mężczyzn i kobiet – wędruje nią albo w jedną, albo w drugą stronę. Niektórzy pozdrawiają Hildy uniesieniem kapelusza, ale większość tylko się na nas gapi.

Odwzajemniam ich spojrzenia.

Jeśli się człowiek uważnie wsłucha, można usłyszeć, gdzie w osadzie są kobiety. Słysząc je niemal równie wyraźnie co mężczyzn. Są niczym kamienie, które Szum omywa, a gdy już człowiek przywyknie do ich ciszy, można wyczuć, gdzie te plamy ciszy się znajdują, rozproszone wszędzie wokół, Viola i Hildy razy dziesięć. Założę się, że gdybym tu się zatrzymał i stał, mógłbym policzyć, ile dokładnie kobiet znajduje się w każdym budynku.

A gdy przemieszana jest z odgłosami tylu mężczyzn, wiecie co?

Ich cisza nie wydaje się nawet w połowie równie okropna co wtedy, gdy są same.

A potem widzę paru malutkich, tych ludzików, którzy nas obserwują zza krzaka.

Dzieciaki.

Dzieciaki mniejsze ode mnie, młodsze ode mnie.

Pierwsze, jakie kiedykolwiek widziałem.

Kobieta niosąca kosz widzi je i robi dłońmi taki gest, jakby rozpędzała kury. Marszczy brwi i uśmiecha się jednocześnie, a dzieciaki uciekają chichocząc na tyły kościoła. Patrzę za nimi i czuję, że w piersi



coś mnie trochę zaczyna uwierać.

– Idziesz? – woła do mnie Hildy.

– Taa – odpowiadam, nadal spoglądając tam, gdzie pobiegły dzieci. Odwracam się i idę dalej, nadal z głową odkręconą do tyłu.

Dzieci. Prawdziwe dzieci. Tu jest wystarczająco bezpiecznie dla dzieci i łapię się na myśli, czy Viola mogłaby się tutaj czuć tak jak w domu, z tymi wszystkimi mężczyznami, którzy wydają się sympatyczni, ze wszystkimi kobietami i dziećmi. Łapię się na tym, że zastanawiam się, czy byłaby tu bezpieczna, nawet jeśli ja najwyraźniej nie jestem.

Założę się, że tak.

Spoglądam na Violę i widzę, że odwróciła wzrok.

Hildy zaprowadziła nas do domu, który stoi najdalej ze wszystkich budynków Dalekiej Gałęzi. Są tu schodki od frontu oraz mała flaga zawieszona na słupie stojącym z przodu.

Przystaję.

– To jest dom burmistrza – mówię. – Co nie?

– Zastępcy burmistrza – odpowiada Hildy, wchodząc po schodkach. Jej buty głośno stukają o drewno. – To moja siostra.

– A to moja siostra – odpowiada kobieta, która otwiera drzwi: pulchniejsza, młodsza, bardziej nachmurzona wersja Hildy.

– Francia – mówi Hildy.

– Hildy – odpowiada Francia.

Wymieniają skinienie głową. Nie przytulają się nawzajem, nie ściskają sobie rąk. Tylko to jedno skinienie głową.

– Jak ci się zdaje, co za kłopoty sprowadzasz do mej osady? – pyta Francia, lustrując nas.

– Do twej osady, co? – odpowiada z uśmiechem Hildy, unosząc brwi. Odwraca się do nas. – Jakem rzekła Matthewowi Lyle, to tylko dwa szczeniaki uciekajunce w bezpieczne miejsce, szukajunce schronienia. – Odwraca się z powrotem do siostry. – A jeśli w Dalekiej Gałęzi nie znajdom schronienia, siostrzyczko, to gdzie?

– Nie o nich mówiem – odpowiada Francia, przypatrując się nam z rękami splecionymi na piersi – tylko o tej armii, co tu śpieszy ich śladem.

## Daleka Gałąź

– Armii? – powtarzam, a żołądek zaciska mi się w supeł. Viola mówi to samo równocześnie, ale tym razem nie ma w tym nic śmiesznego.

– Jakiej armii? – Hildy marszczy brwi.

– Z odległych pól przyptywajom pogłoski o armii zbierającej się po tamtej stronie rzeki – odpowiada Francia. – Mężczyźni na koniach. Mężczyźni z Prentisstown.

Hildy składa usta w ciup.

– *Pinciu* mężczyzn na koniach – odpowiada – a nie żadna armia. To była tylko banda wysłana za tymi szczeniaczkami.

Francia nie wygląda na przekonaną. Nigdy nie widziałem tak stanowczo splecionych rąk.

– Poza tym most jest rozwalony – kontynuuje Hildy – więc nikt się w najbliższym czasie nie wybiera do Dalekiej Gałęzi. – Spogląda z powrotem na nas. – *Armia* – powtarza, kręcąc głową. – Słowo dajem.

– Jeśli jest zagrożenie, siostró – mówi Francia – mam obowiunzek...

Hildy przewraca oczami.

– Nic mi nie mów o twoich obowiunzkach, siostró – powiada, przechodząc obok Francii i otwierając frontowe drzwi domu. – Ja *wymyśliłam* twoje obowiunzki. Chodźcie, szczeniaczki, wejdźcie do środka.

Viola i ja stoimy bez ruchu. Francia nie zachęca nas, byśmy się ruszyli.

– Todd? – szceka pytająco Manczi przy moich stopach. Biorę głęboki oddech i wchodzę po schodkach.

– Dzień dobry, proszę paniu – mówię.

– *Proszę pani* – szepcze Viola za moimi plecami.

– Dzień dobry, proszę pani – mówię, starając się nie jękać. – Jestem Todd, a to Viola. – Ręce Francii nadal są splecione na piersi, jakby

startowała w konkursie na stanie w tej pozycji. – Naprawdę było tylko pięciu mężczyzn – kontynuuję, choć słowo *armia* rozbrzmiewa echem w moim Szumie.

– A ja mam ci tak po prostu zaufać, co? – pyta Francia. – Chłopcu, którego ścigajom? – Spogląda w dół na Violę, która nadal czeka na najniższym schodku. – Mogem sobie wyobrazić, czemu tyś uciekała.

– Och, dajże już spokój, Francia – powiada Hildy, nadal przytrzymując dla nas drzwi.

Francia odwraca się i gestem każe siostrze się odsunąć.

– Pozwolisz, że ja będę decydować, kto wchodzi do mego domu – mówi do niej, a potem do nas: – No chodźcie, jeśli zamierzacie wejść.

I tak właśnie wygląda nasza pierwsza styczność z gościnnością w Dalekiej Gałęzi. Wchodzimy do środka. Francia i Hildy sprzeczą się o to, czy Francia ma gdzie nas umieścić na czas, który możemy chcieć tutaj spędzić. Hildy wygrywa sprzeczkę, po czym Francia pokazuje mnie i Violi dwa oddzielne pokoiki piętro wyżej.

– Twój pies musi spać na zewnątrz – mówi Francia.

– Ale on...

– To nie było pytanie – dorzuca Francia, wychodząc z pokoju.

Wychodzę za nią na korytarz. Nie odwraca się, schodząc na dół. Mniej niż minutę później słyszę, jak ona i Hildy znów się sprzeczą, próbując nie podnosić głosów. Viola też wychodzi ze swego pokoju, żeby posłuchać. Stoimy tam przez sekundę, zastanawiając się.

– Co o tym myślisz? – pytam.

Nie patrzy na mnie. Potem tak jakby postanawia na mnie spojrzeć i robi to.

– Nie wiem – mówi. – A ty co myślisz?

Wzruszam ramionami.

– Nie wydaje się zbyt szczęśliwa, że nas widzi – mówię – ale tak czy siak czuję się tu bezpieczniejszy niż przedtem. W czterech ścianach i tak dalej. – Znów wzruszam ramionami. – I Ben chciał, byśmy tu dotarli, i w ogóle.

To prawda, ale nadal nie jestem pewien, czy mi to pasuje. Viola

obejmuje się ramionami, całkiem jak Francja, ale nie tak, jak Francja.

– Wiem, co masz na myśli.

– Więc pewnie póki co możemy tu zostać.

– Tak – mówi Viola. – Póki co.

Jeszcze przez chwilę przysłuchujemy się sprzeczce.

– To, co zrobiłeś tam wcześniej... – zaczyna mówić Viola.

– To było głupie – przerywam jej prędko. – Nie chcę o tym gadać.

Twarz zaczyna mnie palić, więc wchodzę z powrotem do mego pokoiku. Stoję tam i przygryzam wargę. Pokój wygląda tak, jakby należał wcześniej do kogoś starego. Trochę też zalatuje starością, ale przynajmniej stoi tu prawdziwe łóżko. Klękam przy moim plecaku i otwieram go.

Rozglądam się, by mieć pewność, że nikt za mną nie wszedł, po czym wyciągam notes. Otwieram go tam, gdzie jest mapa, i patrzę na strzałki biegnące przez bagna ku rzece po drugiej stronie. Na mapie nie ma mostu, ale jest osada. A pod nią słowa.

– Dabka – mówię do siebie. – Dabka Galaz.

Znaczy się, pewnie jest tam napisane „Daleka Gałąź”

Głośno wypuszczam powietrze przez nos, spoglądając na zapisaną stronę z tyłu mapy. Ty *musisz ich ostrzec* (oczywiście, oczywiście, zamknijcie się) widnieje na dole, podkreślone. Viola słusznie spytała: kogo ostrzec? Ostrzec Daleką Gałąź? Ostrzec Hildy?

– Przed czym? – pytam. Kartkuję notes, a tam jest mnóstwo zapisanych stron, strony i strony, słowa na słowach na słowach na słowach, niczym Szum wysypany na papier w takiej ilości, że nie da się z niego nic sensownego wyczytać. Jak mam kogokolwiek ostrzec przed tym wszystkim?

– O rany, Ben – mówię półgłosem. – Coś ty wymyślił?

– Todd? – woła z dołu Hildy. – Violciu?

Zamykam notes i spoglądam na jego okładkę.

Później. Później o to zapytam.

Zapytam.

Później.

Odkładam notes i schodzę na parter. Viola już tam czeka. Hildy i Francia, znów z rękami założonymi na piersi, też czekają.

– Muszem wracać na mojom farmę, szczeniaczki – powiada Hildy – i pracować dla dobra wszystkich, ale Francia zgodziła się wami dzisiaj zaopiekować, a ja wrócem wieczorem, żeby sprawdzić, jak se tu radzicie.

Viola i ja spoglądamy na siebie. Nagle bardzo nie chcemy, aby Hildy odeszła.

– Dzięki wielkie za to – powiada Francia, marszcząc brwi. – Cokolwiek rzekła wam o mnie moja siostra, nie jestem żadnym potworem.

– Nie powiedziała... – zaczynam mówić, a potem się powstrzymuję, ale mój Szum dopowiada resztę zdania: – ...*nam nic o pani.*

– Taak, no cóż, to typowe – mówi Francia, piorunując Hildy wzrokiem. Nie wydaje się jednak przesadnie wytrącona z równowagi. – Możecie tu tymczasem zostać. Tatko i ciocia dawno nie żyjom, a nikt ostatnimi czasy nie korzysta z ich pokoi.

Miałem rację. Pokój kogoś starego.

– Ale tu w Dalekiej Gałęzi wszyscy ciężko pracujom. – Francia spogląda na mnie, potem na Violę i znów na mnie. – I będziecie musieli zarobić na swoje utrzymanie, nawet jeśli zostanieie tu tylko na dzień czy dwa, żeby poczynić takie plany, jakie postanowicie poczynić.

– Nie jesteśmy jeszcze pewni – mówi Viola.

– Hmmf – hmmka Francia. – A jeśli zostanieie dłużej niż do końca tego pierwszego zbioru owoców, czeka was nauka.

– Szkoła? – pytam.

– Szkoła i kościół – mówi Hildy. – Jeśli zostanieie tu wystarczajunco długo. – Zgaduję, że znów czyta mi w Szumie.

– Zamierzacie zostać wystarczajunco długo?

Nic na to nie odpowiadam, Viola też, a Francia znów hmmka.

– Przepraszam panią – mówi Viola, gdy Francia odwraca się, by przemówić do Hildy.

– Mów mi po prostu Francia, dziecko – odpowiada zaskoczona

Francia. – O co chodzi?

– Czy mogę stąd wysłać wiadomość do mojego statku?

– Twój statek – powtarza Francia. – Chodzi o ten statek z kolonistami gdzieś tam hen, w czarnej dali? – Zaciska usta w cienką linię. – Ze wszystkimi tymi ludźmi?

Viola przytakuje.

– Mieliliśmy się odmeldować. Powiadomić ich, cośmy zastali.

Jej głos jest tak cichy, a twarz tak zapatrzona i pełna nadziei, oczy tak szeroko otwarte i czekające tylko, by się rozczarować, że znów czują tamto znajome targnięcie żalu, ściągające ku sobie cały Szum, jakbym był w żałobie albo się zagubił. Kładę dłoń na oparciu sofy, żeby się nie zachwiać.

– Ach, dziewczynko, szczeniaczku – mówi Hildy, a jej głos znów podejrzenie łagodnieje. – Zgaduję, żeście próbowali się skontaktować z nami na Nowym Świecie, nimeście tu przylecieli na wasz zwiad?

– Tak – odpowiada Viola. – Nikt nie odpowiedział.

Hildy i Francia potakują jedna do drugiej.

– Zapomnieliście, żeśmy som kościelni osadnicy – mówi Francia. – Uciekliśmy od pokus wielkiego świata, by tu zbudować naszom własnóm małom utopię, winc żeśmy się nie troszczyli o takom maszynię, tylko skupili na tym, by tu przeżyć.

Oczy Violi otwierają się nieco szerzej.

– Nie macie jak się z kimkolwiek skomunikować?

– Nie mamy komunikatorów, żeby się kontaktować z innymi osadami – odpowiada Francia – a co dopiero z przestrzeniom kosmicznom.

– Jesteśmy rolnikami, szczeniaczku – wyjaśnia Hildy.

– Prostymi rolnikami, szukajuncymi prostszego sposobu na życie. Dlatego właśnie przebyliśmy taki szmat drogi, żeby tu dotrzeć. Odrzucajunc te rzeczy, które spowodowały tyle wojen między naszymi przodkami. – Bębni palcami o blat stołu. – Z tym że nie całkiem się to udało.

– Właściwie to nie spodziewaliśmy się, że bedom inni – dodaje Francia. – Zważywszy na to, jak wyglundał Stary Świat, gdyśmy

odlatywali.

– Czyli jestem tutaj uwięziona? – pyta Viola, letko drżącym głosem.

– Do czasu, aż przyleci twój statek – potwierdza Hildy. – Obawiam się, że tak.

– Jak daleko som teraz? – pyta Francia.

– Przekroczenie granicy układu za dwadzieścia cztery tygodnie – odpowiada cicho Viola. – Peryhelium cztery tygodnie później. Transfer orbitalny po dalszych dwóch tygodniach.

– Przykro mi, dziecko – mówi Francia. – Wyglunda na to, że spędzisz z nami siedem miesięcy.

Viola odwraca się plecami do nas wszystkich, ewidentnie przetrawiając te wieści.

Dużo może się wydarzyć w ciągu siedmiu miesięcy.

– No cóż – powiada Hildy, nadając głosowi pełen animuszu ton – słyszała żem, że w Przystani majom mnóstwo rzeczy. Turboauta i miejskie ulice i bez liku sklepów. Może wpierw sprawdźcie tam, nim zaczniecie się na serio martwić, he?

Mruga do Francii, a Francia mówi:

– Todd, szczeniaku? Może skombinujemy ci robotę w stodole? Jesteś chłopakiem z farmy, nie?

– Ale... – zaczynam mówić.

– Na farmie zawsze huk roboty – ciągnie Francia – jak pewnie doskonale wiesz...

Gadając tak, wyprowadza mnie tylnymi drzwiami. Zerkając do tyłu przez ramię, widzę, jak Hildy pociesza Violę po cichu, słowami, których nie słyszę, mówiąc rzeczy, o których znów nie mam szansy się dowiedzieć.

Francia zamyka za nami drzwi i prowadzi mnie oraz Mancziego przez główną drogę, do jednego z tych dużych magazynów, które widziałem, gdyśmy tu nadchodzili. Widzę, jak mężczyźni przyciągają ręczne wózki do głównych drzwi z przodu, a inny mężczyzna wyładowuje z nich kosze owoców.

– To jest wschodnia stodoła – mówi Francia – gdzie przechowujemy

to, co pójdzie na sprzedaż. Zaczekaj no tu.

Czekam, ona zaś podchodzi do mężczyzny wyładowującego kosze z wózka. Rozmawiają przez chwilę i wyraźnie słyszę w jego Szumie: **Prentisstown?** oraz nagły przypływ uczuć, który temu towarzyszy. Są nieco inne od tych, które czułem wcześniej, ale wygasają, nim jestem w stanie je odczytać, a potem Francia wraca.

– Iwan powiada, że możesz popracować z tyłu, pozamiatać.

– *Pozamiatać?* – pytam, ciut zaszokowany. – Wiem, co się robi na farmach, proszę paniu, i...

– Wierzę, że wiesz, ale pewnie jużś zauważył, że somsiedzi z Prentisstown nie som tu zbyt lubiani. Lepiej będzie cię umieścić z dala od wszystkich do czasu, aż wszyscy zdążom się do ciebie przyzwycząić. Rozumiesz?

Minę ma nadal surową, a ręce splecione na piersi, ale to, co mówi, faktycznie brzmi sensownie, a choć jej twarz nie wydaje się tak dosłownie życzliwa, to może na swój sposób jest.

– W porządku – mówię.

Francia kiwa głową, po czym prowadzi mnie do Iwana, który jest chyba z grubsza w wieku Bena, ale niski, ciemnowłosy i z ramionami niczym, kuźwa, dwa konary

– Iwanie, to jest Todd – mówi Francia.

Wyciągam rękę, żeby Iwan mógł ją uścisnąć. Nie robi tego, tylko świdruje mnie wzrokiem jak nie wiem co.

– Będiesz pracował tam z tyłu – powiada. – I trzymał się z dala ode mnie, razem z tym twoim psem.

Francia odchodzi, a Iwan prowadzi mnie do środka, wskazuje miotłę i biorę się do pracy. I tak oto zaczyna się mój pierwszy dzień w Dalekiej Gałęzi: w ciemnej stodole zmiotam kurze z jednego kąta do drugiego, widząc jeden jedyny skrawek błękitnego nieba przez drzwi na jej przeciwległym krańcu.

Ach, co za radość.

– Kupa, Todd – mówi Manczi.

– Nie tu w środku. Ani mi się waź.



Stodoła jest dosyć duża, mierzy jakieś siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt metrów długości, i mniej więcej do połowy wypełniają ją kosze pełne owoców pierzastej sosny. Jest też przegroda z wielkimi belami słomy, spiętrzonymi aż do sufitu i obwiązany cienkim sznurem, a także kolejna z olbrzymimi snopami pszenicy, gotowymi do wymłócenia i zmielenia na mąkę.

– Sprzedajecie to wszystko innym osadom? – wołam do Iwana.

– Później pogadamy – odkrzykuje z przedniej części stodoły.

Nie odpowiadam na to ani słowem, ale w moim Szumie pojawia się coś dosyć niegrzecznego, czego nie udaje mi się w porę powstrzymać. Pośpiesznie wracam do zmiatania.

Poranek mija. Myślę o Benie i Cillianie. Myślę o Violi. Myślę o Aaronie i burmistrzu. Myślę o słowie *armia* i o tym, jak sprawia ono, że żołądek mi się zaciska.

Nie wiem.

Jakoś nie czuję się dobrze z tym, żeśmy się zatrzymali. Nie po tym całym uciekaniu.

Wszyscy się tutaj zachowują tak, jakbyśmy byli bezpieczni, ale ja nie jestem pewien.

Podczas gdy ja zmiatam, Manczi to wchodzi, to wychodzi tylnymi drzwiami. Czasem gania za różowymi ćmami, które wypłaszam z zakamarków. Iwan zachowuje dystans, ja też trzymam się od niego z daleka. Widzę jednak, jak wszyscy, którzy przychodzą tu i zostawiają swoje towary, rzucają baczne, długie spojrzenia ku tyłowi stodoły, czasem mrużąc oczy, żeby się przekonać, czy zdołają mnie wypatrzeć w mroku. Mnie, chłopca z Prentisstown.

A więc nienawidzą tu Prentisstown, w porządku, tyle załapałem. Ja też nienawidzę Prentisstown, ale mam po temu więcej powodów niż ktokolwiek z nich.

W miarę jak mija poranek, zaczynam też dostrzegać różne rzeczy. Jak to, że choć zarówno mężczyźni, jak i kobiety ciężko tu pracują, kobiety wydają więcej poleceń, a mężczyźni je wykonują. I biorąc pod uwagę, że Francia jest tu zastępcą burmistrza, a Hildy – tym, kimkolwiek

jest w Dalekiej Gałęzi, zaczynam sobie myśleć, że to jest chyba osada, gdzie rządzą kobiety. Często słyszę ich ciszę, gdy przechodzą obok stodoły, i słyszę też Szum mężczyzn reagujący na nią, czasem z irytacją, ale przeważnie w sposób, który sygnalizuje, że po prostu się zajmują swoimi sprawami.

Poza tym Szum tutejszych mężczyzn jest o wiele bardziej opanowany niż ten, do którego przywykłem. Zważywszy na to, że wokół jest tyle kobiet, i na to, co pamiętam z Szumu Prentisstown, myślałby kto, że niebo będzie tu pełne Szum – kobiet bez ubrania, wyczyniających najdziwniejsze cuda, jakie możecie sobie wyobrazić. I jasne, od czasu do czasu słyhać tu takie rzeczy – mężczyźni to mężczyźni, było nie było – ale częściej są to piosenki lub modlitwy albo po prostu myśli o wykonywanej właśnie pracy.

Ludzie tu w Dalekiej Gałęzi są spokojni, ale w letko niepokójący sposób.

Od czasu do czasu sprawdzam, czy nie uda mi się usłyszeć (nie usłyszeć) Violi.

Ale nie.

W porze obiadu Francia przychodzi do stodoły z kanapką i dzbankiem wody.

– Gdzie Viola? – pytam.

– Proszę bardzo – odpowiada Francia.

– Ale o co?

Francia wzdycha i mówi:

– Viola jest w sadzie, zbiera opadłe owoce.

Chcę zapytać, jak się miewa, ale tego nie robię, a Francia nie zadaje sobie trudu, by to wyczytać z mojego Szumu.

– Jak ci idzie? – pyta.

– Wiem, jak robić masę innych rzeczy, a nie tylko zmiatać, do cholery.

– Wyrażaj się odpowiednio, szczeniaku. Będzie jeszcze dość czasu, żeby cię zaprzunc do prawdziwej pracy.

Nie zostaje dłużej – wychodzi, znów zamieniając po drodze słówko z

Iwanem, i idzie zając się tym, co robią w ciągu dnia zastępcy burmistrza, cokolwiek to jest.

Mogę coś powiedzieć? To trochę bez sensu, ale tak jakby ją lubię. Chyba dlatego, że przypomina mi Cilliana i wszystkie te rzeczy, które mnie w nim tak strasznie wkurzały. Wspomnienia to głupia rzecz, nie?

Zabieram się do kanapki i właśnie przeżuwam pierwszy kęs, gdy słyszę zbliżający się Szum Iwana.

– Pozamiatam po sobie okruszki – mówię.

Ku mojemu zaskoczeniu Iwan parska śmiechem, cokolwiek szorstko.

– Zapewne. – Odgryza kęs własnej kanapki. – Francja powiada, że dziś wieczór będzie we wsi zebranie – mówi po minucie.

– Chodzi o mnie? – pytam.

– O was oboje. Ciebie i tę dziewczynę, co to uciekła z Prentisstown.

Jego Szum jest dziwny. Ostrożny, ale silny, jakby męczyzna mnie sprawdzał. Nie wyczuwam w nim wrogości, w każdym razie nie w stosunku do mnie, ale coś się w nim kłębi.

– Poznamy wszystkich? – pytam.

– Możliwe. Najpierw wszyscy pomówimy o was.

– Jeśli będzie głosowanie – mówię, dalej żując kanapkę – sądzę, że je przegram.

– Hildy będzie za ciebie ręczyć – odpowiada Iwan. – A to znaczy w Dalekiej Gałęzi więcej niż nic. – Przełyka własny kęs. – Poza tym ludzie tutaj som życzliwi i dobrzy. Już wcześniej chronili się u nas zbiegowie z Prentisstown. Nie ostatnio, ale dawniej, dawno temu, w złych latach.

– W czasie wojny? – pytam.

Iwan spogląda na mnie, a jego Szum wydaje się mnie taksować, oceniać, ile wiem.

– Tak – odpowiada. – W czasie wojny. – Odwraca głowę i rozgląda się po stodole, niby to od niechcenia, ale odnoszę wrażenie, że sprawdza, czy jesteśmy sami. Odwraca się na powrót i wbija we mnie oczy. Oczy, które naprawdę czegoś szukają. – Poza tym – dodaje – nie wszyscy z nas som tego samego zdania.

– O czym? – pytam. Nie podoba mi się ani jego spojrzenie, ani ton jego

Szumu.

– O historii. – Iwan mówi cicho, nadal świdrując mnie wzrokiem, pochylając się trochę bardziej.

Odsuwam się letko.

– Nie wiem, co pan ma na myśli.

– Prentisstown nadal ma sojuszników – szepcze – ukrytych w zaskakujących miejscach.

W jego Szumie zjawiają się obrazki, nieduże, jakby ten Szum przemawiał tylko do mnie. Zaczynam je widzieć wyraźniej i wyraźniej – jaskrawe, mokre, szybkie, blask słońca padający na czerwone...

– Szczeniaki! Szczeniaki! – szczeka w rogu Manczi. Podskakuję i nawet Iwan się wzdryga, a obrazki szybko znikają z jego Szumu. Manczi szczeka dalej, a ja słyszę mnóstwo chichotu, którego źródłem nie jest mój pies. Patrzę w tamtą stronę.

Grupka dzieciaków klęczy i zagląda przez dziurę po oderwanej desce. Uśmiechają się, śmieją bez strachu, popychają się nawzajem w stronę dziury.

Pokazują mnie palcami.

I wszystkie są takie małe.

Takie małe.

Znaczy się, spójrzcie tylko.

– Wynocha mi stund, szczury! – woła Iwan, ale w jego głosie i Szumie pobrzmiwa wesołość, a to, co widziałem wcześniej, znikło bez śladu. Za dziurą w ścianie słychać piski i śmiechy, a dzieciaki rozbiegają się na wszystkie strony.

I już ich nie ma.

Tak, jakbym je sobie tylko wymyślił.

– Szczeniaki, Todd! – szczeka Manczi. – Szczeniaki!

– Wiem – odpowiadam, drapiąc go po łbie, gdy podchodzi. – Wiem. Iwan klaszcze w ręce.

– Koniec przerwy. Wracamy do pracy. – Posyła mi jeszcze jedno znaczące spojrzenie, po czym wychodzi z powrotem przed stodołę.

– O co mu chodziło? – pytam Mancziego.

– Szczeniaki – mruczy mój pies, wciskając mi pysk w dłoń.

Popołudnie upływa mniej więcej tak samo jak poranek.

Zamiatam, ludzie przychodzą do stodoły, robimy przerwę, żeby napić się wody, ale Iwan nie odzywa się do mnie ani słowem, a potem znów zamiatam.

Przez jakiś czas próbuję się zastanawiać nad tym, co Viola i ja możemy teraz zrobić. O ile będziemy to my. Daleka Gałąź zwołała to swoje zebranie, żeby omówić naszą sprawę, i na pewno zatrzymają tutaj Violę do czasu, aż przyleci jej statek, każdy to widzi, ale czy zechcą zatrzymać mnie?

A jeśli tak, czy będę chciał tu zostać?

I czy mam ich ostrzec?

Za każdym razem, gdy myślę o notesie, czuję palenie w brzuchu, więc ciągle zmieniam temat.

Po iluś godzinach, które wydają się wiecznością, słońce zaczyna zachodzić. Koniec z cholernym zamiataniem. Zamiotłem już całą stodołę więcej niż raz, policzyłem wszystkie kosze, policzyłem je po raz drugi, spróbowałem nawet naprawić obluzowaną deskę w ścianie, chociaż nikt mnie o to nie prosił. Nie da się, kuźwa, za wiele zrobić, kiedy nie pozwalają ci opuścić stodoły.

– Nieprawdaż? – powiada Hildy, stając nagle obok mnie.

– Nie powinna się pani tak podkradać po cichu – mówię. – Wy, milczący...

– W domu Francii jest naszykowane jedzenie dla ciebie i dla Violi. Może się tam przejdziesz i coś zjesz?

– W czasie, gdy będzie się odbywało to wasze zebranie?

– W czasie, gdy będzie się odbywało nasze zebranie, zgadza się, szczeniaku – mówi Hildy. – Viola jest już w domu i na pewno zjada twój obiad.

– Głodny, Todd! – szczeka Manczi.

– Na ciebie też czeka jedzenie, piesku – mówi Hildy, schylając się, żeby go pogłaskać. On natychmiast przewraca się na grzbiet, bez żadnej godności.

– O co tak naprawdę chodzi z tym zebraniem? – pytam.

– Och, o nowych kolonistów, którzy tu zmierzają. To ważna wiadomość. – Hildy przenosi wzrok z Mancziego na mnie. – No i, rzecz jasna, o to, żeby cię przedstawić ludziom. Przyzwyczaić osadę do myśli, że trza cię tu przyjąć.

– A czy zamierzają nas przyjąć?

– Ludzie boją się tego, czego nie znam, Todd, szczeniaczku – odpowiada Hildy, wstając. – Gdy już cię poznajom, ten problem zniknie.

– Czy będziemy mogli tu zostać?

– Tak myślę. Jeśli zechcecie.

Nie odpowiadam na to ani słowem.

– Idźże do domu – mówi Hildy. – Przyjdem po was oboje, gdy nadejdzie pora.

Przytakuję w milczeniu, a ona macha mi i rusza w stronę wyjścia, przez stodołę, w której robi się coraz ciemniej. Odnoszę miotłę z powrotem w miejsce, gdzie wisiła. Moje kroki odbijają się echem w pustym wnętrzu. Słyszę Szum mężczyzn i ciszę kobiet zbierających się po przeciwległej stronie osady, w sali zebrania. Słowo „Prentisstown” przewija się najczęściej, a także moje imię, imię Violi i imię Hildy.

I muszę powiedzieć, że choć słyhać strach i podejrzliwość, nie wyczuwam przytłaczającej wrogości. Jest więcej pytań niż takiego gniewu, jakim kipiał Matthew Lyle.

I wiecie co, może... Może to w sumie nie tak źle.

– Chodź, Manczi – mówię. – Idziemy coś zjeść.

– Jeść, Todd! – odszczekuje mój pies, biegnąc za mną.

– Ciekawe, jak Violi minął dzień – ciągnę.

Ale gdy ruszam w stronę wyjścia, uświadamiam sobie, że jeden kawałek Szumu oddzielił się od ogólnego pomruku na zewnątrz.

Jeden kawałek Szumu odrywa się od chóru.

I rusza w stronę stodoły.

Zbliża się do niej.

Zatrzymuję się, głęboko w ciemnym wnętrzu.

W odległych drzwiach pojawia się cień.

Matthew Lyle.

A jego Szum powiada: **Nigdzie nie pójdziesz, chłopcze.**

## Co jeszcze mówi nóż

– W tył! W tył! W tył! – zaczyna ujadać Manczi.

Blask księżyców odbija się od maczety, którą trzyma Matthew Lyle.

Sięgam za siebie. Na czas pracy schowałem pochwę z nożem pod koszulą, ale wiem, że nóż z całą pewnością nadal tam jest. Z całą pewnością. Dobytam go i trzymam w wyciągniętej ręce.

– Tym razem żadna stara ciotka cię nie ochroni – powiada Matthew, wymachując maczetą, jakby chciał pociąć powietrze na plasterki. – Nie schowasz się za żadnym spódnicom przed tym, co żeś zrobił.

– Nic nie zrobiłem – odpowiadam, dając krok do tyłu, starając się, aby mój Szum nie pokazał tylnych drzwi za moimi plecami.

– To nie ma znaczenia – mówi Matthew, ruszając do przodu, podczas gdy ja się cofam. – W tej osadzie obowiuje prawo.

– Nic do ciebie nie mam – mówię.

– Ale ja coś mam do ciebie, chłopcze – odpowiada. Jego Szum zaczyna wzbierać i faktycznie słycać w nim gniew, ale też ten dziwny żal, ten szalejący ból, który prawie da się wyczuć na języku. Faluje w nim też napięcie, jest podenerwowany jak nie wiem, choć usiłuje to ukryć.

Znów się cofam, głębiej w ciemność.

– Wiesz, nie jestem złym człowiekiem – mówi nagle, trochę mnie tym dezorientując, ale nadal wymachuje maczetą.

– Mam żonę. Mam córkę.

– Raczej by nie chciały, żebyś zrobił krzywdę niewinnemu chłopcu...

– Milcz! – krzyczy i słyszę, jak przełyka łzy.

Nie jest pewien. Nie jest przekonany, czy powinien robić to, co chce zrobić. Co tu się dzieje?

– Nie wiem, czemu pan się gniewa – mówię – ale przykro mi. Cokolwiek się stało...



– Zanim zapłacisz, chcem, żebyś wiedział jednomu rzecz – mów ignorując mnie, tak jakby zmuszał się, żeby mnie nie słuchać. – To, co musisz wiedzieć, chłopcze, to że moja matka nazywała się Jessica.

Przestaję się cofać.

– Słucham?

– Moja matka – warczy Matthew – nazywała się Jessica.

Nic już nie rozumiem.

– Co? – pytam. – Nie wiem, o co panu...

– Słuchaj, chłopcze! – krzyczy Matthew. – Po prostu posłuchaj.

A potem otwiera szeroko swój Szum.

I widzę...

I widzę...

I widzę...

Widzę to, co mi pokazuje.

– To kłamstwo – szepczę. – Niech cię szlag, to kłamstwo.

I to był, kuźwa, błąd.

Matthew z rykiem rzuca się naprzód, biegnąc ku mnie.

– Uciekaj! – krzyczę do Mancziego. Odwracam się i ruszam biegiem do tylnych drzwi. (Zamknijcie się, naprawdę sądzicie, że nożem można coś zdziałać przeciwko maczecie?) Słyszę, jak Matthew nadal wrzeszczy, jego Szum eksploduje za mną. Dopadam tylne drzwi i wtedy uzmysławiam sobie, co się stało.

Nie ma ze mną Mancziego.

Odwracam się. Gdy krzyknąłem „Uciekaj!”, mój pies ruszył w drugą stronę, rzucił się z całą swoją nieprzekonującą furią w stronę szarżującego napastnika.

– Manczi! – wrzeszczę.

W stodole jest teraz ciemno jak w tyłku. Słyszę stęknienia, szczekanie i brzęk metalu, a potem Matthew krzyczy z bólu – widocznie został ugryziony.

*Dobry pies – myślę. Dobry, kuźwa, pies.*

I nie mogę go tam zostawić, co nie?

Wbiegam z powrotem w mrok, tam, gdzie widzę, że Matthew

podskakuje na jednej nodze, zaś Manczi tańczy między jego stopami, unikając ciosów maczetą, ujadając jak opętany.

– Todd! Todd! Todd! – szczeka.

Jestem pięć kroków od nich i nadal biegnę, gdy Matthew bierze zamach i trzymaną oburącz maczetą wymierza cios. Czubek ostrza wbija się w drewnianą podłogę. Słyszę skamlenie Mancziego, w którym nie ma żadnych słów, tylko ból, i mój pies ucieka, kryjąc się w ciemnym rogu.

Z wrzaskiem wpadam prosto na mężczyznę. Obaj tracimy równowagę i zwalamy się na podłogę, trafiając siebie nawzajem łokciami i kolanami. Boli, ale nie tak bardzo jak mogłoby, bo ja ląduję na nim, a nie odwrotnie.

Odturlawszy się od niego, słyszę, jak jęczy z bólu. Zrywam się z powrotem na nogi, z nożem w ręku. Od przeciwnika dzieli mnie kilka metrów, jestem teraz daleko od tylnych drzwi, a on blokuje drogę do głównych. Słyszę, jak Manczi skomli w ciemności.

Słyszę też, że po drugiej stronie drogi, od strony budynku zebrań podnosi się Szum, ale nie ma teraz czasu się nad tym zastanawiać.

– Mogę cię zabić – mówię. – Nie boję się. – Tak naprawdę boję się jak cholera, ale liczę, że mój Szum i jego Szum są teraz tak głośne, tak wściekle nakręcone, że Matthew nie będzie w stanie z mojego nic wyczytać.

– To jest nas dwóch – odpowiada i rzuca się po swoją maczetę. Nie udaje mu się jej wyciągnąć za pierwszym szarpnięciem, ani też za drugim. Wykorzystuję tę szansę, żeby odbiec kawałek w ciemność, szukając Mancziego.

– Manczi? – wołam, w rozpaczliwym pośpiechu zaglądając za snopy oraz za sterty koszy z owocami. Słyszę, jak Matthew stękając usiłuje wyciągnąć maczetę z podłogi, a zgiełk dolatujący od strony osady narasta.

– Todd? – słyszę z ciemności.

Głos dobiega zza bel słomy, z małej niszy w ścianie.

– Manczi? – wołam, wsadzając tam głowę.

Oglądam się w pośpiechu.

Matthew silnym szarpnięciem wydobywa w końcu maczetę z podłogi.

– Todd? – mówi Manczi, zdezorientowany i przestraszony. – Todd?

I oto nadchodzi Matthew, wolnym krokiem, jakby wiedział, że już nie musi się śpieszyć, a jego Szum napływa ku mnie falą, która mówi, że nie ma co liczyć na litość.

Nie mam wyboru. Wciskam się plecami w niszę, trzymając nóż przed sobą.

– Odejdę stąd – mówię, podnosząc głos. – Niech mi pan pozwoli tylko zabrać mojego psa, i odejdziemy.

– Za późno – odpowiada Matthew, podchodząc bliżej.

– Nie chce pan tego robić. Umiem poznać.

– Stul pysk.

– Proszę – mówię, wymachując nożem. – Nie chcę robić panu krzywdy.

– A wyglądam, jakbym się bał, chłopcze?

Bliżej, bliżej, krok za krokiem.

Gdzieś na zewnątrz, w oddali, słychać huk. Teraz ludzie biegną i krzyczą, ale żaden z nas nie wygląda na zewnątrz.

Wciskam się plecami w małą niszę, ale nie jest wystarczająco głęboka, żebym się w niej zmieścił. Rozglądam się prędko, szukając dróg ucieczki.

Nie znajduję żadnych.

Mój nóż będzie musiał to załatwić. Będzie musiał zadziałać. Przeciwno maczecie.

– Todd? – słyszę za sobą.

– Nie martw się, Manczi – mówię. – Będzie dobrze.

I kto wie, w co wierzy pies?

Matthew jest już prawie przy nas. Zaciskam w rękę nóż.

Matthew zatrzymuje się metr ode mnie, tak blisko, że widzę jego oczy, błyszczące w ciemności.

– Jessica – mówi.

Podnosi maczetę nad głowę.

Wzdrygam się i cofam, podnoszę nóż, spinając się... Ale on się waha...  
Waha...

W sposób, który rozpoznaję...

I to wystarczy...

Modląc się, by nie były zrobione z tego samego świństwa, co liny mostu, zataczam nożem szybki łuk, a ostrze gładko przecina (dziękuję dziękuję) sznury podtrzymujące bele słomy – te, których zdołałem osiągnąć. Pozostałe szybko się zrywają pod wpływem nagłego przesunięcia ciężaru, a ja zakrywam rękami głowę i odsuwam się, gdy bele zaczynają spadać.

Słyszę głuchy łomot uderzeń oraz stęknienie mężczyzny, a gdy podnoszę wzrok, on leży przygnieciony belami słomy, z ręką odrzuconą w bok. Upuścił maczetę. Daję krok do przodu i kopię ją dalej, po czym odwracam się, żeby znaleźć Mancziego.

Siedzi wciśnięty w ciemny róg za zwalonymi belami. Pędzę do niego.

– Todd? – mówi, gdy jestem już blisko. – Ogon, Todd?

– Manczi? – Jest ciemno, więc muszę kucnąć obok niego, żeby zobaczyć, co mu jest. Ogon ma o dwie trzecie krótszy niż wcześniej, wszędzie pełno krwi, ale – o Chryste – nadal usiłuje merdać.

– Au, Todd?

– Już w porządku, Manczi – mówię. Mój głos i Szum są bliskie płaczu z ulgi, że ucierpiał tylko jego ogon. – Zaraz się tobą zajmujemy.

– Nic nie jest, Todd?

– Nic mi nie jest – odpowiadam, głaszcząc go po łbie. Łapie mnie zębami za rękę, ale wiem, że zrobił to mimo woli, z bólu. Liże mnie, żeby przeprosić, po czym znów mnie gryzie.

– Au, Todd – mówi.

– Toddzie Hewitt! – słyszę czyjś krzyk od strony wejścia do stodoły.  
Francia.

– Tu jestem! – wołam, wstając. – Nic mi nie jest. Matthew wpadł w szal...

Ale milknę, bo ona mnie nie słucha.

– Musisz się schronić w domu, Todd, szczeniaku – mówi pośpiesznie

Francia. – Musisz...

Urywa, widząc mężczyznę pogrzebanego pod belami słomy.

– Co się stało? – pyta, od razu zaczynając je z niego ściągać. Zdejmuje tę, która leży na jego twarzy, i pochyla się, żeby sprawdzić, czy Matthew nadal oddycha.

Wskazuję maczetę.

– To się stało.

Francia spogląda na ostrze, a potem mierzy mnie długim spojrzeniem, zaś jej twarz wyraża coś, czego nie jestem w stanie odczytać ani choćby spróbować zrozumieć. Nie wiem, czy Matthew żyje, czy zginął, i nigdy się tego nie dowiem.

– Jesteśmy atakowani, szczeniaku – mówi, wstając.

– Jesteście co?

– Mężczyźni – odpowiada. – Mężczyźni z Prentisstown. Ta banda, która was ściągała. Atakujom naszom osadę.

Żołądek zjeżdża mi aż do butów.

– O nie – mówię. A potem mówię to znowu. – O nie.

Francia nadal na mnie patrzy, a w jej mózgu kłębią się Bóg wie jakie myśli.

– Nie wydawajcie nas w ich ręce – mówię, znów się cofając. – Zabijają nas.

Słyszając to, Francia marszczy brwi.

– Za kogo ty mnie masz?

– Nie wiem – odpowiadam – i w tym cały problem.

– Nie zamierzam cię im wydać. Naprawdę. Ani ciebie, ani Violi. Co więcej, na zebraniu, dopóki trwało, zastanawialiśmy się głównie, jak ochronić was oboje przed tym, co niemal na pewno nadejdzie. – Spogląda w dół, na mężczyznę. – Choć może to obietnica, której nie bylibyśmy w stanie dotrzymać.

– Gdzie Viola?

– W moim domu – odpowiada Francia, nagle znów zwarta w sobie i gotowa. – Chodź. Musisz wejść do środka.

– Moment. – Wciskam się z powrotem za bele słomy i znajduję

Manczego, który nadal siedzi w rogu, liżąc swój ogon. Podnosi na mnie wzrok i wydaje ciche szczeknięcie, które nawet nie jest słowem. – Teraz cię podniosę – mówię do niego. – Postaraj się mnie za bardzo nie pogryźć, dobrze?

– Dobrze, Todd – skomli, piszcząc za każdym razem, gdy merda kikutem.

Wyciągam ręce, łapię go pod brzuchem i podnoszę na wysokość piersi. Skamle i gryzie mnie mocno w nadgarstek, po czym liże ugryzione miejsce.

– W porządku, stary – mówię, trzymając go tak delikatnie, jak jestem w stanie.

Francia czeka na mnie przy drzwiach do stodoły i wychodzę za nią na główną drogę.

Wszędzie naokoło biegają ludzie. Widzę mężczyzn i kobiety ze strzelbami, biegnących w kierunku sadów, a także innych mężczyzn i kobiety, którzy pośpiesznie wprowadzają dzieci (znowu dzieci) do domów i tak dalej. W oddali słychać huki, krzyki i wrzaski.

– Gdzie Hildy? – wołam.

Francia nic nie mówi. Docieramy do schodków, które prowadzą do jej frontowych drzwi.

– Co z Hildy? – pytam ponownie, gdy po nich wchodzimy.

– Poszła walczyć – odpowiada Francia, nie patrząc na mnie, otwierając drzwi. – Musieli dotrzeć na jej farmę w pierwszej kolejności. Tam nadal tam był.

– O nie – powtarzam znowu, jak dureń, tak jakby moje „o nie” mogły cokolwiek zmienić.

Gdy wchodzimy do domu, Viola zbiega pędem z piętra.

– Czemu zajęło to wam tak długo? – pyta dosyć głośno, i nie wiem, do którego z nas się zwraca. Widząc Manczego, gwałtownie wciąga oddech.

– Opatrunki – mówię. – Te bardziej wypasione.

Viola kiwa głową i gna po schodach z powrotem na górę.

– Wy dwoje macie tutaj zostać – mówi do mnie Francia. – Nie

wychodźcie, choćby nie wiem co się działo.

– Ale musimy uciekać! – odpowiadam, nie rozumiejąc tego zupełnie. – Musimy się stąd czym prędzej wynieść!

– Nie, Todd, szczeniaczku – zaprzecza Francia. – Jeśli Prentisstown chce was dopaść, to jest wystarczający powód, żeby was przed nimi chronić.

– Ale mają strzelby...

– My też – odpowiada Francia. – Żadna banda z Prentisstown nie zdobędzie tej osady.

Viola zbiega z powrotem po schodach, grzebiąc w swej torbie w poszukiwaniu opatrunków.

– Pani Francio... – mówię.

– Zostańcie tutaj – odpowiada Francia. – Ochronimy was. Was oboje.

Spogląda na nas bystro, jakby sprawdzając, czy się zgadzamy, po czym obraca się na pięcie i wybiega, pewnie po to, by bronić swej osady.

Przez sekundę gapimy się na zamknięte drzwi, po czym Manczi znowu skomli, więc muszę go postawić na podłodze. Viola wyciąga kwadratowy opatrunek oraz swój mały skalpel.

– Nie wiem, czy to podziała na psa – mówię.

– Lepsze niż nic – odpowiadam.

Dziewczyna odcina wąski pasek i muszę przytrzymać łeb Manczkiego, podczas gdy ona owija kikut jego ogona. Manczi warczy i przeprasza, znów warczy i przeprasza do momentu, gdy cała rana jest ciasno zakryta. Gdy go puszczam, natychmiast zaczyna lizać opatrunek.

– Przestań – mówię.

– Swędzi – odpowiada Manczi.

– Głupi pies. – Drapię go za uszami. – Głupi jak nie wiem co.

Viola też go głaszcze, próbując go powstrzymać przed zderzeniem opatrunku.

– Myślisz, że jesteśmy bezpieczni? – pyta cicho po dłuższej chwili.

– Nie wiem.

W oddali słychać więcej huku. Oboje podskakujemy. Więcej krzyków. Więcej Szumu.

– Odkąd to się zaczęło, nie widać ani śladu Hildy – mówi Viola.

– Wiem.

Znów następuje chwila ciszy, gdy zagłaskujemy Mancziego. Słychać więcej zgiełku od strony sadów powyżej osady.

Wszystko wydaje się tak odległe, jakby nie działa się naprawdę.

– Francja powiedziała mi, że można trafić do Przystani, idąc cały czas wzdłuż rzeki – mówi Viola.

Spoglądam na nią. Zastanawiam się, czy wiem, co to znaczy. Chyba tak.

– Chcesz stąd odejść – mówię.

– Oni nie dadzą za wygraną – odpowiada. – Ściągamy zagrożenie na ludzi wokół nas. Nie sądzisz, że nie dadzą za wygraną, jeśli już dotarli tak daleko?

Sądzę. Owszem, tak sądzę. Nie mówię tego na głos, ale zgadzam się z nią.

– Ale powiedzieli, że będą w stanie nas ochronić – mówię.

– Wierzysz w to?

Znowu nie odpowiadam. Myślę o mężczyźnie, co nazywał się Matthew Lyle.

– Myślę, że już nie jesteśmy tu bezpieczni – mówi Viola.

– Ja nie sądzę, abyśmy *gdziekolwiek* byli bezpieczni – odpowiadam. – *Gdziekolwiek* na całej planecie.

– Muszę się skontaktować z moim statkiem, Todd – ciągnie Viola niemal błagalnie. – Czekają, aż się zamelduję.

– Więc chcesz uciec w nieznaną, żeby to zrobić?

– Ty też chcesz to zrobić – odpowiada. – Widzę przecież. – Odwraca wzrok. – Gdybyśmy wyruszyli razem...

Na te słowa podnoszę wzrok, próbując zobaczyć, próbując *poznać*, naprawdę poznać, jaka jest prawda. A ona tylko odwzajemnia moje spojrzenie. I to wystarczy.

– Chodźmy – mówię.

Pakujemy się już bez słów, i to szybko. Zakładam plecak, ona zarzuca torbę na ramię, Manczi znów stanął na nogi i idzie. Wymykamy się



tylnymi drzwiami. Odchodzimy, tak po prostu. Tak będzie na pewno bezpieczniej dla Dalekiej Gałęzi i może bezpieczniej dla nas, kto wie? Kto wie, czy robimy to, co należy? Po tym, co – jak się wydawało – przyrzekły nam Hildy i Francja, ciężko jest odejść.

Ale odchodzimy. I tyle.

Bo przynajmniej to myśmy tak zdecydowali. Wolałbym, żeby już nikt więcej mi nie mówił, co dla mnie zrobi, nawet jeśli chce dobrze.

Na zewnątrz jest już zupełnie ciemna noc, choć oba księżycy świecą jasno. Wszyscy mieszkańcy osady skupiają się na tym, co się dzieje za nami, więc nie ma nikogo, kto mógłby nas powstrzymać przed ucieczką. Nad potokiem, który przepływa między zabudowaniami, znajduje się mały mostek.

– Jak daleko jest ta Przystań? – pytam szeptem, gdy przez niego przechodzimy.

– Dość daleko – odpowiada Viola, również szeptem.

– Jak daleko jest „dość daleko”?

Dziewczyna przez sekundę nic nie mówi.

– *Jak daleko?* – pytam ponownie.

– Parę tygodni drogi piechotą – odpowiada Viola, nie odwracając głowy.

– Parę tygodni!

– A co innego nam pozostało? – pyta.

I nie znam na to odpowiedzi, więc idziemy dalej.

Po drugiej stronie potoku droga wspina się na przeciwległe wzgórze. Postanawiamy nią iść, bo to trasa pozwalająca się najszybciej wydostać z osady, a potem odbić z powrotem na południe, odszukać rzekę i wędrować wzdłuż niej. Mapa Bena kończy się na Dalekiej Gałęzi, więc od tego miejsca rzeka jest naszym jedynym drogowskazem.

Tyle zapytań nam towarzyszy, gdy wybiegamy z Dalekiej Gałęzi, zapytań, na które nigdy nie poznamy odpowiedzi. Czemu burmistrz i kilku mężczyzn przejechali całe mile, żeby zaatakować całą cholerną obcą osadę? Czemu nadal nas ścigają? Czemu jesteśmy tacy ważni? I co się stało z Hildy?

I czy zabiłem mężczyznę, co nazywał się Matthew Lyle?

I czy to, co mi pokazał w swoim Szumie, tam pod koniec, to była prawda?

Prawdziwa historia Prentisstown?

– Czy co było prawdziwą historią? – pyta Viola, gdy śpieszymy drogą.

– Nic – odpowiadam. – I przestań mnie czytać.

Docieramy na szczyt wzgórza wznoszącego się po przeciwległej stronie doliny akurat w chwili, gdy echo niesie kolejne odgłosy wystrzałów. Zatrzymujemy się i patrzymy.

I widzimy.

Jasny gwint, teraz widzimy.

– O mój Boże – mówi Viola.

W blasku dwóch księżyców cała dolina wydaje się błyszczeć – poświęta zalewa budynki Dalekiej Gałęzi i pierwsze wzgórze, gdzie znajdują się sady.

Widzimy mężczyzn i kobiety z Dalekiej Gałęzi, którzy zbiegają z tamtego wzgórza.

Wycofują się.

A na szczycie wzgórza pojawia się pięciu, dziesięciu, piętnastu jeźdźców na koniach.

Zaś w ślad za nimi wyłaniają się mężczyźni maszerujący piątkami, niosący strzelby. Maszerują w szeregu za końmi, które muszą być końmi burmistrza.

To nie żadna banda. Nie żadna cholerna banda.

To Prentisstown. Czuję się tak, jakby świat walił mi się na głowę. To, kuźwa, wszyscy mężczyźni z Prentisstown, co do jednego.

Trzy razy więcej ludzi, niż w ogóle mieszka w Dalekiej Gałęzi.

Trzy razy więcej strzelb.

Słyszymy strzały i widzimy, jak mężczyźni oraz kobiety z Dalekiej Gałęzi upadają, próbując uciekać w stronę swoich domów.

Osada zostanie z łatwością zajęta. Zostanie zajęta w ciągu godziny.

Bo pogłoski, te pogłoski, które słyszała Francia, były prawdziwe.

Plotka mówiła prawdę.

To armia.

Cała armia.

Za mną i za Violą podąża cała armia.

# CZĘŚĆ 4

## Armia mężczyzn

Chowamy się za kępą krzaków, chociaż jest ciemno. Chociaż armię dzieli od nas dolina, chociaż nie wiedzą, że tu jesteśmy i nie ma ludzkiej mocy, żeby usłyszeli mój Szum wśród tego całego zgietku, który rozbrzmiewa w dole, i tak się chowamy.

– Czy twoja lornetka pozwala widzieć w nocy? – pytam szeptem. Zamiast odpowiedzi, Viola wyciąga lornetkę z torby i podnosi do oczu.

– Co się dzieje? – pyta spoglądając przez szkła, wciskając więcej guzików. – Kim są ci wszyscy ludzie?

– To Prentisstown – odpowiadam, wyciągając rękę. – Zdaje się, że to wszyscy mężczyźni z całej cholernej osady.

– Jak to możliwe, że z całej osady? – Dziewczyna patrzy jeszcze przez sekundę czy dwie, po czym podaje mi lornetkę. – Jaki w tym sens?

– Pojęcia nie mam. – Tryb nocny lornetki ukazuje dolinę i wszystko, co w niej jest, w jaskrawych odcieniach zieleni. Widzę konie galopujące w dół wzgórza i wpadające do osady, jeźdźców strzelających w pełnym pędzie. Widzę, jak ludzie z Dalekiej Gałęzi ostrzeliwiają się w odpowiedzi, ale głównie uciekają, głównie upadają, głównie umierają. Armia z Prentisstown nie sprawia wrażenia zainteresowanej braniem jeńców.

– Musimy się stąd zwijać, Todd – mówi Viola.

– Taa – odpowiadam, ale nadal patrzę przez lornetkę. Ponieważ wszystko jest zielone, ciężko rozróżnić twarze.

Wciskam jeszcze kilka guzików na lornetce, aż odnajduję te, które pozwalają zrobić zbliżenie.

Pierwsza osoba, jaką rozpoznaję z całą pewnością, to pan Prentiss junior, na przedzie, który wali ze swej strzelby w powietrze, gdy nie ma w zasięgu strzału niczego innego. Potem pan Morgan i pan Collins, którzy właśnie zapędzają kilku mężczyzn z Dalekiej Gałęzi do stodół,

strzelając za nimi. Jest tam również pan O'Hare oraz więcej kumpli burmistrza jadących konno, pan Edwin, pan Henratty, pan Sullivan. A także pan Hammar; jego uśmiechnięta twarz jest zielona i zła nawet z tej odległości, gdy strzela ze swej strzelby w plecy uciekającym kobietom, usiłującym odciągnąć małe dzieci w bezpieczne miejsce, i muszą odwrócić wzrok, inaczej wyrzgam to, czego nie zjadłem na obiad.

Piesi mężczyźni wmaszerowują do osady. Pierwszym, którego rozpoznaję, jest ku memu zdumieniu pan Phelps, sklepikarz. Dziwne, bo nigdy nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mógłby się nadawać do armii. Jest też doktor Baldwin. I pan Fox. I pan Cardiff, który był naszym najsprawniejszym dojarzem. I pan Tate, który miał najwięcej książek do spalenia, kiedy burmistrz zabronił ich posiadania. I pan Kearney, który męł zboże dla całej osady i zawsze mówił cicho i robił zabawki z drewna na urodziny każdego chłopca z Prentisstown.

Co ci mężczyźni robią w armii?

– Todd – mówi Viola, ciągnąc mnie za rękę.

Nie wydaje mi się, by maszerujący mężczyźni wyglądali na szczególnie szczęśliwych. Są ponurzy, zimni i budzą strach inaczej niż pan Hammar, jakby nie było w nich żadnych uczuć.

Ale maszerują. Strzelają. Wyważają kopniakami drzwi.

– To pan Gillooly – mówię, nadal z lornetką przyciśniętą do oczu. – Nie umie nawet zarzynać własnych zwierząt na mięso.

– Todd – mówi Viola i czuję, że wycofuje się z krzaków. – Chodźmy już.

Co tu jest grane? Jasne, Prentisstown było okropnym miejscem, jeszcze czarniejszym niż mógłbym je namalować, ale jakim cudem nagle ma armię? Mnóstwo mężczyzn z Prentisstown jest złych do szpiku kości, ale nie wszyscy. Nie wszyscy. A pan Gillooly ze strzelbą to widok tak popaprawy, że prawie bolą mnie oczy, gdy na to patrzę.

A potem oczywiście widzę odpowiedź.

Burmistrz Prentiss, który nawet nie trzyma strzelby, po prostu dzierży jedną ręką wodze swego konia, a drugą opuścił przy boku, wjeżdża do osady, jakby wybrał się na wieczorną przejażdżkę. Ogląda paniczną ucieczkę mieszkańców Dalekiej Gałęzi, jakby to był tylko wid i

w dodatku niezbyt ciekawy. Pozwala pozostałym wykonywać całą robotę, ale jest tak oczywiste, że on tu dowodzi, że nikomu przez myśl by nie przeszło prosić go, by także się spociał.

Jakim cudem jest w stanie zmusić tylu mężczyzn, żeby robili to, czego on chce?

I czy jest kuloodporny, że jedzie tak bez lęku?

– Todd – mówi Viola za mną. – Przysięgam, że odejdę bez ciebie.

– Nie, nie odejdziesz – odpowiadam. – Jeszcze sekundkę.

Bo teraz spoglądam od twarzy do twarzy, co nie? Wodzę wzrokiem od jednego mężczyzny z Prentisstown do drugiego, bo nawet jeśli wmaszerowują do osady i wkrótce odkryją, że ani mnie, ani Violi tam nie ma, i będą musieli ruszyć w tę stronę za nami, muszę wiedzieć.

Muszę wiedzieć.

Od twarzy do twarzy, podczas gdy maszerują, strzelają i podpalają. Pan Wallace, pan Asbjornsen, pan St. James, pan Belgraves, pan Smith Starszy, Pan Smith Młodszy, pan Smith o Dziewięciu Palcach, nawet pan Marjoribanks, który trzęsie się i chwieje na nogach, ale maszeruje, maszeruje, maszeruje. Mężczyźni z Prentisstown, mężczyźni z Prentisstown, mężczyźni z Prentisstown, a moje serce zaciska się i pali przy każdym, którego rozpoznaję.

– Nie ma ich tam – mówię, niemalże do siebie.

– Kogo? – pyta Viola.

– Nie ma! – szczeka Manczi, liżąc swój ogon.

Nie ma ich tam.

Bena i Cilliana tam nie ma.

A to oczywiście super, co nie? Oczywiście, że nie maszerują razem z armią morderców. Oczywiście, że nie, nawet jeśli są tam wszyscy inni mężczyźni z Prentisstown. Ben i Cillian by tego nie zrobili. Nigdy, nijak, co by się nie działo.

Dobrzy ludzie, wspaniali ludzie, obaj, Cillian też.

Ale jeśli to prawda, to znaczy, że to drugie też jest prawdą, co nie?

Jeśli ich tam nie ma, to znaczy, że nie ma ich już na zawsze.

I proszę, oto lekcja.

Nie ma tego dobrego, co by na gorsze nie wyszło.

Mam nadzieję, że walczyli najlepiej, jak to tylko możliwe.

Opuszczam lornetkę, wbijam wzrok w ziemię i wycieram oczy rękawem, a potem odwracam się, oddaję Violi jej własność i mówię:

– Chodźmy.

Viola bierze lornetkę, wierząc się trochę, jakby chciała czym prędzej ruszać, ale potem mówi:

– Przykro mi. – Więc musiała wszystko zobaczyć w moim Szumie.

– To się i tak stało już wcześniej – mówię, gapiąc się w ziemię i poprawiając plecak. – Chodź, zanim przeze mnie wpakujemy się w jeszcze gorsze kłopoty.

Ruszam drogą prowadzącą na szczyt wzgórza, szybkim krokiem, ze spuszczoną głową. Viola wspina się za mną, a Manczi próbuje się powstrzymać przed podgryzaniem ogona w biegu.

Viola szybko mnie dopędza.

– Widziałeś... go? – pyta, łapiąc oddech.

– Aarona?

Przytakuje.

– Nie – odpowiadam. – Teraz, gdy o to pytasz, nie, nie widziałem. A myślałby kto, że powinien iść na samym przedzie.

Przez chwilę nic nie mówimy, śpieszymy tylko przed siebie i zastanawiamy się, co to znaczy.

Droga po tej stronie doliny jest szersza i staramy się w miarę możliwości trzymać po jej bardziej zacienionej stronie, gdy wijąc się i zakręcając pnie się na wzgórzu. Jedynym źródłem światła są księżycy, ale świecą dostatecznie jasno, żeby widać było nasze cienie biegnące drogą, a to znaczy, że jak na ucieczkę jest za jasno. Nigdy nie widziałem w Prentisstownh żadnych lornetek do patrzenia w nocy, ale nie widziałem też armii, więc oboje biegniemy zgięci wpool, choć żadne z nas nie powiedziało tego na głos. Manczi gna przed nami, z nosem przy ziemi, szczekając: „Tędy! Tędy!” tak jakby wiedział lepiej od nas, dokąd zmierzamy.

A potem, na szczycie wzgórza, droga się rozwidła.



Co było do przewidzenia.

– No bez jaj – mówię.

Jedna odnoga drogi prowadzi w lewo, a druga w prawo.

(No cóż, to rozstaje, co nie?)

– Potok w Dalekiej Gałęzi płynął w prawo – mówi Viola – a główną rzekę mieliśmy przez cały czas z prawej, odkąd przeszliśmy przez most, więc musimy teraz iść w prawo, jeśli chcemy do niej wrócić.

– Ale lewa odnoga wygląda na bardziej uczęszczaną – mówię. I tak jest. Lewa odnoga wygląda na gładszą, bardziej płaską, na taką, po której się jeździ wozami. Prawa jest węższa, po obu stronach rosną wyższe krzaki i choć panuje noc, widać nieutwardzoną, pylistą powierzchnię. – Czy Francia mówiła coś o rozstajach? – Oglądam się przez ramię do tyłu, na dolinę, która rozciąga się za nami.

– Nie – odpowiada Viola, też patrząc do tyłu. – Powiedziała tylko, że Przystań była pierwszą osadą, a potem kolejne wyrastały wzdłuż rzeki, w miarę jak ludzie posuwali się na zachód. Prentisstown było najdalej wysuniętą. Daleka Gałąź drugą w kolejności.

– Ta droga prawdopodobnie prowadzi do rzeki – mówię, wskazując w prawo. A potem, wskazując w lewo: – Ta pewnie wiedzie prosto do Przystani.

– A tamci będą podejrzewali, że którą wybraliśmy?

– Musimy zdecydować – odpowiadam. – I to szybko.

Słyszymy BUUM, które sprawia, że podskakujemy. W powietrzu nad Daleką Gałęzią rośnie grzyb dymu. Stodoła, w której pracowałem przez cały dzień, płonie.

Może nasza historia rozwinie się inaczej, jeśli pójdziemy lewą odnogą, może te złe rzeczy, które wkrótce mają się nam przydarzyć, nie zdarzą się, może na końcu lewej odnogi czeka radość i ciepłe miejsca, gdzie są ludzie, którzy nas kochają, i żadnego Szumu, ale też żadnej ciszy, i jest mnóstwo jedzenia i nikt nie umiera i nikt nie umiera i nikt nigdy, nigdy nie umiera.

Może.

Ale wątpię w to.

Nie jestem kimś, kto ma – jak to mówią – szczęście.

– Dobra – postanawiam. – Równie dobrze możemy pójść w prawo.

Skręcamy w prawą odnogę i biegniemy. Manczi gna za nami. Wokół noc, przed nami rozciąga się pylista droga, za nami armia i katastrofa. Ja i Viola, biegnący ramię w ramię.

Biegniemy, aż nie dajemy już rady biec, a potem idziemy pośpiesznie do czasu, aż znów jesteśmy w stanie ruszyć biegiem. Odgłosy z Dalekiej Gałęzi szybko cichną za nami i wszystko, co teraz słyszymy, to nasze własne kroki na ścieżce, mój Szum i oczekiwanie Manczięgo. Jeśli gdzieś tam w ciemności łążą nocne stwory, to właśnie je płoszymy.

A to przypuszczalnie dobrze.

– Jak się nazywa następna osada? – pytam, dysząc, po dobrej półgodzinie marszobiegu. – Francja mówiła?

– Płonąca Latarnia – odpowiada Viola, też dysząc. – Albo Płonące Światło. – Marszczy twarz. – Jaśniejąca Światło. Jaśniejąca Latarnia?

– Dobrze wiedzieć.

– Czekaj. – Dziewczyna zatrzymuje się na ścieżce, zginając się w pół, żeby złapać oddech. Ja również przystaję. – Pić mi się chce.

Podnoszę ręce w sposób, który mówi: No i?

– Mi też – odpowiadam. – A masz wodę?

Viola spogląda na mnie, unosząc brwi.

– Oj.

– No cóż, gdzieś tam jest rzeka.

– To lepiej jej poszukajmy.

– Pewnie powinniśmy. – Biorę głęboki oddech, szykując się, żeby znów ruszyć biegiem.

– Todd – mówi Viola, powstrzymując mnie. – Tak sobie myślę...

– Tak? – odpowiadam.

– O tych Płonących Światłach, czy jak im tam?

– Tak?

– Można powiedzieć, że w pewnym sensie... – Zniża głos, tak że jego ton staje się smutny i zakłopotany, po czym mówi to jeszcze raz: – Można powiedzieć, że w pewnym sensie ściągnęliśmy armię do Dalekiej

Gałęzi.

Oblizuję spierzchnięte usta. Czuję smak kurzu. I wiem, co ona chce powiedzieć.

– Ty musisz ich ostrzec – kontynuuje cicho w ciemności. –  
Przepraszam, ale...

– Nie możemy wchodzić do żadnych innych osad – kończę za nią.

– Sądzę, że nie.

– Do czasu, aż dotrzemy do Przystani.

– Do czasu, aż dotrzemy do Przystani – przytakuje Viola – i miejmy nadzieję, że jest ona dostatecznie duża, aby sobie poradzić z armią.

Czyli postanowione. Na wypadek, gdybyśmy potrzebowali przypomnienia, naprawdę jesteśmy teraz zdani tylko na siebie. Naprawdę i na serio. Ja i Viola i Manczi, a dla towarzystwa tylko ciemność. Nikogo na trasie, kto by nam pomógł, aż do końca, a znając nasze zezowate szczęście, to i tam...

Zamykam oczy.

*Jestem Todd Hewitt – myślę. Gdy minie północ, dwadzieścia siedem dni będzie mnie dzieliło od stania się mężczyzną. Jestem synem mojej mamy i taty, niech spoczywają w pokoju. Jestem synem Bena i Cilliana, niech...*

*Jestem Todd Hewitt.*

– Jestem Viola Eade – mów Viola.

Otwieram oczy. Wyciągnęła do mnie dłoń, wnętrzem do dołu.

– To moje nazwisko – mówi. – Eade. E-A-D-E.

Patrzę na nią przez sekundę, potem na jej wyciągniętą rękę, po czym sięgam po jej dłoń, ujmuję ją i zaciskam we własnej, a sekundę później puszczam.

Wzruszam ramionami, żeby poprawić plecak. Sięgam za plecy, aby pomacać nóż i upewnić się, że nadal go mam. Rzucam spojrzenie biednemu, dyszącemu Mancziemu z jego kikutem ogona, później zaś spoglądam w oczy Violi.

– Viola Eade – mówię, a ona przytakuje.

A potem znów biegniemy w mrok.

## Szeroki świat

– Jakim cudem to jest tak daleko? – pyta Viola. – Nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia.

– A jest jakieś inne wytłumaczenie, nielogiczne?

Dziewczyna marszczy brwi. Ja też. Jesteśmy zmęczeni, coraz bardziej zmęczeni, próbujemy nie myśleć o tym, cośmy widzieli w Dalekiej Gałęzi, na przemian szliśmy i biegliśmy przez, jak się zdaje, pół nocy, a rzeki wciąż nie widać. Zaczynam się bać, żeśmy gdzieś kompletnie źle skręcili i nic z tym nie idzie zrobić, bo przecież się nie wrócimy.

– Bo przecież nie zawrócimy – szepcze pod nosem Viola za moimi plecami.

Odwracam się do niej, otwierając szeroko oczy.

– Dwa błędy w jednym – mówię. – Po pierwsze: nikt tutaj nie lubi takich, co ciągle czytają w cudzym Szumie.

Dziewczyna splata ręce na piersi i staje w wyzywającej pozie.

– A po drugie?

– Po drugie, mówię tak, jak mi się podoba.

– Tak – mówi Viola. – To się zgadza.

Mój Szum zaczyna deczko wzbierać i biorę głęboki oddech, ale wtedy ona rzuca: – Ćśśś – i jej oczy rozbłyskują w świetle księżycy, kiedy patrzy na coś za moimi plecami.

Słysząc szum płynącej wody.

– Rzeka! – szczeka Manczi.

Ruszamy drogą, mijamy zakręt, zbiegamy po zboczach, mijamy kolejny zakręt i oto przed nami widać rzekę. Jest szersza, bardziej rozlana, z wolniejszym nurtem niż kiedy widzieliśmy ją ostatnio, ale równie mokra. Nic nie mówimy, po prostu padamy na kolana na kamieniach przy brzegu

i pijemy, a Manczi wchodzi do wody aż po brzuch i zaczyna chłeptać.

Viola kłęczą obok mnie, a gdy piję łąpczywie, znów słyszę jej ciszę. Obczajcie, to działa we dwie strony. Bez względu na to, jak wyraźnie ona słyszy mój Szum, to tutaj, gdy jesteśmy sami, daleko od cudzego trajkotu albo Szumu osady, mam obok jej ciszę, głośną jak ryk, ściągającą mnie w dół niczym największy żal na świecie. Mam ochotę wziąć tę ciszę i wtulić się w nią i po prostu zniknąć na wieczne czasy w tej pustce.

Jaka to by teraz była ulga. Jaka błogostawiona ulga.

– Wiesz co, ja cię cały czas słyszę, i nic na to nie poradzę – mówi Viola, wstając i otwierając torbę. – Kiedy jest cicho i jesteśmy sami.

– Ja też nic nie poradzę na to, że cię słyszę – odpowiadam. – A miłe to nie jest. – Gwiżdżę na Mancziego. – Wyłaź z wody. Tu mogą być węże.

Manczi moczy tyłek w nurcie, poruszając nim, aż w końcu opatrunek się odkleja i odpływa wraz z wodą. Potem wyskakuje i natychmiast zaczyna lizać swój ogon.

– Daj, zobaczę – mówię. On posłusznie szczeka: – Todd! – ale kiedy podchodzę, podwija kikut ogona pod brzuch, tak daleko, jak tylko się da. Wyciągam go delikatnie, a Manczi w tym czasie pomrukuje do siebie:

– Ogon, ogon.

– Wiesz co? – mówię. – Ale numer, te opatrunki działają na psy.

Viola wyciągnęła ze swojej torby dwa dyski. Wcisnęła kciuk do każdego z nich, a one się rozciągają, przybierając kształt butelek na wodę. Klęka przy brzegu, napełnia obie i rzuca mi jedną.

– Dzięki – mówię, w zasadzie na nią nie patrząc.

Dziewczyna ociera swoją butelkę z wody. Przez moment stoimy tam na brzegu, ona wsuwa butelkę do torby i milczy w sposób, który – jak już się domyślam – oznacza, że usiłuje wykrztusić coś, co jej przychodzi z trudem.

– Nie chcę cię urazić – mówi, patrząc na mnie – ale myślę, że chyba już czas, żebym przeczytała to, co jest napisane na twojej mapie.

Czuję, jak się czerwienię, nawet w mroku, i czuję też, że zaczynam się sztywnieć do kłótni.

Ale potem tylko wzdycham. Jestem zmęczony, jest późno, znowu

uciekamy, a ona ma rację, co nie? Gdybym się upierał, że nie, to tylko po to, żeby jej zrobić na złość.

Ściągam plecak, wyjmuję notes i rozkładam mapę przyklepioną po wewnętrznej stronie okładki. Podaję arkusz Violi, nie patrząc na nią. Ona wyjmuje latarkę i oświetla papier, odwracając mapę, żeby przeczytać list Bena. Ku mojemu zaskoczeniu zaczyna czytać na głos i nagle, choć to nie on mówi, jest tak, jakbym słyszał jego głos, dźwięczący ponad rzeką, dolatujący echem z Prentisstown i trafiający mnie w pierś niczym cios pięścią.

– *Idź do osady w dole rzeki, za mostem – czyta Viola. – Jej nazwa brzmi Daleka Gałąź, a tamtejsi mieszkańcy powinni Cię życzliwie przyjąć.*

– I przyjęli – mówię. – Niektórzy.

Viola ciągnie:

– *Są rzeczy, których nie wiesz na temat naszej historii, Todd, i przykro mi z tego powodu, ale gdybyś je wiedział, znalazłbyś się w wielkim niebezpieczeństwie. Twoja niewinność jest Twoją jedyną szansą na życzliwe przyjęcie.*

Czuję, że czerwienię się jeszcze bardziej, ale na szczęście jest zbyt ciemno, żeby to zobaczyć.

– *Pamiętnik Twojej mamy powie Ci więcej, ale póki co trzeba ostrzec resztę świata, Todd. Prentisstown rusza na wojnę. Ten plan powstał lata temu i czeka tylko na dzień, gdy ostatni chłopiec z Prentisstown stanie się mężczyzną. – Dziewczyna podnosi wzrok. – Chodzi o ciebie?*

– Chodzi o mnie – odpowiadam. – Byłem najmłodszym chłopcem. Za dwadzieścia siedem dni skończę trzynaście lat i oficjalnie stanę się mężczyzną, zgodnie z prawem Prentisstown.

I przez chwilę mimo woli myślę o tym, co Ben mi pokazał... O tym, w jaki sposób chłopiec staje się... Zakrywam to i mówię prędko:

– Ale nie mam zielonego pojęcia, co on ma na myśli pisząc, że czekali tylko na mnie.

– *Burmistrz planuje podbić Daleką Gałąź i kto wie, co jeszcze z ziem leżących dalej. Sillian i ja...*

– Cillian – poprawiam ją. – „C” czyta się jak „K”.

– Cillian i ja będziemy się starali to opóźnić tak bardzo, jak się da, ale nie zdołamy go powstrzymać. Daleka Gałąź znajdzie się w niebezpieczeństwie i musisz ich ostrzec. Zawsze, zawsze, zawsze pamiętaj, że kochamy Cię jak własnego syna i odesłanie Cię jest najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek będziemy zmuszeni zrobić. Jeśli będzie na to jakakolwiek szansa, spotkamy się ponownie, ale najpierw musisz dotrzeć do Dalekiej Gałęzi tak szybko, jak tylko zdołasz, a kiedy tam dotrzesz, to Ty musisz ich ostrzec. Ben. – Viola podnosi wzrok. – To ostatnie jest podkreślone.

– Wiem.

A potem przez dobrą minutę nic nie mówimy. W powietrzu czuć oskarżenie, ale może to tylko ja jestem jego źródłem. Jak to poznać, skoro dziewczyna milczy?

– To moja wina – mówię. – To wszystko moja wina.

Viola jeszcze raz po cichu czyta całą wiadomość.

– Powinni byli ci to powiedzieć – mówi. – A nie oczekiwać, że przeczytasz list, jeśli nie potrafisz...

– Gdyby mi powiedzieli, Prentisstown usłyszałoby to w moim Szumie i wiedzieliby, że wiem. A wtedy nie mielibyśmy nawet tej szansy, którą żeśmy mieli. – Zerkam w jej oczy i szybko odwracam wzrok. – Powinienem był dać komuś ten list do przeczytania i tyle. Ben to dobry człowiek. – Ściszam głos. – Był.

Viola składa mapę i oddaje mi. Teraz jest już bezużyteczna, ale ostrożnie wkładam ją z powrotem za okładkę notesu.

– Mogłabym go dla ciebie przeczytać – mówi Viola. – Pamiętnik twojej mamy. Gdybyś chciał.

Nadal odwrócony do niej plecami, wsadzam notes do plecaka.

– Musimy iść – mówię. – Już za dużo czasu żeśmy tu stracili.

– Todd...

– Ściga nas armia – mówię. – Nie ma czasu na czytanie.

Więc ruszamy ponownie i robimy co możemy, żeby biec tak długo, jak tylko jesteśmy w stanie, ale gdy wstaje słońce, powoli, leniwie i nie dając ciepła, nie spaliśmy ani trochę i to po całym dniu pracy, więc nawet mając za plecami tę całą armię, ledwie jesteśmy w stanie już nie biec, a w

miarę szybko iść.

Ale idziemy. Przez cały ranek. Droga dalej biegnie wzdłuż rzeki, tak jak liczyliśmy, a teren wokół nas zaczyna się stawać coraz bardziej płaski: porośnięte trawą równiny rozciągają się ku niskim wzgórzom, za którymi wznoszą się wyższe wzgórza, a jeszcze dalej na północy – góry.

Z tym że wszystko tutaj jest dzikie. Żadnych płotów, żadnych pól uprawnych, ani śladu jakichkolwiek osiedli czy ludzi, tylko ta pokryta kurzem droga. Z jednej strony to dobrze, ale... to dziwne.

Jeśli Nowy Świat jednak nie uległ wyludnieniu, to gdzie są wszyscy?

– Myślisz, że dobrze idziemy? – pytam, gdy mijamy jeszcze jeden pylisty zakręt drogi, a za nim nie ma nic prócz kolejnych pylistych zakrętów. – Myślisz, że to jest właściwy kierunek?

Viola z namysłem wydmuchuje powietrze.

– Mój tata mawiał: *Jest tylko naprzód, Viola, tylko dalej i w górę.*

– Jest tylko naprzód – powtarzam za nią.

– Dalej i w górę.

– Jaki on był? – pytam. – Twój tatko?

Dziewczyna spuszcza wzrok, a patrząc z boku widzę na jej twarzy półuśmiech.

– Pachniał jak świeży chleb – odpowiada, a potem zaczyna iść i nie mówi już nic więcej.

Ranek zmienia się w popołudnie, a wokół nas nadal to samo. Śpieszymy naprzód, kiedy jesteśmy w stanie, idziemy w miarę żwawo, kiedy już nie dajemy rady się śpieszyć, a odpoczywamy tylko wtedy, kiedy naprawdę musimy. Rzeka nadal płynie spokojnie i leniwie, a brązowo-zielony krajobraz wokół niej w ogóle się nie zmienia. Daleko w górze widzę błękitne jastrzębie, które kołują wypatrując żeru, ale to by było na tyle, gdy chodzi o oznaki życia.

– Jaka to pusta planeta – mówi Viola, gdy zatrzymujemy się, by zjeść szybki lunch, opierając się o kilka gałązów wznoszących się ponad naturalną tamą.

– Och, żyje tu wystarczająco dużo stworzeń – odpowiadam, żując ser. – Wierz mi.



– Wierzę. Chciałam tylko powiedzieć, że rozumiem, czemu ludzie chcą się tu osiedlać. Mnóstwo żyznej ziemi, mnóstwo potencjału dla ludzi, którzy pragną zacząć nowe życie.

Żuję.

– Byliby w błędzie.

Viola rozciera szyję i patrzy na Manczego, który obwąchuje krawędzie tamy. Pewnie czuje zapach drzewnych tkaczy, które ją zbudowały i żyją pod spodem.

– Dlaczego chłopiec staje się tutaj mężczyzną w wieku trzynastu lat?

– pyta.

Patrzę na nią, zaskoczony.

– Co?

– Ten list. To zdanie, że osada czeka, aż ostatni chłopiec stanie się mężczyzną. – Spogląda na mnie. – Po co czekać?

– Na Nowym Świecie zawsze tak było. Podobno tak powiada Pismo. Aaron zawsze powtarzał, że to symbolizuje dzień, kiedy zjadasz owoc z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego i przechodzisz ze stanu niewinności w stan grzechu.

Viola patrzy na mnie z dziwną miną.

– To brzmi groźnie.

Wzruszam ramionami.

– Ben twierdził, że prawdziwy powód to że mała grupka ludzi na odizolowanej planecie potrzebuje wszystkich dorosłych, jakimi dysponuje, więc trzynaście lat to wiek, w którym zaczynasz dostawać naprawdę odpowiedzialne zadania. – Podnoszę kamyk i wrzucam go do rzeki. – Mnie nie pytaj. Wszystko, co wiem, to że to trzynaście lat. Trzynaście cykli po trzynaście miesięcy.

– Trzynaście miesięcy? – pyta dziewczyna, unosząc brwi.

Przytakuję.

– Ale rok ma tylko dwanaście miesięcy

– Nieprawda. Ma trzynaście.

– Może nie tutaj – powiada Viola – ale tam, skąd pochodzę, jest ich dwanaście.

Mrugam.

– Rok na Nowym Świecie ma trzynaście miesięcy – mówię, z jakiegoś powodu czując się głupio.

Ona podnosi wzrok, tak jakby usiłowała coś policzyć.

– Czyli zależnie od tego, jak długo trwa dzień czy miesiąc na tej planecie, mógłbyś... mógłbyś już mieć skończone czternaście lat.

– Tutaj to tak nie działa – odpowiadam dość ostro, bo ta rozmowa jakoś przestaje mi się podobać. – Za dwadzieścia siedem dni skończę trzynaście lat.

– Tak naprawdę to czternaście i jeden *miesiąc* – ciągnie Viola, nadal licząc w myślach. – Zastanawiam się, jak tu poznajecie, ile kto ma...

– Do moich urodzin zostało dwadzieścia siedem dni – mówię stanowczo. Wstaję i z powrotem zakładam plecak. – Chodź. Zmarnowaliśmy już za dużo czasu na gadanie.

Dopiero gdy słońce wreszcie zaczyna się zniżać za czubki drzew, widzimy pierwszy znak tej, no, cywilizacji: opuszczony młyn wodny na brzegu rzeki, którego dach doszczętnie spłonął przed nie wiadomo ilu laty. Idziemy już tak długo, że nawet się nie odzywamy, nie rozglądamy się za bardzo, czy nic nam nie grozi, po prostu wchodzimy do środka, rzucamy bagaże pod ścianę i zwalamy się na ziemię, jakby było to najwygodniejsze łóżko pod słońcem. Manczi, który chyba nigdy się nie męczy, biega żwawo dookoła, obsikując wszystkie chwasty, które wyrastają pomiędzy popękanych desek podłogi.

– Moje stopy – mówię, ściągając buty i licząc: pięć, nie, sześć pęcherzy.

Viola wzdycha ze znużeniem spod przeciwległej ściany

– Musimy się przespać – mówi. – Nawet jeśli...

– Wiem.

Spogląda na mnie.

– Usłyszysz, że się zbliżają – mówi – jeżeli się zjawią?

– Och, usłyszę ich – odpowiadam. – Na pewno ich usłyszę.

Postanawiamy spać na zmianę. Mówię, że będę czuwał pierwszy, a Violi ledwie udaje się powiedzieć „dobranoc” i już ją ścięto. Patrząc, jak

śpi w zapadającym zmierzchu. Po szybkim myciu w domu Hildy dawno już nie ma śladu. Pewnie wyglądam teraz tak samo jak ona – twarz w smugach kurzu, ciemne kręgi pod oczami, brudne paznokcie.

I zaczynam myśleć.

Znam ją tylko od trzech dni, obczajacie? Trzy, kuźwa, dni z całego mego życia, ale jest tak, jakby nic z tego, co się działo wcześniej, tak naprawdę się nie wydarzyło, jakby wszystko to było jednym wielkim kłamstwem, tylko czekającym, aż odkryję prawdę. Nie, nie *tak jakby*, to *było* wielkie kłamstwo czekające, aż odkryję prawdę, a to, co jest teraz, to właśnie prawdziwe życie. Uciekanie bez schronienia ani odpowiedzi, tylko droga, tylko droga i droga.

Wypijam łyk wody, słuchając, jak świerszcze ćwierkają **seks seks seks**, i zastanawiam się, jak wyglądało życie *Violi* przed tymi ostatnimi trzema dniami. Znaczy się, jak to jest dorastać na statku kosmicznym? W miejscu, gdzie nigdy nie pojawiają się nowi ludzie, w miejscu, którego granic nigdy nie możesz przekroczyć.

W miejscu takim jak Prentisstown, na dobrą sprawę, gdzie kto zniknął, ten nigdy już nie wracał.

Znów spoglądam na nią. Ale ona wydostała się ze statku, co nie? Przez siedem *miesiący* była na zewnątrz razem ze swoją mamą i tatkiem, na tym małym statku, co się rozbił.

Zachodzę w głowę, jak to właściwie było?

– Trzeba wysłać przodem jednostki zwiadowcze, żeby zbadały wybrane tereny i wyszukały najlepsze miejsca do lądowania – mówi *Viola*, nie siadając, nawet nie podnosząc głowy. – Jakim cudem ktokolwiek jest w stanie spać na planecie, gdzie istnieje Szum?

– Z czasem przywykasz – odpowiadam. – Ale czemu tak długo? Czemu siedem miesięcy?

– Tyle czasu zajmuje zbudowanie podwalin pod pierwszą osadę. – Zakrywa oczy dłonią, wyczerpana. – Ja, moja matka i ojciec mieliśmy wyszukać najlepsze miejsce na lądowanie statków i rozłożyć tam obóz, a potem zaczęlibyśmy wznosić pierwsze budynki, które byłyby potrzebne lądującym kolonistom. Wieżę kontrolną, magazyn żywności,

klinikę. – Spogląda na mnie spomiędzy palców. – To standardowa procedura.

– Nigdy nie widziałem żadnej wieży kontrolnej na Nowym Świecie – mówię.

To sprawia, że Viola siada.

– Wiem. Nie mogę uwierzyć, że nie macie nawet urządzeń pozwalających na komunikację między osadami.

– Czyli nie jesteście kolonistami z żadnego kościoła – mówię mądrym tonem.

– A co to ma tutaj do rzeczy? – pyta dziewczyna. – Jaki rozsądny kościół chciałby być odcięty od swoich wyznawców?

– Ben powiedział, że przylecieli na ten świat, żeby tu zacząć prostsze życie. Mówił, że na początku był nawet konflikt o to, czy należy zniszczyć generatory rozszczepienne.

Viola robi przerażoną minę.

– Wszyscy byście pomarli.

– No właśnie, dlatego nie zostały zniszczone. – Wzruszam ramionami. – Nawet kiedy burmistrz Prentiss zdecydował, że należy się pozbyć praktycznie wszystkiego innego.

Viola rozciera łydki i spogląda w górę, na gwiazdy widoczne przez dziurę w dachu.

– Moja matka i ojciec byli tacy podekscytowani – mówi. – Całkiem nowy świat, całkiem nowy początek, tyle planów, że będzie pokój i szczęście. – Milknie.

– Przykro mi, że to nie wypaliło – odpowiadam.

Ona patrzy w dół, na swoje stopy.

– Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby poczekać na zewnątrz, póki nie zasnę?

– Spoko – odpowiadam. – Żaden problem.

Zabieram plecak i wychodzę przez otwór, gdzie kiedyś znajdowały się frontowe drzwi. Manczi wstaje z miejsca, gdzie leżał zwinięty, i wychodzi za mną. Kiedy siadam, zwija się ponownie w kłębek przy moich stopach i zasypia z psim westchnieniem, pierdnąwszy sobie od

serca. Jak to prosto być psem.

Patrzę, jak wschodzą oba księżycy, a po nich gwiazdy – te same księżycy i te same gwiazdy, co świeciły w Prentisstown. Nadal tu są, choć świat się skończył. Znów wyjmuję notes, a jego impregnowana okładka lśni w księżycowej poświacie. Kartkuję strony.

Ciekawe, czy moja mama też była podekscytowana, gdy tu lądowali, czy w głowie miała pokój i nadzieję i wieczną radość.

Ciekawe, czy odnalazła cośkolwiek z tego, zanim zmarła.

Ta myśl sprawia, że czuję ciężar w piersi, więc wsadzam notes z powrotem do plecaka i opieram głowę o deski młyna. Słucham, jak rzeka płynie, jak liście sobie szeleszczą na tych kilku drzewach, które rosną wokół, spoglądam na cienie odległych wzgórz na horyzoncie oraz porastające je szumiące lasy.

Poczekam parę minut, a potem wejdę z powrotem do środka i upewnię się, że z Violą wszystko w porządku.

W następnej chwili ona mnie budzi, minęły całe godziny i moja głowa jest kompletnie skołowana do czasu, aż słyszę, że Viola mówi:

– Szum, Todd, słyszę Szum.

Zrywam się na nogi, zanim jeszcze zdążyłem się porządnie rozbudzić, uciszając Violę oraz rozspanego Mancziego, który szczeka z pretensją. Milkną, a ja nadstawiam ucha, nasłuchując wśród nocy

Szeptu szeptu szeptu, niczym wiatr, szeptu szeptu szeptu, żadnych słów i daleko, ale to wisi w powietrzu jak chmura burzowa za górą, szeptu szeptu szeptu.

– Musimy wiać – mówię, już sięgając po plecak.

– Czy to armia? – woła Viola, wbiegając do młyna po swoją torbę.

– Armia! – szczeka Manczi.

– Nie wiem – mówię. – Pewnie tak.

– Czy to może być następna osada? – Viola wraca, z torbą na ramieniu. – Jesteśmy już chyba niezbyt daleko od niej.

– To dlaczegośmy jej nie słyszeli, kiedy tu przyszliśmy?

Viola przygryza wargę.

– Cholera.

– Tak – mówię. – Cholera.

No więc druga noc po Dalekiej Gałęzi mija tak samo jak pierwsza – biegniemy w ciemnościach, używając latarek wtedy, kiedy są potrzebne, i próbując nie myśleć. Tuż przed wschodem słońca rzeka opuszcza równinę i wpływa do kolejnej dolinki, takiej jak ta przed Daleką Gałęzią, i faktycznie, leżą tam Płonące Światła czy jak tam się zwa, więc może w tych okolicach naprawdę mieszka więcej ludzi.

Tu też mają sady oraz pola pszenicy, chociaż nic nie wygląda równie porządnie jak w Dalekiej Gałęzi. Na nasze szczęście główna część osady leży na wzgórzu i biegnie tamtędy szersza droga, może tamta lewa odnoga. Stoi tam pięć czy sześć budynków, którym w większości przydałoby się ciutkę farby. Przy naszej polnej drodze wzdłuż rzeki widać tylko łodzie i spróchniałe nabrzeże i jakieś magazyny i co tam jeszcze można zbudować nad rzeką.

Nie możemy nikogo poprosić o pomoc. Nawet gdybyśmy ją uzyskali, to zbliża się armia, co nie? Powinniśmy ich ostrzec, ale co zrobimy, jeśli są jak Matthew Lyle, nie jak Hildy? A jeśli przez to, że ich ostrzeżemy, ściągniemy tutaj armię, bo wtedy wszyscy będą nas mieli w swoim Szumie? I co, jeśli osada wie, że to my jesteśmy powodem przybycia armii, i postanowią nas wydać?

Ale mimo wszystko zastępują na to, żeby ich ostrzec, co nie?

Ale jeśli to sprawi, że my się znajdziemy w niebezpieczeństwie?

Czacie? Jaka jest odpowiedź?

No więc przekradamy się przez osadę jak złodzieje, przebiegając od magazynu do magazynu, kryjąc się tak, by nie można nas było dostrzec z zabudowań na wzgórzu. Przyczajamy się i siedzimy jak najciszej, kiedy widzimy chudą kobietę, która wchodzi z koszykiem do kurnika położonego wyżej, obok kilku drzew. Osada jest tak mała, że nim jeszcze słońce zdążyło dobrze, wzejść, my już przez nią przeszliśmy, jesteśmy po drugiej stronie i z powrotem na drodze, jakby w ogóle nie istniała, jakby w ogóle się nie przydarzyła, nawet nam.

– No to tę osadę mamy z głowy – szepcze Viola, gdy oglądamy się do tyłu i widzimy, że domy zniknęły za zakrętem. – Nigdy się nawet nie

dowiemy, jak ona się naprawdę nazywa.

– I teraz już *kompletnie* nie wiemy, co jest przed nami – odpowiadam, również szeptem.

– Idziemy dalej, aż dotrzemy do Przystani.

– A potem co?

Ona nie odpowiada na to ani słowem.

– Pokładamy mnóstwo wiary w jednym słowie – mówię.

– Coś musi tam być, Todd – odpowiada Viola, z taką jakby zaciętą miną. – Coś musi tam być.

Przez sekundę nic nie mówię, a potem stwierdzam:

– No cóż, zobaczymy.

I tak się zaczyna kolejny ranek. Dwukrotnie widzimy na drodze mężczyzn jadących wozami ciągniętymi przez konie. Za każdym razem umykamy w las. Viola łapie przy tym Mancziego za pysk i trzyma, a ja usiłuję wymazać Prentisstown z mojego Szumu na tyle, na ile to możliwe, póki nas nie miną.

Godziny upływają, ale mało co się zmienia. Nie słyszymy już szeptów armii, jeśli to w ogóle było to, ale nie ma sensu sprawdzać, co nie? Ranek znów zmienił się w popołudnie, gdy widzimy osadę w oddali, wysoko na wzgórzu. My sami właśnie wchodzimy na pagórek, rzeka została trochę niżej, choć widzimy, że kawałek dalej rozlewa się szerzej. Zdaje się, że przed nami zaczyna się równina, którą będziemy musieli przebyć.

Viola przez chwilę przygląda się zabudowaniom przez swoją lornetkę, po czym przekazuje ją mnie. Tym razem jest to dziesięć czy piętnaście budynków, ale nawet z daleka wszystko wygląda na zniszczone i zapuszczone.

– Nie pojmuję tego – mówi Viola. – Zgodnie ze standardowym planem kolonizacji, już lata temu powinniście wyjść z etapu produkcji rolnej na własne potrzeby. I najwyraźniej funkcjonuje tu handel, więc czemu wciąż jeszcze żyje się tak ciężko?

– Nic tak naprawdę nie wiesz o życiu kolonistów, co nie? – odpowiadam, wkurzając się deczko.

Ona wydyma wargi.

- Wymagali tego w szkole. Uczyłam się o tym, jak prawidłowo zakładać kolonię, odkąd skończyłam pięć lat.
- Szkoła to nie życie, guzik się tam naumiesz.
- Guzik się *naumiem*? – pyta Viola, unosząc drwiąco brwi.
- *Co mówiłem wcześniej?* – odwarkuję. – Niektórzy z nas byli zbyt zajęci tym, żeby w ogóle tu przetrwać, i nie mieli kiedy się uczyć o perfekcji rolnej.
- *Produkcji.*
- Mam to gdzieś. – Znów zaczynam maszerować drogą. Viola niechętnie rusza w moje ślady.
- Nauczmy was tu paru rzeczy, gdy już przyleci mój statek – mówi.
- Możecie być tego pewni.
- Zarąbiście, a my durni kmiotkowie na pewno będziemy się ustawiać w kolejce, żeby was z wdzięczności całować w tyłki – odpowiadam.
- Mój Szum bzyczy ze złości i nie mówi „tyłki”.
- Owszem, *będziecie*. – Viola podnosi głos. – Próba cofnięcia się do czasów średniowiecza przyniosła wam mnóstwo korzyści, nieprawdaż? Kiedy tu dotrzemy, zobaczycie, jak powinna wyglądać *prawidłowa* kolonizacja.
- To będzie *siedem* miesięcy od teraz. – Aż mnie nosi, taki jestem na nią wściekły. – Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby się przekonać, jak się tutaj żyje.
- Todd! – szczeka Manczi, sprawiając, że podskakujemy, i nagle rusza pędem drogą, wyprzedzając nas.
- Manczi! – krzyczę za nim. – Wracaj tu!
- A potem oboje to słyszymy.



## Wilf i morze stworów

To coś dziwnego. Szum, ale niemal pozbawiony słów, który wylewa się z za wzgórze wznoszącego się przed nami i spływa w dół, jednomyślny, lecz chóralny, niczym tysiąc głosów śpiewających to samo.

Tak.

*Śpiewających.*

– Co to? – pyta Viola, równie przestraszona jak ja. – To nie armia, prawda? Jakim cudem mieliby się znaleźć przed nami?

– Todd! – szczeka Manczi ze szczytu pagórka. – Krowy, Todd! Wielkie krowy!

Viola krzywi usta w uśmiechu.

– Wielkie krowy?

– Nie mam pojęcia, co jest grane – odpowiadam, już wspinając się na pagórek.

Bo ten odgłos...

Jak mam go opisać?

Tak mogłyby brzmieć gwiazdy. Albo księżycy. Ale nie góry. Jest zbyt ulotny jak na góry. To taki dźwięk, jakby jedna planeta śpiewała do drugiej, wysoki i przeciągły i pełen różnych głosów zaczynających od różnych nut i schodzących do różnych innych nut, ale wszystkie łączą się w jeden sznur dźwięku, który jest smutny, ale nie smutny, i powolny, ale nie powolny, i wszystkie śpiewają jedno słowo.

Jedno słowo.

Docieramy na szczyt pagórka i oto przed nami rozciąga się kolejna równina; rzeka wypływa jej z chłupotem na spotkanie, a potem biegnie przez nią niczym żyła srebra przez skałę. A po równinie, z jednego brzegu rzeki na drugi, wędrują stwory.

Takie stwory, że nigdy w życiu nie widziałem podobnych.

Są potężne – cztery metry w kłębie, letko licząc, porośnięte zmierzwionym srebrzystym futrem z grubym, puszystym ogonem po jednej stronie i parą zakrzywionych białych rogów z drugiej, wyrastających im prosto z czoła. Mają długie szyje, które wyciągają się w dół od szerokich ramion, sięgając do trawy porastającej równinę, oraz szerokie wargi, które koszą tę trawę, gdy stworzenia wędrują powoli po suchym gruncie, i piją wodę, gdy przechodzą przez rzekę. I są ich tysiące, tysiące, poczynając od horyzontu po naszej prawej stronie aż po horyzont po lewej, i Szum ich wszystkich śpiewa jedno słowo, w różnym czasie, na różne nuty, ale to jedno słowo wiąże je wszystkie, spaja je w grupę, gdy tak wędrują przez równinę.

– Tu – mówi Viola, gdzieś z boku. – One śpiewają: tu.

Śpiewają **Tu**. Wołają tak do siebie nawzajem w swoim Szumie.

Tu jestem.

**Tu** idziemy.

**Tu** to wszystko, co się liczy.

**Tu**.

To...

Czy będę umiał to ująć w słowa?

To jak pieśń o rodzinie, gdzie wszystko zawsze jest dobrze, to pieśń o przynależeniu, która sprawia, że przynależysz tylko dzięki temu, że ją słyszysz, to pieśń, która zawsze będzie się tobą opiekować i nigdy cię nie opuści. Jeśli masz serce, ona je łamie; jeśli masz złamane serce, ona je leczy.

To...

O rany.

Spoglądam na Violę, a ona zastoniła dłonią usta i ma mokre oczy, ale za jej palcami widzę uśmiech. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć.

– Nie zawędrujeta wy daleko na piechtę – powiada całkiem inny głos po naszej lewej.

Obracamy się gwałtownie, a moja ręka natychmiast wędruje w stronę noża. Mężczyzna na pustym wozie ciągniętym, przez parę wołów spogląda na nas z bocznej ścieżyny. Usta ma rozdziawione, jakby

zapomniał je zamknąć.

Na koźle obok niego leży strzelba, jakby dopiero co ją tam odłożył.

W pewnej odległości Manczi szczeka:

– Krowa!

– Ony wymijajom wozy – powiada mężczyzna – ale na piechtę nie można, nie. Zara was zgmiotom.

I znów zamiera z rozdziawionymi ustami. Jego Szum, pogrzebany pod wszystkimi **Tu** stada, wydaje się mówić mniej więcej to samo, co jego usta. Tak usilnie staram się nie myśleć o pewnych słowach, że już zaczyna mnie boleć głowa.

– Mogem was przewieźć na drugom stronę – dodaje. – Jak chcecie.

Podnosi rękę i wskazuje drogę, która znika pod nogami przechodzącego przez nią stada. Nawet nie pomyślałem o tym, że te stwory będą nam blokować drogę, ale faktycznie, widać, że nie ma co nawet próbować się między nimi przeciskać pieszo.

Odwracam się i chcę zacząć coś mówić, cokolwiek, co nam pozwoli jak najszybciej się stąd zmyć.

Ale zamiast tego dzieje się coś, czego w życiu bym się nie spodziewał.

Viola spogląda na mężczyznę i mówi:

– Jezdem Hildy. – Wskazuje mnie. – A to Ben.

– Co?! – wykrzykuję. Brzmi to prawie tak, jakby Manczi szczeknęła.

– Wilf – mówi mężczyzna do Violi i dopiero po sekundzie uświadamiam sobie, że powiedział swoje imię.

– Witojcie, Wilf – mówi Viola i jej głos nie jest już jej, wcale nie jest jej, z jej ust wydobywa się jakiś nowy głos, rozciągając się i skrcając, skracając i rozplatając, i im więcej Viola mówi, tym dziwniej brzmi.

Tym bardziej brzmi jak Wilf.

– My som oba z Dalekiej Gałęzi. A ty?

Wilf pokazuje kciukiem przez ramię.

– Jasny Widok – mówi. – Jadem akurat do Borsuczej Siklawy po zapasy.

– To dopiro fuks – odpowiada Viola. – Tyż zmierzamy do Borsuczej Siklawy.

Ta rozmowa sprawia, że głowa boli mnie coraz bardziej. Podnoszę ręce do skroni, jakbym próbował powstrzymać mój Szum przed wylewaniem się na zewnątrz, uwięzić w środku wszystko, co nie powinno się wydostać. Na szczęście chór śpiewanych **Tu** już sprawia, że płynie w jednym wielkim morzu dźwięków.

– Wskakujta – powiada Wilf, wzruszając ramionami.

– Chodź, Ben – mówi Viola, podchodząc do wozu i wrzucając tam swoją torbę. – Podjedziem se z Wilfem.

Wskakuje na wóz, a Wilf popędza woły. Te ruszają powoli, a Wilf mija mnie bez jednego spojrzenia. Nadal stoję tam oszołomiony, gdy Viola przejeżdża obok, machając gorączkowo ręką, żebym wsiał koło niej. I nie mam wyboru, co nie? Łapię krawędź wozu i podciągam się na górę.

Siadam obok dziewczyny i gapię się na nią, a szczeka dynda mi gdzieś w okolicach kostek.

– Co ty wyprawiasz?! – syczę w końcu, próbując to robić szeptem.

– **Ćśśś!** – ucisza mnie, zerkając przez ramię na Wilfa, ale sądząc po tym, co się dzieje w jego Szumie, pewnie już zapomniał, że w ogóle nas zabrał. – Nie wiem – szepcze mi do ucha. – Po prostu nic nie mów i pozwól mi się wszystkim zająć.

– Ale co ma z tego wyniknąć?

– Jeśli zdołamy się przedostać na drugą stronę, to całe stado znajdzie się między nami a armią, no nie?

Na to nie wpadłem.

– Ale co ty robisz? Co Ben i Hildy mają z tym wszystkim wspólnego?

– On ma strzelbę – szepcze Viola, znów zerkając na Wilfa. – A sam powiedziałaś, jak ludzie mogą reagować na to, że pochodzisz z pewnego miejsca. No więc to się tak jakby samo wysnęło.

– Ale mówiłaś jego głosem.

– Niezbyt dobrze.

– Wystarczająco dobrze! – odpowiadam podekscytowany, nieco zbyt głośno.

– **Ćśśś** – szepcze znowu Viola, ale ponieważ stado stworów jest coraz bliżej, a Wilf wyraźnie nie jest szczególnie bystry, równie dobrze

moglibyśmy nawijać o czymś normalnym.

– Jak ty to robisz? – pytam, nadal zalewając ją zaskoczeniem.

– To tylko kłamstwa, Todd – odpowiada dziewczyna, znów próbując mnie uciszyć gestami. – Czy nie macie tutaj kłamstw?

No jasne, że mamy tu kłamstwa. Nowy Świat i osada, z której pochodzę (unikać wymawiania tej nazwy, unikać wypowiedziania jej nawet w *myślach*) wydają się składać wyłącznie z kłamstw. Ale to jest coś innego. Już wcześniej mówiłem, że mężczyźni kłamią przez cały czas, okłamują siebie, innych mężczyzn, resztę świata, ale kto zdoła się połapać, kiedy to jest tylko jedno pasemko wśród wszystkich innych kłamstw i prawd wypływających z twojej głowy? Wszyscy wiedzą, że kłamiesz, ale wszyscy inni też kłamią, więc co z tego wynika? Co to zmienia? To tylko częśćka tej rzeki, którą jest każdy mężczyzna, częśćka jego Szumu, i czasem jesteś w stanie ją wychwycić, a czasem nie.

Ale mężczyzna, kiedy to robi, nigdy nie przestaje być sobą.

Natomiast wszystko, co wiem o Violi, to jej słowa. Jedyne słowa, jaką znam, to ta, która pada z jej ust, więc wcześniej przez sekundę, kiedy powiedziała, że ona jest Hildy, ja jestem Ben i pochodzimy z Dalekiej Gałęzi i mówiła całkiem jak Wilf (choć on nie jest z Dalekiej Gałęzi), było tak, jakby wszystkie te rzeczy stały się prawdą, jakby świat się na sekundę zmienił, na jedną sekundę stał się zrobiony z głosu Violi, a ten głos nie opisywał rzeczy, tylko je tworzył, samo mówienie zmieniało nas w innych ludzi.

O rany, moja głowa.

– Todd! Todd! – zaczyna szczekać Manczi, pojawiając się znikąd za wozem, spoglądając w górę między naszymi stopami.

– Szlag – mówi Viola.

Zeskakuję z wozu i zgarniam go z ziemi, zatykając mu pysk jedną ręką, a drugą wykorzystując, żeby się podciągnąć z powrotem.

– Td? – wydusza z siebie Manczi przez zaciśnięte wargi.

– Cicho, Manczi – mówię.

– Nie jestem pewna, czy to w ogóle ma znaczenie – mówi Viola, przeciągając słowa.

Patrzę w górę.

– Krwa – mówi Manczi.

Jeden ze stworów maszeruje tuż obok nas.

Wjechaliśmy w środek stada.

W środek pieśni.

I na krótką chwilę zapominam o wszelkich kłamstwach.

Nigdy nie widziałem morza na żywo, tylko na widach. Tam, gdzie dorastałem, nie było też żadnych jezior, tylko rzeka i bagno. Może kiedyś były tam łądzie, ale nie za mojego życia.

Ale gdybym musiał sobie wyobrazić pływanie po morzu, to wyobraziłbym je sobie właśnie tak. Stado otacza nas i zaściana wszystko, pozostawiając tylko niebo i nas. Opływa nas jak nurt; czasem nas zauważa, ale przez większość czasu zauważa tylko siebie i pieśń **Tu**, która tu w środku jest tak głośna, że ma się wrażenie, jakby na jakiś czas przejęła kontrolę nad twoim ciałem, dostarczając energii sprawiającej, że twoje serce bije, a płuca oddychają.

Po jakimś czasie zaczynam zapominać o Wilfie oraz tych – oraz tych innych rzeczach, o których mógłbym myśleć, i po prostu leżę na wznak na wozie, patrząc, jak wszystko przesuwa się obok. Pojedyncze stwory węższą wokół, pasą się, od czasu do czasu szturchają się nawzajem rogami, i są tam również cielątka, a także stare byki, i wielkie stwory, i mniejsze stwory, i niektóre mają blizny, a inne – bardziej skołtunione futro.

Viola leży obok mnie, a mały psi mózdzek Mancziego nie bardzo ogarnia to wszystko, więc Manczi tylko patrzy z wywieszonym jęzorem, jak stado przesuwa się obok nas, i przez chwilę, przez krótką chwilę, gdy Wilf wiezie nas przez równinę, to jest wszystko, co istnieje na świecie.

To jest wszystko, co istnieje.

Spoglądam na Violę, a ona patrzy na mnie i po prostu się uśmiecha, po czym kręci głową i ociera wilgoć z oczu.

**Tu.**

**Tu.**

Jesteśmy **Tu** i nigdzie indziej.

Bo nie ma żadnego indziej, tylko **Tu**.

– Więc ten... Aaron – mówi Viola po jakimś czasie, ścisząc głos, a ja doskonale wiem, dlaczego zdecydowała się podnieść ten temat właśnie teraz.

Wewnątrz **Tu** jest tak bezpiecznie, że możemy rozmawiać o takich niebezpieczeństwach, o jakich nam się żywnie podoba.

– Tak? – pytam, również zniżając głos, patrząc, jak rodzinka stworów przemieszcza się beztrudnie obok wozu, przy czym mama-stwór musi popchnąć pyskiem ciekawskiego małego stworka, co zagapił się na nas.

Viola odwraca się do mnie z miejsca, gdzie leży.

– Aaron był waszym kapłanem?

Przytakuję.

– Pierwszym i jedynym.

– Jakie prawdy głosił?

– Normalne – odpowiadam. – Ogień piekielny. Potępienie. Sąd.

Viola mierzy mnie wzrokiem.

– Nie jestem przekonana, że to są normalne prawdy, Todd.

Wzruszam ramionami.

– Uważał, że żyjemy w czasach końca świata – mówię. – Kto wie, czy nie miał racji?

Dziewczyna kręci głową.

– Kapłan, którego mieliśmy na statku, był inny. Pastor Marc. Był sympatyczny i przyjacielski i sprawiał, że zaczynałeś czuć, że wszystko będzie dobrze.

Prycham.

– Nie, to zupełnie inaczej niż Aaron. On zawsze powtarzał „Bóg słyszy” i „Jeśli jeden z nas upada, wszyscy upadamy”. Tak jakby go cieszyła ta myśl.

– Ja też słyszałam, jak to mówił. – Viola obejmuje się ramionami.

**Tu** nadal nas spowija, płynie ze wszystkich stron. Obracam się do niej.

– Czy on... Czy on cię skrzywdził? Tam na bagnach?

Kręci przecząco głową i wzdycha.

– Wrzeszczał i perorował do mnie, może głosił jakieś prawdy, a kiedy próbowałam uciekać, biegł za mną i wrzeszczał dalej. Płakałam i prosiłam go o pomoc, ale ignorował mnie i tylko perorował i widziałam obrazy siebie w jego Szumie, chociaż wtedy nie wiedziałam jeszcze nawet, co to takiego Szum. Nigdy w życiu się tak nie bałam, nawet wtedy, kiedy nasz statek się rozbijał.

Oboje patrzymy w górę, na słońce.

– *Jeśli jeden z nas upada, wszyscy upadamy* – mówi Viola. – Co to w ogóle znaczy?

A kiedy solidniej się nad tym zastanawiam, uświadamiam sobie, że nie wiem, więc nic nie mówię i po prostu zatapiamy się głębiej w **Tu** i pozwalamy, żeby nas poniosło odrobinę dalej.

**Tu** jesteście.

I nigdzie indziej.

Po godzinie lub tygodniu lub sekundzie stado stworów zaczyna się przeredzać i wyjeżdżamy z niego po drugiej stronie. Manczi zeskakuje z wozu na ziemię. Pozwalam mu na to, bo jedziemy na tyle wolno, że na pewno nie zostanie z tyłu. My jeszcze nie przerywamy leżenia na wozie.

– To było niesamowite – mówi cicho Viola, bo pieśń już zaczyna zanikać. – Zupełnie zapomniałam o tym, jak okropnie mnie bolą nogi.

– No – potwierdzam.

– Co to były za stworzenia?

– Wielgie bydłoki – odpowiada Wilf, nie odwracając się. – Bydłoki, ot co.

Viola i ja spoglądamy na siebie. Praktycznie zapomnieliśmy, że on w ogóle tam jest. Ile żeśmy zdradzili?

– Te bydłoki nazywajom się jakoś? – pyta Viola, siadając, znów wcielając się w rolę ze swojego kłamstwa.

– No pewnie – odpowiada Wilf, pozwalając wołom iść swobodniej, teraz, gdy już jesteśmy się wydostali ze stada. – Stadulce albo polne bestie albo antafanty. – Wzrusza ramionami, nie odwracając się. – Ja mówiem o nich: bydłoki, ot co.



– Bydłoki – powtarza Viola.

– Bydlaki – próbuję.

Wilf ogląda się na nas przez ramię.

– Słuchajcie, wy som oba z Dalekiej Gałęzi? – pyta.

– Tajest – odpowiada Viola, rzucając mi znaczące spojrzenie.

Wilf kiwa do niej głową.

– A widzieli żeście tamtom armię?

Mój Szum staje się okropnie głośny, zanim udaje mi się go wyciszyć, ale znowu wygląda na to, że Wilf niczego nie zauważył. Viola spogląda na mnie, marszcząc z niepokojem czoło.

– Jakom armię, Wilf? – pyta, tym razem nie do końca naśladując jego akcent.

– Tamtom armię z przeklyntej osady – odpowiada nasz woźnica, nadal powożąc wołami z takim spokojem, jakbyśmy rozmawiali o jarzynach. – Tamtom armię, co wyszła z bagien, idzie a podbija osiedla, rośnie po drodze? Widzieli żeście jom?

– A gdzieżeś to usłyszał o armii, Wilf?

– Pogłoski – odpowiada Wilf. – Pogłoski biegnom wzdłuż rzeki. Ludzie gadajom. Rozumiecie. Pogłoski. Widzieli żeście jom?

Kręcę głową w stronę Violi, ale ona mówi:

– No, widzieli żeśmy.

Wilf znów ogląda się do tyłu przez ramię.

– A wielga jezd?

– Bardzo wielga – odpowiada Viola, patrząc na niego poważnie. – Musicie się przygotować, Wilf. Idzie niebezpieczeństwo. Musisz ostrzec Borsuczom Enklawę.

– Borsuczom Siklawę – poprawia ją Wilf.

– Musisz ich ostrzec, Wilf.

Słyszymy, jak Wilf pokasłuje, a potem dociera do nas, że to śmiech.

– Nikt nie będzie słuchał Wilfa, tyle wom rzekę – odpowiada, prawie sam do siebie, po czym znów popędza woły.

Dotarcie na drugą stronę równiny zajmuje większą część reszty popołudnia. Przez lornetkę Violi widzimy stado bydłaków, które nadal

przesuwa się w oddali, z południa na północ, jakby nigdy nie miało się skończyć. Wilf już nic nie mówi o armii. Viola i ja ograniczamy gadanie do minimum, żeby nic więcej nie zdradzić. Poza tym tak trudno mi przychodzi zachowywanie czystego Szumu, że zajmuje to większość mojej koncentracji. Manczi truchta za nami drogą, posikując gdzie się da i wężając każdy kwiat.

Gdy słońce już stoi nisko na niebie, wóz w końcu się zatrzymuje, skrzypiąc.

– Borsucza Siklawa – powiada Wilf, wskazując głową punkt, gdzie w oddali widać rzekę spadającą z niskiego urwiska. Wokół jeziora u stóp wodospadu jest skupisko piętnastu czy dwudziestu budynków, a rzeka wypływa spomiędzy nich. Mniejsza droga oddziela się od naszej i biegnie w tamtą stronę.

– My tu wysiadamy – powiada Viola i zeskakujemy z wozu, zabierając nasze bagaże.

– Tak żem myślał – odpowiada Wilf, znów zerkając na nas przez ramię.

– Dziękujemy, Wilf – mówi Viola.

– Ni ma za co – odpowiada woźnica, gapiąc się w dal. – Lepiej się gdzieś schowajta co rychlej. Będzie padało.

I Viola, i ja automatycznie spoglądamy w górę. Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

– Mmm – ciągnie Wilf. – Nikt nie będzie słuchał Wilfa.

Viola znów patrzy na niego, a kiedy usiłuje jasno przekazać woźnicy to, co ma do przekazania, jej głos odzyskuje normalne brzmienie.

– Musisz ich ostrzec, Wilf. Proszę. Jeśli słyszysz, że nadciąga armia, to masz rację i ludzie muszą być gotowi.

Wilf odpowiada tylko:

– Mmm – po czym popędza woły i kieruje je na żwirówkę prowadzącą ku Borsuczej Siklawie. Nie ogląda się na nas ani razu.

Patrzemy za nim przez chwilę, po czym ruszamy w swoją stronę.

– Au – mówi Viola, rozciągając nogi, gdy daje krok do przodu.

– Wiem – odpowiadam. – Moje też.

– Myślisz, że miał rację? – pyta dziewczyna.

– Co do czego?

– Co do tego, że armia rośnie w miarę, jak posuwa się naprzód. – Znów naśladuje jego głos. – Idzie a podbija osiedla, rośnie po drodze.

– Jak ty to robisz<sup>7</sup>. – pytam. – Nawet nie jesteś stąd.

Wzrusza ramionami.

– Taka gra, w którą kiedyś się bawiłam z moją mamą – mówi. – Opowiadanie historii, gdzie każda postać mówi innym głosem.

– A umiesz naśladować mój głos? – pytam, tak z ostrożnością.

Viola uśmiecha się od ucha do ucha.

– *Żebyś mógł pogadać sam ze sobą, co nie?*

Marszczę brwi.

– To w ogóle nie brzmi jak ja.

Znów idziemy drogą, a Borsucza Siklawa zostaje w tyle i znika z widoku. Przyjemnie spędziliśmy czas na wozie, ale nie był to sen. Próbuje iść tak prędko, jak jesteśmy w stanie, ale przez większość czasu nie jest to szczególnie szybkie tempo. Poza tym może armia naprawdę ugrzęzła daleko za nami, naprawdę będzie musiała czekać za stadem tych stworów.

Może. Może nie. Ale pół godziny później wiecie co?

Zaczyna padać deszcz.

– Ludzie powinni słuchać Wilfa – mówi Viola, spoglądając w górę.

Droga zawędrowała z powrotem w dół, w pobliże rzeki, i wyszukujemy w miarę osłonięte miejsce między jedną a drugą. Zjemy tu kolację i zobaczymy, czy deszcz przestanie padać. Jeśli nie, nie będziemy mieli innego wyboru, jak tylko iść dalej i moknąć. Nawet nie sprawdziłem, czy Ben spakował mi deszczowiec.

– Co to takiego deszczowiec? – pyta Viola, gdy siadamy, opierając się o dwa różne drzewa.

– Płaszcz od deszczu – odpowiadam, przepatrując zawartość plecaka. Nie, żadnego deszczowca. Super. – A co ci mówiłem o podsłuchiowaniu?

Nadal czuję się po trosze spokojny, jeśli chcecie znać prawdę, choć przypuszczalnie nie powinienem. Nadal czuję, że głosy śpiewają pieśń **Tu**, nawet jeśli jej nie słyszę, nawet jeśli rozbrzmiewa ona całe mile dalej, na równinie. Łapię się na tym, że ją nuce, mimo że nie ma melodii, próbując przywołać z powrotem tamto poczucie więzi, *przynależenia*, posiadania kogoś, kto powie, że jesteś **Tu**.

Spoglądam na Violę, która wyjada zawartość jednej ze swoich paczuszek z owocami.

Myślę o pamiętniku mojej mamy, który nadal tkwi w plecaku.

Historie opowiadane różnymi głosami, myślę.

Czy byłbym w stanie słuchać opowieści wypowiedzianej głosem mojej mamy?

Viola zgniata puste opakowanie po zjedzonych właśnie owocach.

– To już ostatnie.

– Mam jeszcze trochę tego sera – mówię – i ciut suszonej baraniny, ale będziemy musieli zacząć szukać jedzenia po drodze.

– Masz na myśli kraść? – pyta Viola, unosząc brwi.

– Mam na myśli polować – odpowiadam. – Ale kraść może też, jeśli będziemy musieli. Poza tym są dzikie owoce i wiem, jakie korzenie można jeść, jeśli się je najpierw ugotuje.

– Mhm. – Viola marszczy brwi. – Wiesz, na statku kosmicznym nie ma za wiele okazji do polowania.

– Mogę ci pokazać.

– Dobra – odpowiada, próbując nadać głosowi wesołe brzmienie. – A nie potrzeba do tego strzelby?

– Jeśli jesteś dobrym myśliwym, to nie. Zajęcie łatwo łapać w sidła. Ryby łowi się wędką. Można zabijać wiewiórki nożem, ale nie ma na nich za dużo mięsa.

– Koń, Todd – szczerka cicho Manczi.

Śmieję się po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna. Viola też.

– Nie polujemy na koniey Manczi. – Wyciągam rękę, żeby go pogłaskać. – Niemądry pies.

– Koń – szczeka ponownie Manczi, wstając i patrząc na drogę, w kierunku, z którego dopiero co przyszliśmy.

Przestajemy się śmiać.

## Nóż jest wart tylko tyle, co ten, kto go trzyma

Na drodze słycać stukot kopyt, odległy, lecz przybliżający się galopem.

– Ktoś z Borsuczej Enklawy? – pyta Viola, a w jej głosie słycać i nadzieję, i lęk.

– Borsuczej *Siklawy* – poprawiam ją, wstając. – Musimy się skryć.

W pośpiechu pakujemy z powrotem manatki. Tak pechowo wyszło, że jesteśmy uwięzieni w wąskim pasie drzew między drogą a rzeką. Nie mamy odwagi przebiec przez drogę, a ponieważ za naszymi plecami płynie rzeka, pozostaje nam tylko ukryć się za zwalonym drzewem. Zbieramy ostatnie rzeczy i kucamy za pnem. Przytrzymuję Manczkiego kolanami, a wszędzie wokół szumi deszcz.

Wyciągam nóż.

Stukot kopyt rozbrzmiewa coraz bliżej, coraz głośniej i głośniej.

– Tylko jeden koń – szepcze Viola. – To nie armia.

– Tak – odpowiadam – ale posłuchaj, jak szybko jedzie.

*Patataj, patataj, patataj*, słyszymy. Pomiędzy drzewami widać zbliżającą się kropkę – sylwetkę jeźdźca. Gna drogą na złamanie karku, choć leje deszcz i zapada noc. Nikt by tak nie jechał z dobrymi wieściami, co nie? Viola ogląda się do tyłu, na rzekę.

– Umiesz pływać?

– Tak.

– To dobrze – mówi. – Bo ja nie.

*Patataj, patataj, patataj*.

Zaczynam już słyszeć brzęczenie Szumu jeźdźca, ale póki co odgłos galopowania jest głośniejszy i nie rozróżniam wyraźnie myśli.

– Koń – mówi w dole Manczi.

Słyszę. Jak trzeszczenie zakłóceń między uderzeniami kopyt. Przebłyski. Wyłapanie urywki słów. **Jeźdź-** i **Tat-** i **Ciemno-** i **Głup-** i więcej i więcej.

Mocniej zaciskam w dłoni nóż. Viola nic teraz nie mówi.

*Patataj, patataj, patataj, pata...*

**Szybciej i Zmierzch i Strzał i Bez względu na to, co...**

I gna drogą ku nam, mija ten mały zakręt, który minęliśmy ledwie sto metrów temu, pochyła się do przodu...

*Patata...*

Nóż obraca się w mojej dłoni, bo...

**Zastrzeliliśmy wszystkich i Była smaczna i Ciemno tu...**

*PataTAJ...*

Chyba rozpoznaję...

*PATATAJ, PATATAJ...*

I jest coraz bliżej i bliżej, aż już prawie...

A potem przez deszcz, odgłos galopowania i szum rzeki przebija się głośno i wyraźnie: **Todd Hewitt?**

Viola gwałtownie wciąga oddech.

A ja widzę, kto to taki.

– Junior – szczeka Manczi.

To pan Prentiss junior.

Próbujemy się wcisnąć głębiej za kłodę, ale to nie ma sensu, bo już widzimy, że osadza wierzchowca w miejscu, tak mocno szarpnąwszy wodze, że koń stanął dęba i omal go nie zrzucił.

Ale tylko omal.

I nie wystarczyło to, żeby upuścić strzelbę, którą trzyma pod pachą.

**Cholerny Todd HEWITT!** – wrzeszczy jego Szum.

– Och, szlag – mówi Viola i wiem, co ma na myśli.

– No proszę, HURA! – wrzeszczy pan Prentiss i jesteśmy wystarczająco blisko, żeby widzieć uśmiech na jego twarzy oraz słyszeć zdumienie w jego głosie. – Idziesz DROGĄ? Nawet nie OBOK SZLAKU?!

Viola i ja krzyżujemy spojrzenia. A jaki mieliśmy wybór?

– Słuchałem twego Szumu przez prawie całe twoje durne życie,

chłopaczku! – Pan Prentiss junior kieruje konia to w tę, to w tamtą stronę, próbując wypatrzeć, gdzie dokładnie jesteśmy w tym małym pasie drzew. – Myślisz, że go nie usłyszę, jeśli się po prostu SCHOWASZ?

W jego Szumie słychać radość. Autentyczną radość, jakby nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

– I czekaj no – mówi i słyszymy, jak nakłania konia, żeby powoli zszedł z drogi, zagłębiając się w las. – Czekajże no chwilę. Co to jest tam koło ciebie? Ta pusta przestrzeń *niczego*?

Mówi to tak paskudnym tonem, że Viola aż się wzdryga. Mam w ręku nóż, ale on siedzi na koniu i wiemy, że ma strzelbę.

– Jak cholera mam strzelbę, Todd, chłopaczku – woła pan Prentiss junior, już się nie rozglądając, tylko jadąc prosto na nas, zmuszając konia, żeby przestępował nad krzakami i obchodził drzewa naokoło. – Mam też jeszcze drugą sztukę broni, specjalnie dla tej twojej panienki, Todd.

Spoglądam na Violę. Wiem, że ona wie, co on myśli, co jest w jego Szumie, widzi te obrazki, które z niego wyciekają. Wiem, że tak, bo widzę, jak jej twarz zastyga. Szturcham ją w ramię i wskazuję oczami w prawo – to w zasadzie jedyna droga ucieczki, jaka nam została.

– Och, proszę, uciekaj, chłopaczku – woła pan Prentiss junior. – Proszę, daj mi pretekst, żebym mógł ci zrobić krzywdę

Koń jest już tak blisko, że słyszymy także i jego Szum, rozdygotany i szalony.

Nie możemy już się skulić bardziej.

Za moment na nas wjedzie.

Ujmuję nóż i mocno ściskam dłoń Violi, jeden jedyny raz, na szczęście. Teraz albo nigdy.

I...

– TERAŻ! – wrzeszczę.

Zrywamy się i słychać huk wystrzału, kula roztrzaskuje gałęzie nad naszymi głowami, ale i tak uciekamy.

– DALEJ! – krzyczy pan Prentiss junior do swojego konia i ruszają w pościg.

Koń obraca się i w dwóch skokach jest już z powrotem na drodze,



już gna po niej za nami, a my biegniemy. Pasma lasu ciągnące się między wodą a rzeką nie stają się gęstsze i uciekając, widzimy go, a on nas. Gałęzie się łamią, kałuże rozchlapują, nogi się ślizgają, a on gna drogą, łeb w łeb z nami.

Nie uciekniemy mu. Po prostu nie.

Ale próbujemy. Każde z nas gna zygzakiem, przeskakując kłody i przedzierając się przez krzaki, a Manczi dyszy i szczeka tuż za nami. Deszcz leje się na nas strugami, droga się przybliżyła, a potem nagle skręca ostro ku rzece i nie mamy innego wyboru, jak tylko przeciąć ją przed nim, żeby umknąć w gęstszy las po drugiej stronie. Widzę już, jak Viola wskakuje na drogę, pędzi schylona, a pan Prentiss junior właśnie mija zakręt i kręci czymś w rękę. Próbuje przemknąć na drugą stronę, ale koń już prawie na nas wpada i nagle czuję, jak coś łapie mnie za kostki, krępując je tak szybko i tak ciasno, że zwała mnie z nóg.

– Aaagh! – wrzeszczę i padam twarzą w błoto oraz opadłe liście. Plecak zlatuje mi przez głowę, niemal wrywając mi ręce ze stawów, gdy spada z pleców. Viola widzi, że upadłem, sama jest już prawie po drugiej stronie drogi, ale widzę, jak zaryła stopami w błocie, żeby się zatrzymać, i krzyczę:

– NIE! LEĆ! LEĆ!

Jej oczy spotykają się z moimi i widzę, jak w jej twarzy coś się zmienia, ale kto wie, co to jest, a gdy koń mnie dopędza, ona odwraca się i znika w lesie, zaś Manczi biegnie z powrotem do mnie i szczeka:

– Todd! Todd!

A mnie złapano złapano złapano.

Bo pan Prentiss junior już stoi nade mną, oddychając ciężko, wysoko na swoim białym koniu, z odbezpieczoną i wycelowaną strzelbą. Rzucił we mnie sznurem z obciążnikami na końcach, celując w nogi, tak że sznur oplatał się wokół nich, krępując mnie. Mistrzowsko, zupełnie jak myśliwy polujący na bagienne jelenie. Leżę tu w błocie na brzuchu, złapany jak zwierzę.

– Ależ mój tatko się ucieszy, jak cię zobaczy – mówi pan Prentiss junior, zaś jego koń jest zdenerwowany i przestępuje z nogi na nogę.

**Deszcz** – słyszę jego myśli, i **Czy to wąż?**

– Miałem tylko sprawdzić, czy na drodze nie słychać plotek o tobie – sztydzi dalej pan Prentiss junior – ale oto jesteś, we własnej stworzonej przez Pana osobie.

– Wal się – odpowiadam, i czy sądzicie, że mówię „wal”?

Nadal mam w ręku nóż.

– Już cały drzę ze strachu – odpowiada, przesuwając strzelbę tak, że teraz patrzę prosto w wylot lufy. – Rzuć to.

Wyciągam rękę i upuszczam nóż. Ten upada, rozchlapując błoto, a ja nadal leżę na brzuchu.

– Twoja panienska nie okazała się zbyt lojalna, co? – pyta pan Prentiss junior, zeskakując z konia, uspokajając go wolną dłońią. Manczi warczy na niego, ale on tylko się śmieje. – A co się stało z jego ogonem?

Manczi rzuca się na niego, szczerząc kły, ale pan Prentiss junior jest szybszy i zmiata go brutalnym kopniakiem w pysk. Manczi skamle i kuli się w krzakach.

– Przyjaciele opuszczają cię na prawo i lewo, Todd. – Pan Prentiss junior podchodzi do mnie. – Ale to taka lekcja, której się uczysz z czasem, nie? Psy to psy, a kobiety, jak się okazuje, to też psy.

– Zamknij się – mówię, zaciskając zęby.

Jego Szum wypełnia się fałszywym współczuciem i triumfem.

– Biedny, biedny Toddy. Tak długo podróżujesz z kobietą i zgaduję, żeś jeszcze nie wykombinował, co się z taką robi.

– Przestań o niej gadać – wypluwam z siebie. Nadal leżę na brzuchu i nadal mam skrępowane nogi.

Ale odkrywam, że jestem w stanie zgiąć kolana. Jego Szum staje się brzydszy, głośniejszy, ale twarz nadal pozostaje bez wyrazu, niczym widziadło z koszmarne go snu.

– Z kobietami, Todd – kontynuuje pan Prentiss junior, kucając, żeby znaleźć się bliżej mnie – robi się tak: zostawia się przy życiu te, które są dziwkami, i strzela w łeb tym, które nie są.

Nachyla się jeszcze bliżej mnie. Widzę żałosne włoski na jego górnej wardze, których nawet ulewa nie zdołała przyciemnić. Jest tylko o dwa

lata starszy ode mnie. Tylko o dwa lata większy.

**Wąż?** – myśli koń.

Powoli kładę dłonie na ziemi.

Letko wciskam je w błoto.

– Jak już cię znajdę – kontynuuje pan Prentiss junior, szydząc ze mnie szeptem – pójdę odszukać twoją panienkę, a później dam ci znać, czym była.

I wtedy skaczę.

Odpycham się rękami, jednocześnie mocno kopiąc nogami, i z impetem lecę prosto na jego twarz. Czubek mojej głowy z chrupnięciem trafia go w nos i pan Prentiss junior leci do tyłu, a ja ląduję na nim. Jedną, potem drugą pięścią walę go w twarz, dopóki jest wciąż jeszcze zbyt zaskoczony, by zareagować, a potem kolanem trafiam go z całej siły w to, co facet nosi między nogami.

Zwija się w kulkę jak chrząszcz i wydaje ochrypty, wściekły jęk, a ja staczam się z niego i łapię mój nóż. Podnoszę go, zrywam się na nogi, kopniakiem odrzucam strzelbę i przypadam do konia, wymachując rękami i wrzeszcząc:

– Wąż! Wąż!

To momentalnie załatwia sprawę. Koń obraca się i rżąc z przerażeniem pędzi z powrotem drogą, w ulewie, bez jeźdźca.

Oglądam się do tyłu i ŁUP! Pan Prentiss junior wali mnie pięścią prosto w nos, ale nie upadam. On krzyczy:

– Ty śmie... – a ja zamierzam się ręką, w której trzymam nóż, i zmuszam go, żeby odskoczył do tyłu, po czym znów się zamierzam. Z oczu spływa mi wilgoć, z bólu po ciosie pięścią oraz po prostu od deszczu. Pan Prentiss junior daje krok do tyłu, rozglądając się za swoją strzelbą i kulejąc z lekka. Widzi ją w błocie i odwraca się, żeby ją podnieść, a ja zupełnie nie myśląc rzucam się na niego, znów go obalając. Wali mnie łokciem, ale nie spadam z niego. Mój Szum wrzeszczy i jego Szum wrzeszczy

I nie wiem nawet jakim cudem, ale już powaliłem go na plecy, a czubek mojego noża dotyka jego gardła. Obaj przestajemy się

szamotać.

– Czemu nas gonicie?! – krzyczę mu prosto w twarz. – Czemu nas ścigacie?!

A on i jego durny, żałosny nie-wąsik uśmiechają się.

Znów walę go kolanem między nogi.

On jęczy ponownie i pluje w moim kierunku, ale nadal trzymam nóż, który do tej pory zdążył go już letko skaleczyć.

– Mój ojciec chce cię dostać – mówi w końcu pan Prentiss junior.

– Dlaczego? – pytam. – Dlaczego chce nas dostać?

– *Nas?* – Wytrzeszcza szeroko oczy – Nie ma, kuźwa, żadnych *nas*.

On chce ciebie, Todd. Tylko ciebie.

Nie chce mi się w to wierzyć.

– Co? – pytam. – *Ale dlaczego?*

Jednak on nie odpowiada. Zagląda w mój Szum. Patrzy i szuka.

– Hej! – mówię, sprzedając mu solidnego liścia na twarz. – Hej!

Zadałem ci pytanie!

Ale on z powrotem się uśmiecha. Nie mogę w to, kuźwa, uwierzyć, ale się uśmiecha.

– Wiesz, co zawsze powtarza mój ojciec, Toddzie Hewitt? – pyta, patrząc na mnie z jawną drwiną. – Powiada, że nóż jest wart tylko tyle, co ten, kto go trzyma.

– Zamknij się – odpowiadam.

– Umiesz walczyć, to fakt. – Nadal się uśmiecha, nadal letko krwawi z ranki pod brodą. – Ale żaden z ciebie zabójca.

– *Zamknij się!* – wrzeszczę, ale wiem, co on widzi w moim Szumie: że dokładnie te same słowa usłyszałem od Aarona.

– Tak? – odpowiada. – A jeśli nie, co z tym zrobisz? *Zabijesz* mnie?

– *ZABIJĘ!* – odkrzykuję. – *ZABIJĘ* cię!

A on tylko zlizuje z warg krople deszczu i śmieje się. Mam go przygwożdżonego do ziemi, z nożem przystawionym do gardła, zaś on się śmieje.

– *PRZESTAŃ!* – wrzeszczę do niego i podnoszę nóż.

On nadal się śmieje, a potem spogląda na mnie i mówi...

Mówi...

Mówi to...

– Chcesz usłyszeć, jak Ben i Cillian błagali o litość, zanim im wpackowałem po kulce między oczy?

I mój Szum wypełnia się czerwienią.

Zaciskam w ręku nóż, żeby go ugodzić.

I zamierzam go zabić.

Zamierzam go *zabić*.

I...

I...

I...

W momencie, kiedy nóż jest w górze...

Dokładnie w momencie, gdy zaczynam go opuszczać...

Dokładnie w momencie, gdy to ja mam moc, mogę nią władać i posługiwać się nią wedle woli...

Waham się...

Znowu..

Waham się...

Tylko przez sekundę...

Ale niech mnie szlag trafi...

Niech mnie szlag trafi na zawsze i zawsze...

Bo właśnie w tej sekundzie on wyrzuca nogi w górę, strąca mnie z siebie i wali mnie łokciem w gardło. Zginam się wpół, krztusząc się, i czuję, jak jego dłoń wyrywa nóż z mojej.

Tak łatwo, jakby zabierał niemowlakowi cukierka.

– A teraz, Todd – mówi, stając nade mną – pozwól, żebym ci pokazał, jak należy się posługiwać nożem.

## Śmierć bezwartościowego tchórze

Zasługuję na to. Dałem ciała na całej linii. Zasługuję na to. Gdybym dostał nóż z powrotem, zabiłbym się nim. Tylko że pewnie na to również byłbym zbyt wielkim tchórze.

– No proszę, co z ciebie za aparat, Toddzie Hewitt – mówi pan Prentiss junior, oglądając mój nóż.

Kłęczę teraz, kolanami w błocie, z ręką przy gardle, nadal usiłując złapać oddech.

– Wygrałeś tę walkę, a potem po prostu wziąłeś i wyrzuciłeś wygraną do śmieci. – Przejżdża palcem po ostrzu. – Nie dość że żółtodziób, to jeszcze głupek.

– Po prostu to skończ – mamrocze w błoto.

– Coś ty powiedział? – odpowiada pan Prentiss junior. Znow się uśmiecha, a Szum ma jasny i radosny.

– Po prostu to SKOŃCZ! – krzyczę do niego.

– Och, nie zabiję cię – odpowiada z błyskiem w oku. – Mój tatko nie byłby uszczęśliwiony, łapiesz?

Podchodzi do mnie i zbliża ostrze noża do mojej twarzy. Wsuwa mi czubek klingi do nosa, tak że zmuszony jestem odchyłać głowę coraz dalej i dalej.

– Ale jest mnóstwo rzeczy, które można mężczyźnie zrobić nożem – mówi – nie zabijając go przy tym.

Już nawet się nie rozglądam w poszukiwaniu dróg ucieczki.

Patrzę prosto w jego oczy, które są rozbudzone i żywe i zaraz wygrażą, a jego Szum pozostaje taki sam: obrazki z nocy w Dalekiej Gałęzi, obrazki z naszej farmy, obrazki tego, jak kłęczę przed nim.

A w moim Szumie nie ma nic, tylko jama pełna mojej głupoty i bezwartościowości i nienawiści.

Tak mi przykro, Ben.

Tak strasznie, strasznie mi przykro.

– Ale zaraz – kontynuuje pan Prentiss junior – przecież ty *nie* jesteś mężczyzną, co nie? – Zniża głos. – I nigdy nie będziesz.

Ruchem dłoni obraca ostrze, zbliżając je do mojego policzka.

Zamykam oczy.

I czuję, jak od tyłu obmywa mnie fala ciszy.

Gwałtownie rozwieram powieki.

– No no, patrzcie państwo – mówi pan Prentiss junior, zerkając w górę, ponad czubkiem mojej głowy. Jestem obrócony plecami do gęstszego lasu po drugiej stronie rzeki, ale czuję ciszę stojącej opodal Violi tak wyraźnie, jak gdybym był w stanie ją zobaczyć.

– Biegnij! – krzyczę nie odwracając się. – Uciekaj stąd!

Ona mnie ignoruje.

– Cofnij się – słyszę jej głos, skierowany do pana Prentis sa juniora. – Ostrzegam cię.

– Ty *mnie* ostrzegasz? – odpowiada ten, wskazując siebie ostrzem noża, znowu z uśmiechem na twarzy.

Potem podskakuje z lekka, gdy coś trafia go w pierś i przyczepia się tam. Wygląda jak pęk cienkich drucików zakończony plastikową jakby żarówką. Pan Prentiss junior wsuwa nóż pod to dziwne urządzenie i próbuje je zrzucić, ale ono trzyma się mocno. Podnosi wzrok na Violę, uśmiechając nic drwiąco.

– Cokolwiek to miało być, siostrzyczko – mówi – nie zadziałało.

**ITRZASK BŁYSK!!!**

Ogłuszający huk, nagły blask i czuję, jak czyjaś ręka ciągnie mnie do tyłu za kołnierz, tak że jestem o krok od uduszenia się. Padam do tyłu i odczołguję się, podczas gdy pan Prentiss junior wije się w spazmach, a nóż wypada mu i ląduje na ziemi. Z drutów wylatują iskry i małe błyskawice, znikając w jego ciele. Z jego rękawów, kołnierza, nogawek buchają dym i para. Viola nadal odciąga mnie za kołnierz do tyłu, kiedy on wali się na ziemię, twarzą w błoto, na swoją strzelbę.

Viola puszcza mnie i oboje zwalamy się na małą skarpe obok drogi.

Znów łapię się za kark i leżymy tam przez moment, dysząc ciężko. Iskry i błyskawice gasną, a pan Prentiss junior drga w błocie.

– Bałam się – powiada Viola między głębokimi oddechami – że wszędzie jest tyle wody – oddech – że mogę za jednym zamachem załatwić też siebie i siebie – oddech – ale już miał cię zranić...

Stoję nic nie mówiąc. Mój Szum jest skupiony, a oczy wędrują w stronę noża. Idę po niego.

– Todd... – mówi Viola.

Podnoszę nóż i staję nad nieruchomym wrogiem.

– Jest martwy? – pytam nie patrząc na Violę.

– Raczej nie – odpowiada dziewczyna. – To było tylko takie napięcie, jakie jest w...

Unoszę nóż.

– Todd, nie!

– Podaj mi jeden dobry powód – odpowiadam, nadal z nożem w górze, nadal ze wzrokiem wbitym w leżącego.

– Ty nie jesteś zabójcą, Todd – odpowiada Viola.

Gwałtownie obracam się ku niej, a mój Szum wybucha rykiem jak bestia.

– NIE MÓW TAK!!! NIGDY MI TEGO NIE MÓW!!!

– Todd – mówi dziewczyna, wyciągając dłoń, uspokajającym tonem.

– To PRZEZE MNIE tkwimy w tym łajnie! Oni wcale nic szukają CIEBIE! Szukają MNIE! – Obracam się z powrotem w stronę pana Prentissa juniora. – A gdybym zabił jednego z nich, wtedy może moglibyśmy...

– Todd, nie, posłuchaj mnie – odpowiada Viola, pod chodząc bliżej. – Posłuchaj mnie! – Spoglądam na nią. Mój Szum jest tak paskudny, a twarz tak wykrzywiona, że dziewczyna waha się przez moment, ale potem daje jeszcze jeden krok do przodu. – Posłuchaj mnie, to coś ci powiem.

A potem wylewa z siebie więcej słów, niż kiedykolwiek wcześniej słyszałem z jej ust.

– Kiedy mnie znalazłeś, tam na bagnie, ukrywałam się przed tym człowiekiem, przed Aaronem, od czterech dni, a ty byłeś dopiero drugą żywą osobą, jaką ujrzałam na lej planecie. Ruszyłeś na mnie z tym samym



nożem i nie miałam żadnych powodów, żeby sądzić, że czymkolwiek się od niego różnisz.

Nadal stoi z uniesionymi dłońmi, tak jakbym był dawno zbiegłym koniem pana Prentissa juniora i należało mnie uspokoić.

– Ale zanim jeszcze pojęłam, o co chodzi z tym całym Szumem i z Prentisstown i z waszą historią, jakakolwiek ona jest, już wiedziałam, jaki jesteś. Ludzie potrafią to poznać, Todd. Widzimy, że nam nie zrobisz krzywdy. Że taki nie jesteś.

– Walnęłam mnie gałęzią w twarz – odpowiadam.

Viola kładzie ręce na biodrach.

– No cóż, a czego się spodziewałeś? Ruszyłeś na mnie z nożem. Ale nie walnęłam cię na tyle mocno, żeby ci naprawdę zrobić krzywdę, no nie?

Nic na to nie odpowiadam.

– I miałam rację – ciągnie Viola. – Opatrzyłeś mi rękę. Uratowałeś mnie przed Aaronem, chociaż nie musiałeś. Zabrałeś mnie z bagien, gdzie tamci by mnie zabili. Byłeś gotów mnie bronić przed tym człowiekiem w sadach. Poszedłeś ze mną, kiedy musieliśmy opuścić Daleką Gałąź.

– Nie – odpowiadam cicho – nie, nie czaisz. Musimy uciekać tylko dlatego, że ja nie byłem w stanie...

– Wydaje mi się, że wreszcie zaczynam rozumieć tę całą historię, Todd – odpowiada Viola. – Czemu oni się tak zaparli, żeby cię ścigać? Czemu cała armia idzie twoim śladem przez osady i rzeki i równiny, przez całą tę durną planetę? – Wskazuje pana Prentissa juniora. – Słyszałam, co on powiedział. Nie zastanawia cię, czemu tak strasznie chcą cię dopaść?

Jama we mnie w środku staje się coraz czarniejsza i mroczniejsza.

– Bo jestem tym, który nie pasuje.

– Dokładnie!

Szeroko otwieram oczy.

– A czemu to niby miałyby być dobrze? Armia chce mnie zabić, bo nie jestem zabójcą.

– Nieprawda – odpowiada Viola. – Armia chce z ciebie zrobić zabójcę. Mrugam.

– Że jak?

Dziewczyna daje kolejny krok do przodu.

– Jeśli są w stanie cię zmienić w takiego mężczyznę, jakiego potrzebują...

– Chłopca – poprawiam ją. – Nie jestem jeszcze mężczyzną.

Viola kwituje to machnięciem ręki.

– Jeśli są w stanie zdusić tę część ciebie, która jest dobra, tę część ciebie, która nie chce zabić, to oni są górą, rozumiesz? Jeśli mogą to zrobić z tobą, mogą to zrobić z każdym. I wtedy wygrywają. Wygrywają!

Teraz stoi już blisko mnie. Wyciąga dłoń i kładzie ją na mojej ręce, na tej ręce, w której nadal trzymam nóż.

– Pokonaliśmy ich – mówi. – Ty ich pokonałeś, nie stając się tym, czego oni chcą.

Zaciskam zęby.

– On zabił Bena i Cilliana.

Viola kręci głową.

– Nie, powiedział tylko, że to zrobił. A ty mu uwierzyłeś.

Patrzemy w dół, na leżącego. Już nie wstrząsają nim drgawki, a pary zaczyna ubywać.

– Znam takich chłopców – ciągnie Viola. – Na statkach kosmicznych też się trafiają. To kłamca.

– On jest mężczyzną.

– Jak możesz to ciągle powtarzać? – wybuchu w końcu. – Jak możesz powtarzać, że on jest mężczyzną, a ty nie? Tylko z powodu jakichś głupich urodzin? Gdybyś pochodził z tego miejsca co ja, miałbyś już czternaście lat i jeden miesiąc!

– Ale nie pochodzę z tego miejsca co ty! – odkrzykuję. – Jestem stąd i tak to tutaj działa!

– No cóż, tutaj działa to źle. – Viola puszcza moją rękę i klęka obok pana Prentissa juniora. – Zwiążemy go. Zwiążemy go porządnie i mocno, a potem wyniesiemy się stąd w cholerę, dobra?

Nie wypuszczam z ręki noża.

Nigdy nie wypuszczę z ręki tego noża, nieważne, co ona mówi, nieważne, jak to mówi.

Viola podnosi głowę i rozgląda się.

– Gdzie Manczi?

O nie.

Znajdujemy go w krzakach. Warczy na nas bez słów, po zwierzęcemu. Lewe oko ma zamknięte, a na mordzie krew. Wymaga to paru prób, ale w końcu udaje mi się go złapać, a Viola wyjmuje swój czarodziejski medipak. Przytrzymuję Mancziego, a ona zmusza go, żeby połknął pigułkę, która sprawia, że cały wiotczeje. Potem usuwa mu z pyska kawałki połamanych zębów i smaruje oko jakąś maścią. Przykleja w tym miejscu opatrunek, a Manczi wydaje się tak mały i zmalretowany, że kiedy sennie zerka na mnie jednym okiem i mówi: – Fodd? – to ja tylko go przytulałam i siedzimy tak przez chwilę, pod krzakami, osłonięci przed deszczem, podczas gdy Viola pakuje wszystko z powrotem i wyciąga mój plecak z błota.

– Wszystkie twoje ubrania zamokły – mówi po chwili.

– A jedzenie się zgniotło. Ale notes jest nadal w folii. Notesowi nic się nie stało.

A myśl o tym, co zrobiłaby moja mama, gdyby wiedziała, jakim tchórzem okaże się pewnego dnia jej syn, sprawia, że mam ochotę wyrzucić jej pamiętnik do rzeki.

Ale tego nie robię.

Idziemy związać pana Prentissa juniora jego własnym sznurem i odkrywamy, że wyładowania elektryczne rozsadziły jego strzelbę – drewniana kolba odpadła od lufy. A szkoda, bo strzelba mogłaby się nam przydać.

– Czy tyś go poraziła? – pytam, dysząc i sapiąc, gdy wleczeni pana Prentissa juniora na skraj drogi. Nieprzytomni ludzie są ciężcy.

– To było urządzenie, które daje znać statkowi lecącemu w przestrzeni, w którym miejscu planety jestem – odpowiada Viola. – Rozmontowanie go zajęło mi całe wieki.

Wstaję.

– To skąd twój statek będzie teraz wiedział, gdzie jesteś?

Wzrusza ramionami.

– Pozostaje liczyć, że w Przystani coś się znajdzie.

Patrzę, jak idzie po własną torbę i podnosi ją. Mam nadzieję, cholera, że w Przystani znajdzie się choć połowa z tych rzeczy, na które Viola liczy.

Ruszamy. Pan Prentiss junior miał rację, że wędrowanie drogą to głupi pomysł, więc trzymamy się dwadzieścia czy trzydzieści metrów w bok od niej po przeciwnej stronie niż rzeka, próbując w miarę możliwości nie tracić jej z oczu. Przez całą noc na zmianę niesiemy Mancziego.

Nie rozmawiamy za wiele.

Bo niewykluczone, że ona ma rację, co nie? Tak, dobra, może właśnie o to chodzi tym z armii, może jeśli zdołają mnie zmusić, żebym się do nich przyłączył, to każdego zdołają zmusić, żeby się przyłączył. Może ja jestem ich testem, kto wie, cała osada jest wystarczająco szalona, żeby uwierzyć w coś takiego.

Jeśli jeden z nas upada, wszyscy upadamy.

Ale po pierwsze to nie wyjaśnia, czemu Aaron tak się na nas uwziął, a po drugie, przed chwilą słyszałem, jak ona kłamie, co nie? Jej słowa fajnie brzmią, ale kto wie, czy nie wymyśla prawdy zamiast ją po prostu wypowiadać?

Bo ja nigdy nie dołączę do armii i burmistrz Prentiss na pewno to wie, nie po tym, co zrobili z Benem i Cillianem, bez względu na to, czy w Szumie pana Prentissa juniora widziałem prawdę, czy nie, no więc w tej kwestii Viola totalnie nie ma racji. Bez względu na to, czego chcą, bez względu na to, skąd się bierze ta moja skaza, że nie jestem w stanie zabić człowieka, nawet jeśli na to zasłużył, to musi się zmienić, jeśli mam się stać mężczyzną. Musi, inaczej jak będę mógł chodzić z podniesioną głową?

Mija północ, a mnie od zostania mężczyzną dzieli dwadzieścia pięć dni i milion lat.

Bo gdybym zabił Aarona, ten nie powiedziałby burmistrzowi

Prentissowi, gdzie ostatnio mnie widział.

Gdybym zabił pana Prentissa juniora na farmie, nie doprowadziłby ludzi burmistrza do Bena i Cilliana i nie pożyłby na tyle długo, żeby zrobić krzywdę Mancziem.

Gdybym potrafił zabijać, mógłbym zostać i pomóc Benowi oraz Cillianowi się bronić.

Może gdybym umiał zabijać, oni nadal by żyli.

A na taką wymianę przystałbym bez wahania.

Zostanę zabójcą, jeśli tak trzeba.

Obserwujcie mnie.

Teren staje się coraz bardziej nierówny i stromy, a rzeka znów zaczyna drążyć kaniony. Odpoczywamy przez jakiś czas pod skalnym występem i zjadamy resztki prowiantu, które nie uległy zniszczeniu, kiedy walczyłem z panem Prentissem juniorem.

Kładę sobie Mancziego na kolanach.

– Co było w tej pigułce?

– Tylko mały okruszek środka przeciwbólowego dla ludzi – odpowiada Viola. – Mam nadzieję, że mu nie dałam za dużo.

Przejeżdżam dłonią po jego sierści. Jest ciepły i śpi, więc przynajmniej wciąż żyje.

– Todd – mówi Viola, ale uciszam ją.

– Chcę, żebyśmy szli tak długo, jak będziemy w stanie – mówię. – Wiem, że powinniśmy się przespać, ale idźmy tak długo, aż nie będziemy już w stanie iść.

Ona po minucie zwlekania odpowiada:

– Dobrze.

A potem już nic nie mówimy, tylko dojadamy resztki jedzenia.

Deszcz pada przez resztę nocy. Nic nie robi tyle zgiełku co ulewa w lesie – miliard kropelek trafiających w miliard liści, podczas gdy rzeka wzbiera i huczy, a błoto mlaszcze pod naszymi stopami. Od czasu do czasu w oddali słyszę Szum, przypuszczalnie Szum leśnych stworzeń, ale zawsze trzymają się poza zasięgiem wzroku, a gdy podchodzimy bliżej, już ich nie ma.

– Czy tutaj żyje cokolwiek, co mogłoby nam zrobić krzywdę? – pyta Viola.

Musi podnieść głos, żeby było ją słychać mimo deszczu.

– Bez liku różnych cholerstw – odpowiadam. Wskazuję Mancziego, leżącego u niej na rękach. – Jeszcze się nie zbudził?

– Jeszcze nie – odpowiada zmartwionym głosem. – Mam nadzieję, że...

I właśnie tak, kompletnie niegotowi, mijamy kolejny skalny występ i wkraczamy w obręb obozowiska.

Oboje zatrzymujemy się jak wryci, by w jednej chwili ogarnąć wzrokiem to, co mamy przed sobą.

Płonące ognisko.

Świeżo złowione ryby, które wiszą nad nim na rożnie.

I mężczyznę, który pochyla się nad kamieniem, oskrobując z łusek jeszcze jedną rybę.

Gdy wchodzimy do jego obozowiska, podnosi głowę.

I w jednej chwili, tak jak wiedziałem, że Viola jest dziewczyną, choć nigdy nie widziałem żadnej, to w tej sekundzie, którą zajmuje mi sięgnięcie po nóż, wiem już, że to w ogóle nie jest człowiek.

To Szpakiel.

## 25 Zabójca

Świat przestaje wirować.

Deszcz przestaje padać, ogień przestaje płonąć, moje serce przestaje bić.

Szpakiel.

Nie ma już Szpakli.

Wszyscy zginęli w czasie wojny.

*Nie ma już Szpakli.*

Ale oto mam jednego przed sobą.

Jest wysoki i chudy, tak jak ci z widów, które pamiętam. Ma białą skórę, długie palce i ręce, usta pośrodku twarzy gdzie nie powinno ich być, uszy nisko przy żuchwie, oczy czarniejsze od bagiennych kamieni, a tam, gdzie powinno być jego ubranie, rosną porosty i mech.

Obcy. Tak obcy, jak to tylko możliwe.

O jasny gwint.

Równie dobrze można byłoby po prostu zgnieść świat, który znam, w kulkę i go wyrzucić.

– Todd? – mówi Viola.

– Nie ruszaj się – rzucam.

Bo poprzez plusk deszczu słyszę Szum Szpakla.

Nie ma w nim zrozumiałych słów, tylko obrazy, dziwnie zniekształcone i nie w tych kolorach co trzeba, ale są to obrazy przedstawiające mnie i Violę, stojących przed nim w kompletnym szoku.

Obrazy przedstawiające nóż w mojej, wyciągniętej teraz, dłoni.

– Todd – powtarza Viola, teraz jakby ostrzegawczo.

Bo w jego Szumie słychać teraz więcej. Są tam uczucia, wzbierające jak rój pszczoł.

Uczucie strachu.

Czuję jego strach.

Dobrze.

Mój Szum staje się czerwony.

– Todd – mówi znowu Viola.

– Przestań powtarzać moje imię – odpowiadam. Szpakiel powoli wstaje znad oprawianej ryby. Stoimy na zboczu niewielkiego pagórka, a on rozbił obóz pod innym skalnym występem, kawałek niżej. To miejsce jest w dużym stopniu osłonięte od deszczu i widzę tam torby oraz walek z mchów, który wygląda jak postanie.

Jest tam też coś błyszczącego i długiego, co stoi oparte o kamień.

Widzę, jak Szpakiel przywołuje obraz tego czegoś w swoim Szumie.

To oszczep, za pomocą którego łowił ryby w rzece.

– Nie – mówię do niego.

Zastanawiam się przez sekundę, ale tylko przez sekundę, jak dobrze to wszystko rozumiem, jak wyraźnie go widzę stojącego w rzece, jak łatwo go czytać, choć to same obrazy.

Ale ta sekunda mija błyskawicznie.

Bo widzę, że on myśli o tym, żeby skoczyć po swój oszczep.

– Todd? – mówi Viola. – Odłóż ten nóż.

A Szpakiel skacze.

I ja też skaczę w tej samej chwili.

(Tylko patrzcie.)

– Nie! – dociera do mnie krzyk Violi, ale mój Szum ryczy o wiele za głośno, żebym go usłyszał jako coś więcej niż szept.

Bo gdy gnam przez obozowisko z uniesionym nożem, prosto na Szpakla, któremu sterczą chude kolana i łokcie i który potyka się, ruszając po oszczep, to wszystko, co myślę i co posyłam ku niemu w moim czerwonym, czerwonym Szumie, to obrazy i słowa i uczucia o wszystkim, co wiem, o wszystkim, co mi się przydarzyło, wszystkie te momenty, kiedy nie zdołałem użyć noża, a każda cząstka mnie krzyczy...

*Już ja ci pokażę, kto tu jest zabójcą.*

Wpadam na niego, zanim zdąży chwycić za oszczep, i zderzam się z



nim ramieniem. Padamy z głuchym łomotem na mniej błotnistą ziemię, a jego długie ręce i nogi oplatają mnie, jakbym się mocował z pająkiem, i wali mnie po głowie, ale to praktycznie pacnięcia, i już wiem i już wiem i już wiem...

I już wiem, że jest ode mnie słabszy.

– Todd, przestań! – słyszę krzyk Violi.

Szpakiel rozpaczliwie cofa się przede mną, a ja częstuję go sierpowym prosto w skroń i jest tak lekki, że mój cios przewraca go na stertę głazów. Stwór podnosi na mnie wzrok, z jego otworu gębowego wydobywa się syk, a w Szumie kłębią się przerażenie i panika.

– PRZESTAŃ! – wrzeszczy Viola. – Nie widzisz, że on się boi?

– I ma rację! – odkrzykuję.

Bo teraz już nic nie powstrzyma mego Szumu. Daję krok w stronę Szpakla, a on próbuje odpełznąć, ale łapię go za długą białą kostkę i ściągam z kamieni z powrotem na ziemię, podczas gdy on wydaje okropne zawodzące odgłosy, i szykuję nóż.

A Viola musiała odłożyć Mancziego gdzieś z boku, bo łapie mnie za ramię i próbuje odciągnąć, żeby mnie powstrzymać przed zarżnięciem szpakusa, i odpycham ją całym ciałem, żeby ją strząsnąć, ale ona nie puszcza. Szamoczemy się i cofamy o parę kroków od Szpakla, który kuli się obok głazu, zasłaniając dłońmi twarz.

– Puszczaj! – wrzeszczę.

– Proszę, Todd! – odkrzykuje Viola, ciągnąc i wykręcając mi rękę. – Przestań, proszę!

Wrywam rękę i odpycham ją drugą, wolną, a gdy się odwracam, Szpakiel zdążył już przemknąć po ziemi...

W stronę swego oszczepu...

Już zacisnął na nim palce...

A cała moja nienawiść wybucha niczym wulkan, jaskrawą, ostrą czerwienią...

I padam na niego...

I wbijam nóż w jego pierś.

Ostrze zagłębia się z chrupnięciem, obracając się, gdy natrafia na

kość, a Szpakiel wydaje upiorny, upiorny wrzask i ciemnoczerwona krew (czerwona, czerwona, oni krwawią na czerwono) tryska z rany i stwór wymachuje długą łapą i drapie mnie po twarzy, a ja podnoszę rękę i dźgam go znowu, i z jego ust wydobywa się przeciągły, świszczący oddech, a potem głośny bulgot, a ręce i nogi nadal wykonują gwałtowne ruchy, i szpakus wlepia we mnie swoje czarne, czarne oczy, a jego Szum pełen jest bólu i oğłupienia i strachu...

I przekręcam nóż w ranie...

A on nie chce umrzeć i nie chce umrzeć i nie chce umrzeć...

Aż z jękiem i dygotem umiera.

I jego Szum się urywa.

Zbiera mi się na rzyganie. Wyszarpuję nóż i odpełzam po błocie.

Patrzę na swoje ręce, na ostrze. Wszystko jest we krwi. Nóż jest nią pokryty, włącznie z rękojeścią, a także obie moje dłonie i ręce i ubranie z przodu i na twarzy też mam plamę, którą ocieram. Krew Szpakla miesza się z moją własną, cieknącą z zadrapania.

Nawet biorąc poprawkę na lejący się na mnie deszcz, krwi jest niemożliwie dużo.

Szpakiel leży tam, gdzie...

Gdzie go zabiłem.

Słyszę, jak Viola krztusi się i łapie oddech. Podnoszę na nią wzrok, a wtedy ona wzdryga się i cofa przede mną.

– Ty nie wiesz! – krzyczę. – Ty nic nie wiesz! Oni zaczęli wojnę. Zabili moją mamę. Wszystko, wszystko, co się stało, to ich вина!

A potem rzygam.

I rzygam.

A kiedy mój Szum zaczyna się uspokajać, rzygam znowu.

Trzymam głowę blisko ziemi.

Świat znieruchomiał.

Świat nadal jest nieruchomy.

Ze strony Violi nie słyszę nic prócz jej ciszy. Czuję, jak plecak wrzyna mi się w kark, gdy tak klęczę pochylony. Nie patrzę w stronę Szpakla.

– On by nas zabił – mówię w końcu, patrząc w ziemię.

Viola nie odpowiada.

– Zabiłby nas – odzywam się ponownie.

– On był przerażony! – woła Viola, a głos jej się załamuje. – Nawet ja widziałam, jak strasznie się bał.

– Rzucił się po swój oszczep – mówię, podnosząc głowę.

– Bo ty ruszyłeś na niego z nożem! – Teraz ją widzę. Jej oczy są szeroko otwarte i zaczynają się robić puste, jak wtedy, kiedy zamknęła się w sobie i zaczęła się kiwać.

– Oni zabili wszystkich na Nowym Świecie – mówię. Viola gwałtownie kręci głową.

– Ty idioto! Do kurwy nędzy, ty IDIOTO!

Nie mówi „kuźwa”.

– Ile razy już odkrywałeś, że to, co ci mówiono, nie jest prawdą? – pyta, cofając się jeszcze dalej ode mnie, a jej twarz się wykrzywia. – Ile razy?

– Violu...

– Czy wszyscy Szpakle nie zostali wybici podczas wojny? – pyta, i Boże, jak ja nienawidzę jej przerażonego głosu.

– Co? *Może nie?*

I ostatnie pozostałości gniewu znikają z mojego Szumu, gdy dociera do mnie, że znów okazałem się durniem...

I odwracam się w stronę Szpakla...

I widzę obozowisko...

I rozwieszane ryby...

I (nie nie nie nie nie) widzę strach, którym rozbrzmiewał jego Szum...

(Nie nie nie, proszę nie.)

I nie mam już w żołądku niczego, co mógłbym wyrzygać, ale i tak się krztuszę...

I jestem zabójcą...

Jestem zabójcą...

Jestem zabójcą...

(Proszę, nie!) Jestem zabójcą.

Zaczynam się trząść. Zaczynam się trząść tak strasznie, że nie jestem

w stanie ustać. Uświadamiam sobie, że raz po raz mówię „Nie”, a strach z jego Szumu nadal odbija się echem w moim i nie ma dokąd przed tym uciec, wciąż tam jest i jest i jest i trzęsę się tak strasznie, że nie daję rady ustać nawet na czworakach, przewracam się w błoto i nadal widzę wszędzie wokół siebie krew, a deszcz jej nie spłukuje.

Mocno zaciskam oczy.

I jest już tylko czerní.

Tylko czerní i nic więcej.

Znowu wszystko spieprzyłem. Znowu wszystko zrobiłem źle.

Z bardzo daleka dociera do mnie głos Violi, powtarzającej moje imię.

Ale słyhać go tak daleko.

I jestem sam. Tutaj i zawsze, sam.

Znów słyshę moje imię.

Z bardzo, bardzo daleka czuję, jak ktoś mnie ciągnie za rękę.

Dopiero gdy słyshę w oddali szmer Szumu, który nie jest moim Szumem, otwieram oczy.

– Wydaje mi się, że ich jest tam więcej – szepcze mi do ucha Viola.

Podnoszę głowę. Mój własny Szum jest tak pełen chaosu i zgrozy, że ciężko cokolwiek wyraźnie usłyszeć, a deszcz nadal leje jak z cebra i przez moment zastanawiam się głupio, czy jeszcze kiedykolwiek wyschniemy – a potem to słyshę. Niewyraźny pomruk wśród drzew, niemożliwy do zlokalizowania, ale z całą pewnością tam jest.

– Jeśli przedtem nie chcieli nas zabić – mówi Viola – to teraz już na pewno będą chcieć.

– Musimy się stąd zmywać. – Próbuję wstać. Nadal się trzęsę, ale po jednej czy dwóch próbach w końcu mi się udaje.

Nadal trzymam nóż, który lepi się od krwi.

Rzucam go na ziemię.

Twarz Violi jest straszna, pełna smutku i strachu i zgrozy, a wszystko to przeze mnie, wszystko przeze mnie, ale jak zwykle nie mamy wyboru, więc po prostu powtarzam:

– Musimy się stąd zmywać.

Potem idę podnieść Mancziego z miejsca, gdzie Viola go położyła, na

suchej ziemi pod tą skalną przewieszką, gdzie Szpakiel rozłożył swoje manatki.

Manczi nadal śpi i dygocze z zimna, kiedy go podnoszę i zanurzam twarz w jego sierści i wdycham jego znajomy psi smrodek.

– Pośpiesz się – mówi Viola.

Odwracam się i widzę, że dziewczyna się rozgląda, w lesie wokół nas nadal słychać szepc Szumu, wymieszany z pluskiem deszczu, a na jej twarzy nadal widać strach.

Powraca spojrzeniem do mnie, a ja odkrywam, że nie jestem w stanie jej patrzeć w oczy, więc odwracam wzrok.

Ale kiedy to robię, nagle widzę, że za jej plecami coś się porusza.

Widzę, że krzaki za nią się rozstępują.

I widzę, jak ona spostrzega, że moja twarz się zmienia.

I odwraca się w samą porę, żeby zobaczyć, jak z lasu za nią wyłania się Aaron.

A on jedną ręką łapie ją za szyję, zaś drugą przyciska jakąś szmatę do jej nosa i ust. Gdy z krzykiem ruszam do przodu, słyszę, jak Viola usiłuje krzyczeć i próbuje się bronić, ale Aaron mocno ją trzyma, a zanim zdążyłem zrobić trzy kroki, ona już traci przytomność od tego czegoś, czym nasączona była szmata, a gdy robię czwarty i piąty krok, Aaron już upuszcza ją na ziemię, zaś ja nadal trzymam Manciego. A przy moim szóstym kroku on sięga za plecy, zaś ja nie mam mojego noża, ale mam na rękach psa, i mogę tylko biec w stronę Aarona, a przy siódmym kroku widzę, jak ten podnosi drewnianą łaskę, którą miał umocowaną na plecach, ta zaś zatacza łuk w powietrzu i wali mnie w bok głowy –

TRZASK

i upadam, Manczi wylatuje mi z rąk, zaś ja ląduję na ziemi na brzuchu, a w głowie tak mi dzwoni, że nie jestem w stanie się nawet podeprzeć. Świat staje się rozchwiany i szary i pełen bólu i leżę na ziemi i wszystko się chybcze i przesuwa. Moje nogi i ręce są zbyt ciężkie, żeby nimi ruszać, twarz tkwi do połowy w błocie, ale do połowy jest obrócona ku górze i widzę, że Aaron patrzy na mnie, leżącego na ziemi, i widzę jego Szum oraz Violę w tym Szumie i widzę, jak on spostrzega mój nóż, lśniący

czerwienią w błocie, i widzę, jak go podnosi. Próbuję odpełznąć, ale ciężar mojego ciała mnie unieruchamia i mogę tylko patrzeć, jak on staje nade mną.

– Na nic już mi się nie przydasz, chłopcze – mówi i wznosi nóż nad głowę i ostatnie, co widzę, to jak opuszcza go z całej siły.

# CZĘŚĆ 5

## Koniec wszystkiego

*Spadam nie SPADAM nie proszę pomóżcie mi Spadam Nóż Nóż Szpakiel szpakusy nie żyją, wszystkie szpakusy nie żyją VIOLA przepraszam, proszę, przepraszam on ma oszczep SPADAM Proszę proszę Aaron, za tobą! Nadchodzi! na nic mi się nie przydasz, chłopcze Viola spada, Viola Eade szpakusy krzyki i krew i nie TYLKO PATRZCIE tylko patrzcie nie proszę patrzcie on by nas zabił Ben proszę, przepraszam Aaron! Uciekaj! E-A-D-E Jest ich tu więcej musimy się stąd zmywać SPADAM spadam i ciemna krew Nóż martwy uciekać Jestem zabójcą, błagam, nie SZPAKIEL Viola Viola Viola...*

– Viola! – próbuję krzyczeć, ale wokół mnie tylko czerń, tylko czerń bez dźwięków, czerń i spadam i nie mam w ogóle głosu...

– Viola – próbuję raz jeszcze, ale w płucach mam wodę, a w brzuchu tępe ćmienienie i ból, ból w...

– Aaron – szepczę do siebie i do nikogo. – Uciekaj, to Aaron.

A potem znowu spadam w czerń...

– Todd?

...

– Todd?

Manczi.

– Todd?

Czuję, jak psi język liże mnie po twarzy, co oznacza, że czuję swoją twarz, co oznacza, że potrafię wskazać, gdzie on jest, i z gwałtownym wdechem, od którego aż dzwoni mi w uszach, otwieram oczy.

Manczi stoi tuż koło mojej głowy, przestępując z łapy na łapę, nerwowo oblizując wargi i nos. Nad okiem nadal ma opatrunek, ale jest cały zamazany i ciężko poznać...

– Todd?



Próbuję wykrztusić jego imię, żeby go uspokoić, ale udaje mi się tylko zakaszleć, a wtedy moje plecy przeszywa ostry ból. Nadal leżę na brzuchu w błocie, tam, gdzie upadłem, kiedy Aaron...

Aaron.

Kiedy Aaron rąbnął mnie laską w głowę. Próbuję podnieść głowę, a wtedy osłepiający ból wybucha po prawej stronie czaszki, promieniując aż do żuchwy, i muszę leżeć bez ruchu przez dobrą minutę, zaciskając zęby, po prostu pozwalając bólowi płonąć, zanim udaje mi się choćby spróbować znowu coś powiedzieć.

– Todd? – skamle Manczi.

– Jestem tu, Manczi – mamroczę w końcu, ale głos wydostaje się z mojej piersi niczym pomruk stłumiony przez lepką maź i wywołuje atak kaszlu...

Który muszę stłumić z powodu ostrego bólu w plecach.

Moje plecy.

Znów tłumię kaszlnięcie, a mdląca zgroza rozlewa mi się z brzucha na resztę ciała.

Ostatnia rzecz, jaką widziałem, zanim...

Nie.

O, nie.

Kaszlę cicho, samym gardłem, próbując nie poruszać żadnym mięśniem. Nie udaje mi się, więc przeczekuję ból do czasu, aż ten słabnie do stałego poziomu, a potem skupiam się na tym, żeby zmusić usta do ruchu i nie umrzeć przy tym.

– Czy tkwi we mnie nóż, Manczi? – chrypię.

– Nóż, Todd – szczeka mój pies, pełen niepokoju. – Plecy, Todd.

Znów podchodzi, żeby mnie polizać po twarzy – próbuje mi dodać otuchy po psiemu. Przez dobrą minutę jestem w stanie tylko oddychać i leżeć bez ruchu. Zamykam oczy i wciągam powietrze, choć moje płuca protestują i wydają się pełne.

*Jestem Todd Hewitt – myślę i to błąd, bo wtedy wszystko do mnie wraca, spada na mnie, ściągając mnie w dół – krew Szpakla i twarz przerażonej Violi i Aaron wyłaniający się z lasu, żeby ją porwać...*

Zaczynam płakać, ale ból spowodowany płaczem jest tak straszny, że paraliżuje mnie na minutę, w moich rękach i plecach płonie żywy ogień i wszystko, co mogę zrobić, to cierpieć, póki nie minie.

Powoli, powoli, powoli próbuję wyciągnąć spod ciała jedną rękę. Moja głowa i plecy bolą tak strasznie, że na minutę chyba mdleję, ale potem się budzę i powoli, powoli, powoli sięgam dłońią w górę i za siebie. Palce pełzną wzdłuż mokrej, niemożliwie brudnej koszuli, a potem po mokrym, niemożliwie brudnym plecaku, który jakimś cudem nadal mam na plecach, i jeszcze dalej, aż w końcu wymacują.

Rękojeść noża. Wystającą mi z pleców.

Ale przecież byłbym martwy.

Byłbym *martwy*.

Czy jestem martwy?

– Nie martwy, Todd – szczeka Manczi. – Plecak! Plecak!

Nóż tkwi we mnie, wysoko między łopatkami, ból informuje mnie o tym bardzo szczegółowo, ale ostrze najpierw przebiło plecak i coś w plecaku powstrzymało je od wbicia się w ciało na całą długość...

Notes.

Pamiętnik mojej mamy.

Znów macam palcami, pomalutku, bo szybciej nie jestem w stanie, i tak, Aaron wzniosł rękę i przebił nożem notes w moim plecaku, a notes powstrzymał ostrze przed wbiciem się głęboko w ciało.

(Tak, jak wbiło się w Szpakla.)

Ponownie zamykam oczy i próbuję wziąć tak głęboki oddech, jak jestem w stanie, to znaczy niezbyt głęboki, a potem wstrzymuję go do momentu, gdy jestem w stanie ująć nóż w palce. Potem muszę oddychać i czekać, aż ból minie, po czym próbuję ciągnąć, ale nóż jest najcięższy na świecie i muszę czekać i oddychać i spróbować znowu. I ciągnę, a ból w plecach nasila się niczym strzelający karabin i nie jestem w stanie powstrzymać wrzasku, gdy czuję, jak nóż wysuwa się z moich pleców.

Przez dobrą minutę łapię powietrze i dyszę i usiłuję powstrzymać płacz, cały czas trzymając nad sobą nóż, który nadal tkwi w książce i w plecaku.

Manczi znowu liże mnie po twarzy.

– Dobry piesek – mówię, choć nie wiem, dlaczego.

Mam wrażenie, że upływają całe wieki, zanim w końcu udaje mi się ściągnąć paski plecaka i wreszcie odrzucić od siebie nóż razem z całym pozostałym bajzlem. Nawet wtedy mogę tylko pomarzyć o wstaniu i chyba znowu mdleję, bo Manczi liże mnie po twarzy i muszę otworzyć oczy i znowu wciągnąć oddech, kaszląc.

Gdy tak leżę w błocie, najbardziej ze wszystkiego żałuję, że nóż Aarona nie przebił mnie na wylot, że nie jestem równie martwy jak Szpakiel. Chciałbym móc swobodnie spadać w tę otchłań, w dół w dół w dół, tam, gdzie nie ma już nic oprócz czerni, w dół, w nicość, gdzie nie byłoby już żadnego Todda, którego można by obwiniać, który mógłby wszystko spieprzyć, zawieść Bena czy zawieść Violę, i mógłbym na zawsze odpłynąć w nicość i nigdy już nie musieć się martwić.

Ale Manczi tu jest i zawzięcie mnie liże.

– Zostaw. – Sięgam ręką, żeby go odsunąć.

Aaron mógł mnie zabić, tak łatwo mógł mnie zabić.

Nożem w kark, nożem w oko, nożem po gardle. Leżałem przed nim bezbronny, a on mnie nie zabił. Musiał wiedzieć, co robi. *Musiał*.

Czy zostawił mnie po to, żeby burmistrz mnie znalazł? Ale jakim cudem Aaron wysforowałby się tak daleko przed armię? Jak zdołałby dotrzeć tak daleko, nie jadąc konno jak pan Prentiss junior? Od jak dawna już nas śledził?

Jak długo, zanim wyszedł z krzaków i porwał Violę?

Wydaję cichy jęk.

To dlatego pozostawił mnie przy życiu. Żebym mógł żyć ze świadomością, że on zabrał Violę. W ten sposób wygrywa, co nie? W ten sposób sprawia, żebym cierpiał. Już na zawsze żyjąc z obrazem tego, jak on ją porywa, utrwalonym w moim Szumie.

Czuję jakby przyplływ świeżej energii i zmuszam się, żeby usiąść, ignorując ból, pochylając się i oddychając tak długo, aż mogę już pomyśleć o wstaniu. Charczenie w płucach i ból w plecach sprawiają, że znowu kaszlę, ale zaciskam zęby i przeczekuję to.

Bo muszę ją odnaleźć.

– Viola – szczeka Manczi.

– Viola – odpowiadam i zaciskam zęby jeszcze mocniej, a potem próbuję stanąć na nogi.

Ale to za duży wysiłek, ból sprawia, że nogi się pode mną załamują i zwalam się z powrotem w błoto i po prostu tam leżę, zwinięty w kłębek przez to wszystko, usiłując odдыchać, a w głowie czuję tylko watę i gorąco. W moim Szumie biegnę i biegnę i biegnę w stronę nicości i cały jestem zgrzany i spocony i biegnę w moim Szumie i zza drzew słyszę Bena i biegnę w jego stronę, a on śpiewa piosenkę, śpiewa kołysankę z czasów, gdy byłem mały, piosenkę, która jest dla chłopców, nie dla mężczyzn, ale kiedy ją słyszę, moje serce ożywa i to jest *pewnego ranka o bladej godzinie*.

Wracam do siebie. A piosenka mi towarzyszy.

Bo jej słowa to:

*Pewnego ranka o bladej godzinie*

*Usłyszałem głos dziewczęcia w dolinie*

*Ach, nie oszukuj mnie, ach, nie opuszczaj mnie.*

Otwieram oczy.

Nie oszukuj mnie. Nie opuszczaj mnie.

Muszę ją odnaleźć.

Muszę ją odnaleźć.

Podnoszę wzrok. Słońce świeci na niebie, ale nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd Aaron porwał Violę. To było tuż przed świtem. Teraz niebo jest zachmurzone, ale jasne, więc może być równie dobrze późny ranek, jak wczesne popołudnie. To może nawet nie być ten sam dzień, choć staram się odpychać od siebie tę myśl. Zamykam oczy i próbuję wyteńczyć słuch. Deszcz przestał padać, więc już nie ma tego plusku, ale jedyny Szum, jaki słyszę, to mój i Mancziego oraz odległa, pozbawiona słów paplanina leśnych stworzeń, zajmujących się swoimi sprawami, które nie mają nic wspólnego ze mną.

Nie słyhać Aarona. Ani ciszy, która oznaczałaby obecność Violi.

Otwieram oczy i widzę jej torbę.

Upuszczoną, gdy szarpała się z Aaronem. Widać nie dostrzegł w torbie żadnego pożytku i nie zainteresował się nią – po prostu zostawił ją na ziemi, jakby nie była niczyją własnością, jakby to, że należy do Violi, nie miało znaczenia.

Ta torba, pełna głupich oraz przydatnych drobiazgów.

Pierś mi się zaciska i kaszlę boleśnie.

Nie bardzo dają radę ustać, więc pełzną naprzód, dysząc z powodu bólu w plecach i głowie, ale pełzną, podczas gdy wystraszony Manczi bez przerwy szczeka „Todd, Todd”. Trwa to całe wieki, kuźwa, o wiele za długo, ale w końcu dopełzam do torby, po czym przez dobrą minutę muszę tam siedzieć zgięty z bólu wpół, zanim jestem w stanie cokolwiek zrobić. Kiedy znów mogę oddychać, otwieram torbę i grzebię w niej, aż znajduję pudełko z opatrunkami. Został już tylko jeden, ale będzie musiał wystarczyć. Teraz zaczynam ściągać koszulę – więcej odpoczynków, więcej oddechów, centymetr za centymetrem, ale w końcu koszula schodzi z moich palących żywym ogniem pleców i trafia na palącą żywym ogniem głowę i widzę, że cała jest usyfiona krwią oraz błotem.

W medipaku Violi wyszukuję skalpel i rozcinam opatrunek na pół. Jedną część kładę na głowie, przyciskając na chwilę, żeby się przylepił, a potem powoli sięgam za siebie i przyklejam drugą połowę na plecach. Przez minutę boli jeszcze bardziej, gdy materiał opatrunku, te ludzkie komórki czy jak tam się nazywa to cholera, o którym mówiła Viola, wpełza do ran i sprawia, że się zasklepiają. Zaciskam zęby i przeczekuję to, ale potem lek, którym nasączone są opatrunki, zaczyna działać i do mojej krwi napływa fala chłodu. Czekam, aż to zadziała wystarczająco, żebym mógł wstać. Kiedy dźwigam się na nogi, w pierwszej chwili się chwieję, ale przez minutę jestem w stanie stać bez ruchu.

Po kolejnej minucie mogę już zrobić krok. A potem następny.

Ale dokąd pójdę?

Nie mam bladego pojęcia, dokąd Aaron zabrał Violę. Nic mam pojęcia, ile czasu minęło. Może Aaron już przebył całą drogę dzielącą go od armii i jest teraz z nimi.

– Viola? – szczeka Manczi, popiskując.

– Nie wiem, chłopie – odpowiadam. – Daj mi pomyśleć. Mimo że opatrunki działają, nie jestem w stanie się do końca wyprostować, ale prostuję się na tyle, na ile mogę, po czym się rozglądam. Na skraju mego pola widzenia leży ciało Szpakła, ale odwracam się, żeby tam nie patrzeć.

*Ach, nie oszukuj mnie. Ach, nie opuszczaj mnie.*

Wzdycham i już wiem, co muszę zrobić.

– Nie ma rady – mówię do Mancziego. – Musimy wracać do armii.

– Todd? – skomli mój pies.

– Nie ma rady – mówię ponownie, po czym przestaję myśleć o czymkolwiek poza zabraniem się stąd.

Przed wszystkim potrzebuję świeżej koszuli.

Trzymając się plecami do Szpakła, odwracam się w stronę plecaka.

Nóż nadal tkwi wbity w tkaninę oraz w znajdujący się wewnątrz notes. Nie mam za bardzo chęci go dotykać i nawet pomimo oszołomienia nie chcę sprawdzać, co się stało z pamiętnikiem, ale muszę wyciągnąć ostrze, no więc przyciskam plecak stopą i ciągnę z całych sił. Potrzeba kilku prób, ale w końcu udaje mi się wyszarpnąć nóż i rzucam go na ziemię.

Przyglądam mu się, gdy tak leży na mokrym mchu. Nadal jest cały we krwi. To w większości krew Szpakła, ale na samym czubku widać też jaśniejszą czerwień mojej. Zastanawiam się, czy to znaczy, że krew Szpakła zmieszała się z moją krwią, kiedy Aaron mnie dziabnął. Ciekawe, czy istnieją jakieś ekstra szczególne wirusy, którymi można się zarazić bezpośrednio od Szpakli.

Ale nie ma czasu się dłużej zastanawiać.

Otwieram plecak i wyciągam pamiętnik.

Jest w nim dziura od noża na wylot, po jednej i drugiej stronie. Nóż był tak ostry, a Aaron najwyraźniej tak silny, że cios nie zniszczył notesu. W każdej stronie, od początku do końca, widnieje teraz rozcięcie, którego krawędzie plami odrobina krwi, mojej i Szpakła, ale nadal można przeczytać to, co jest na nich napisane.

Nadal mógłbym go przeczytać, nadal mógłbym go komuś dać do przeczytania.

Jeśli kiedykolwiek będę na to zasługiwał. Tę myśl też odpycham i wyciągam z plecaka czystą koszulę. Kaszlę przy tym, a to boli nawet pomimo opatrunków, więc muszę odczekać, póki atak nie minie. Czuję się tak, jakby moje płuca były pełne wody, jakbym niósł w piersi stertę rzecznych kamieni, ale zakładam koszulę, wybieram z plecaka to, co mi się jeszcze może przydać: trochę ubrań, mój własny medipak, wszystko, co nie zostało zniszczone przez pana Prentissa juniora ani ulewę. Zanoszę te rzeczy oraz pamiętnik mojej mamy tam, gdzie leży torba Violi, i wkładam je do środka, bo nie ma ludzkiej mocy, żebym teraz dał radę cokolwiek nieść na plecach.

No i nadal pozostaje pytanie, co nie? Dokąd mam iść?

Muszę wrócić drogą do armii, ot co. Wróć do armii i jakimś sposobem uratuję Violę, nawet jeśli to będzie oznaczało, że zajmę jej miejsce.

Ale skoro tak, nie mogę tam iść bezbronny, co nie? Nie, nie mogę.

Znów spoglądam na nóż, który leży sobie na mchu niczym przedmiot bez żadnych własnych cech, przedmiot zrobiony z metalu i tak odrębny od chłopca, jak to tylko możliwe, przedmiot, który w najmniejszym stopniu nie jest winien tego, co zrobi chłopiec, który go użyje.

Nie chcę go dotykać. W ogóle. Już nigdy. Ale muszę do niego podejść i muszę go wytrzeć z krwi o mokre liście, najlepiej jak potrafię, a potem wsunąć do pochwy przyczepionej do paska, który wciąż jeszcze mam zapięty wokół bioder. Muszę to wszystko zrobić. Nie mam wyboru. Szpakiel pozostaje na granicy mojego pola widzenia, ale nie patrzę na niego, skupiam uwagę na nożu.

– Chodź, Manczi. – Możliwie ostrożnie zarzucam torbę Violi na ramię.

Nie oszukuj mnie. Nie opuszczaj mnie. Pora iść.

– Znajdziemy ją – mówię.

Zostawiam za sobą obozowisko i ruszam w kierunku drogi. Najlepiej po prostu wziąć się w garść i wrócić do nich tak szybko, jak tylko

zdołam. Usłyszę, że się zbliżają, i zdążę się skryć, a potem po prostu zobaczę, czy uda mi się wykombinować jakiś sposób, żeby uratować Violę.

Co może oznaczać, że będę zmuszony wyjść armii naprzeciw.

Przedzieram się przez rząd krzaków, kiedy słyszę, jak Manczi szczeka:

– Todd?

Odwracam się, próbując nie patrzeć w kierunku obozowiska.

– Chodź, piesku.

– Todd!

– Powiedziałem, chodź. Nie będę powtarzał dwa razy.

– Tędy, Todd – odszczekuje mój pies, merdając kikutek ogona.

Odwracam się przodem do niego.

– Jak powiedziałeś?

Manczi wskazuje nosem zupełnie inny kierunek niż ten, w którym zmierzam.

– Tędy – szczeka. Pociera łapą opatrunek nad okiem, odlepiając go, po czym zezuje na mnie zapuchniętym okiem.

– Jak to „tędy”? – pytam, z dziwnym uczuciem w klatce piersiowej.

Mój pies kiwa łbem i wciska przednie łapy w ziemię, wskazując kierunek nie tylko przeciwny do drogi, ale też zupełnie inny od tego, w którym powinna się teraz znajdować armia.

– Viola – szczeka, okręcając się w kółko, po czym znów staje zwrócony pyskiem w tę samą stronę.

– Czujesz jej zapach? – pytam, łapiąc oddech.

Odszczekuje potakująco.

– Czujesz jej *zapach*?

– Tędy, Todd!

– Nie z powrotem w stronę drogi? – pytam. – Nie z powrotem w stronę armii?

– Todd! – szczeka mój pies, też podekscytowany, bo wyczuł, że mój Szum wzbiera na sile.

– Jesteś pewny? – pytam. – Musisz być tego pewny, Manczi. Ale tak



na bank.

– Tędy! – I mój pies zaczyna biec, przez krzaki i dalej, trasą biegnącą równoległe do rzeki, nie w kierunku armii, tylko w przeciwną stronę.

W stronę Przystani.

Kto wie dlaczego, i kij z tym, bo teraz biegnę za nim, najszybciej, jak pozwalają mi moje rany. A kiedy widzę, jak pędzi przodem, długimi susami, myślę sobie: *Dobry pies, cholernie dobry pies.*

## Idziemy dalej

– Tędy, Todd – szczerka Manczi, prowadząc nas wokół kolejnej skały.

Odkąd opuściliśmy obozowisko Szpakla, teren staje się coraz bardziej nierówny i pofałdowany. Od godziny czy dwóch wokół nas wznoszą się zalesione wzgórza, a my gnamy w górę, w dół i znów w górę, idąc śpiesznie, bo biec się tutaj nie bardzo da. Gdy docieramy na wierzchołek jednego ze wzniesień, widzę ich przed sobą więcej i więcej, falują aż po horyzont – wzgórza pod drzewami, niektóre tak strome, że trzeba je obchodzić łukiem zamiast się na nie wspinać. Droga i rzeka wiją się przez nie wężowymi ścieżkami po mojej prawej stronie i chwilami ledwo jestem w stanie je wypatrzeć.

Choć opatrunki robią co mogą, żeby utrzymać mnie w jednym kawałku, przy każdym kroku czuję ból w plecach i głowie, a od czasu do czasu muszę się zatrzymać i niekiedy wyrzygać to, co mam w pustym żołądku. Ale idziemy dalej.

Szybciej – myślę do siebie. *Idź szybciej, Toddzie Hewitt.* Wyprzedzają nas o co najmniej pół dnia marszu, może nawet o półtora dnia, a ja nie wiem, dokąd zmierzają ani co Aaron planuje zrobić, kiedy tam dotrze, no więc idziemy dalej.

– Jesteś pewien? – ciągle pytam Mancziego.

– Tędy – odszczekuje za każdym razem.

Jednego nie potrafię zrozumieć – podążamy mniej więcej taką trasą, jaką Viola i ja szlibyśmy tak czy owak, trzymając się rzeki, ale nie idąc drogą, i zmierzając na wschód, w stronę Przystani. Nie wiem, czemu Aaron tam zmierza, nie wiem, czemu miałby podróżować w innym kierunku niż armia, ale tak mówi nos Mancziego, no więc idziemy tym tropem.

Wytrwale przemy naprzód, podczas gdy mijają południe – w górę na

wzgórza, w dół ze wzgórz i dalej, przez drzewa, które zmieniają się z tych, co rosną na równinach i mają szerokie liście, na takie bardziej iglaste, wyższe, zbliżone kształtem do strzał. Te drzewa nawet pachną inaczej, wysyłają w powietrze ostry aromat, który wyczuwam na języku. Manczi i ja przeskakujemy przez najróżniejsze strumyki i potoczki, które uchodzą do rzeki; od czasu do czasu zatrzymuję się, żeby ponownie napełnić butelki z wodą, a potem idziemy dalej.

Próbuję w ogóle nie myśleć. Staram się, aby mój umysł pozostawał skupiony na tym, co jest przede mną, skupiony na Violi i na tym, żeby ją znaleźć. Próbuję nie myśleć o tym, jak wyglądała jej twarz po tym, jak zabiłem Szpakla. Próbuję nie myśleć o tym, jak bardzo się mnie bała ani o tym, jak się cofnęła tak, jakbym mógł jej zrobić krzywdę. Próbuję nie myśleć o tym, jaka musiała być przerażona, kiedy Aaron ją pochwycił, a ja nie byłem w stanie się na nic przydać.

I próbuję nie myśleć o Szumie Szpakla oraz o strachu, który w nim czułem, ani o tym, jaki musiał być zaskoczony, że go zabijają tylko za to, że był rybakiem, ani o tym, jak to było poczuć aż w ramieniu to chrupnięcie, gdy nóż wchodził w jego ciało, ani o tym, jaka ciemnoczerwona była jego krew, kiedy połała się na mnie, ani o niezrozumieniu, które wylewało się z niego i wypełniało mój Szum, gdy umierał gdy umierał gdy umierał gdy...

Nie myślę o tym.

Idziemy dalej, idziemy dalej.

Popołudnie przechodzi we wczesny wieczór, las i wzgórze – zdawałoby się – nie mają końca, i pojawia się kolejny problem.

– Jeść, Todd?

– Nic nam już nie zostało – odpowiadam; ziemia osuwa mi się spod stóp, gdy schodzimy po zboczu. – Dla siebie też nic nie mam.

– Jeść?

Nie wiem, ile czasu minęło, odkąd ostatnio jadłem, nie wiem też na dobrą sprawę, kiedy ostatnio spałem, bo omdlenie nie podpada pod spanie.

Straciłem też rachubę dni, które mnie jeszcze dzielą od stania się

mężczyzną, ale powiem tyle, że nigdy nie wydawało mi się to odleglejsze.

– Wiewiórka! – szczeka nagle Manczi i rzuca się za pień iglastego drzewa, w rosnące dalej paprocie. Nawet nie spostrzegłem wiewiórki, ale słyszę **Młyniecki pies** i „Wiewiórka!” i **Młyniec-młyniec-młyniec...** a potem nagle już nic.

Manczi wyskakuje z papiości, trzymając w pysku nieżywą, zwisającą wiewiórkę, większą i bardziej brązową niż te z bagien. Upuszcza ją na ziemię przede mną – słyszę plaśnięcie, widzę krew, chrząstki i raptem wcale już nie jestem taki głodny.

– Jeść? – szczeka.

– Nie, spoko, piesku. – Odwracam wzrok od paskudztwa. – Ty to zjedz.

Pocę się bardziej niż normalnie i długimi łykami piję wodę, podczas gdy Manczi kończy swój posiłek. Drobne muszki kłębią się wokół nas ledwie widocznymi chmurami i bez przerwy muszę je odganiać. Znowu kaszlę, ignorując ból w plecach, ból w głowie, a kiedy mój pies zjadł już wszystko i jest gotów do dalszej drogi, ciut się chwieję na nogach, ale idziemy dalej.

*Ruszaj się, Toddzie Hewitt. Nie poddawaj się.*

Nie ryzykuję postoju na sen. Możliwe, że Aaron się nie zatrzymał, więc ja też nie mogę. Dalej i dalej, chmury czasem przepływają nad nami, a ja nawet ich nie zauważam, księżyc wschodzi, gwiazdy mrugają. Schodzę z niskiego wzgórza i na samym dole płoszę całe stado zwierzaków, które wyglądają jak jelenie, tylko ich rogi są zupełnie inne niż rogi tych jeleni, które pamiętam z Prentisstown, ale tak czy owak wszystkie już uciekają między drzewa przede mną i szczekającym Manczim, zanim zdążyłem na dobre zarejestrować ich obecność.

Idziemy dalej, podczas gdy mija północ (zostały dwadzieścia cztery dni? Dwadzieścia trzy?). Szliśmy przez cały dzień, ani razu nie słysząc Szumu innych osad, nie żebym miał szansę jakąś wypatrzeć, gdyby się trafiła, nawet wtedy, gdy znajdowałem się na tyle blisko rzeki i drogi, żeby je chwilami widzieć. Ale gdy docieramy na szczyt kolejnego

zalesionego wzgórza, a księżycy świecą bezpośrednio nad naszymi głowami, wreszcie słyszę Szum mężczyzn, wyraźny niczym huk zderzenia.

Zatrzymujemy się i przykucamy, mimo że jest noc.

Spoglądam w dół z naszego wzgórza. Księżycy są wysoko i w ich blasku widzę dwa długie baraki zbudowane na dwóch oddzielnych polanach na zboczach dwóch wzgórz. Z jednego baraku dobiega zgiełk mamroczącego Szumu śpiących. **Julia?** i **Konno** i **Powiedz mi, że to nie tak i Rano w górę rzeki** i mnóstwo innych rzeczy, które nie mają żadnego sensu, bo Szum śnienia jest najdziwniejszy ze wszystkich. Z drugiego baraku emanuje cisza, bolesna cisza kobiet, słyszę ją nawet stąd. Mężczyźni w jednym baraku, kobiety w drugim, co jak się domyślam jest jednym ze sposobów na rozwiązanie problemu spania, a wyczuwalna cisza po stronie kobiet każe mi pomyśleć o Violi, tak że aż muszę się na minutę oprzeć o pień jednego z drzew.

Ale tam, gdzie są ludzie, jest też jedzenie.

– Czy dasz radę z powrotem odnaleźć trop, jeśli z niego zejdziemy? – szepczę do mojego psa, tłumiąc kaszel.

– Znaleźć trop – odszczekuje poważnym tonem Manczi.

– Na pewno?

– Zapach Todda – szczeka. – Zapach Mancziego.

– To nie hałasuj teraz. – Zaczynamy się skradać w dół przez drzewa i poszycie, schodzimy ze wzgórza, aż stajemy na dnie dolinki, a ponad nami widać dwa baraki, śpiące na dwóch zboczach.

Słyszę, jak mój własny Szum rozprzestrzenia się po okolicy, gorący i stęchły niczym pot, który się ze mnie leje, i usiłuję sprawić, żeby pozostał cichy, szary i płaski, tak jak robił to Tam, Tam, który kontrolował swój Szum lepiej niż jakikolwiek mężczyzna w Prentisstown...

I masz chłopie placek.

**Prentisstown?** – dolatuje prawie od razu z baraku mężczyzn.

Stajemy jak wryci. Garbię się. Nadal słyszę tylko Szum śpiących, ale słowo rozchodzi się wśród nich niczym echa niosące się w dół doliny.

**Prentisstown? i Prentisstown? i Prentisstown?** – tak jakby jeszcze nie wiedzieli, co to znaczy. Ale będą wiedzieli, gdy się obudzą. *Idiota*.

– Chodźmy – mówię, odwracając się i śpiesząc z powrotem w kierunku, z którego przyszliśmy, z powrotem tam, gdzie biegnie trop.

– Jedzenie? – szczeka Manczi.

– Chodź.

Czyli nadal nie mam nic do jedzenia, ale idziemy dalej, przez całą noc, najszybciej jak jesteśmy w stanie.

*Szybciej, Todd. Ruszaj się, do cholery.*

Idziemy dalej, idziemy dalej, wspinamy się na wzgórza, czasem łapię się roślin, żeby się podciągnąć, i schodzimy ze wzgórz – czasem przytrzymuję się kamieni, żeby nie stracić równowagi. Trop trzyma się daleko od miejsc, gdzie dałoby się łatwo iść, takich jak płaskie odcinki terenu w dole przy drodze albo wzdłuż brzegu rzeki, a ja kaszlę i czasem się potykam, aż w końcu, kiedy słońce zaczyna się wyłaniać zza drzew, przychodzi taki moment, kiedy już nie mogę, już po prostu nie mogę, nogi załamują się pode mną i muszę usiąść.

Po prostu muszę.

(Przepraszam.)

Plecy mnie bolą, głowa mnie boli, pocę się tak obficie i śmierdząco, jestem taki głodny i po prostu muszę usiąść pod drzewem, tylko na minutę, po prostu muszę i przepraszam, przepraszam, przepraszam.

– Todd? – mamrocze Manczi, podchodząc do mnie.

– Nic mi nie jest, piesku.

– Gorący, Todd – mówi i ma na myśli mnie.

Kaszlę, a w płucach coś mi grzechocze niczym kamienie spadające ze wzgórza.

*Wstawaj, Toddzie Hewitt Rusz ten przeklęty tyłek i idź dalej.*

Mój umysł płata figle, nic na to nie poradzę. Próbuję się skupić na Violi, ale mój umysł głupieje i znów jestem mały, leżę w łóżku chory, jestem *naprawdę* chory i Ben siedzi w pokoju razem ze mną, bo gorączka sprawia, że widzę różne rzeczy, okropne rzeczy, migoczące ściany, ludzi, których tam nie ma, Bena, któremu wyrastają kły i dodatkowe

ręce, różne tam takie, krzyczę i próbuję się wyrwać, ale Ben jest tam ze mną i śpiewa piosenkę i poi mnie chłodną wodą i wyciąga tabletki lekarstwa...

Lekarstwo.

Ben podający mi lekarstwo.

Wracam do siebie.

Podnoszę głowę, przetrząsam torbę Violi i znów wyjmuję jej medipak. W środku są najróżniejsze pigułki, za dużo ich. Na małych paczuszkach są napisy, ale słowa nic mi nie mówią, a nie mogę ryzykować, że zażyję ten środek uspokajający, który uspił Mancziego. Otwieram mój własny medipak, dużo gorzej wyposażony niż ten Violi, ale w środku są białe tabletki, co do których przynajmniej mam pewność, że to środki przeciwbólowe, chociaż byle jakie, domowego wyrobu. Rozgryzam dwie, a potem jeszcze dwie.

*Wstawaj, ty bezwartościowy śmieciu.*

Przez chwilę siedzę i oddycham i walczę walczę walczę z napływającą sennością, czekając, aż pigułki podziałają, a gdy słońce zaczyna wyglądać zza szczytu odległego wzgórza, mam wrażenie, że czuję się ciut lepiej.

Nie wiem, czy faktycznie tak jest, ale nie mam wyboru.

*Wstawaj, Toddzie Hewitt Weź się, kutwa, RUSZ!*

– Dobra – mówię, oddychając ciężko i rozcierając rękami kolana. – Którędy, Manczi?

Ruszamy w dalszą drogę.

Zapach prowadzi nas tak jak wcześniej, omijając drogę, omijając wszelkie zabudowania, jakie od czasu do czasu widzimy w oddali, ale cały czas w tym samym kierunku, cały czas ku Przystani, i tylko Aaron wie, dlaczego. W połowie ranka natrafiamy na kolejny potoczek płynący w stronę rzeki. Sprawdzam, czy nie ma tu kroksów, choć w zasadzie za płytko tu dla nich, i ponownie napełniam obie butelki. Manczi wchodzi do wody, chłęcząc, i kłapie zębami, bezskutecznie próbując łapać małe rybki przypominające kolorem mosiądz, które przepływają obok, chwytając pyszczkami jego sierść.

Kłękam przy brzegu i obmywam twarz z potu. Woda jest tak zimna, że otrząsam się, jakby mnie kto spoliczkował, i trochę mnie to budzi. Chciałbym wiedzieć, czy choć trochę udało się nam do nich przybliżyć. Chciałbym wiedzieć, jak daleko są od nas.

I tak bym chciał, żeby Aaron nigdy nas nie odnalazł.

I tak bym chciał, żeby w ogóle nigdy nie znalazł Violi, wtedy na bagnach.

I tak bym chciał, żeby Ben i Cillian nie okłamywali mnie latami.

I tak bym chciał, żeby Ben tu teraz był.

I tak bym chciał znaleźć się z powrotem w Prentisstown.

Przysiadam na piętach, patrząc w górę, na słońce.

Nie. Nie. Nieprawda. Nie chciałbym znaleźć się z powrotem w Prentisstown. Już nie. Nie chcę.

A gdyby Aaron nie znalazł Violi, to *ja* też mógłbym jej nie znaleźć, i to też by było do kitu.

– Chodź, Manczi – mówię, odwracając się, żeby znowu podnieść torbę.

I właśnie wtedy widzę żółwia, który wygrzewa się na kamieniu.

Zamieram.

Nigdy wcześniej nie widziałem takiego żółwia. Jego skorupa jest pobrużdżona, o ostrych krawędziach, z ciemnoczerwonym paskiem z każdej strony. Żółw otworzył ją tak szeroko, jak tylko jest w stanie, w całości odstawiając swój miękki grzbiet, żeby chłonąć tyle ciepła, ile się da.

Żółwie można jeść.

Jego Szum jest jednym nieprzerwanym **ahhhhhhh** – oddychanie w blasku słońca. Żółw nie sprawia wrażenia szczególnie zaniepokojonego naszą obecnością; pewno myśli sobie, że jest w stanie zatrzasnąć skorupę i zanurkować pod wodę szybciej, niż my zdołalibyśmy go dopaść. A nawet gdybyśmy go złapali, to nie bylibyśmy w stanie otworzyć skorupy, żeby go zjeść.

Ale my mamy nóż, którym można go zabić.

– Żółw! – szczeka Manczi, widząc go. Trzyma się z tyłu, bo te żółwie



bagienne, które znamy, potrafią bez problemu chapsnąć psa. Żółw po prostu tam siedzi, nie traktując nas poważnie.

Sięgam za plecy, po nóż.

Moja ręka jest w połowie odległości, gdy czuję ból między łopatkami.

Zamieram. Przełykam ślinę. (Szpakiel i ból i oszołomienie.)

Zerkam w dół, w wodę, i widzę siebie. Włosy jak ptasie gniazdo, opatrunek na połowie głowy, brudniejszy niż stara owca. Jedna ręka sięga po nóż. (Czerwona krew i strach i strach i strach.) Przystaję sięgać. Cofam dłoń. Wstaję.

– Chodź, Manczi – mówię. Nie patrzę już na żółwia, nawet nie słucham jego Szumu. Manczi szczeka na niego jeszcze kilka razy, ale ja już przechodzę przez strumień, a potem idziemy dalej, idziemy dalej, idziemy dalej.

Czyli nie mogę polować. I nie mogę podchodzić blisko osad. Więc jeśli wkrótce nie odnajdę Violi i Aarona, to umrę z głodu, o ile ten kaszel mnie wcześniej nie zabije.

– Super – mówię do siebie i nie mogę zrobić nic innego, jak tylko iść dalej, tak szybko, jak jestem w stanie.

*To nie jest wystarczająco szybko, Todd. Ruszaj się, cholerny złamasie.*

Ranek zmienia się w kolejne południe, południe zmienia się w kolejne popołudnie. Łykam więcej tabletek i idziemy dalej, żadnego jedzenia, żadnego odpoczynku, tylko naprzód, naprzód, naprzód. Ścieżka zaczyna znów opadać, więc chociaż tyle. Trop Aarona przemieszcza się bliżej drogi, ale czuję się tak fatalnie, że nawet nie podnoszę głowy, kiedy od czasu do czasu słyszę w oddali Szum.

To nie jego Szum i nie ma tam ciszy, która byłaby jej ciszą, więc co się będę przejmował?

Popołudnie zmienia się w kolejny wieczór, a kiedy schodzimy po stromym zboczach, upadam.

Nogi załamują się pode mną i nie jestem wystarczająco szybki, żeby się podeprzeć, więc upadam i lecę w dół, zsuwając się po zboczach, wpadając na krzaki, turlając się coraz szybciej, czując, jak coś mi pęka w

plecach. Wyciągam ręce, żeby wyhamować, ale są za wolne, żeby się czegoś złapać, więc turlam się turlam turlam po liściach i trawie, a potem wpadam na coś wystającego i wylatuję w powietrze, koziółkując i lądując na łopatkach, które przeszywa ból. Wydaję głośny jęk i nie przestaję spadać, aż w końcu z głuchym łomotem ląduję w gęstwinie kolczastych krzaków u stóp wzgórza.

– Todd! Todd! Todd! – Słyszę, jak Manczi zbiega w ślad za mną, ale jedyne, co jestem w stanie zrobić, to próbować nadal wytrzymać ból i zmęczenie i syf w płucach i głód szarpiący mi wewnątrzności i zadrapania od kolców na całym ciele i myślę, że bym się popłakał, gdybym jeszcze miał choć trochę siły.

– Todd? – szczerka Manczi, krążąc wokół mnie, usiłując znaleźć miejsce, gdzie dałoby się wejść w krzaki.

– Daj mi minutkę – mówię i dźwigam się słabo na rękach. Potem nachylam się do przodu i padam prosto na twarz.

*Wstawaj – myślę. Wstawaj, ty śmieciu, WSTAWAJ!*

– Głodny, Todd – mówi Manczi, mając na myśli, że to ja jestem głodny. – Jeść. Jeść, Todd.

Odpycham się rękami od ziemi, kaszląc, wykastując z płuc całe garście syfu. W końcu dźwigam się na kolana.

– Jedzenie, Todd.

– Wiem – mówię. – Wiem.

Mam taką karuzelę we łbie, że muszę z powrotem położyć głowę na ziemi.

– Daj mi tylko sekundkę – mówię, szepcząc to w opadłe liście. – Tylko sekundkę.

A potem znowu zapadam się w czerni. Nie wiem, jak długo leżę nieprzytomny, ale budzi mnie szczekanie Manczego.

– Ludzie! – szczerka. – Ludzie! Todd, Todd, Todd! Ludzie! Otwieram oczy.

– Jacy ludzie? – pytam.

– Tutaj – szczerka. – Ludzie. Jedzenie, Todd. Jedzenie! Oddycham płytko, kaszląc bez przerwy, moje ciało waży dziewięćdziesiąt milionów

kilogramów i z trudem wyłażę z drugiej strony kolczastego zagajnika. Patrzę w górę i ponad zaroślami.

Leżę w rowie tuż przy drodze.

Z przodu, po lewej widzę wozy, cały szereg wozów ciągniętych przez woły i konie, znikający za zakrętem.

– Pomocy – chcę krzyknąć, ale mój głos przypomina westchnienie i nie ma szans, żeby ktokolwiek go usłyszał.

*Wstawaj.*

– Pomocy – wołam ponownie, ale tylko do siebie.

*Wstawaj.*

Koniec. Już nie dam rady wstać. Nie dam rady się ruszyć. Koniec.

*Wstawaj.*

Ale to koniec.

Ostatni wóz znika za zakrętem i to koniec.

*...dawaj za wygraną.*

Kładę głowę na ziemi, na poboczu drogi. Żwir i kamyki gniotą mnie w policzek. Wstrząsa mną dreszcz; przewracam się na bok i kulę, podciągając nogi do klatki piersiowej. Zamykam oczy i wszystko zawaliłem i wszystko zawaliłem i proszę, niech mnie po prostu wchłonie ciemność proszę proszę proszę...

– To ty, Ben?

Otwieram oczy.

To Wilf.

## Smród korzeni

– Nic ci nie jezd, Ben? – pyta, wsuwając rękę pod moją pachę, żeby pomóc mi wstać, ale nawet z tą pomocą nie jestem w stanie się dźwignąć ani nawet unieść głowy, więc czuję, że jego druga ręka wsuwa się pod moją drugą pachę. To też nie działa, więc Wilf po prostu przerzuca mnie przez ramię. Gapię się na tylną część jego nóg, gdy niesie mnie do wozu.

– A to kto, Wilf? – słyszę kobiecy głos.

– To Ben – odpowiada Wilf. – Nie wyglunda za dobrze.

W następnej chwili już kładzie mnie na swoim wozie, z tyłu. Wóz wyładowany jest spiętrzonymi byle jak pakunkami i skrzyniami owiniętymi w skórzane płachty, częściami mebli oraz wielkimi koszami. Wszystko zwalone razem na kupę, mało się nie wysypie górą.

– Już za późno – mówię. – Skończone.

Kobieta przeszła z kozła na tył wozu i klęka twarzą do mnie. Jest biuściasta, w zniszczonej sukience, potargana, ma zmarszczki w kącikach oczu i mówi szybciotko, jak mysz.

– Co jezd skończone, młodziaku?

– Nie ma jej. – Czuję, że broda mi się trzęsie, a gardło zaczyna się zaciskać. – Straciłem ją.

Czuję na czole chłodną dłoń i jest to tak miłe uczucie, że garnę się do niej. Kobieta zabiera rękę i mówi do Wilfa:

– Gorunczka.

– Ano – potwierdza Wilf.

– Trza mu naszykować kataplazm – mówi kobieta, po czym chyba schodzi do rowu, ale to przecież nie ma sensu.

– Gdzie Hildy, Ben? – pyta Wilf, próbując tak się nachylić, żeby patrzeć mi w oczy. Moje własne są tak załzawione, że ledwo go w ogóle widzę.

– Ona nie ma na imię Hildy – odpowiadam.

– Wim – mówi na to Wilf – ale takżeś jom zwał.

– Nie ma jej – mówię i oczy wypełniają mi się łzami. Głowa znów opada mi do przodu. Czuję, jak Wilf kładzie mi dłoń na ramieniu i ścisza je.

– Todd? – słyszę szczerzenie Mancziego, niepewne, w bok od drogi.

– Nie mam na imię Ben – mówię do Wilfa, nadal nie podnosząc wzroku.

– Wim – odpowiada znów Wilf – ale tak cię bedziem zwać.

Patrzę w górę, na niego. Jego twarz i jego Szum są tak puste, jak pamiętam, ale mam lekcję po wieczne czasy, że możesz znać czyjeś myśli i mimo to nie znać człowieka.

Wilf nie mówi nic więcej, tylko przechodzi z powrotem na przód wozu. Kobieta wraca, niosąc szmatę, śmierdzącą jak nie wiem co. Cuchnie toto korzeniami, błotem i paskudnym zielskiem, ale jestem tak zmęczony, że pozwalam, aby mi nią obwiązała czoło, zakrywając opatrunek, który nadal tkwi przyczepiony z boku głowy.

– Powinno podziątać na tom gorunczkę – mówi, wskakując z powrotem na wóz. Oboje czujemy lekkie szarpnięcie do przodu, gdy Wilf popędza woły, a te ruszają. Oczy kobiety są szeroko otwarte, zaglądną w moje, jakby szukając ekscytujących wieści. – Ty takżeś uciekasz przed tom armiom?

Jej cisza tuż obok tak mi przypomina Violę, że ledwo się powstrzymuję, żeby się po prostu o nią nie oprzeć.

– Tak jakby – mówię.

– To tyżeś o niej rzekł Wilfowi, nie? – dopytuje się. – Ty i dziewczyna rzekliście Wilfowi, że nadchodzi armia, rzekliście mu, żeby ostrzegł ludzi, ostrzegł ludzi, że muszom uchodzić, nie?

Spoglądam w górę, na nią, śmierdząca korzeniami brązowa woda spływa mi kroplami po twarzy, a potem odwracam się, żeby popatrzeć na Wilfa, który siedzi na koźle i powozi wołami. On słyszy, że na niego patrzę.

– Posłuchali Wilfa – mówi.

Patrzę w górę, na drogę za nim, ciągnącą się przed nami. Właśnie mijamy zakręt i słyszę nie tylko szum rzeki, który znów towarzyszy nam z prawej, niczym stary przyjaciel albo stary wróg; widzę też szereg wozów ciągnący się przed nami co najmniej do następnego zakrętu, wozów wyładowanych dobytkiem tak jak wóz Wilfa, a na nich siedzą najróżniejsi ludzie, trzymając się wszystkiego, co nie zleci razem z nimi.

To karawana. Wilf jedzie na tyłach długiej karawany. Mężczyźni i kobiety i zdaje się, że nawet dzieci, jeśli mnie wzrok nie myli mimo smrodu szmaty obwiązanej wokół głowy. Ich Szum i cisza płyną w górę i do tyłu niczym wielka, hałaśliwa istota.

Armia. To słowo wciąż się powtarza. Armia i armia i armia.

I przekłeta osada.

– Borsucza Siklawa? – pytam.

– Jasny Widok też – odpowiada kobieta, kiwając szybko głową. – I inne także. Plotki gnajom rzekom i drogom. Armia z przeklyntej osady nadchodzi, a po drodze rośnie, bo mężczyźni łapiom za broń i dołączajom do niej.

Rosnąc w siłę po drodze – myślę.

– Liczy se już tysiunce, tak powiadajom – ciągnie kobieta.

Wilf prycha pogardliwie.

– Ani tysiunca ludzi ni ma między nami a przeklyntom osadom.

Kobieta krzywi usta.

– Powtarzam ino to, co ludzie powtarzajom.

Spoglądam do tyłu, na pustą drogę za nami. Manczi gna z wywieszonym językiem kawałek za wozem i przypominam sobie Iwana, mężczyznę w stodole w Dalekiej Gałęzi, który powiedział mi, że nie wszyscy sądzą to samo na temat przeszłości, że Pren... że moja osada nadal ma sojuszników. Może nie tysiące, ale i tak niewykluczone, że jest ich coraz więcej. Armia rośnie i rośnie, maszerując naprzód, aż stanie się tak liczna, że jak ktokolwiek będzie mógł jej stawić czoła?

– Zmierzamy do Przystani – powiada kobieta. – Tam nas ochroniom.

– Przystań – mamroczę do siebie.

– Ludzie gadajom, co w tamtych stronach majom nawet lek na Szum

– ciągnie kobieta. – Aj, chciałabym to zobaczyć. – Śmieje się głośno do siebie. – Czy raczej usłyszeć. – Uderza się płaską dłonią w udo.

– Są tam Szpakle? – pytam.

Kobieta obraca się ku mnie, zaskoczona.

– Szpakle nie zbliżajom się do ludzi – mówi. – Już nie, od czasu wojny już nie. Trzymajom się swoich, a my się trzymamy naszych, i takim sposobem jest pokój. – Brzmi to tak, jakby recytowała ten ostatni kawałek z pamięci. – I tak została ich ledwie garstka.

– Muszę iść. – Opuszczam ręce i próbuję się podźwignąć. – Muszę ją odszukać.

Jedyne, co udaje mi się osiągnąć, to że tracę równowagę i spadam z wozu. Kobieta woła do Wilfa, żeby się zatrzymał, po czym oboje podnoszą mnie i układają z powrotem. Potem kobieta podsadza również Mancziego na wóz. Odsuwa kilka skrzyń, żeby mnie położyć, a Wilf ponownie siada na koźle i rusza. Tym razem popędza woły ciut energiczniej i czuję, że zaczynamy jechać trochę szybciej – szybciej, niż byłbym w stanie iść. Chociaż tyle.

– Jedz – mówi kobieta, podtykając mi pod nos trochę chleba. – Nigdzie nie pódziesz, póki nie pojesz.

Biorę od niej chleb i odgryzam kęs, po czym pochłaniam resztę tak łapczywie, że zapominam oddać część Mancziem. Kobieta po prostu wyjmuję więcej chleba i daje po trochu nam obu, szeroko otwartymi oczami śledząc każdy mój ruch.

– Dziękuję – mówię.

– Jezdem Jane – powiada. Nadal wytrzeszcza oczy, jakby wprost rozsadzała ją chętką, żeby powiedzieć różne rzeczy

– Widział żeś tom armię? Na własne oczy?

– Widziałem – odpowiadam. – W Dalekiej Gałęzi.

Ona chwyta oddech.

– Winc to prawda. – Nie pyta, po prostu stwierdza.

– Mówił żem, że to prawda – odzywa się z kozła Wilf.

– Powiadajom, że ci z armii obcinajom ludziom głowy i gotujom ich oczy – mówi Jane.

– Jane! – karcij ją Wilf.

– Tylko mówiem.

– Zabijają ludzi – mówię cicho. – To wystarczy.

Rozbiegane oczy Jane taksują moją twarz i Szum, ale po chwili kobieta mówi tylko:

– Wilf wszystko mi o tobie rzekł – i za nic nie jestem w stanie odgadnąć, co oznacza jej uśmiech.

Kropla spływająca ze szmaty dostaje mi się do ust. Krztuszę się, spluwam i znów zaczynam kasłać.

– Co to jest? – pytam, obmacując szmatę palcami i krzywiąc się na jej odór.

– Kataplazm – odpowiada Jane. – Na gorunczki a febrę.

– Śmierdzi.

– Zły zapach wyciunga złom gorunczkę – odpowiada kobieta takim tonem, jakby mówiła mi coś, o czym wszyscy wiedzą.

– Złą? – powtarzam. – Gorączka nie jest zła. To gorączka.

– Tak, a tyn kataplazm leczy gorunczkę.

Gapię się na nią. Kobieta nie odrywa ode mnie oczu, a ten ich nieustający wytrzeszcz zaczyna sprawiać, że czuję się nieswojo. Tak wygląda Aaron, kiedy cię przygwaźdża, tak wygląda, kiedy głośi kazanie pięściami, kiedy z modlitwą na ustach spycha cię w otchłań, z której może już nigdy nie wyleziesz.

Spojrzenie wariata, uświadamiam sobie.

Próbuję stłumić tę myśl, ale Jane nie daje żadnego znaku, że usłyszała.

– Muszę iść – mówię znowu. – Dziękuję pięknie za jedzenie i za kataplaster, ale muszę iść.

– Nie możesz iść sam w te lasy, nie ma mowy – odpowiada Jane, nadal się we mnie wpatrując, nie mrugając. – To niebezpieczne lasy som.

– Jak to niebezpieczne? – Odsuwam się od niej.

– Osady po drodze – mówi, otwierając oczy jeszcze szerzej, i uśmiecha się, jakby nie mogła się doczekać, żeby mi powiedzieć. – Sami szaleńcy tam żyjom. Powariowali od Szumu. Słyszała żem o wiosce,



gdzie wszyscy noszą maski, żeby nikt nie mógł zobaczyć ich twarzy. I o drugiej, gdzie tak powariowali, że nic nie robiom, tylko śpiewajom cały dzień. Jezd też taka, gdzie wszystkie ściany są ze szkła i nikt nie nosi ubrań, bo w Szumie nikt nie ma żadnych sekretów, nie?

Nachyla się bliżej mnie. Czuję jej oddech, który śmierdzi jeszcze gorzej niż szmata, i czuję też ciszę za wszystkimi tymi słowami. Jak to możliwe? Jakim sposobem cisza może kryć w sobie tyle zgiełku?

– Ludzie mogą ukrywać sekrety w Szumie – odpowiadam. – Ludzie mogą ukrywać różne sekrety.

– Zostawże chłopca w spokoju – mówi Wilf ze swojego miejsca.

Twarz Jane traci wszelki wyraz.

– Przepraszam – powiada kobieta, cokolwiek niechętnie.

Dźwigam się z lekka, czując, że jedzenie w brzuchu dodało mi nieco siły, niezależnie od tego, czy śmierdząca szmata działa, czy nie działa.

Dopędziliśmy resztę karawany i jedziemy wystarczająco blisko nich, żebym widział od tyłu kilka głów i wyraźniej słyszał Szum mężczyzn, gadających jeden przez drugiego, oraz ciszę kobiet siedzących między nimi, niczym kamienie w potoku.

Od czasu do czasu ktoś z tych ludzi, zwykle mężczyzna, zerka do tyłu, na nas, i mam wtedy wrażenie, że patrzą prosto na mnie, próbując dociec, co ze mnie za jeden.

– Muszę ją odnaleźć – mówię.

– Twójom dziewczynę? – pyta Jane.

– Tak – odpowiadam. – Dziękuję, ale muszę iść.

– Ale masz gorunczkę! A te inne osady...

– Zaryzykuję. – Rozwiązuję brudną szmatę. – Chodź, Manczi.

– Nie możesz odejść – mówi Jane. Wytrzeszcza oczy bardziej niż kiedykolwiek, a minę ma mocno niepewną. – Armia...

– Ja się będę martwił o armię. – Dźwigam się i kucam, przygotowując się do zeskoczenia z wozu. Nadal ruszam się dosyć chwiejnie, więc muszę odetchnąć raz czy dwa razy, chrypiąc, żeby być w stanie cokolwiek zdziałać.

– Ale dorwom cię! – rzuca Jane, podnosząc głos. – Jezdeś z

Prentisstown...

Gwałtownie podnoszę wzrok. Jane zatyka sobie usta ręką.

– Żono! – krzyczy ostro Wilf, odwracając głowę ze swego miejsca na koźle.

– Nie chciałam – szepcze do mnie Jane.

Ale jest za późno. To słowo już przelatuje przez karawanę w sposób, który stał się aż nadto znajomy – nie tylko samo słowo, ale to, co mnie z nim wiąże, to, co wszyscy wiedzą lub sądzą, że wiedzą na mój temat. Twarze już się obracają, żeby uważniej popatrzeć na ostatni wóz w karawanie; woły i konie się zatrzymują, a ludzie się odwracają, żeby nam się przyjrzeć.

Twarze i Szum skierowane do tyłu, ku nam.

– Kogo tam mosz, Wilf? – pyta męski głos z wozu przed nami.

– Chłopok w gorunczce! – odkrzykuje Wilf. – Odurzony chorobom.

Nie wie, co mówi.

– Jezdeś pewien?

– Tajest – odpowiada Wilf. – Chory chłopok.

– Wyciungnij go – woła jakaś kobieta. – Niechże go obejrzymy.

– A co jeśli to szpieg? – woła inna kobieta, głośniejsze. – I wie dzie armię ku nam?

– Nie chcemy szpiegów! – krzyczy inny mężczyzna

– To Ben – mówi Wilf. – Jezd z Dalekiej Gałęzi. Sniom mu się koszmary o tym, jak przeklynta armia zabije to, co kochał. Ręczę za niego.

Przez minutę nikt nic nie krzyczy, ale Szum mężczyzn brzęczy w powietrzu jak rój owadów. Wszystkie twarze nadal skierowane są ku nam. Próbuje sprawić, żeby moja własna wyglądała mniej przytomnie, tak jakbym majaczył w gorączce, a w swoim Szumie wywlekam na wierzch najazd na Daleką Gałąź. Nie jest to trudne i sprawia, że serce mi się ściska.

I następuje długa chwila, kiedy nikt nic nie mówi, ale jest to tak głośne, jak wrzask tłumu.

I to wystarczy.

Powoli, powolutku woły i konie znów ruszają naprzód, oddalając się

od nas; ludzie nadal oglądają się do tyłu, ale przynajmniej są coraz dalej. Wilf popędza swoje woły, ale pilnuje, żeby szły wolniej niż reszta karawany, zwiększając dystans między nami a pozostałymi.

– Tak mi przykro – mówi znowu Jane, bez tchu. – Wilf mi rzekł, żebym nie mówiła. Rzekł mi to, ale...

– Nie szkodzi – mówię, chcąc tylko, żeby wreszcie przestała mówić.

– Tak mi strasznie, strasznie przykro.

Wóz zatrzymuje się z szarpnięciem. Wilf czeka, aż karawana odjedzie na sporą odległość, po czym zeskakuje i wraca.

– Nikt nie słucho Wilfa – mówi z nieznacznym uśmiechem. – Ale jak już słuchajom, to mu wierzom.

– Muszę iść – mówię.

– Ano – odpowiada. – Z nami nie jeźdeś bezpieczny.

– Tak mi przykro – powtarza Jane.

Zeskakuję z wozu, a Manczi za mną. Wilf sięga po torbę Violi i przytrzymuje jej brzegi. Spogląda na Jane, która rozumie go bez słów. Bierze naręczce owoców oraz chleba i pakuje wszystko do torby, a potem dokłada jeszcze takie samo naręczce suszonego mięsa.

– Dziękuję – mówię.

– Obyś jom odnalazł – mówi Wilf, gdy zamykam torbę.

– Też mam taką nadzieję.

Wilf kiwa głową, po czym wraca do wozu, siada z powrotem na koźle i popędza woły.

– Uważaj na siebie – woła za mną Jane najgłośniejszym szeptem, jaki kiedykolwiek słyszeliście. – Uważaj na wariatów.

Stoję tam przez jakąś minutę i patrzę, jak odjeżdżają. Nadal kaszlę, nadal mam gorączkę, ale czuję się lepiej dzięki jedzeniu, nawet jeśli smród korzeni nie pomógł. Liczę, że Manczi zdoła znów odnaleźć trop. Zastanawiam się też, jakiego powitania mogę się spodziewać, jeśli kiedykolwiek uda mi się dotrzeć do Przystani.

## Aaron na tysiąc sposobów

Gdy już jesteśmy z powrotem w lesie, potrzeba chwili, krótkiej, lecz okropnej chwili, aby Manczi znów złapał trop, ale potem szczeka: – Tędy! – i znów ruszamy w drogę.

Cholernie dobry z niego pies, mówiłem to już? Do tej pory zdążyła zapaść noc, a ja nadal się pocę, nadal kaszlę tak, że mógłbym wygrać konkurs kasłania, stopy mam całe w pęcherzach, a w głowie brzęczy mi otumaniony gorączką Szum, ale w brzuchu mam trochę jedzenia, a w torbie prowiant, którego wystarczy na parę dni, tak więc wszystko, co jeszcze się liczy, jest przed nami.

– Czujesz jej zapach, Manczi? – pytam, gdy ostrożnie przechodzimy po kłodzie przez strumień. – Czy ona jeszcze żyje?

– Czuć Violę – odszczekuje mój pies, zeskakując po drugiej stronie. – Viola strach.

To mnie z lekka mrozi i przyśpieszam kroku. Kolejna północ (dwadzieścia dwa dni? Dwadzieścia jeden?) i bateria w mojej latarce wysiada. Wyciągam latarkę Violi, ale to ostatnia, jaką mamy. Przed nami więcej wzgórz i stają się bardziej strome, w miarę jak wędrujemy przez noc, coraz trudniej się na nie wspinać, coraz bardziej niebezpiecznie się z nich schodzi, ale idziemy i idziemy i idziemy, potykając się wędrujemy naprzód, Manczi węszy i zjada suszone mięso Wilfa, ja kaszlę i odpoczywam tak krótko jak tylko się da, zwykle opierając się o drzewa, zgięty wpół. A gdy słońce zaczyna wschodzić nad wzgórzem, jest tak, jakbyśmy szli prosto w nie.

I kiedy światło zalewa nas z całą mocą, widzę, że świat zaczyna migotać.

Staję, przytrzymując się paproci, żeby nie stracić równowagi na stromym zboczu. Wszystko rozmywa się na sekundę i zamykam oczy,

ale to nie pomaga, bo pod powiekami mam tylko rzekę kolorów i migotów, a moje ciało jest jak galareta i kołysze się wraz z wiatrem, który wieje zza wzgórza, a kiedy to mija, tak naprawdę nie mija do końca – świat pozostaje dziwnie świetlisty, tak jakbym się obudził wewnątrz snu.

– Todd? – szceka Manczi z niepokojem, bo na pewno zobaczył nie wiedzieć co w moim Szumie.

– Gorączka – mówię, znów kaszląc. – Nie powinienem był wyrzucać tamtej brudnej szmaty.

Nic się na to teraz nie poradzi.

Łykam ostatnie tabletki przeciwbólowe z mojego medipaka i trzeba iść dalej.

Docieramy na szczyt wzgórza i przez minutę wszystkie pozostałe wzgórza przed nami, rzeka oraz droga niżej skaczą w górę i w dół, tak jakby znajdowały się na kocu, którym ktoś potrząsa, a ja mrugam i robię wszystko, żeby to stłumić, aż w końcu uspokaja się na tyle, że jestem w stanie iść dalej. Manczi skamle przy moich stopach. Kiedy próbuję go pogłaskać, o mało się nie przewracam, więc w zamian skupiam się na tym, żeby zejść ze wzgórza i nie upaść.

Znów myślę o nożu za moimi plecami, o krwi, która na nim była, kiedy wbił się w moje ciało, o mojej krwi zmieszanej z krwią Szpakla i o cholera wie czym, co teraz krąży w moich wnętrznościach po tym, jak Aaron mnie dziabnął.

– Ciekaw jestem, czy wiedział – mówię do Manczkiego, do siebie, do nikogo, gdy docieramy na sam dół i opieram się o drzewo, żeby świat przestał wirować. – Ciekaw jestem, czy zabił mnie powoli.

– Jasne, że tak – odpowiada Aaron, wychylając się zza drzewa.

Wrzeszczę i padam do tyłu, byle dalej od niego, i zaczynam wymachiwać rękami, próbując go odpędzić. Łąduję twardo na tyłku i zaczynam w panice pełznąć do tyłu. Dopiero po sekundzie podnoszę wzrok...

Aarona nie ma.

Manczi patrzy na mnie, przekrzywiając łeb.

– Todd?

– Aaron – mówię. Serce mi łomocze, a oddech więźnie w gardle, zmieniając się w coraz mokrzejszy i mokrzejszy kaszel.

Manczi znów węższy w powietrzu, potem obwążchuje ziemię wokół siebie.

– Trop tędy – szczeka, przestępując z nogi na nogę.

Rozglądam się, kaszląc, świat faluje, wokół tańczą mroczki.

Ani śladu Aarona, żadnego Szumu poza moim, ani śladu ciszy Violi. Znów zamykam oczy.

*Jestem Todd Hewitt – myślę, walcząc z karuzelą. Jestem Todd Hewitt.*

Nie otwierając oczu, wymacuję butelkę z wodą i wypijam łyk, po czym odrywam kawałek chleba od Wilfa i wmuszam go w siebie. Dopiero wtedy otwieram oczy.

Nic.

Nic, tylko lasy i kolejne wzgórze, na które trzeba się wspiąć.

I blask słońca, który migocze.

Ranek mija, a u podnóża kolejnego wzgórza płynie kolejny potok. Napętniam butelki wodą i kilkakrotnie piję ze złożonych dłoni. Jest zimna.

Czuję się źle, bez dwóch zdań. Skóra mrowi, raz się trzęsę, raz się pocę, a moja głowa chwilami waży milion kilo. Pochylam się nad potokiem i ochlapuję się zimną wodą.

Siadam, a w potoku pojawia się odbicie Aarona.

– *Zabójca* – mówi z uśmiechem na zmasakrowanej twarzy.

Odskakuję, w panice macając za nożem (i czując, jak moje ramiona znów przeszywa ból), ale gdy podnoszę wzrok, jego tam nie ma, a Manczi nadal w najlepsze gania za rybkami.

– Idę cię odnaleźć – mówię w powietrze, w powietrze, które zaczyna się poruszać. Wieje wiatr.

Manczi gwałtownie wystawia łeb z wody.

– Todd?

– Odnajdę cię, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

– *Zabójca* – słyszę ponownie; szept niesie się z wiatrem.

Leżę przez sekundę, oddychając ciężko, kaszląc, ale rozglądając się czujnie. Potem wracam do potoku i ochlapuję się taką ilością zimnej wody, że aż coś zaczyna mnie boleć w piersi.

Zbieram się do kupy i idziemy dalej.

Zimna woda pomogła na jakiś czas i udaje nam się przebyć kilka kolejnych wzgórz, podczas gdy słońce wspina się na niebie i mija południe, a migotu prawie nie znać. Kiedy wszystko znów zaczyna się trząść, zatrzymuję się i jem.

– *Zabójca* – słyszę; głos dolatuje z krzaków, które nas otaczają, a potem znowu, z innej części lasu. – *Zabójca*. – I znowu, z jeszcze innego miejsca. – *Zabójca*.

Nawet nie podnoszę wzroku, tylko jem. To tylko krew Szpakla, mówię sobie. Tylko gorączka i choroba i to wszystko.

– *Czy to wszystko?* – pyta Aaron z przeciwległej strony polany. – *Jeśli to wszystko, czym jestem, czemu ścigaszt mnie tak zawzięcie?*

Ma na sobie niedzielne szaty, a jego twarz jest wygojona, tak jakby wrócił do Prentisstown. Ręce złożył razem przed sobą, tak jakby szykował się do poprowadzenia modlitwy, stoi w aureoli słonecznego blasku i uśmiecha się do mnie.

Uśmiechnięta pięść, którą tak dobrze pamiętam.

– *Szum wiąże nas wszystkich razem, młody Toddzie* – powiada, a głos ma pełnący i lśniący niczym wąż. – *Jeśli jeden z nas upada, wszyscy upadamy*

– Nie ma cię tutaj – mówię, zaciskając zęby.

– Tutaj, Todd – szczeka Manczi.

– *Czyżby?* – pyta Aaron, po czym znika w migocie.

Mój mózg wie, że ten Aaron nie jest prawdziwy, ale moje serce ma to gdzieś i łomocze mi w piersi tak, jakbym biegł w wyścigach. Ciężko mi złapać oddech i marnuję jeszcze więcej czasu, czekając, aż będę w stanie się dźwignąć na nogi i iść dalej, bo już popołudnie.

Prowiant pomaga – niech Bóg błogostawi Wilfa i jego szaloną żonę – ale czasem nie jesteśmy w stanie normalnie iść, bo się chwieję i potykam. Kątem oka zaczynam widzieć Aarona już praktycznie cały czas – kryje się

za drzewami, opiera o głązy, stoi na szczycie wiatrołomu – ale tylko odwracam głowę i chwiejnie wlokę się dalej.

A potem, ze szczytu wzgórza, widzę drogę, która znów przecina rzekę poniżej. Krajobraz faluje tak, że żołądek mi się od tego wywraca, ale z całą pewnością widzę tam w dole most, przez który droga przechodzi na drugą stronę, tak że nic mnie teraz nie dzieli od rzeki.

Przez minutę zastanawiam się nad tamtą drugą odnogą, której nie wybraliśmy, tam pod Daleką Gałęzią. Ciekawe, którędy biegnie tamta droga wśród tej całej dziczy. Spoglądam ze szczytu wzgórza w lewo, ale tam jak okiem sięgnąć ciągną się tylko lasy i więcej wzgórz, które falują, choć wzgórz nie powinny falować. Muszę zamknąć oczy na minutkę.

Schodzimy ostrożnie, za wolno, za wolno. Trop prowadzi nas w pobliże drogi i w stronę mostu, który jest wysoki i chybotliwy, z poręczami. W miejscu, gdzie droga na niego skręca, zbiera się woda, widać tam kałuże i błocko.

– Czy przeszedł na drugą stronę rzeki, Manczi? – Opieram ręce na kolanach, żeby złapać oddech, i kaszlę.

Manczi obwąchuje ziemię jak szalony, przebiegając przez drogę raz i drugi, biegnąc na most i wracając w miejsce, gdzie stoję.

– Zapach Wilfa – szczeka. – Zapach wozu.

– Widzę ślady – odpowiadam, przecierając dłońmi twarz.

– A co z Violą?

– Viola! – szczeka Manczi. – Tędy.

Oddala się od drogi, trzymając się po tej stronie rzeki i idąc wzdłuż niej.

– Dobry pies – mówię między urywanymi oddechami. – Dobry piesek. Idę za nim przez gałęzie i krzaki. Rzeka szumi po mojej prawej, bliżej, niż w ciągu ostatnich dni.

I wchodzę prosto do osady.

Prostuję się i kaszlę, zaskoczony.

Osada jest zniszczona.

Z budynków – ośmiu czy dziesięciu – zostały zgliszcza i popiół.



Nigdzie nie słyhać ani piśnięcia Szumu.

Błyska mi myśl, że armia tu była, ale potem widzę rośliny pniące się wewnątrz spalonych budynków, widzę, że nigdzie nie ma ognia ani dymu, wieje tylko wiatr, tak jakby mieszkali tutaj wyłącznie zmarli. Rozglądam się i przy rzece widać zniszczone nabrzeże tuż poniżej mostu; jedna stara łódź obija się o nie, popychana przez nurt, a kilka innych, na wpół zatopionych łodzi piętrzy się w górze rzeki, w połowie odległości od czegoś, co może kiedyś było młynem, zanim zmieniło się w stertę spalonego drewna.

Jest zimno, wszystko dawno opuszczone, i oto kolejne miejsce na Nowym Świecie, które już nigdy nie będzie się zajmować perfekcją rolną.

Odwracam się, a pośrodku tego wszystkiego stoi Aaron.

Jego twarz znów wygląda tak, jak tuż po zmasakrowaniu przez krokusy, częściowo odarta ze skóry – język wystaje przez dziurę w policzku.

I Aaron wciąż jeszcze się uśmiecha.

– *Dołącz do nas, młody Toddzie* – powiada. – *Kościół jest zawsze otwarty.*

– *Zabiję cię* – mówię, a wiatr kradnie moje słowa, ale wiem, że on mnie słyszy, bo ja słyszę każde wypowiedziane przez niego słowo.

– *Nie zabijesz* – odpowiada, dając krok do przodu i zaciskając pięści. – *Bo zaprawdę powiadam ci, nie jesteś prawdziwym zabójcą, Toddzie Hewitt.*

– *Sprawdź mnie* – odpowiadam, a mój głos brzmi dziwnie, metalicznie.

On znów się uśmiecha, przez dziurę w policzku widać mu zęby, a potem rozmywa się w migocie i sekundę później stoi tuż przede mną. Unosi pokancerowane dłonie do wycięcia szaty i rozchyła ją dostatecznie szeroko, by pokazać nagą pierś.

– *Oto twoja szansa, Toddzie Hewitt, by zjeść owoc z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego.* – Jego głos rozbrzmiewa głucho w mojej głowie. – *Zabij mnie.*

Wiatr sprawia, że dygoczę, ale równocześnie jestem rozpalony i spocony i nie daję rady wciągnąć w płuca więcej niż jednej trzeciej

oddechu, a moja głowa zaczyna boleć w sposób, na który jedzenie nie pomaga, i jeśli gdziekolwiek szybko spojrzę, to wszystko, co widzę, wjeżdża na miejsce z opóźnieniem.

Zaciskam zęby.

Przypuszczalnie umieram.

Ale on umrze pierwszy.

Sięgam za siebie, ignorując ból między łopatkami, i wyciągam nóż z pochwy. Trzymam go przed sobą. Lśni od świeżej krwi i błyszczący w słońcu, mimo że stoję w cieniu.

Aaron uśmiecha się tak szeroko, że ten uśmiech już właściwie nie mieści się na jego twarzy, i podstawia mi pierś.

Unoszę nóż.

– Todd? – szczerka Manczi. – Nóż, Todd?

– *Dalej, Todd* – mówi Aaron i przysięgam, że czuję płynącą od niego woń stęchlizny. – *Przejdź z niewinności w grzech. Jeśli zdołasz.*

– Już to zrobiłem – odpowiadam. – Już zabiłem.

– *Zabić Szpakla to nie to samo, co zabić człowieka* – mówi Aaron, śmiejąc się od ucha do ucha z mojej głupoty. – *Szpakle to diabły zesłane tutaj jako próba dla nas. Zabić jednego z nich to jak zabić żółwia.* – Otwiera szerzej oczy. – *Ale ty i tego nic potrafisz, nieprawdaż?*

Mocno ściskam nóż w rękę i wydaję warczący odgłos, a świat się chwieje.

Ale nóż nie opada.

Słysząc bulgot i gęsta krew wylewa się z rany na twarzy Aarona i uświadamiam sobie, że on się śmieje.

– *Długo, długo trwało, zanim rozstała się z życiem* – szepcze.

A ja krzyczę z bólu...

I wznoszę nóż wyżej...

I celuję w jego serce...

A on nadal się uśmiecha...

I opuszczam nóż...

I wbijam ostrze prosto w pierś Violi.

– Nie! – wołam w tej sekundzie, w której jest już za późno.

Ona podnosi wzrok znad noża i patrzy prosto na mnie.

Twarz ma pełną bólu, a z jej głowy wylewa się zdeorientowany Szum, dokładnie tak, jak z tego Szpakla, którego...

(Którego zabiłem.)

Viola patrzy na mnie ze łzami w oczach, otwiera usta i mówi:

– *Zabójca.*

A gdy wyciągam do niej rękę, znika wśród migotu.

Zaś nóż, bez śladu krwi, nadal tkwi w mojej dłoni.

Padam na kolana, potem na twarz i leżę na ziemi w spalonej osadzie, oddychając i kaszląc i płacząc i jęcząc, podczas gdy świat rozmywa się wokół mnie do tego stopnia, że czuję się tak, jakby zupełnie stracił materialność.

Nie potrafię go zabić.

Chcę. Tak *bardzo* chcę. Ale nie potrafię.

Bo to nie ja i bo ją stracę.

Nie potrafię. Nie potrafię nie potrafię nie potrafię.

Daję za wygraną i na jakiś czas rozplątuję się w migocie.

To dobry stary Manczi, przyjaciel, który okazał się najwierniejszy, budzi mnie lizaniem po twarzy i pełnym niepokoju cichym słowem, które słyhać w jego Szumie i skamleniu.

– Aaron – skamle, cicho i z napięciem. – Aaron.

– Zostaw mnie, Manczi.

– Aaron – skamle dalej, liżąc mnie zawzięcie.

– Jego tu tak naprawdę nie ma – odpowiadam, próbując usiąść. – To tylko coś...

To tylko coś, czego Manczi nie jest w stanie zobaczyć.

– Gdzie on jest? – pytam, wstając za szybko, przez co wszystko rozmazuje się w jaskrawy, różowopomarańczowy wir. Zataczam się do tyłu, widząc, co na mnie czeka.

Wokół mnie w stu różnych miejscach stoi stu Aaronów. Są też Viole, przerażone i oczekujące, że im pomogę, oraz Szpakle, którym z piersi wystaje mój nóż, i wszyscy mówią jednocześnie, wszyscy mówią do mnie grzmiącym chórem.

- Tchorz – powiadają. Wszyscy. – Tchorz. – Raz po raz.

Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz

Ale nie byłbym chłopcem z Prentisstown, gdybym nie potrafił ignorować Szumu.

Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz

- Gdzie, Manczi? – pytam, dźwigając się na nogi, próbując ignorować to, że wszystko się kołysze i chyboce.

Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz  
Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz Tchorz

- Tędy – odszczekuje mój pies. – W dole rzeki.

Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz

Idę za nim przez spaloną osadę.

Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz

Mijamy to, co musiało kiedyś być kościołem i nie patrzę tam, gdy przechodzimy obok. Manczi wbiega na małą skarpe, wiatr wyje coraz głośniejsze, drzewa się chylą i myślę sobie, że to nie tylko mój wzrok mi płata figle. Manczi musi głośniejsze szczekać, żeby dać mi znać.

Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz

- Aaron! - szczeka, z nosem wysoko w powietrzu. - Tam, skąd wieje.

Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz

Przez drzewa porastające skarpe widzę, co jest w dole rzeki. Widzę tysiąc Viol, które wyglądają, jakby się mnie bały.

Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz

Widzę tysiąc Szpakli i mój nóż, który je zabija.

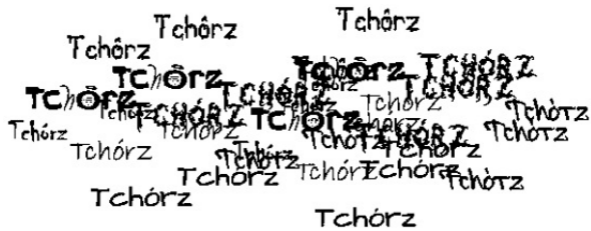
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz

Widzę tysiąc Aaronów, którzy odwracają się do mnie i wołają: – Tchórz! – z najpaskudniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widzieliście.

Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz  
Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz Tchórz

A za nimi, w obozowisku nad brzegiem rzeki, widzę Aarona, który w





- Aaron - przytakuję.  
Tchórz.



## Chłopiec imieniem Todd

– Co my zrobimy? – pyta chłopiec, podkradając się do mojego ramienia.

Podnoszę głowę znad zimnej rzecznej wody i ochlapuję nią plecy. Potykając się zlałem ze skarpy, przepychając się przez tłumy, które wyzywały mnie od tchórzy, dotarłem nad rzekę i wsadziłem głowę w nurt, a teraz zimno sprawia, że dygoczę jak szalony, ale świat wokół mnie się uspokaja. Wiem, że to długo nie potrwa, wiem, że gorączka i zakażenie z krwi szpakusa w końcu wygrają, ale póki co muszę wszystko widzieć tak wyraźnie, jak to możliwe.

– Jak my do nich dotrzemy? – pyta chłopiec, podchodząc do mnie z drugiej strony. – On usłyszy nasz Szum.

Dreszcze sprawiają, że kaszlę, wszystko sprawia, że kaszlę, wykastuję z płuc całe garście zielonego syfu, ale potem wstrzymuję oddech i znów zanurzam głowę.

Woda jest tak zimna, że przypomina imadło, ale stoję tak, słysząc bulgotanie nurtu oraz pozbawione słów szczekanie przestraszonego Mancziego, który skacze wokół moich stóp. Czuję, jak opatrunek odkleja się z mojej głowy i odpływa z prądem. Przypominam sobie, jak Manczi odczepił sobie opatrunek od ogona w innej części rzeki i zapominam się i śmieję się pod wodą.

Podnoszę głowę, krztusząc się i łapiąc oddech i kaszląc dalej.

Otwieram oczy. Świat świeci tak, jak nie powinien, wokół migoczą różne gwiazdy, chociaż słońce nadal jest na niebie, ale przynajmniej ziemia przestała falować, a wszyscy zbędni Aaronowie i Viole i Szpaki zniknęli.

– Czy naprawdę damy radę to zrobić sami? – pyta chłopiec.

– Nie ma wyboru – mówię do siebie.

I odwracam się, żeby na niego spojrzeć.

Ma na sobie brązową koszulę, taką samą jak moja, żadnych blizn na głowie, plecak z tyłu, notes w jednej ręce, a nóż w drugiej. Dygoczę z zimna i ledwo daję radę ustać, ale oddycham, kaszlę, trzęsę się i patrzę na niego.

– Chodź, Manczi – mówię i kieruję się z powrotem przez spaloną osadę, w stronę skarpy. Samo chodzenie jest trudne, czuję się tak, jakby ziemia mogła mi się w każdej chwili zapaść pod nogami, bo ważę więcej niż góra ale mniej niż piórko, ale idę, idę wytrwale, patrzę na skarpe, już do niej dotarłem, już zaczynam się na nią wspinać, wspinam się dalej, chwytam się gałęzi, żeby się podciągać, już opieram się o drzewo na samej górze i spoglądam w dal.

– Czy to naprawdę on? – pyta chłopiec przy moim uchu.

Mrużąc oczy wyglądam pomiędzy drzewami, patrząc wzdłuż rzeki.

I nadal jest tam obozowisko, widoczne na skraju wody, tak daleko, że dwie postacie są tylko kropeczkami na tle innych kropeczek. Nadal mam na ramieniu torbę Violi i sięgam po jej lornetkę, podnoszę ją do oczu, ale trzęsę się tak strasznie, że ciężko mi uzyskać wyraźny obraz. Są tak daleko, że wiatr zagłusza Szum mężczyzny, ale jestem pewien, że czuję tam w oddali jej ciszę.

Jestem tego pewny.

– Aaron – mówi Manczi. – Viola.

Czyli już wiem, że to nie migot. Mimo dreszczy jestem w stanie go dostrzec, ledwo, ledwo. Wciąż jeszcze kłęczy, odmawiając jakąś modlitwę, a Viola leży przed nim na ziemi.

Nie wiem, co tam się dzieje. Nie wiem, co on wyprawia.

Ale to naprawdę oni.

Tyle wędrowania, potykania się, kaszlenia i umierania i to naprawdę, naprawdę oni, Boże, to naprawdę oni.

Może jeszcze nie jest za późno. Pierś mi gwałtownie faluje, gardło się zaciska i dopiero teraz sobie uzmysławiam, że przez cały czas sądziłem, że jest za późno.

Ale nie jest.

Znów się pochylam i (zamknijcie się) płaczę, płaczę, płaczę, ale to musi minąć, bo muszę coś wymyślić, muszę coś wymyślić, wszystko zależy ode mnie, muszę wykombinować jakiś sposób, muszę ją uratować, muszę ją ura...

– Co my zrobimy? – pyta znowu chłopiec, stając kawałek dalej. W jednej ręce nadal trzyma notes, a w drugiej nóż.

Podnoszę dłonie do oczu i trę je mocno, próbując myśleć jasno, próbując się skoncentrować, próbując nie słuchać...

– Co, jeśli to jest ofiara? – pyta chłopiec. Podnoszę wzrok.

– Jaka ofiara?

– Ofiara, którą widziałeś w jego Szumie – odpowiada. – Złożenie w ofierze...

– Czemu miałyby to robić tutaj? – pytam. – Czemu miałyby przywędrować tak daleko i zatrzymać się w samym środku durnego lasu i zrobić to tutaj?

Mina chłopca się nie zmienia.

– Może dlatego, że musi – powiada – zanim ona umrze.

Daję krok do przodu i muszę złapać równowagę.

– Umrze od czego? – pytam ostrym tonem. Głowa znów mnie boli i słyszę brzęczenie.

– Ze strachu – odpowiada chłopiec, dając krok do tyłu. – Z rozzarowania.

Odwracam się.

– Nie będę cię słuchał.

– Słuchał, Todd? – szczeka Manczi. – Viola, Todd. Tędy.

Znów opieram się plecami o drzewo. Muszę pomyśleć.

Muszę, kuźwa, pomyśleć.

– Nie możemy tam podejść – mówię ochryple. – On nas usłyszy.

– Zabije ją, jeśli nas usłyszy – wtrąca chłopiec.

– Nie mówiłem do ciebie. – Wykastuję więcej syfu, co sprawia, że kręci mi się w głowie, a od tego z kolei kaszlę jeszcze więcej. – Mówiłem do mojego psa – wykrztuszam w końcu.

– Manczi – mówi Manczi, liżąc moją dłoń.

- I nie mogę go zabić – ciągnę.
- *Nie możesz go zabić* – odpowiada chłopiec.
- Nawet jeśli tego chcę.
- *Nawet jeśli on na to zasługuje.*
- No więc musi być jakiś inny sposób.
- *O ile ona się nie przerazi, gdy cię zobaczy.*

Znowu na niego patrzę. Nadal tam stoi, nadal z notesem, nożem i plecakiem.

- Idź sobie – mówię. – Odejdź ode mnie i nigdy nie wracaj.
- *Przypuszczalnie jest już za późno, żebyś zdołał ją uratować.*
- Nie mam z ciebie żadnego pożytku – mówię, podnosząc głos.
- *Ale jestem zabójcą* – odpowiada, a na jego nożu jest krew.

Zamykam oczy i zaciskam zęby.

- Ty tu zostajesz – mówię. – Ty tu zostajesz.
- Manczi? – szczeka Manczi.

Otwieram oczy. Chłopca nie ma.

- Nie ty, Manczi – mówię, wyciągając rękę i głaszcząc go po uszach.

Potem przyglądam mu się. Mój Manczi.

- Nie ty – mówię ponownie.

I myślę. Wśród mgły i wirowania i migotu i świateł i bólu i brzęczenia i dreszczy i kaszlu, myślę.

I myślę.

Głaszczę uszy mojego psa, mojego głupiego, cholernego, kuźwa, *wspaniałego* psa, którego nigdy nie chciałem, ale który i tak się mnie trzymał i poszedł za mną przez bagna i ugryzł Aarona, kiedy ten próbował mnie udusić, i który znalazł Violę, kiedy zaginęła, i który liże moją dłoń małym różowym językiem. Jego oko nadal jest zapuchnięte od czasu, kiedy pan Prentiss junior go kopnął, a ogon ma o wiele krótszy po tym, jak Matthew Lyle go odciął, kiedy mój pies – mój pies – rzucił się na człowieka uzbrojonego w maczetę, żeby mnie ratować. I jest tutaj, kiedy potrzebuję, żeby ktoś mnie wyciągał z ciemności, w którą się osuwam, i mówi mi, kim jestem, ilekroć o tym zapominam.

- Todd – mruczy, wciskając mi pysk w dłoń i uderzając tylną łapą o

ziemię.

– Mam pomysł – mówię.

– *A co jeśli to nie zadziała?* – pyta chłopiec zza drzewa.

Ignorując go, znów podnoszę lornetkę. Nadal dygocząc, raz jeszcze odnajduję obozowisko Aarona i przyglądam się terenom, które rozciągają się wokół. To blisko brzegu rzeki, a po naszej stronie, nieopodal, wznosi się rozszczerzone drzewo, pozbawione kory i liści, jakby kiedyś rąbnął w nie piorun.

Nada się.

Odkładam lornetkę i ujmuję w obie dłonie łeb Mancziego.

– Uratujemy ją – mówię mojemu psu. – My obaj.

– Uratujemy, Todd – szceka Manczi, merdając swoim kikutkiem.

– *To się nie uda* – mówi chłopiec, trzymając się poza zasięgiem wzroku.

– Więc trzymaj się z tyłu – mówię do powietrza, tłumiąc kaszel, podczas gdy pokazuję mojemu psu obrazki w Szumie, żeby wytłumaczyć, czego od niego chcę. – To proste, Manczi. Biegnij i biegnij.

– Biegnij i biegnij! – odszczekuje.

– Dobry piesek. – Znów głaszczę go po uszach. – Dobry piesek.

Dźwigam się na nogi i na wpół idę, na wpół się zsuwam, na wpół się zataczam, żeby zleźć ze skarpy z powrotem do spalonej osady. Coś mi teraz łomocze w głowie, tak jakbym słyszał pulsowanie mojej zatrutej krwi, i cała reszta świata też pulsuje. Jeśli prawie zupełnie zamknę oczy, wirujące światła nie są tak jaskrawe i wszystko pozostaje z grubsza na swoim miejscu.

Pierwsze, czego potrzebuję, to patyk. Manczi i ja przeczesujemy zgłiszczona budynków, szukając kija odpowiednich rozmiarów. Praktycznie wszystko jest czarne i się rozpada, ale to nie szkodzi.

– Faki, Fodd? – pyta Manczi, wyciągając zębami patyk mniej więcej w połowie tak długi, jak on sam, spod czegoś, co wygląda jak zwęglona sterta poukładanych krzesel. Co tu się, kuźwa, wydarzyło?

– Idealny. – Biorę patyk od niego.

– *To nie zadziała* – mówi chłopiec, kryjąc się w cieniu. Widzę błysk

noża w jego dłoni. – *Nie uratujesz jej.*

– Uratuję. – Odłamuję od patyka trochę dużych drzazg. Tylko jeden koniec jest spalony na węgiel, ale o to właśnie mi chodzi. – Dasz radę to ponieść? – pytam Mancziego.

Mój pies bierze patyk do pyska. Trochę nim potrząsa, żeby go wygodnie ułożyć, aż w końcu patyk leży tak, jak trzeba.

– Fak! – szczeka.

– Świetnie. – Wstaję i o mało się nie przewracam. – Teraz potrzebujemy ognia.

– *Nie dasz rady rozpalić ognia* – mówi chłopiec, który już czeka na nas na zewnątrz. – *Jej ogniowe pudełko jest rozwalone.*

– Nie masz o niczym pojęcia – odpowiadam, nawet na niego nie patrząc. – Ben mnie nauczył.

– *Ben nie żyje* – mówi chłopiec.

– Pewnego ra-a-nka – śpiewam, głośno i wyraźnie, sprawiając, że rozfalowane kształty świata robią się jeszcze bardziej migotliwe i dziwne, ale ignoruję to i śpiewam dalej. – O bla-a-dej godzinie.

– *Nie jesteś dość silny, żeby rozpalić ogień.*

– Usłyszałem gło-o-os dziewczęcia w dolinie. – Wyszukuję długi, płaski kawałek drewna i ostrzem noża wycinam w nim małe zagłębienie.

– Ach, nie oszukuj mnie. – Zaokrąglam nożem koniec innego, mniejszego patyka. – Ach, nie opuszczaj mnie.

– *Jak mogłeś tak skła-amać biednej dziewczyny?* – kończy chłopiec.

Ignoruję go. Wtykam zaokrąglony koniec patyka do małego zagłębienia i zaczynam nim kręcić, trzymając go między płaskimi dłońmi, mocno naciskając na drewno. Rytm kręcenia jest taki sam, jak pulsowanie w mojej głowie. Zaczynam widzieć siebie w lesie z Benem, kiedy ścigaliśmy się, któremu z nas drewno prędzej zacznie dymić. On zawsze wygrywał, a przy połowie prób w ogóle nie udawało mi się rozniecić ognia. Ale to były czasy.

To były czasy.

– No dawaj – mówię do siebie. Pocę się i kaszlę i kręci mi się w głowie, ale zmuszam moje ręce, żeby kręciły dalej. Manczi szczeka na drewno,

żeby rozgrzewało się szybciej.

A potem z zagłębienia zaczyna się unosić mała smużka dymu.

– Ha! – wołam. Osłaniam je dłonią od wiatru i dmucham, żeby się rozżarzyło. Wykorzystuję nieco suchego mchu jako podpałkę, a kiedy pojawia się malutki płomycek, po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy ogarnia mnie coś przypominającego radość. Dorzucam kilka patyczków, czekam, aż się zajmą, potem dokładam kilka większych i wkrótce przede mną płonie prawdziwe ognisko. Prawdziwe.

Zostawiam je, żeby się tak paliło przez minutkę. Liczę, że ponieważ wiatr wieje od niego ku nam, Aaron nie spostrzeże dymu.

Liczę na ten wiatr także z innych powodów.

Zataczając się idę nad brzeg rzeki, opierając się o drzewa, aż w końcu docieram do pomostu.

– Dawaj, dawaj – mówię do siebie pod nosem, zbierając siły, żeby po nim przejść. Deski skrzypią pod moimi nogami i raz omal nie spadam do rzeki, ale w końcu docieram do łódki, która nadal jest przy nim uwiązana.

– Zatonie – mówi chłopiec, który stoi po kolana w rzece.

Wskakuję do łódki. Długą chwilę chwieję się i kaszlę, ale w końcu staję w niej. Jest rozchwierutana, wąska, ze spaczonych desek.

Ale unosi się na wodzie.

– Nie umiesz sterować łodzią.

Wychodzę na pomost, wracam do osady i zaczynam przeszukiwać zgłiszcza. W końcu znajduję w miarę płaski kawał drewna, który da się wykorzystać jako wiosło.

I już niczego więcej mi nie potrzeba.

Jesteśmy gotowi.

Chłopiec stoi tam, trzymając w każdej ręce coś mojego, z plecakiem na plecach, z twarzą praktycznie bez wyrazu. Nie słyszę żadnego Szumu.

Wpatruję się w niego. Nic nie mówi.

– Manczi? – wołam, ale on już jest przy moich stopach.

– Tutaj, Todd!

– Dobry piesek.

Idziemy do ogniska. Biorę ten patyk, który znalazł Manczi, i wtykam spalony koniec w płomień. Po minucie jego koniec żarzy się na czerwono i dymi, a płomień zaczyna obejmować niespalone drewno.

– Jesteś pewien, że dasz radę to nieść? – pytam.

Manczi bierze w pysk ten koniec, który się nie pali, i oto stoi przede mną, najlepszy pies w całym, kuzwa, wszechświecie, gotów pobiec z ogniem na wroga.

– Gotowy, przyjacielu? – pytam.

– Gofofy, Fodd! – odpowiada z pełną mordą, merdając ogonem tak szybko, że widzę tylko plamę.

– On zabije Mancziego – mówi chłopiec.

Wstaję. Świat wiruje i łśni, moje ciało nie do końca jest moje, wykastuję kawałki własnych płuc, w głowie słyszę łomot, nogi mi dygoczą, a krew się gotuje, ale stoję.

Stoję, kuźwa, jak mur.

– Jestem Todd Hewitt – mówię do chłopca. – I zostawiam cię tutaj.

– *To ci się nigdy nie uda* – odpowiada, ale ja już odwracam się do Mancziego i mówię: – Biegnij, piesku! – A on rusza z powrotem w górę skarpy i w dół po drugiej stronie, z płonącym patykiem w pysku. Liczę powoli do stu, głośno, tak żebym nie był w stanie usłyszeć, jak ktokolwiek cokolwiek mówi, a potem zmuszam się, żeby ponownie policzyć do stu, i to wystarczy. Tak szybko, jak jestem w stanie, chwiejnym krokiem wracam na pomost, wsiadam do łódki, biorę wiosło i nożem odcinam pozostałości wystrzępionej liny, którą łódka była uwiązana do pomostu.

– *Nigdy nie uda ci się mnie zostawić* – mówi chłopiec, stojąc na pomoście z notesem w jednej ręce, a nożem w drugiej.

– Nie? To patrz – odpowiadam, a on staje się mniejszy i mniejszy w migoczącym, gasnącym świetle, podczas gdy łódka oddala się od pomostu i zaczyna spływać z prądem.

W stronę Aarona. W stronę Violi.

W stronę tego, co na mnie czeka w dole rzeki, cokolwiek to jest.



## Niegodziwi zostają ukarani

W Prentisstown były łodzie, ale odkąd pamiętam, nikt ich nie używał. Mielśmy rzekę, jasną, tę samą, która mnie teraz niesie z chłupotem i kołysaniem, ale nasz odcinek jest kamienisty i rwący, a kiedy nurt zwalnia i się rozlewa, to jedynym spokojnym miejscem są moczary pełne kroksów. A dalej są już tylko zadrzewione bagniska. No więc nigdy nie pływałem łodzią po rzece, a chociaż wydaje się, że zapanowanie nad nią powinno być łatwe, to nie jest.

Mam tylko jedną ociupinę szczęścia w nieszczęściu, a mianowicie to, że rzeka jest tutaj w miarę spokojna, chociaż wiatr wytwarza trochę falek. Łódka zostaje zniesiona w sam środek głównego nurtu, który ją porywa i niesie ze sobą bez względu na to, czy coś robię, czy nie, więc mogę skupić swoją przerywaną kaślaną energię na tym, żeby nie pozwalać jej się kręcić wokół własnej osi.

Mija minuta lub dwie, zanim mi się to udaje. – Kuźwa – mruczę pod nosem. – Ty durna łajbo. Ale po chwili chlapania wiosłem (i jednym czy dwóch pełnych obrotach, zamknijcie się) zaczynam już łapać, w jaki sposób zmuszać łódkę, żeby pozostawała skierowana dziobem mniej więcej we właściwą stronę, a kiedy podnoszę wzrok, uświadamiam sobie, że przepłynąłem już mniej więcej połowę odległości.

Przełykam ślinę, dygoczę i kaszlę.

Oto plan. Pewnie nie jest bardzo dobry, ale to wszystko, na co się zdobył mój migoczący, rozdygotany mózg.

Manczi pogna z płonącym kijem powyżej obozu Aarona i upuści go gdzieś, żeby tam wzniecić ogień i żeby Aaron pomyślał, że ja tam rozbiłem obóz. Potem Manczi pobiegnie z powrotem do miejsca, gdzie obozuje Aaron, szczerkając jak szalony, udając, że daje mi znać, że znalazł Aarona. To będzie proste, bo musi tylko szczerkać moje imię, co przecież

tak czy siak robi przez cały czas.

Aaron pogoni za nim, Aaron będzie próbował go zabić. Manczi będzie szybszy (Biegnij i biegnij, Manczi, biegnij i biegnij). Aaron zobaczy dym. Aaron, który nie boi się mnie ani trochę, ruszy przez las w stronę dymu, żeby zrobić ze mną porządek raz na zawsze.

Ja tymczasem spłynę w dół rzeki, ruszę do jego obozowiska od strony rzeki w czasie, gdy on będzie krążył po lesie, szukając mnie, i uratuję Violę. Zgarnę również Mancziego, gdy ten przybiegnie z powrotem przed goniącym go Aaronem (biegnij i biegnij).

No dobra, taki jest plan.

Wiem.

Wiem, ale jeśli to nie zadziała, wtedy będę musiał go zabić.

A jeśli do tego dojdzie, nie będzie miało znaczenia, czym się stanę i nie będzie ważne, co sobie Viola pomyśli.

Nie.

Będzie trzeba to zrobić, więc to zrobię.

Wyciągam nóż.

Tu i ówdzie na klindze nadal widnieją plamy zaschniętej krwi, mojej krwi, krwi Szpakla, ale reszta nadal błyszczący, migoczący i lśniący, lśniący i migoczący. Czubek wystaje na zewnątrz i w górę jak brzydki kciuk, ząbkowana krawędź przypomina wyszczerzone kły. Brzeg ostrza pulsuje jak żyła pełna krwi.

Nóż żyje.

Dopóki go trzymam, dopóki go używam, nóż żyje, żyje po to żeby odbierać życie, ale trzeba mu rozkazywać. To ja muszę mu nakazać, żeby zabił. Nóż tego pragnie, chce się wbijać i ciąć i rozpruwać i kłuć i dźgać, ale ja też muszę tego chcieć, moja wola musi się łączyć z jego wolą.

To ja mu pozwalam działać i to ja za niego odpowiadam.

Ale fakt, że nóż tego chce, czyni to łatwiejszym.

Jak przyjdzie co do czego, czy poniosę klęskę?

– Nie – szepcze nóż.

– Tak – szepcze wiatr wiejący wzdłuż rzeki.

Kropła potu z mojego czoła rozpryskuje się na klindze i nóż znów jest tylko nożem, tylko narzędziem, tylko kawałkiem metalu w mojej dłoni.

Tylko nożem.

Kładę go na dnie łodzi.

Znów się trzęsę, nie ma na to rady. Wykastuję więcej syfu. Rozglądam się wokół, ignorując to, że świat faluje i pozwalając, żeby wiatr mnie chłodził. Rzeka zaczyna zakręcać, a ja płynę dalej.

Już za chwilę, myślę. Nic tego nie zatrzyma.

Patrzę w górę, na teren za drzewami po lewej.

Zęby mi szczękają.

Nie widzę tam jeszcze żadnego dymu.

Dalej, piesku, to następna rzecz, która musi się wydarzyć.

I żadnego dymu.

I żadnego dymu.

A rzeka zakręca.

Dalej, Manczi.

I żadnego dymu.

A moje zęby dzwonią, *stuk stuk stuk*. Obejmuję się ramionami...

I *widać dym!* Pierwsze nieduże kłęby, wznoszące się jak strzępki waty dalej w dole rzeki.

*Dobry pies* – myślę, zaciskając zęby. *Dobry pies*.

Łódka spływa z lekka ku środkowi nurtu, więc wiośluję ile sił i sprowadzam ją z powrotem bliżej brzegu.

Dygoczę tak okropnie, że ledwo udaje mi się utrzymać wiosło.

Rzeka zakręca jeszcze bardziej.

I oto widać rozszczipione drzewo, to drzewo, w które uderzył piorun. Wyłania się po lewej.

To znak, że jestem prawie na miejscu.

Aaron będzie tuż za nim.

Już za moment.

Kaszlę i pocę się i dygoczę, ale nie puszczam wiosła. Wiośluję dalej, podpływam bliżej brzegu.

Jeśli Viola z jakiegokolwiek powodu nie będzie w stanie biec, będę

musiał wyciągnąć łódź na suchy grunt, żeby ją tu przyprowadzić.

Usiłuję opróżnić mój Szum z obrazów, na ile to możliwe, ale nie mam na to szans, bo świat zalewa mnie falami światła i migotu. Będę musiał po prostu liczyć, że wiatr jest wystarczająco głośny i że Manczi...

– Todd! Todd! Todd! – słyszę w oddali. Mój pies wyszczekuje moje imię, żeby zwabić Aarona w tamtym kierunku. – Todd! Todd! Todd!

Wiatr sprawia, że nie słyszę Szumu Aarona, więc nie wiem nawet, czy to działa, ale już mijam rozszczerzone drzewo, więc trudno, przepadło...

– Todd! Todd!

Dalej, dalej...

Rozszczerzone drzewo zostaje w tyle... Kulę się na dnie łódki...

– Todd! Todd! – coraz ciszej, coraz dalej...

Trzask łamanych gałęzi...

A potem słyszę ryk tak głośny, jakby darł się lew:

– TODD HEWITT!

Jakby lew *biegł w drugą stronę*...

– Dalej – szepczę do siebie. – Dalej, dalej, dalej...

Moje pięści, zaciśnięte na wiosła, drżą i...

Już mijam zakręt i...

Minąłem drzewo i...

Przedemną obozowisko i...

Ona tam jest.

Ona tam jest.

Aarona nie ma, a ona tam jest.

Leży na ziemi pośrodku jego obozowiska.

Nie rusza się.

Serce zaczyna mi walić jak szalone i kaszlę, nawet tego nie zauważając, i szepczę pod nosem: „Błagam, błagam, błagam”. Wiosłuję jak wściekły, podpływam łodzią bliżej i bliżej brzegu. Wstaję, zeskakuję do wody i upadam na tyłek, ale udaje mi się złapać rękami za dziób i „błagam, błagam, błagam” i podnoszę się, po czym wyciągam łódkę na brzeg. Puszczam i biegnę i potykam się i biegnę do Violi Violi Violi..

– Błagam – szepczę biegnąc. Kaszlę, a w piersi czuję ucisk i ból. –  
Błagam.

Dobiegam do niej, i oto ona. Oczy ma zamknięte, a usta lekko otwarte. Przykładam głowę do jej piersi, wyrzucając z umysłu brzęczenie mojego Szumu, wycie wiatru oraz szczekane i wykrzykiwane wersje mojego imienia, dolatujące z lasu.

– Błagam – szepczę.

I duk-duk, duk-duk.

Ona żyje.

– Violu – szepczę ostro. Zaczynam widzieć przed oczami małe migające punkciki, ale ignoruję je. – Violu!

Potrząsam jej ramionami. Potem biorę w dłonie jej twarz i też potrząsam.

– Obudź się – szepczę. – Obudź się, obudź, obudź!

Nie dam rady jej ponieść. Jestem zbyt rozdygotany i rozchwiany i słaby.

Ale ją, kuźwa, poniosę, jeśli będzie trzeba.

– Todd! Todd! Todd! – szczeka Manczi gdzieś głęboko w lesie.

– Todd Hewitt! – słyszę wrzask Aarona, goniącego mojego psa.

A potem, pod sobą, słyszę:

– Todd?

– Viola? – mówię i coś mnie ściska za gardło, a oczy robią się mokre.

Ale ona patrzy na mnie.

– Nie wyglądasz za dobrze – mówi. Głos ma niewyraźny, a powieki jej się zamykają. Spostrzegam sińce pod jej oczami, ślady po uderzeniach, i żołądek zaciska mi się z wściekłości.

– Musisz wstać – szepczę.

– Podał mi coś... – odpowiada, zamykając oczy.

– Viola? – mówię, znów nią potrząsając. – Violu, on zaraz wróci.

Musimy uciekać.

Już nie słyszę szczekania.

– Musimy iść – mówię. – Już!

– Za dużo ważę – odpowiada dziewczyna, a jej słowa zlewają się ze

sobą.

– Błagam, Violu – mówię, praktycznie płacząc. – Błagam.

Mruga i otwiera oczy.

Zagląda w moje.

– Wróciłeś po mnie – mówi.

– Tak – odpowiadam, kaszląc.

– Wróciłeś po mnie – mówi znowu, a jej twarz letko się marszczy.

I właśnie wtedy Manczi wypada z krzaków, szczekając moje imię, jakby od tego zależało jego życie.

– TODD! TODD! TODD! – drze się, gnając do nas i przebiegając obok. – Aaron! Goni! Aaron!

Viola wydaje cichy okrzyk i wspierając się na mnie, przez co omal się nie przewracam, staje na nogi. Łapie mnie, żebym nie upadł, i podtrzymujemy się nawzajem, a mnie udaje się wskazać łódkę.

– Tam! – mówię, usiłując złapać oddech.

I rzuca się do ucieczki...

Przez obozowisko...

W stronę łódki i rzeki...

Manczi wypada do przodu i wskakuje do łodzi jednym susem...

Viola potykając się biegnie przede mną...

I przed nami jeszcze pięć kroków... Cztery... Trzy...

I z lasu za nami wypada Aaron...

Jego Szum jest tak głośny, że nawet nie muszę się oglądać...

– TODD HEWITT!!

A Viola już jest przy łodzi i osuwa się wewnątrz... I dwa kroki... Jeszcze jeden...

I dopadam łodzi, i pcham z całej siły, żeby ją zepchnąć do rzeki...

I „TODD HEWITT!!!”

Coraz bliżej...

A łódź nie chce drgnąć...

– UKARZĘ NIEGODZIWYCH!

Jeszcze bliżej...

A łódka ani drgnie...

Jego Szum wali we mnie jak pięść...

I wtedy łódka zaczyna się zsuwać...

Jeden krok, drugi i już jestem w wodzie i łódka się przesuwa...

A ja upadam..

Nie mam siły wskoczyć do łodzi...

I wpadam do wody, podczas gdy łódka się oddala...

A Viola łapie mnie za koszulę i ciągnie w górę, póki moja głowa i ramiona nie znajdą się nad wodą...

– O NIE! – ryczy Aaron...

A Viola z krzykiem szarpie mnie znowu i do pasa jestem już w łódce...

Wtedy Aaron wbiega do wody...

I łapie mnie za stopy...

– Nie! – wrzeszczy Viola i chwyta mnie mocniej, ciągnie z całej siły...

I zostaję uniesiony w powietrze...

A łódź się zatrzymuje...

Twarz Violi wykrzywia się z wysiłku...

Ale w tej szarpaninie może wygrać tylko Aaron...

A potem słyszę: – TODD! – szczenięte z taką furią, że przez moment zastanawiam się, czy to kroks wyskoczył z wody...

Ale to Manczi...

To Manczi...

To mój pies mój pies mój pies i przeskakuje obok Violi i czuję, jak jego łapy odbijają się od moich pleców, gdy rzuca się na Aarona z warczeniem i wyciem, szczekając: – TODD! Aaron krzyczy gniewnie...

I puszcza moje stopy.

Viola zatacza się do tyłu, ale mnie nie puszcza i ląduję w łódce, na niej.

Ten ruch wpycha nas głębiej do rzeki.

I łódka zaczyna płynąć.

W mojej głowie wszystko się chwieje i wiruje i muszę pozostać na czworakach, żeby nie stracić równowagi, ale trzymam głowę w górze, na ile mogę, wychylam się z łodzi i krzyczę:

– Manczi!

Aaron poleciał do tyłu, na miękki piasek przy brzegu rzeki, nogi

zaplątały mu się w długą szatę. Manczi rzuca się na jego twarz z zębami i pazurami, warcząc i szczekając. Aaron próbuje go z siebie strząsnąć, ale Manczi już wgryzł się w jego nos i potrząsa łbem.

Odrywa nos Aarona od twarzy.

Aaron krzyczy z bólu, wszędzie tryska krew.

– Manczi! – wrzeszczę. – Pośpiesz się, Manczi!

– Manczi! – krzyczy Viola.

– Chodź, piesku!

I Manczi podnosi wzrok znad Aarona, słysząc, że go wołam... I właśnie wtedy Aaron wykorzystuje swoją szansę.

– Nie! – wrzeszczę.

Gwałtownie łapie Manczkiego za kark, jednym ruchem podnosząc go z ziemi.

– Manczi!

Słyszę plusk i mgliście dociera do mnie, że Viola złapała wiosło i usiłuje nas powstrzymać przed odpłynięciem dalej, a świat migocze i drga i...

I Aaron trzyma mojego psa.

– WRACAJ TU! – wrzeszczy, trzymając Manczkiego w wyciągniętej ręce. Mój pies jest zbyt ciężki, żeby go trzymać za skórę na karku, i skomli z bólu, ale nie jest w stanie odwrócić łba wystarczająco daleko, żeby ugryźć Aarona w przedramię.

– Puszczaj go! – krzyczę.

Aaron opuszcza głowę...

Krew leje się z dziury, gdzie wcześniej był jego nos, a choć rana na policzku jest zagojona, nadal widać przez nią zęby, i ta potworna maska powtarza, tym razem niemal ze spokojem, choć w ustach bulgocze mu krew:

– Wróć do mnie, Toddzie Hewitt.

– Todd? – skamle Manczi.

Viola wiosłuje zawzięcie, usiłując nas powstrzymać od spływania z prądem, ale jest słaba od tych świństw, którymi Aaron ją oszołomił, i oddalamy się coraz bardziej.



– Nie – słyszę jej głos. – Nie!

– Puść go! – wrzeszczę.

– Dziewczyna albo pies, Toddzie – woła Aaron, nadal z tym spokojem, który jest o wiele bardziej przerażający niż jego krzyki. – Wybór należy do ciebie.

Sięgam po nóż i wyciągam go, ale za bardzo kręci mi się w głowie, przewracam się i obijam sobie zęby o siedzenie łodzi.

– Todd? – odzywa się Viola, nadal wiosłując pod prąd, podczas gdy łódź obraca się i skręca.

Siadam, czując w ustach krew, a świat faluje tak mocno, że omal znów się nie przewracam.

– Zabiję cię – mówię, ale tak cicho, że równie dobrze mógłbym mówić sam do siebie.

– Ostatnia szansa, Todd – mówi Aaron, którego głos brzmi teraz mniej spokojnie.

– Todd? – skomli dalej Manczi. – Todd?

I nie...

– Zabiję cię – ale mój głos to zaledwie szept...

I nie...

I nie ma wyboru...

Łódź sływa z prądem...

Patrzę na Violę, która nadal wiosłuje pod prąd, a z podbródka skapują jej łzy...

Spogląda na mnie...

I nie mamy wyboru...

– Nie – mówi zdławionym głosem. – O nie, Todd...

A ja kładę dłoń na jej ręce, żeby przestała wiosłować.

Szum Aarona wzbiera czerwienią i czernią.

Prąd porywa naszą łódź.

– Przepraszam! – płaczę, podczas gdy rzeka niesie nas coraz dalej. Moje słowa są jak poszarpane strzępki wydarte siłą z krtani, a piersz zaciska się tak, że ledwo mogę oddychać. – Przepraszam, Manczi!

– Todd? – szczeka mój pies, zdezorientowany i wystraszony,

patrzając, jak go zostawiam. – Todd?

– Manczi! – krzyczę.

Aaron ujmuję mojego psa wolną ręką.

– MANCZI!

– Todd?

I Aaron wykonuje krótki ruch, słysząc *CHRUP* i krzyk i urwane gwałtownie skomlenie, które rozdziera moje serce już na zawsze i zawsze.

I ból jest potworny potworny potworny i zakrywam rękami głowę i opadam do tyłu i usta mam otwarte w niekończącym się, pozbawionym słów wyciu, próbując wykrzyczeć całą czerni, którą mam w środku.

I tonę w tej czerni.

I nie widzę już nic, podczas gdy rzeka niesie nas dalej i dalej i dalej.

# CZĘŚĆ 6

## W dole rzeki

Szum wody.

I głosy ptaków.

**Gdzie moje schronienie?** – śpiewają. **Gdzie moje schronienie?**

A w tle słyszeć muzykę.

Przysięgam, że słyszeć muzykę.

Całe warstwy, śpiewne i dziwne i znajome...

I w ciemności widać światło, zasłony utkane ze światła, białe i żółte.

Czuję ciepło.

I coś miękkiego na skórze.

I ciszę obok, która przyciąga mnie z tą samą siłą co zawsze.

Otwieram oczy.

Leżę w łóżku, pod kołdrą, w małej kwadratowej izbie o białych ścianach, do której wlewa się blask słońca przez co najmniej dwa otwarte okna. Z zewnątrz dobiega szum rzeki oraz głosy ptaków przelatujących z drzewa na drzewo (i muzyka, czy to muzyka?), i przez minutę nie tylko nie wiem, gdzie jestem, ale też nie wiem, kim jestem ani co się stało ani dlaczego boli mnie...

Widzę Violę, która śpi zwinęta w kłębek na krześle obok łóżka, oddychając przez usta, z dłońmi wciśniętymi między kolana.

Wciąż jeszcze jestem zbyt otumaniony, żeby zmusić usta do ruchu i wypowiedzieć jej imię, ale mój Szum najwyraźniej wypowiada je wystarczająco głośno, bo jej powieki rozchylają się nagle, napotyka moje spojrzenie, a w następnej chwili już klęka przy mnie i obejmuje mnie mocno, tak że mój nos kończy przyciśnięty do jej obojczyka.

– O Jezu, *Todd* – mówi Viola, tuląc mnie tak mocno, że to aż boli.

Kładę jedną dłoń na jej plecach i wdycham jej zapach. Kwiaty.

– Myślałam, że nigdy do nas nie wrócisz – mówi, nadal mnie

obejmując. – Myślałam, że umarłeś.

– A nie umarłem? – chrypię, usiłując sobie przypomnieć.

– Byłeś chory – odpowiada Viola, puszczając mnie i siadając, nadal oparta kolanami o moje łóżko. – Naprawdę chory. Doktor Snow nie był pewien, czy się jeszcze obudzisz, a kiedy lekarz mówi coś takiego...

– Kim jest doktor Snow? – pytam, rozglądając się po izdebce. – Gdzie jesteśmy? W Przystani? I co to za muzyka?

– Jesteśmy w osadzie zwanej Węglarskie Wzgórza – odpowiada. – Spłynęliśmy tu z prądem rzeki i...

Urywa, bo widzi, że spoglądam na puste miejsce w nogach łóżka.

Na miejsce, gdzie nie ma Mancziego.

Pamiętam.

Moja klatka piersiowa się zaciska. Gardło też. Słyszę w moim Szumie szczenie Mancziego. – Todd? – powtarza, zastanawiając się, czemu go zostawiam. – Todd? – właśnie tak, ze znakiem zapytania, na wieki pytając, dokąd się wybieram bez niego.

– Nie ma go – mówię tak, jakbym to mówił do siebie.

Viola ma minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale kiedy na nią zerkam, jej oczy błyszczą od łez i tylko kiwa głową, i tak jest w porządku, niczego więcej od niej nie chcę.

Nie ma go.

Nie ma go.

I nie wiem, co na ten temat powiedzieć.

– Czy ja słyszę Szum? – pyta donośny głos, poprzedzany przez swój własny Szum, i ktoś otwiera drzwi, do których leżę przodem. Wchodzi mężczyzna, potężny mężczyzna, wysoki i barczysty, w okularach, które sprawiają, że jego oczy wydają się wielkie jak u owada, z przedziałkiem na boku i krzywym uśmiechem. Zalewa mnie Szumem tak pełnym ulgi i radości, że odczuwam przemożną pokusę, aby uciec przez znajdujące się za mną okno.

– Doktor Snow – mówi do mnie Viola, zsuwając się z łóżka, żeby zrobić mu miejsce.

– Miło mi cię wreszcie poznać, Todd – oznajmia z szerokim

uśmiechem doktor Snow, siadając na łóżku i wyjmując jakiś przyrząd z przedniej kieszeni koszuli. Wsadza dwie końcówki do uszu, a trzeci koniec bez pytania przytyka do mojej piersi. – Czy mogę cię prosić, żebyś wziął głęboki oddech?

Nic nie robię, tylko na niego patrzę.

– Sprawdzam, czy twoje płuca są czyste – wyjaśnia, a do mnie wreszcie dociera, co zwróciło moją uwagę. Spośród wszystkich akcentów, jakie dotąd słyszałem na Nowym Świecie, ten jego jest najbardziej zbliżony do akcentu Violi.

– Nie dokładnie taki sam – mówi lekarz – ale blisko.

– To on cię wyleczył – mówi Viola.

Nic na to nie odpowiadam, ale biorę głęboki oddech.

– Dobrze – mówi doktor Snow, kładąc końcówkę urządzenia na innej części mojej klatki piersiowej. – Jeszcze raz.

Wdycham i wydecham powietrze. Odkrywam, że mogę zrobić pełny wdech i wydech, aż z samego dna płuc.

– Byłeś bardzo chorym chłopcem – mówi lekarz. – Nie miałem pewności, czy zdołamy cię wyleczyć. Aż do wczorajszego dnia nawet nie wydawałeś Szumu. – Spogląda mi prosto w oczy. – Od dawna nie widywałem chorób tego rodzaju.

– Taa, no cóż – odpowiadam.

– Od *bardzo* dawna nie słyszałem, żeby ktoś został zaatakowany przez Szpakla – kontynuuje. Nic na to nie odpowiadam, tylko oddycham głęboko.

– Świetnie, Todd – mówi lekarz. – Czy mogę cię poprosić, żebyś zdjął koszulę?

Patrzę na niego, a potem na Violę.

– Zaczekam na zewnątrz – oznajmia dziewczyna, po czym wychodzi.

Sięgam za siebie, żeby ściągnąć koszulę przez głowę, i uzmysławiam sobie przy tym, że nic mnie nie boli między łopatkami.

– Musiałem ci tu założyć parę szwów – powiada doktor Snow, siadając za mną. Przykłada mi to swoje urządzenie do pleców.

Wzdrygam się i odsuwam.

– Zimne.

– Nie chciała cię zostawić nawet na chwilę – kontynuuje lekarz, ignorując mnie i sprawdzając w różnych miejscach, jak oddycham. – Nawet po to, żeby się przespać.

– Od jak dawna tu jestem?

– Dziś jest piąty rano.

– Pięć dni? – wykrzykuję, a on ledwo ma czas potaknąć, po czym odrzucam przykrycie i zrywam się z łóżka. – Musimy się stąd zmywać – mówię. Ciut się chwieję na nogach, ale stoję.

Viola opiera się o framugę drzwi.

– Próbowałam im to powiedzieć.

– Tu jesteście bezpieczni – mówi doktor Snow.

– Już to słyszeliśmy – odpowiadam. Spoglądam na Violę, oczekując wsparcia, ale ona tylko tłumi uśmiech, a ja uświadamiam sobie, że stoję tam, mając na sobie wyłącznie dziurawe i mocno znoszone gatki, które nie zasłaniają tyle, ile powinny. – Hej! – wykrzykuję, zasłaniając rękami to, co istotne.

– Tu jesteście równie bezpieczni, co gdziekolwiek indziej – mówi doktor Snow, wręczając mi moje spodnie, które wzięł z małej sterty wypranych i schludnie poskładanych rzeczy leżących obok łóżka. – W czasie wojny byliśmy jednym z głównych frontów. Potrafimy się obronić.

– Tamto byli Szpaki. – Odwracam się plecami do Violi i wsadzam nogi w nogawki. – A to są ludzie. Tysiąc mężczyzn.

– Tak głośną plotkę – odpowiada doktor Snow. – Mimo że ich faktyczna liczebność nie ma prawa taka być.

– Ja tam ich nie liczyłem – mówię – ale mają strzelby.

– My też mamy strzelby.

– I konie.

– My też mamy konie.

– A macie mężczyzn, którzy do nich dołączają? – pytam wyzywająco.

Doktor Snow nic na to nie odpowiada, co sprawia mi satysfakcję. Ale tak naprawdę to żadna satysfakcja. Zapinam spodnie.

– Musimy iść.

– Potrzebujesz odpoczynku – odpowiada lekarz.

– Nie będziemy tu siedzieć i czekać, aż pojawi się armia. – Odwracam się do Violi, bez zastanowienia odwracam się w stronę pustego miejsca, gdzie czekałby na mnie mój pies.

Następuje chwila milczenia, podczas której mój Szum wypełnia pokój Manczim, po prostu wypełnia nim całą przestrzeń. Jak szczeka, szczeka, chce kupę i znowu szczeka.

I jak zdycha.

O tym też nie wiem, co powiedzieć.

(Nie ma go, nie ma go.)

Czuję się pusty w środku. Całkiem pusty.

– Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał wbrew twojej woli, Todd – mówi łagodnie doktor Snow. – Ale starsi wioski chcieliby się z tobą rozmówić, zanim od nas odejdziesz.

Zaciskam usta.

– O czym?

– O wszystkim, co może nam pomóc.

– Jak mogę wam pomóc? – pytam, łapiąc wypraną koszulę, żeby ją założyć. – Armia tu przyjdzie i zabije wszystkich, którzy nie zechcą się do niej przyłączyć. To wszystko.

– Tu jest nasz dom, Todd – odpowiada lekarz. – Będziemy go bronić. Nie mamy wyboru.

– No to nie liczcie na mnie... – zaczynam mówić.

– Tata? – słyszymy.

W drzwiach obok Violi stoi mały chłopczyk.

Najprawdziwszy chłopczyk.

Patrzy na mnie, zadzierając głowę, a jego Szum jest zabawny, jasny i przestronny i słyszę, że mnie opisuje takimi słowami, jak *chudy* i *blizna* i *śpiący chłopiec*, a równocześnie są tam różne ciepłe myśli pod adresem jego tatki, w których raz po raz powtarza się samo słowo *tata*, oznaczające wszystko, czego można byłoby chcieć: pytania o mnie, mówienie, że to jest jego tata, oznajmianie mu, że synek go kocha, wszystko w tym jednym słowie, powtarzanym bez końca.



– Hej, młody – odpowiada doktor Snow. – Jacob, to jest Todd. Już obudzony.

Jacob spogląda na mnie z powagą, z palcem w buzi, i nieznacznie kiwa głową.

– Koza nie chce dać mleka – mówi cicho.

– Nie chce? – pyta doktor Snow, wstając. – No cóż, w takim razie chodźmy i zobaczymy, czy uda się ją do tego przekonać.

Tata tata tata, powiada Szum Jacoba.

– Zajmę się kozą – mówi do mnie doktor Snow – a potem pójdę zwołać resztę starszyny.

Nie jestem w stanie przestać się gapić na Jacoba. A on nie jest w stanie przestać się gapić na mnie.

Jest o tyle bliżej niż dzieciaki, które widziałem w Dalekiej Gałęzi.

I jest taki mały.

Czy ja też byłem kiedyś taki mały?

Doktor Snow mówi dalej.

– Sprowadzę tutaj starszyny i zobaczymy, czy nie będziesz w stanie nam pomóc. – Nachyla się tak, żebyśmy patrzyli sobie w oczy. – I czy my nie będziemy w stanie pomóc wam.

Jego Szum jest szczerzy. Mówi prawdę. Sądzę, że sam wierzy w swoje słowa. Sądzę też, że się myli.

– Może – odpowiada z uśmiechem. – A może nie. Jeszcze nawet nie widziałeś naszej osady. Chodź, Jake. – Bierze syna za rękę. – W kuchni jest jedzenie. Założę się, że umierasz z głodu. Wrócę za mniej niż godzinę.

Idę do drzwi, żeby popatrzeć, jak odchodzą. Jacob, nadal z palcem w buzi, ogląda się na mnie do czasu, aż on i jego tatko opuszczają dom.

– Ile on ma lat? – pytam Violę, nadal patrząc za nimi. – Nawet nie wiem.

– Cztery – mówi dziewczyna. – Powiedział mi to jakieś osiemset razy. Jest chyba trochę za mały na to, żeby doić kozy.

– Nie na Nowym Świecie – odpowiadam. Odwracam się z powrotem do niej, a ona stoi z rękami wspartymi na biodrach i mierzy mnie

poważnym spojrzeniem.

– Chodź i zjedz coś – mówi. – Musimy pogadać.

## Węglarskie Wzgórza

Prowadzi mnie do kuchni, równie czystej i jasnej, jak sypialnia. Na zewnątrz nadal słyszczyć płynącą wartko rzekę, hałaśliwy Szum ptaków, muzyka nadal...

– Co to właściwie za muzyka? – pytam, podchodząc do okna, żeby wyrzeć. Chwilami mam wrażenie, że ją rozpoznaję, ale kiedy się wsłuchuję, słyszę tylko zmieniające się głosy ponad innymi głosami w tle, a melodia się powtarza.

– Z głośników w głównej części osady – odpowiada Viola, wyjmując z lodówki talerz wędliny.

Siadam przy stole.

– Mają tam jakiś festiwal, czy co?

– Nie – odpowiada Viola tonem, który mówi: *poczekaj tylko*. – To nie żaden festiwal. – Wyjmuje chleb i trochę pomarańczowych owoców, jakich nigdy w życiu nie widziałem, a potem jakiś czerwony napój, który smakuje jagodami i cukrem.

Zabieram się do jedzenia.

– No, mów.

– Doktor Snow to dobry człowiek – odpowiada, tak jakby chciała, żebym to usłyszał w pierwszej kolejności. – Dobry i życzliwy pod każdym względem i włożył naprawdę mnóstwo wysiłku w ratowanie cię, Todd. Serio,

– Dobra. No więc o co chodzi?

– Ta muzyka gra przez cały dzień i całą noc – mówi Viola, patrząc, jak jem. – Tutaj w domu słabo ją słyszczyć, ale tam w osadzie nie słyszysz nawet własnych myśli.

Zatrzymuję kawałek chleba w połowie drogi do ust.

– To tak jak w pubie.

– W jakim pubie?

– Pubie w Prent... – urywam. – A oni sądzą, że skąd jesteście?

– Z Dalekiej Gałęzi.

Wzdycham.

– Będę się starał. – Odgryzam kęs owocu. – W osadzie, z której pochodzę, w pubie muzyka grała od rana do nocy, żeby zagłuszać Szum gości.

Viola kiwa głową.

– Zapytałam doktora Snow, czemu tutaj to robią, a on odpowiedział, że po to, „aby myśli mężczyzn pozostawały ich prywatną sprawą”.

Wzruszam ramionami.

– To okropny zgiełk, ale sama idea tak jakby ma sens, co nie? Jest to jakiś pomysł na radzenie sobie z Szumem.

– Myśli mężczyzn, Todd – odpowiada Viola. – Mężczyzn. A wiesz, że kiedy powiedział, że poprosi starszą, aby cię zapytali o radę, miał na myśli wyłącznie mężczyzn?

Do głowy przychodzi mi okropna myśl.

– Czy tutaj też wszystkie kobiety poumierają?

– Och, są tutaj kobiety – odpowiada Viola, bawiąc się nożem do masła. – Sprzątają i gotują i rodzą, dzieci i wszystkie mieszkają w wielkim dormitorium poza osadą, gdzie nie mogą się wtrącać w sprawy mężczyzn.

Odkładam widelec z nabitym nań kawałkiem mięsa.

– Widziałem takie miejsce, kiedy szedłem cię odnaleźć. Mężczyźni spali w jednym budynku, a kobiety w drugim.

– Todd – mówi Viola patrząc na mnie. – Nie chcieli mnie tutaj słuchać. W ogóle. Ani jednego słowa, jakie powiedziałam na temat armii. Ciągłe mówili do mnie dziewczynko i praktycznie głaskali mnie, cholera jasna, po głowie. – Splata ręce na piersi. – Chcą z tobą rozmawiać tylko dlatego, że na drodze wzdłuż rzeki zaczęły się pojawiać karawany uchodźców.

– Wilf – mówię.

Jej oczy omiatają mnie, czytając mój Szum.

– Aha – mówi. – Nie, nie widziałam go.

– Czekał no minutkę. – Przeżyłam więcej napoju. Czuję się tak, jakbym nic nie pił przez całe lata. – Jakim cudem wysforowaliśmy się tak daleko przed armię? Jeśli jestem tu od pięciu dni, jakim cudem jeszcze nas nie dogonili?

– Spędziliśmy w tej łódce półtora dnia – odpowiada, zdrapując paznokciem coś przyklejonego do stołu.

– Półtora dnia – powtarzam za nią, zastanawiając się. – Musieliśmy przebyć całe mile.

– Całe mnóstwo mil – mówi Viola. – Pozwoliłam, żebyśmy płynęli i płynęli i płynęli z prądem. Za bardzo się bałam zatrzymać w którymkolwiek z miejsc, jakie mijaliśmy. Nie uwierzyłybyś, co tam widziałam... – Urywa, kręcąc głową.

Przypominam sobie ostrzeżenia Jane.

– Nadzy ludzie i szklane domy? – pytam.

Viola patrzy na mnie dziwnie.

– Nie – odpowiada, krzywiąc się. – Tylko bieda. Tylko straszna, straszna bieda. Niektóre z tych wiosek wyglądały tak, jakby chętnie by nas tam zjedli, więc po prostu płynęłam dalej i dalej, a ty robiłeś się coraz bardziej chory, aż w końcu drugiego ranka zobaczyłam doktora Snow i Jacoba, którzy łowili ryby, i wyczytałam z jego Szumu, że jest lekarzem, a chociaż mają tutaj dziwaczne podejście do kobiet, to przynajmniej jest czysto.

Rozglądam się po schludnej, schludnej kuchni.

– Nie możemy tu zostać – mówię.

– Nie, nie możemy. – Viola opiera głowę na rękach. – Tak się o ciebie martwiłam. – W jej głosie słychać emocje. – Tak się bałam, że armia tu zmierza, a nikt mnie nie chce słuchać. – Sfrustrowana uderza dłońią w stół. – I tak mi było smutno z powodu...

Milknie. Twarz jej się wykrzywia i Viola odwraca wzrok.

– Mancziego – mówię na głos, po raz pierwszy, odkąd...

– Tak mi przykro, Todd – mówi Viola, a oczy ma pełne łez.

– To nie twoja wina. – Wstaję pośpiesznie, odsuwając krzesło.

– On by cię zabił – mówi dziewczyna – a potem zabiłby Mancziego tylko dlatego, że mógł to zrobić.

– Proszę, przestań o tym mówić – odpowiadam, wychodząc z kuchni i wracając do sypialni. Viola idzie za mną. – Pogadam z tą całą starszyzną – ciągnę, podnosząc z podłogi jej torbę i wpychając do środka resztę wypranych ubrań. – A potem pójdziemy. Jak sądzisz, jak daleko jesteśmy od Przystani?

Viola leciutko się uśmiecha.

– Dwa dni.

Prostuję się.

– Dopłynęliśmy tak daleko w dół rzeki?

– Dopłynęliśmy tak daleko.

Gwiżdżę cicho do siebie. Dwa dni. Tylko dwa dni dzielą nas od tego, co zastaniemy w Przystani. Cokolwiek to będzie.

– Todd?

– Aha? – odpowiadam, zarzucając na ramię jej torbę.

– Dziękuję – mówi Viola.

– Za co?

– Za to, że za mną poszedłeś.

Wszystko zamiera.

– Nie ma za co – odpowiadam, czując, że twarz mnie pali, i odwracam wzrok. Viola nie mówi nic więcej. – Nic ci nie jest? – pytam, nadal nie patrząc na nią. – Po tym, jak Aaron cię porwał?

– Tak naprawdę... – zaczyna odpowiadać, ale wtedy słyszymy odgłos zamykanych drzwi i przypominające śpiew *tata tata tata* niosące się korytarzem w naszą stronę. Jacob przytula się do framugi, zamiast wejść do pokoju.

– Tata mi kazał cię zawołać – mówi.

– O? – Unoszę brwi. – To teraz ja mam pójść *do nich*, tak?

Jacob bardzo poważnie kiwa głową.

– No cóż, w takim razie idziemy. – Poprawiam torbę na ramieniu i spoglądam na Violę. – A potem odchodzimy.

– Pełna zgoda – odpowiada Viola, a sposób, w jaki to mówi, podnosi

mnie na duchu. Wychodzimy na korytarz za Jacobem, ten jednak zatrzymuje nas przy drzwiach.

– Tylko ty – mówi patrząc na mnie.

– Tylko ja co?

Viola splata ręce na piersi.

– Chodzi mu o to, że tylko ty masz rozmawiać ze starszą.

Jacob przytakuje, znów bardzo poważnie. Spoglądam na Violę, a potem ponownie na niego.

– No cóż – mówię, kucając, żeby znaleźć się na jego wysokości. – Idź i powiedz twojemu tacie, że i ja, i Viola przyjdziemy za minutkę. Dobrze?

Jacob otwiera buzię.

– Ale on powiedział...

– Niezbyt mnie obchodzi, co on powiedział – odpowiadam łagodnie.  
– Leć.

Chłopczyk łapie oddech i wybiega.

– Chyba mam już dość ludzi mówiących mi, co mam robić – stwierdzam i jestem zaskoczony zmęczeniem, które słychać w moim głosie. Nagle czuję, że najchętniej położyłbym się z powrotem do łóżka i przespałbym kolejne pięć dni.

– Dasz radę dojść na piechotę do Przystani? – pyta Viola.

– Tylko spróbuj mnie powstrzymać – odpowiadam, a ona znów się uśmiecha.

Wychodzę frontowymi drzwiami.

I po raz trzeci spodziewam się, że Manczi wybiegnie wesoło na dwór razem z nami.

Tak bardzo go tam nie ma, że czuję się tak, jakby był, i z moich płuc znów ucieka całe powietrze i muszę się zatrzymać, oddychać głęboko i przełknąć łzy.

– O ludzie – mówię do siebie.

Jego ostatnie Todd? trwa w moim Szumie jak rana.

Oto jeszcze jeden kłopot z Szumem. Wszystko, co wam się kiedykolwiek przydarzyło, dalej do was gada i już nigdy nie przestanie.

Widzę ostatki pyłu opadającego za Jacobem, gdy ten biegnie ścieżką

pod górkę w stronę osady, skrytej za drzewami. Rozglądam się. Dom doktora Snow nie jest zbyt duży, ale za nim znajduje się taras położony nad samą rzeką. Widać też mały pomost i bardzo niski most, który łączy szeroką ścieżkę prowadzącą od głównego skupiska domów w Węglarskich Wzgórzach z drogą biegnącą wzdłuż rzeki, po drugiej stronie. Droga, którą tak długo wędrowaliśmy, jest niemal niewidoczna za rzędem drzew, mija osadę i za dwa dni doprowadzi nas do Przystani.

– Boże – mówię. – W porównaniu z resztą Nowego Świata, tutaj jest jak w raju.

– Raj to coś więcej niż ładne budynki – odpowiada Viola.

Rozglądam się dalej. Doktor Snow ma przed domem schludnie utrzymany ogród, ciągnący się wzdłuż ścieżki prowadzącej do osady. Spoglądając wzdłuż tej ścieżki, za drzewami widzę więcej budynków i słyszę tę muzykę.

To dziwna muzyka. Ciągłe się zmienia, pewnie po to, żeby człowiek się do niej nie przyzwyczaił. Nie rozpoznaję jej, ale tutaj jest głośniejsza i wydaje mi się, że w pewnym sensie właśnie o to chodzi, żeby człowiek jej nie rozpoznawał, ale przysięgam, że kiedy się budziłem, usłyszałem w niej coś takiego...

– Tam w osadzie prawie nie sposób wytrzymać – mówi Viola. – Większość kobiet w ogóle się tam nie fatyguje, wolą siedzieć w dormitorium. – Marszczy brwi. – Przypuszczam, że właśnie o to chodzi.

– Żona Wilfa mówiła mi o osadzie, gdzie wszyscy...

Milknę, bo muzyka się zmienia.

Tylko że wcale się nie zmieniła.

Muzyka z osady nadal jest taka sama, poplątana i pełna słów i wyginająca się na wszystkie strony jak małpka.

Ale jest coś jeszcze.

Jest więcej muzyki niż tylko tamta.

I ta druga melodia staje się coraz głośniejsza.

– Słyszysz to? – pytam.

Odwracam się.

A potem znów się odwracam. Viola też. Próbuje ustalić, co



słyszemy.

– Może ktoś zainstalował drugi głośnik za rzeką – mówi dziewczyna.

– Na wypadek, gdyby kobietom przyszło do głowy się stąd wynieść.

Ale nie słucham jej.

– Nie – szepczę. – Nie, to nie może być.

– Co? – pyta Viola, a głos jej się zmienia.

– Ćśśś. – Znow nasłuchuję, usiłując tak uspokoić swój Szum, żebym mógł to usłyszeć.

– Dobiega od strony rzeki – szepcze dziewczyna.

– Ćśśś – mówię znowu, bo pierś zaczyna mi falować, a Szum – bzyrzeć zbyt głośno, żeby mógł się do czegokolwiek przydać.

Gdzieś tam, na tle płynącej wartko wody i ptasich głosów, słyszeć...

– To piosenka – mówi cichutko Viola. – Ktoś śpiewa.

Ktoś śpiewa.

A słowa, które śpiewa, to:

*Pewnego ra-a-nka, o bla-a-dej godzi-inie...*

A mój Szum robi się głośniejszy, gdy mówię:

– Ben.

## Ach, nie opuszczaj mnie

Zbiegam nad brzeg rzeki, zatrzymuję się i znów nasłuchuję.

*Ach, nie oszukuj mnie.*

– Ben? – mówię, próbując jednocześnie wołać i szeptać.

Viola z tupotem zbiega za mną.

– Nie twój Ben? – pyta. – Czy to twój Ben?

Uciszam ją ruchem ręki i próbuję odsiać rzekę, ptaki oraz mój własny Szum, i tak, pod tym wszystkim...

*Ach, nie opuszczaj mnie.*

– Po drugiej stronie rzeki – mówi Viola i rusza biegiem przez most, łomocząc butami po deskach. Jestem tuż za nią, już ją mijam, nasłuchując i wypatrując i nasłuchując i wypatrując i tam i tam i tam...

Tam, w liściastych zaroślach za rzeką...

To Ben.

To naprawdę Ben.

Przykucnął za bujną roślinnością, opierając się dłońią o pień drzewa, i patrzy, jak do niego biegnę, jak przebiegam przez most, a gdy się zbliżam, jego twarz się rozluźnia, a Szum otwiera się równie szeroko, jak jego ramiona i już padam w jedno i drugie, zeskakując z mostu, wpadając w krzaki, niemal przewracając go na ziemię. Serce mało mi nie wyskoczy z piersi, a mój Szum jest tak jasny, jak całe błękitne niebo, i...

I wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze.

To Ben.

I już obejmuje mnie mocno i mówi: – Todd – a Viola staje kawałek dalej, pozwalając, żebym się z nim przywitał, zaś ja tulę i tulę się do niego i to Ben, o Jezu Chryste panie, to Ben Ben Ben.

– To ja – potwierdza, śmiejąc się z cicha, bo ściskam go tak, że nie może złapać tchu. – Och, jak dobrze cię widzieć, Todd.

– Ben – mówię, odsuwając się nieco i nie wiem, co zrobić z rękami, więc po prostu łapię go za przód koszuli i potrząsam w sposób, który może oznaczać tylko miłość. – Ben – powtarzam.

A on potakuje i się uśmiecha.

Ale wokół oczu ma zmarszczki i już widzę, co się wykluwa w jego Szumie, więc zanim znajdzie się na samym wierzchu, muszę spytać:

– Cillian?

Ben nic nie mówi, ale pokazuje mi wszystko: jak pobiegł z powrotem do gospodarstwa, które już się paliło, już całe stało w płomieniach, a w środku było kilku ludzi burmistrza, ale był też i Cillian. I to, jak Ben go opłakiwał, jak nadal opłakuje.

– O nie – mówię, czując, jak ściska mnie w dołku, choć już dawno domyślałem się prawdy.

Ale domyślać się to nie to samo, co wiedzieć. Ben znów potakuje, powoli i ze smutkiem, i teraz spostrzegam, że jest brudny, na nosie ma zaschniętą krew i wygląda, jakby nic nie jadł od tygodnia, ale to nadal Ben i nadal potrafi mnie czytać jak nikt inny, bo jego Szum już mnie pyta o Mancziego, a ja już mu pokazuję, co się stało i teraz łzy napływają mi do oczu, zaczynają z nich ciec, a Ben znów bierze mnie w ramiona i płacze nad stratą mojego psa i Cilliana i naszego dawnego życia.

– Zostawiłem go – mówię raz po raz, zasmarkany, kaszłąc. – Zostawiłem go.

– Wiem – odpowiada Ben i poznaję, że to prawda, bo te same słowa słyszę w jego Szumie. Zostawiłem go – myślę.

Ale po ledwie minucie czuję, że delikatnie mnie odpycha, po czym mówi:

– Słuchaj, Todd, nie mamy za wiele czasu.

– Za wiele czasu na co? – pytam, siąkając nosem, ale widzę, że on spogląda na Violę.

– Cześć – mówi Viola, a oczy ma czujne.

– Cześć – odpowiada Ben. – Ty pewnie jesteś tą dziewczyną.

– Pewnie jestem – odpowiada Viola.

– Opiekowałaś się Toddem?

– Opiekowaliśmy się sobą nawzajem.

– To dobrze – powiada Ben, a jego Szum robi się ciepły i smutny. – To dobrze.

– Chodź – mówię, łapiąc go za ramię i próbując go pociągnąć w stronę mostu. – Możemy ci skombinować coś do jedzenia. I jest tutaj lekarz...

Ale Ben się nie rusza.

– Czy możesz coś dla nas zrobić? – pyta Violę. – Wypatruj, czy nikogo nie widać, i daj znać, jeśli cokolwiek zobaczysz. Cokolwiek. Czy to od strony osady, czy na drodze.

Viola potakuje i przez moment łapie moje spojrzenie, gdy wychodzi z zarośli, wracając na ścieżkę.

– Jest gorzej niż było – mówi do mnie Ben, cicho, poważny niczym atak serca. – Musisz dotrzeć do miejsca zwanego Przystanią. Tak szybko, jak tylko zdołasz.

– Wiem, Ben – odpowiadam. – A dlaczego ty...?

– Armia cię ściga.

– O tym też wiem. I Aaron. Ale teraz, gdy tu jesteś, możemy...

– Ja nie mogę z wami iść – odpowiada.

Rozdziawiam usta.

– Że jak? Pewnie, że możesz.

Ale on kręci głową.

– Wiesz, że nie mogę.

– Możemy wykombinować jakiś sposób – mówię, ale mój Szum już się kłębi, myśli, wspomina.

– Mężczyźni z Prentisstown nie są mile widziani nigdzie na Nowym Świecie – mówi Ben.

Przytakuję.

– Chłopców z Prentisstown też nikt za bardzo nie lubi.

Ben znów ujmuje mnie za ramię.

– Czy ktoś cię skrzywdził?

Patrzę na niego bez słowa.

– Mnóstwo ludzi – mówię w końcu.

On przygryza wargę, a jego Szum staje się jeszcze smutniejszy.

– Szukałem cię – mówi. – Dniem i nocą. Podążałem za armią, potem ją wyminąłem, wyprzedziłem, nasłuchując, czy nie dotrą do mnie pogłoski o chłopcu i dziewczynie, którzy podróżują całkiem sami. A teraz tu jesteś, cały i zdrowy, i wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem. – Wzdycha, i w tym westchnieniu słysząc tyle miłości oraz smutku, że wiem, że to, co zaraz powie, będzie prawdą. – Ale na Nowym Świecie jestem dla ciebie zagrożeniem. – Gestykułuje w stronę krzaków, w których się kryjemy, kryjemy jak złodzieje. – Resztę trasy będziesz musiał przebyć sam.

– Nie jestem sam – odpowiadam bez namysłu.

Ben się uśmiecha, ale nadal jest to smutny uśmiech.

– Nie – odpowiada. – Nie, nie jesteś, co? – Znow się rozgląda, patrzy w stronę domu doktora Snow, widocznego za liśćmi i za rzeką. – Byłeś chory? – pyta. – Słyszałem twój Szum wczoraj rano, niósł się po wodzie, ale byłeś rozgorączkowany i spałeś. Czekałem tu od tamtej pory. Martwiłem się, że dzieje się coś naprawdę złego.

– Byłem chory – mówię, a w moim Szumie zaczyna się rozlewać wstyd, niczym pełznąca powoli mgła.

Ben znow przygląda mi się uważnie.

– Co się stało, Todd? – pyta, łagodnie wczytując się w mój Szum, tak, jak zawsze potrafił to robić. – Co się stało?

Otwieram przed nim mój Szum, wszystko od początku: kroksy, które zaatakowały Aarona, bieg przez bagna, statek Violi, burmistrza i jego ludzi na koniach, którzy nas ścigali, most, Hildy i Tama, Daleką Gałąź i to, co się tam stało, rozstajne drogi, Wilfa i te stwory, co śpiewały **Tu**, pana Prentissa juniora i to, jak Viola mnie uratowała.

I Szpakla.

I to, co zrobiłem.

Nie jestem w stanie spojrzeć Benowi w twarz.

– Todd – mówi Ben.

Nadal wpatruję się w ziemię.

– Todd – mówi ponownie Ben. – Spójrz na mnie.

Podnoszę na niego wzrok. Jego oczy, tak samo niebieskie jak zawsze, napotykają moje i wpatrują się w nie.

– Wszyscy popełniliśmy błędy, Todd. Wszyscy.

– Zabiłem to – mówię. Przetykam ślinę. – Zabiłem go. To był on.

– Działales w oparciu o to, co wiedziałes. Zrobiłes to, co uważales za słuszne.

– I to ma być usprawiedliwienie?.

Ale coś jest w jego Szumie. Coś innego niż zwykle, rzucającego się w oczy.

– Co jest, Ben?

Ben wypuszcza oddech.

– Pora, żebyś się o wszystkim dowiedział, Todd – mówi. – Pora, żebyś poznał prawdę.

Słychać trzask łamanych gałęzi i Viola zbiega do nas pędem.

– Koń na drodze – melduje zadyszana.

Nasłuchujemy. Na rzecznej drodze słychać tętent kopyt, który prędko się przybliża. Ben wciska się głębiej w zarośla, a my z nim, ale jeździec gna tak szybko, że w ogóle nie patrzy w naszą stronę. Słyszymy, jak pędzi dalej drogą i skręca na ten most, który prowadzi prosto do Węglarskich Wzgórz. Kopyta łomoczą o deski, a potem o ubitą ziemię, aż w końcu słychać już tylko śpiew z głośników.

– Ten raczej nie wiezie dobrych wieści – mówi Viola.

– Pewnie chodzi o armię – mówi Ben. – Do tej pory są już pewnie zaledwie o kilka godzin stąd.

– Co?! – wołam, odskakując. Viola też się wzdryga.

– Mówiłem ci, że nie mamy za wiele czasu – mówi Ben.

– W takim razie musimy iść! – mówię. – Musisz pójść z nami. Powiemy ludziom...

– Nie – odpowiada. – Nie. Po prostu idźcie do Przystani. Tylko tyle. To najlepsze, co możecie zrobić.

Zasypujemy go gradem pytań.

– Czy Przystań będzie bezpieczna? – pyta Viola. – Przed armią?  
– Czy to prawda, że mają lek na Szum? – pytam.  
– Będą mieli komunikatory? Będę mogła się skontaktować z moim statkiem?

– Jesteś pewien, że tam będziemy bezpieczni? Jesteś pewien?  
Ben podnosi rękę, żeby nas uciszyć.

– Nie wiem – odpowiada. – Nie byłem tam od dwudziestu lat.

Viola prostuje się.

– Dwadzieścia lat? – pyta. – Dwadzieścia lat? – Podnosi głos. – Więc skąd mamy wiedzieć, co znajdziemy, gdy już tam dotrzemy? Skąd mamy wiedzieć, czy Przystań w ogóle jeszcze istnieje?.

Przecieram ręką twarz i chyba to ta pustka, gdzie dawniej znajdował się Manczi, każe mi sobie uzmysłwić, uzmysłwić to, o czym od początku nie chcieliśmy pamiętać.

– Nie wiemy – odpowiadam i jest to prosta prawda. – Od początku nie wiedzieliśmy.

Viola wydaje cichy jęk i garbi się.

– Nie – mówi. – Chyba nie.

– Ale zawsze jest nadzieja – mówi Ben. – Zawsze trzeba mieć nadzieję.

Oboje spoglądamy na niego i musi być jakieś słowo na opisanie tego, jak patrzymy, ale nie wiem, jak ono brzmi. Patrzymy na niego tak, jakby mówił w obcym języku, jakby właśnie powiedział, że przeprowadza się na jeden z księżyców, jakby poinformował nas, że wszystko było tylko złym snem, a w ogóle to ma dla nas cukierki.

– Na tym świecie nie ma za wiele nadziei, Ben – mówię.

Ben kręci głową.

– Jak sądzicie, co was gnało naprzód? Co was doprowadziło tak daleko?

– Strach – odpowiada Viola.

– Desperacja – mówię.

– Nie – zaprzecza Ben, patrząc na nas oboje. – Nie, nic, nie. Dotarliście dalej, niż większość mieszkańców tej planety dotrze w ciągu

całego swojego życia. Przebyliście przeszkody, wyszliście cało z niebezpieczeństw i przetrwaliście rzeczy, które powinny były was zabić. Wyprzedziliście armię, uszliście cało przed szaleńcem i przed śmiertelną chorobą i widzieliście rzeczy, których większość ludzi nigdy nie zobaczy. Jak wam się wydaje, jakim cudem moglibyście dotrzeć tak daleko, gdybyście nie mieli nadziei?

Viola i ja wymieniamy spojrzenie.

– Rozumiem, co próbujesz nam powiedzieć, Ben... – zaczynam mówić.

– Nadzieja – odpowiada Ben, ściskając mnie przy tym za ramię. – To nadzieja. Tu, w tej chwili spoglądam ci w oczy i mówię ci, że istnieje nadzieja, nadzieja dla was obojga. – Podnosi wzrok na Violę, a potem wraca spojrzeniem do mnie. – Nadzieja czeka na was na końcu drogi.

– Nie wiesz tego na pewno – mówi Viola, a mój Szum zgadza się z nią, choć wolałbym, żeby tak nie było.

– Nie – odpowiada Ben – ale wierzę, że tak jest. Wierzę w to dla was. I dlatego to jest nadzieja.

– Ben...

– Nawet jeśli w to nie wierzysz – odpowiada Ben – uwierz, że ja wierzę.

– Łatwiej by mi było wierzyć, gdybym wiedział, że pójdziesz z nami – mówię.

– Znaczy się, on nie idzie z nami? – pyta zaskoczona Viola, po czym poprawia się: – Czyli on nie idzie z nami?

Ben spogląda na nią, otwiera usta, po czym znów je zamyka.

– Jaka jest prawda, Ben? – pytam. – Co to za prawda, którą powinniśmy znać?

Ben powoli bierze głęboki wdech nosem.

– W porządku – mówi.

Ale w tej samej chwili zza rzeki słychać głośne, wyraźne wołanie:

– Todd?

I wtedy się orientujemy, że do muzyki z Węglarskich Wzgórz dołączył Szum mężczyzn, którzy właśnie przechodzą przez most.



Wielu mężczyzn.

To jest drugi cel muzyki, jak sądzę. Gra po to, żeby się nie słyszało, że mężczyźni nadchodzą.

– Viola? – woła doktor Snow – Co wy dwoje tam robicie?

Stają prosto i patrzą w tamtą stronę. Doktor Snow przechodzi przez most, trzymając za rękę małego Jacoba, a za nim podąża grupa mężczyzn, którzy wyglądają jak jego sobowtóry, tyle że mniej przyjaźnie nastawieni, i patrzą na nas, widzą Bena i widzą, że ja i Viola z nim rozmawiamy.

A ich Szum zaczyna przybierać różne barwy, w miarę jak to, co widzą, zaczyna dla nich nabierać sensu.

I widzę, że niektórzy z nich mają strzelby

– Ben? – pytam cicho.

– Musicie uciekać – odpowiada szeptem Ben. – Musicie uciekać i to już.

– Nie zostawię cię. Nie po raz drugi.

– Todd...

– Za późno – mówi Viola.

Bo tamci już są prawie przy nas, zeszli z mostu i zacierają w stronę krzaków, w których w zasadzie przestaliśmy się chować.

Doktor Snow dociera do nas jako pierwszy. Taksuje Bena wzrokiem od stóp do głów.

– A któż to taki?

I nie jest ani trochę uszczęśliwiony, sądząc po tym, jak brzmi jego Szum.

# 35

## Prawo

– To Ben – odpowiadam, próbując tak nagłośnić mój Szum, żeby zablokować wszystkie pytania dolatujące od strony mężczyzn.

– A kim jest Ben, kiedy jest w domu? – pyta doktor Snow, zaś jego oczy spoglądają czujnie.

– Ben to mój tatko – odpowiadam. Bo to prawda, co nie? Pod wszystkimi naprawdę istotnymi względami. – Mój ojciec.

– Todd – słyszę za sobą głos Bena, a w jego Szumie pobrzmiwają najróżniejsze uczucia, ale przede wszystkim słycać w nim ostrzeżenie.

– Twój ojciec? – pyta brodacz stojący za doktorem Snow. Jego palce zaciskają się na kolbie strzelby, ale jeszcze jej nie unoszą.

Jeszcze nie.

– Na przyszłość lepiej bądź ostrożny, gdy chodzi o to, kogo przedstawiasz jako swojego rodzica, Todd – odpowiada powoli doktor Snow, przyciągając Jacoba bliżej siebie.

– Mówiłeś, że chłopak jest z Dalekiej Gałęzi – odzywa się trzeci mężczyzna, z purpurowym znamieniem pod okiem.

– Tak nam powiedziała dziewczyna. – Doktor Snow spogląda na Violę. – Zgadza się, Violciu?

Viola odwzajemnia jego spojrzenie, ale nic nie mówi.

– Słowu kobiety nie można wierzyć – stwierdza broda.

– To mężczyzna z Prentisstown, od razu widać

– I doprowadził armię prosto do nas – dodaje znamię.

– Chłopiec jest niewinny – oświadcza Ben, a gdy się odwracam, widzę, że ręce trzyma w górze. – To mnie chcecie.

– Poprawka – odpowiada broda, a głos ma gniewny i coraz gniewniejszy. – To ciebie *nie* chcemy.

– Zaczekaj chwilę, Fergalu – mówi doktor Snow. – Coś tu się nie

zgadza.

– Znasz prawo – stwierdza znamię.

Prawo.

W Dalekiej Gałęzi też mówili o prawie.

– Wiem też, że to nie są normalne okoliczności – mówi doktor Snow, po czym odwraca się z powrotem do nas. – Powinniśmy im przynajmniej dać szansę, żeby się wytłumaczyli.

Słyszę, jak Ben bierze oddech.

– No cóż, ja...

– Nie ty – przerywa mu broda.

– Jaka jest wasza historia, Todd? – pyta doktor Snow. – I teraz to naprawdę ważne, żebyś nam powiedział całą prawdę.

Spoglądam na Violę, na Bena i znowu na Violę.

Którą część prawdy mam powiedzieć?

Słyszę szcęk odwodzonego kurka. Broda podniósł strzelbę. Podobnie jak jeden czy dwóch mężczyzn stojących za nim.

– Im dłużej zwlekasz – powiada broda – tym bardziej wyglądacie na szpiegów.

– Nie jesteśmy szpiegami – odpowiadam pośpiesznie.

– Wypatrzone tę armię, o której mówiła twoja dziewczyna – mówi doktor Snow. – Maszerują tu rzezną drogą. Jeden z naszych zwiadowców właśnie zameldował, że są mniej niż godzinę stąd.

– O nie – słyszę szept Violi.

– Ona nie jest moją dziewczyną – mówię niegłośno.

– Co? – pyta doktor Snow.

– Co? – pyta Viola.

– Jest swoją własną dziewczyną – mówię. – Nie należy do nikogo.

I żebyście wy widzieli to *spojrzenie* Violi.

– Wszystko jedno – mówi znamię. – Maszeruje na nas armia z Prentisstown, typek z Prentisstown czai się w naszych krzakach i rozmawia z nim chłopaczkę z Prentisstown, który spędził ostatni tydzień wśród nas. Wygląda to cholernie podejrzanie, jeśli chcecie znać moją opinię.

– On był chory – mówi doktor Snow. – Był kompletnie nieprzytomny.

– To ty tak twierdzisz – odpowiada znamię.

Doktor Snow odwraca się do niego, bardzo powoli.

– Nazywasz mnie kłamcą, Duncanie? Pamiętaj, bardzo proszę, że rozmawiasz z przewodniczącym rady starszych.

– A ty mi chcesz powiedzieć, że nie widzisz tutaj zmywy, Jacksonie? – pyta znamię, nie cofając się i również podnosząc strzelbę. – Jesteśmy jak kaczkę na strzelnicy. Kto wie, co powiedzieli swojej armii? – Celuje w Bena. – Ale zaraz położymy temu kres.

– Nie jesteśmy żadnymi szpiegami – mówię znowu. – Uciekamy przed tą armią równie szybko, jak wy powinniście.

A mężczyźni spoglądają na siebie nawzajem.

W ich Szumie słyszę dokładnie takie same myśli o armii, o tym, żeby uciekać przed nią zamiast bronić osady. Widzę też wściekłość, kotłującą się wściekłość, że muszą dokonać tego wyboru, wściekłość, że nie wiedzą, jak powinni bronić swoich rodzin. I widzę, jak ta wściekłość się skupia; nie na armii, nie na nich samych za to, że są nieprzygotowani, mimo że Viola ostrzegła ich od kilku dni, nie na świat za to, jaki jest.

Ich wściekłość skupia się na Benie.

Ich wściekłość skupia się na Prentisstown w postaci jednego mężczyzny.

Doktor Snow klęka, żeby znaleźć się na tej wysokości co Jacob.

– Hej, młody – mówi do swojego synka. – Biegnij teraz z powrotem do domu, dobrze?

*Tata tata tata*, słyszę w Szumie Jacoba.

– Tata, a czemu? – pyta chłopiec, wpatrując się we mnie.

– No cóż, załóżę się, że kozie jest smutno samej – odpowiada doktor Snow. – A nie chcemy, żeby koza była smutna, prawda?

Jacob patrzy na swojego ojca, znowu na mnie i Bena, a potem na mężczyzn stojących wkoło.

– Czemu wszyscy są tacy źli? – pyta.

– Och – odpowiada doktor Snow – po prostu zastanawiamy się nad paroma rzeczami. Wszystko się zaraz wyjaśni. Biegnij z powrotem do

domu i zobacz, jak się miewa koza.

Jacob myśli nad tym przez sekundę, po czym odpowiada:

– Dobrze, tato.

Doktor Snow całuje go w czubek głowy i mierzwi mu włosy. Jacob rusza biegiem z powrotem przez most w stronę domu swojego ojca. Kiedy doktor Snow odwraca się w naszą stronę, towarzyszy mu całe mnóstwo wycelowanych luf.

– Sam widzisz, że nie wygląda to dobrze, Todd – mówi, a w jego głosie słychać autentyczny smutek.

– On nie wie – odpowiada Ben.

– Zawrzyj japę, morderco! – rzuca broda, wykonując gest lufą strzelby.

Morderco?

– Powiedz mi prawdę – mówi do mnie doktor Snow.

– Czy jesteś z Prentisstown?

– On mnie uratował przed Prentisstown – odzywa się Viola. – Gdyby nie on...

– Zamknij się, dziewczyno – przerywa jej broda.

– Teraz nie jest dobry moment, żeby kobiety się odzywały, Violciu – mówi doktor Snow.

– Ale... – protestuje Viola, a jej twarz czerwienieje.

– Proszę – odpowiada doktor Snów. Potem spogląda na Bena. – Co powiedziałeś swojej armii? Ilu mamy ludzi? Jak wyglądają nasze fortyfikacje...

– Ja uciekałem przed armią – odpowiada Ben, nadal z rękami w górze. – Spójrzcie na mnie. Czy wyglądam jak dobrze odżywiony żołnierz? Nic im nie powiedziałem. Ukrywałem się, szukając mojego... – Waha się, i wiem, dlaczego. – Mojego syna.

– Szukałeś go, znając prawo? – pyta doktor Snów.

– Znam prawo – odpowiada Ben. – Jak mógłbym nie znać prawa?

– Jakie cholerne PRAWO?! – krzyczę. – O czym wy wszyscy mówicie, do diabła?

– Todd jest niewinny – mówi Ben. – Możecie przeszukiwać jego Szum

tak długo, jak wam się żywnie podoba, i nie znajdziecie tam nic świadczącego, że kłamię.

– Nie można im ufać – stwierdza broda, nadal spoglądając przez celownik swojej strzelby. – Wiesz, że nie można.

– Nic tak naprawdę nie wiemy – odpowiada doktor Snow. – Od ponad dziesięciu lat.

– Wiemy, że zrobili z siebie armię – mówi znamię.

– Tak, ale nie widzę w tym chłopcu ani śladu zbrodni – stwierdza doktor Snow. – A ty?

Tuzin różnych Szumów zaczyna mnie szturchać niczym patyki.

Lekarz odwraca się do Violi.

– A jedyne, czym zawiniła dziewczyna, to kłamstwo, które uratowało życie jej przyjaciela.

Viola odwraca ode mnie wzrok, nadal czerwona ze złości.

– My zaś mamy większe problemy – kontynuuje doktor Snow. – Zbliży się tutaj armia, która albo nie wie, albo wie wszystko o tym, jak zamierzamy ją przywitać.

– Nie jesteśmy SZPIEGAMI! – krzyczę.

Ale doktor Snow odwraca się do pozostałych mężczyzn.

– Zabierzcie chłopca i dziewczynę z powrotem do osady. Dziewczyna niech idzie do kobiet, a chłopak jest na tyle zdrowy, że może walczyć razem z nami.

– Czekajcie no chwilę! – wykrzykuję.

Doktor Snow odwraca się do Bena.

– I chociaż wierzę, że jest pan tylko człowiekiem, który szukał swojego syna, prawo pozostaje prawem.

– Czy to twój ostateczny werdykt? – pyta broda.

– Jeśli starszyzna się zgadza – odpowiada doktor Snow. Wszyscy wkoło kiwają głowami, choć nie bez wahania, poważnie i krótko. Lekarz spogląda na mnie. – Przykro mi, Todd.

– Czekajcie! – mówię, ale znamię już daje krok do przodu i łapie mnie za ramię. – Puszczaj mnie!

Inny mężczyzna łapie Violę, a ona opiera się równie zawzięcie jak ja.

– Ben! – wołam, oglądając się na niego. – Ben!

– Idź, Todd – mówi Ben.

– Nie, Ben!

– Pamiętaj, że cię kocham.

– Co oni zamierzają zrobić? – pytam, nadal wyszarpując się z uchwytu znamienia. Odwracam się do doktora Snow. – Co pan zamierza zrobić?

Lekarz nie odpowiada, ale widzę to w jego Szumie. To, czego wymaga prawo.

– A TAKIEGO! – wrzeszczę i wolną ręką już łapię nóż, już robię zamach w stronę ręki znamienia, rozcinając mu wierzch dłoni. Mężczyzna wydaje okrzyk bólu i zwalnia chwyt.

– Uciekaj! – wołam do Bena. – Uciekaj, ale już!

Widzę, jak Viola gryzie rękę mężczyzny, który ją trzyma.

On krzyczy, a ona wrywa mu się, cofa chwiejnie.

– Ty też! – mówię do niej. – Wiej stąd!

– Nie tak prędko – oświadcza broda, a wszędzie wkoło słychać szczęk odwodzonych kurków.

Znamię klnie i podnosi rękę do ciosu, ale ja już trzymam nóż przed sobą.

– Tylko spróbuj – mówię przez zęby. – No dalej!

– DOŚĆ TEGO! – wrzeszczy doktor Snow.

I w nagłej ciszy, która zapada, słyszymy tętent kopyt. *Patataj, patataj, patataj*. Konie. Pięć. Dziesięć. Może nawet piętnaście. Pędzą drogą, jakby gonił je sam diabeł.

– Zwiadowcy? – pytam Bena, chociaż wiem, że nie.

On kręci głową.

– Straż przednia.

– Będą uzbrojeni – mówię do doktora Snów i pozostałych mężczyzn, myśląc pośpiesznie. – Będą mieli tyle samo strzelb, co wy.

Doktor Snow też myśli. Widzę, jak jego Szum się burzy, widzę, jak ocenia, kiedy te konie tutaj dotrą, ile kłopotów sprawimy ja, Ben i Viola, ile czasu się przez to zmarnuje.

Widzę, jak podejmuje decyzję.

– Puśćcie ich.

– Że co? – pyta broda, a po jego Szumie widać, że aż go świerzbi, by kogoś zastrzelić. – To zdrajca i morderca.

– A my musimy bronić osady – odpowiada twardo doktor Snow. – Mam syna, którego muszę chronić. Podobnie jak ty, Fergalu.

Broda marszczy brwi, ale nie mówi już nic więcej. *Patataj, patataj, patataj* – dobiega od strony drogi. Doktor Snow odwraca się do nas.

– Idźcie – mówi. – Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, żeście nie przypieczętowali naszego losu.

– Nie zrobiliśmy tego – odpowiadam. – Naprawdę.

Doktor Snow zaciska usta.

– Chciałbym ci wierzyć. – Odwraca się do pozostałych. – Dalej! – woła. – Na pozycje! Szybko!

Grupa mężczyzn się rozprasza – biegną truchtem z powrotem do Węgłarskich Wzgórz. Broda i zamię nadal aż się gotują z wściekłości na nas, wypatrują pretekstu, żeby użyć broni, ale nie dajemy im żadnego. Patrzymy tylko, jak się oddalają.

Odkrywam, że z lekka się trzęsę.

– Jasny gwint – mówi Viola, zginając się wpool.

– Musimy się stąd zmywać – mówię. – Armii będzie bardziej zależeć na nas niż na nich.

Nadal mam przy sobie torbę Violi, choć w środku jest już tylko trochę ubrań, butelki z wodą, lornetka oraz notes mojej mamy, nadal zapakowany w plastikową torbę.

Wszystko, co posiadamy.

A to znaczy, że jesteśmy gotowi do drogi.

– To się będzie powtarzało – mówi Ben. – Nie mogę z wami iść.

– Owszem, możesz – odpowiadam. – Później możesz nas zostawić, ale teraz zmywamy się stąd, a ty idziesz z nami. Nie zostawimy cię na pastwę żadnej armii. – Spoglądam na Violę. – Zgadza się?

Viola prostuje ramiona i robi stanowczą minę.

– Zgadza się – potwierdza.



– No to postanowione – mówię.

Ben patrzy to na jedno, to na drugie z nas. Marszczy czoło.

– Tylko dopóki się nie upewnię, że jesteście bezpieczni.

– Za dużo gadania – mówię. – A za mało uciekania.

## Odpowiedzi na pytania

Z oczywistych względów trzymamy się z dala od rzecznej drogi i przedzieramy się przez drzewa, zmierzając, jak zawsze, w stronę Przystani. Z trzaskiem łamiemy gałązki i gałęzie, uciekając z Węglańskich Wzgórz ile sił w nogach.

Nie mija nawet dziesięć minut, gdy słyszymy pierwsze strzały.

Nie patrzymy do tyłu. Nie patrzymy do tyłu.

Biegniemy, a strzały cichną za nami.

Biegniemy dalej.

I Viola, i ja jesteśmy szybsi niż Ben, więc czasem musimy zwalniać, żeby mógł nas dogonić.

Mijamy jedną, a potem drugą małą, opuszczoną osadę – te wioski najwyraźniej przejęły się pogłoskami o armii bardziej niż Węglańskie Wzgórze. Trzymamy się lasów między rzeką a drogą, ale nie widzimy żadnych karawan. Musieli ruszyć z kopyta do Przystani. Śpieszymy dalej.

Zapada noc, a my nadal śpieszymy przed siebie.

– Wszystko w porządku? – pytam Bena, kiedy zatrzymujemy się przy rzece, żeby ponownie napełnić butelki.

– Nie zwalnajcie – odpowiada, łapiąc oddech. – Nie zwalnajcie.

Viola posyła mi zmartwione spojrzenie.

– Przykro mi, że nie mamy nic do jedzenia – mówię, ale on tylko kręci głową i mówi: – Nie zwalnajcie.

No więc śpieszymy dalej.

Mija północ, a my nadal uciekamy.

(Kto wie, ile dni? Kogo to jeszcze obchodzi?)

Aż w końcu Ben powiada:

– Zaczekajcie – i przystaje. Opiera dłonie o kolana, dysząc ciężko, jakby był niezdrów.

Rozglądam się przy świetle księżyców. Viola też. Wskazuje coś ręką.

– Tam.

– Tam w górze, Ben – mówię, pokazując pagórek, który wypatrzyła Viola. – Stamtąd powinno być coś widać.

Ben nic nie odpowiada, tylko kiwa głową, dysząc, po czym rusza za nami. Zbocze pagórka jest całe zarośnięte drzewami, ale między nimi biegnie ścieżka, a na szczycie widać szeroką polanę.

Gdy tam docieramy, widzimy, dlaczego.

– Cmentarz – mówię.

– Co takiego? – pyta Viola, patrząc na stojące wkoło kwadratowe kamienne nagrobki. Jest ich co najmniej sto, a może i dwieście, wznoszą się w równych rzędach, otoczone przyciętą schludnie trawą. Życie kolonistów jest trudne i krótkie, i mnóstwo ludzi z Nowego Świata przegrało tę walkę.

– Miejsce, gdzie się grzebie zmarłych – tłumaczę.

Jej oczy otwierają się szerzej.

– Miejsce, gdzie co się robi?

– Czy w przestrzeni kosmicznej ludzie nie umierają? – pytam.

– Umierają – odpowiada Viola. – Ale palimy ich ciała. Nie zagrzebujemy ich w *dziurach*. – Splata ręce na piersi, krzywiąc usta i marszcząc czoło, gdy spogląda na groby. – To raczej mało higieniczne.

Ben nadal nic nie mówi, po prostu siada ciężko na ziemi obok jednego z grobów i opiera się o płytę, łapiąc oddech. Wypijam łyk wody i przekazuję mu butelkę. Patrzę w doł i rozglądam się. Widać stąd spory kawałek drogi, a także rzekę, która teraz szumi na lewo od nas. Nie ma chmur, świecą gwiazdy, a widoczne nad nami księżycy zaczynają maleć.

– Ben? – mówię, patrząc w górę, na nocne niebo.

– Tak? – odpowiada, pijąc swoją wodę.

– Wszystko w porządku?

– Taa. – Jego oddech powraca do normy. – Jestem zaprawiony w pracy na roli. A nie w sprincie.

Znów spoglądam na księżycy – ten mniejszy podąża za tym większym. Dwa światła w górze, wciąż jeszcze na tyle jasne, żeby rzucać

ienie, nieświadome kłopotów, które gnębią ludzi.

Zaglądam w siebie. Zaglądam głęboko w mój Szum.

I uzmysławiam sobie, że jestem gotowy.

To ostatnia okazja.

I jestem gotowy.

– Myślę, że już czas – mówię. Spoglądam z powrotem na niego. –  
Myślę, że lepszej pory już nie będzie.

Ben oblizuje usta i przełyka wodę. Zakręca butelkę.

– Wiem – odpowiada.

– Pory na co? – pyta Viola.

– Od czego mam zacząć? – pyta Ben.

Wzruszam ramionami.

– Wszystko jedno – odpowiadam – byle tylko to była prawda.

Słyszę, jak Szum Bena gęstnieje, zbiera w sobie całą opowieść, aż w końcu wydziela z rzeki jeden strumień, ten, który opowiada, co naprawdę się wydarzyło, ten, który był ukryty tak długo i tak głęboko, że przez całe dotychczasowe życie w ogóle nie wiedziałem o jego istnieniu.

Cisza Violi stała się jeszcze cichsza niż zwykle, tak cicha jak noc, w oczekiwaniu na to, co on powie. Ben bierze głęboki oddech.

– Zarazek Szumu nie był bronią Szpakli – mówi. – To pierwsze, co musicie wiedzieć. Zarazek był tutaj, kiedyśmy wyłądownali. Naturalne zjawisko, obecny w powietrzu, zawsze tu był i zawsze będzie. Wysiedliśmy ze statków i w ciągu jednego dnia wszyscy mogli słyszeć nawzajem swoje myśli. Wyobraźcie sobie nasze zaskoczenie.

Robi pauzę, wspominając.

– Tylko że nie wszyscy – mówi Viola.

– Tylko mężczyźni – dopowiadam.

Ben przytakuje.

– Nikt nie wie, dlaczego. Nadal nie wiemy. Nasi naukowcy byli głównie specjalistami od rolnictwa, a lekarze nie mogli znaleźć przyczyny, no więc na jakiś czas zapanował chaos. Po prostu... chaos. Nie uwierzylibyście, jaki. Chaos i ogłupienie i Szum Szum Szum. – Drapie

się pod brodą. – Mnóstwo mężczyzn rozdzieliło się na odległe społeczności, uciekli z Przystani, gdy tylko udało się zbudować drogi. Ale wkrótce do ludzi dotarło, że nic się z tym piorunstwem nie da zrobić, więc przez jakiś czas usiłowaliśmy z tym żyć, jakeśmy umieli. Różne społeczności obrały różne drogi. Tak jak wtedy, kiedyśmy się zorientowali, że wszystkie nasze zwierzęta hodowlane też gadają, i psy, i koty, i miejscowe stworzenia.

Spogląda w górę, na niebo, potem na cmentarz wokół nas oraz na rzekę i drogę poniżej.

– Wszystko na tej planecie rozmawia ze sobą – ciągnie.

– Wszystko. Taki właśnie jest Nowy Świat. Informacje, cały czas, nigdy nie milkną, czy tego chcesz, czy nie. Szpaki znali to od zawsze, tak wyewoluowali, żeby móc z tym żyć, ale my nie byliśmy przygotowani na coś takiego. W najmniejszym stopniu. A nadmiar informacji może człowieka doprowadzić do szaleństwa. Nadmiar informacji staje się po prostu Szumem. I ten Szum nigdy, nigdy nie milknie.

Robi pauzę, a Szum oczywiście słychać w tle, jak zawsze – jego i mój, zaś cisza Violi sprawia tylko, że wydają się; głośniejsze.

– Lata mijały – ciągnie Ben – a na całym Nowym Świecie żyło się ciężko, coraz ciężej. Plony się nie udawały, były choroby, żadnych dostatków i żadnego Edenu. Zdecydowanie żadnego Edenu. I w osadach zaczęły się szerzyć kazania, jadowite kazania, kazania, które wskazywały winnych.

– Obwiniano obcych – mówi Viola.

– Szpaki – wtóruję i znów powraca wstyd.

– Obwiniano Szpaki – potwierdza Ben. – I jakimś sposobem kazania przerodziły się w zorganizowany ruch, a zorganizowany ruch przerodził się w wojnę. – Kręci głową. – Nie mieli żadnych szans. My dysponowaliśmy strzelbami, oni nie, i to był koniec Szpaki.

– Nie wszyscy zginęli – mówię.

– Nie – odpowiada Ben. – Nie wszyscy. Ale mogę cię zapewnić, że nauczyli się nie zbliżać więcej do ludzi.

Na pagórku czuć przelotny podmuch wiatru. Gdy cichnie, jest tak,

jakby na całym Nowym Świecie ostała się tylko nasza trójka. My oraz duchy z cmentarza.

– Ale ta opowieść nie kończy się na wojnie – mówi cicho Viola.

– Nie – potwierdza Ben. – Na tym opowieść się nie kończy. Nie doszedłem jeszcze nawet do połowy.

Wiem, że nie. Wiem też, do czego zmierza. I zmieniłem zdanie. Nie chcę, żeby kończył. Ale zarazem chcę. Zaglądam w oczy Bena, w jego Szum.

– Wojna nie zakończyła się wraz z wybiciem Szpakli – mówię. – Nie w Prentisstown.

Ben oblizuje usta. W jego Szumie czuję rozchwianie i głód i smutek z powodu tego, co – jak on sądzi – będzie naszym kolejnym, rychłym pożegnaniem.

– Wojna to potwór – mówi tak jakby do siebie. – Wojna to diabeł. Wybucha i pożera, a sama rośnie i rośnie i rośnie.

– Patrzy teraz na mnie. – A ludzie, którzy wcześniej byli normalni, też zmieniają się w potwory.

– Nie byli w stanie znieść ciszy – mówi Viola zmartwiałym głosem. – Nie byli w stanie znieść tego, że kobiety wiedzą o nich wszystko, zaś oni nic nie wiedzą o kobietach.

– Niektórzy mężczyźni tak myśleli – prostuje Ben. – Nie wszyscy. Nie ja, nie Cillian. W Prentisstown było trochę porządnym mężczyzn.

– Ale myślało tak wystarczająco wielu – mówię.

– Tak. – Kiwa głową.

Następuje kolejna pauza, w czasie której prawda zaczyna nabierać kształtu.

Nareszcie. I na zawsze.

Viola kręci głową.

– Chcesz powiedzieć, że...? – mówi. – Naprawdę chcesz powiedzieć, że...

I oto jest.

Oto rzecz, która tkwiła u samego sedna tego wszystkiego.

Oto rzecz, która rosła w mojej głowie, odkąd opuściłem bagna;

widziałem jej przebłyski w myślach mężczyzn, których napotykałem po drodze, najjaskrawsze u gościa imieniem Matthew Lyle, ale również w reakcjach wszystkich, którzy usłyszeli samo słowo „Prentisstown”.

Oto jest.

Oto prawda.

I nie chcę jej znać.

Ale i tak wypowiadam ją na głos.

– Po tym, jak pozabijali Szpakli – mówię – mężczyźni z Prentisstown zabili wszystkie kobiety z Prentisstown.

Viola łapie oddech, choć do tej pory ona też musiała się domyślić.

– Nie wszyscy mężczyźni – poprawia mnie Ben. – Ale wielu. Posłuchali burmistrza Prentissa oraz kazań Aarona, który zwykł twierdzić, że to, co ukryte, musi być narzędziem zła. Zabili wszystkie kobiety oraz wszystkich mężczyzn, którzy próbowali ich bronić.

– Moją mamę – mówię.

Ben tylko potakuje w odpowiedzi. W żołądku czuję mdłości.

Moja mama zginęła zabita przez mężczyzn, których przypuszczalnie widywałem każdego dnia. Muszę usiąść na nagrobku.

Muszę pomyśleć o czymś innym, po prostu muszę. Muszę nakierować mój Szum na coś innego, żeby być w stanie to znieść.

– Kim była Jessica? – pytam, przypominając sobie Szum, jakim się wkoło Matthew Lyle tam w Dalekiej Gałęzi, przypominając sobie jego gwałtowność; Szum, który teraz nabiera sensu, choć równocześnie nadal wydaje się bezsensowny.

– Niektórzy ludzie przewidywali, co się szykuje – mówi Ben. – Jessica Elizabeth była naszym burmistrzem i widziała, co się kroi.

*Jessica Elizabeth* – myślę. Nowa Elizabeth.

– Zorganizowała ucieczkę części dziewcząt i młodszych chłopców przez bagna – kontynuuje Ben. – Ale zanim sama zdążyła ruszyć za nimi wraz z resztą kobiet oraz z tymi mężczyznami, którzy nie postradali zmysłów, ludzie burmistrza zaaatakowali.

– I było po ptakach – mówię, cały odrętwiały. – Nowa Elizabeth zmienia się w Prentisstown.

– Twoja mama nigdy nie sądziła, że coś takiego może się stać – mówi Ben, uśmiechając się ze smutkiem, gdy wraca do niego jakieś wspomnienie. – Ta kobieta była tak pełna miłości, tak pełna nadziei, wiary w życzliwość bliźnich. – Przestaje się uśmiechać. – A potem przyszedł moment, kiedy było już za późno na ucieczkę, zaś ty byłeś o wiele za mały, żeby cię postać gdzie indziej, no więc oddała cię nam, powiedziała, żebyśmy cię chronili bez względu na to, co się stanie.

Podnoszę wzrok.

– Pozostanie w Prentisstown to miało być chronienie mnie?

Ben patrzy prosto na mnie, a wszędzie wokół niego jest smutek, Szum ma tak ciężki od smutku, że aż dziw, że jest w stanie stać prosto.

– Dlaczego żeście nie uciekli? – pytam.

Przeciera twarz.

– Bo myśmy też tak naprawdę nie wierzyli, że dojdzie do ataku. W każdym razie ja nie wierzyłem, a właśnie udało się nam rozkręcić farmę, i sądziłem, że wszystko się rozejdzie po kościach, zanim wydarzy się coś naprawdę złego. Sądziłem, że to wszystko tylko plotki i paranoja, w tym paranoja twojej mamy aż do samego końca. – Marszczy brwi. – Myliłem się. Byłem głupi. – Odwraca wzrok. – Byłem ślepy na własne życzenie.

Przypominam sobie, jak mnie pocieszał w temacie Szpakła. Wszyscy popełniliśmy błędy, Todd. Wszyscy.

– A potem było już za późno – ciągnie Ben. – Czyn został popełniony, a wieść o tym, co zrobiło Prentisstown, rozeszła się jak pożar, przy czym jako pierwsi opowiadali o tym ci nieliczni, którym udało się zbiec. Wszystkich mężczyzn z Prentisstown okrzyknięto przestępcami. I już nie mieliśmy dokąd uciekać.

Viola nadal ma założone ręce.

– Czemu nikt nie przybył się z wami rozprawić? Czemu reszta Nowego Świata nie zrobiła z wami porządku?

– A co mieliby zrobić? – pyta Ben zmęczonym tonem. – Rozpocząć kolejną wojnę, tym razem z uzbrojonymi po zęby ludźmi? Zamknąć nas



wszystkich w ogromnym więzieniu? Ogłosili, że każdy mężczyzna z Prentisstown, który przekroczy granicę bagien, zgodnie z prawem zostanie stracony. A potem pozostawili nas samym sobie.

– Ale musieli... – zaczyna Viola, rozkładając ręce. – Coś musieli. Nie wiem.

– Jeśli sprawa się nie dzieje zaraz za twoimi drzwiami – odpowiada Ben – to łatwiej jest myśleć: „Po co iść i szukać kłopotów?” Między nami a Nowym Światem były bagna. Burmistrz ogłosił, że Prentisstown będzie odtąd osadą banitów. Skazaną, rzecz jasna, na powolne wymarcie. Mieliśmy przyrzec, że nigdy jej nie opuścimy, a gdybyśmy spróbowali, to on nas osobiście wytropi i pozabija.

– Czy ludzie nie próbowali? – pyta Viola. – Nie próbowali uciekać?

– *Próbowali* – odpowiada Ben, znacząco podkreślając to słowo. – Nierzadko zdarzało się, że ludzie znikali.

– Ale jeśli ty i Cillian byliście niewinni... – zaczynam.

– *Nie byliśmy* niewinni – odpowiada z naciskiem Ben, a w jego Szumie nagle czuć gorzki posmak. Wzdycha. – Nie byliśmy.

– Jak to nie byliście? – pytam, unosząc głowę. Żołądek nadal mi się buntuje. – Jak to nie byliście niewinni?

– Pozwoliliście, żeby to się stało – mówi Viola. – Nie zginęliście razem z resztą mężczyzn, z tymi, którzy bronili kobiet.

– Nie walczyliśmy – odpowiada Ben – i nie zginęliśmy. – Kręci głową. – Nie byliśmy niewinni. Bynajmniej.

– Czemuście nie walczyli? – pytam.

– Cillian chciał walczyć – mówi szybko Ben. – Chcę, żebyś to wiedział. Chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby ich powstrzymać. Oddałby życie. – Znów odwraca wzrok. – ale ja mu nie pozwoliłem.

– Dlaczego nie?

– Pojmuję – szepcze Viola.

Gapię się na nią, bo ja za cholere nie.

– Co pojmujesz?

Viola nadal wpatruje się w Bena.

– Albo giną w walce o słuszną sprawę i pozostawiają ciebie,

niemowlę, bez opieki – mówi – albo stają się moralnie współwinni złego, ale są w stanie zachować cię przy życiu.

Nie wiem, co to znaczy „moralnie”, ale mogę się domyślić.

Zrobili to dla mnie. Tak straszną rzecz. Zrobili to dla mnie.

Ben i Cillian. Cillian i Ben.

Zrobili to, żebyśmy mógł przeżyć.

Nie wiem, co myślę na temat tego wszystkiego.

Robienie tego, co słuszne, powinno być łatwe.

Nie powinno być po prostu jeszcze jednym wielkim burdelem, tak jak wszystko inne.

– Tak więc czekaliśmy – ciągnie Ben. – W więzieniu wielkości całej osady. Pełnym najbrzydszego Szumu, jaki kiedykolwiek słyszeliście, zanim mężczyźni zaczęli się wypierać własnej przeszłości i zanim burmistrz zaczął snuć swoje wielkie plany. Czekaliśmy na dzień, gdy będziesz na tyle duży, żebyś mógł odejść samodzielnie, na tyle niewinny, na ile będziemy w stanie cię ochronić. – Pociera ręką głowę. – Ale burmistrz też czekał.

– Na mnie? – pytam, choć wiem, że to prawda.

– Na to, żeby ostatni chłopiec stał się mężczyzną – odpowiada Ben.

– Kiedy chłopcy stawali się mężczyznami, mówiono im prawdę. A w każdym razie pewną wersję prawdy. A potem ich też czyniono współwinnymi.

Przypominam sobie jego Szum jeszcze na farmie, tamte myśli o moich urodzinach i o tym, w jaki sposób chłopiec staje się mężczyzną.

O tym, co tak naprawdę oznacza bycie współwinnym i jak można w to wciągać następnych.

O tym, jak czekali, aż będzie można wciągnąć w to mnie.

I o tych mężczyznach, którzy...

Wyrzucam to z myśli.

– To się nie trzyma kupy – mówię.

– Ty byłeś ostatni – odpowiada Ben. – Jeśli uda mu się uczynić z każdego chłopca w Prentisstown mężczyzną w swoim własnym rozumieniu, to jest Bogiem, nie? Stworzył nas wszystkich i ma nas pod

całkowitą kontrolą.

– *Jeśli jeden z nas upada* – mówię.

– *Wszyscy upadamy* – kończy Ben. – To dlatego burmistrz tak bardzo chce cię dostać w swoje ręce. Jesteś symbolem. Jesteś ostatnim niewinnym chłopcem z Prentisstown. Jeśli zdoła sprawić, żebyś upadł, to jego armia będzie doskonała i sam ją taką uczynił.

– A jeśli nie? – pytam, choć zastanawiam się, czy przypadkiem już nie upadłem.

– Jeśli nie – odpowiada Ben – on cię zabije.

– Czyli burmistrz Prentiss jest równie szalony jak Aaron – stwierdza Viola.

– Nie całkiem – odpowiada Ben. – Aaron to szaleniec. Ale burmistrz wie wystarczająco dużo, żeby umieć wykorzystywać szaleństwo do własnych celów.

– A jakie to są cele? – pyta Viola.

– Ten świat – odpowiada spokojnie Ben. – Burmistrz chce całej planety.

Otwieram usta, aby zapytać o więcej rzeczy, których nie chcę wiedzieć, ale wtedy, tak jakby nie było niczego innego, co mogłoby się w tym momencie wydarzyć, słyszymy to.

*Patataj, patataj, patataj.* Tętent niesie się drogą, zbliża się nieubłaganie, niczym żart, który nigdy, ale to nigdy nie będzie śmieszny.

– To są normalnie *jaja* – stwierdza Viola.

Ben już zerwał się na nogi i nasłuchuje.

– Brzmi jak pojedynczy koń.

Wszyscy wpatrujemy się teraz w drogę, która lśni z lekka w blasku księżycy.

– Lornetka – rzuca Viola, stając tuż koło mnie. Bez słowa wyciągam lornetkę, przełączam ją w tryb nocny i patrzę, próbując wyszukać źródło dźwięków, które niosą się w nocnym powietrzu.

*Patataj, patataj.*

Szukam na drodze, coraz dalej i dalej za nami, aż...

Jest.

Oto i on.

Któżby inny?

Pan Prentiss junior, żywy, zdrowy i uwolniony z więzów, z powrotem na swoim koniu.

– Niech to szlag – rzuca Viola, która czyta w moim Szumie, gdy wręczam jej lornetkę.

– Davy Prentiss? – pyta Ben, też czytając w moim Szumie.

– We własnej osobie. – Wkładam butelki z wodą z powrotem do torby Violi. – Musimy wiać.

Viola podaje lornetkę Benowi, żeby mógł sam zobaczyć. Ben po chwili odejmuje ją od oczu i ogląda.

– Niezła – mówi.

– Musimy wiać – ponagla Viola. – Jak zwykle.

Ben odwraca się ku nam, nadal z lornetką w ręku. Patrzy to na jedno z nas, to na drugie, i widzę, co się formuje w jego Szumie.

– Ben... – zaczynam mówić.

– Nie – odpowiada. – Tutaj was zostawiam.

– Ben...

– Z Davym Prentissem to ja sobie poradzę, psia jego mać.

– On ma strzelbę – mówię. – A ty nie.

Ben podchodzi do mnie.

– Todd – mówi.

– Nie, Ben – odpowiadam, podnosząc głos. – Nie będę tego słuchał.

Ben spogląda mi w oczy i zauważam, że dziwnym trafem już nie musi się schylać, żeby to zrobić.

– Todd – mówi ponownie. – Odkupię zło, które uczyniłem, zapewniając ci bezpieczeństwo.

– Nie możesz mnie zostawić, Ben – odpowiadam, a mój głos staje się łzawy (zamknijcie się). – Nie po raz drugi.

Ale on tylko kręci głową.

– Nie mogę iść z wami do Przystani. Wiesz, że nie mogę. Jestem wrogiem.

– Możemy wyjaśnić, jak było.

Ale on nadal kręci głową.

– Koń się zbliża – mówi Viola.

*Patataj, patataj, patataj.*

– Jedyne, co czyni mnie mężczyzną – oznajmia Ben, a głos ma twardy jak skała – to zadbanie, abys ty bezpiecznie się nim stał.

– Jeszcze nie jestem mężczyzną, Ben – odpowiadam, a głos mi się łamie (zamknijcie się). – Nie wiem nawet, ile dni mi jeszcze zostało.

I wtedy on się uśmiecha, i ten uśmiech mówi mi, że wszystko skończone.

– Szesnaście – odpowiada. – Do twoich urodzin zostało szesnaście dni. – Ujmuje dłonią mój podbródek i unosi mi twarz. – Ale jesteś już mężczyzną od dłuższego czasu. Nie pozwól, by ktokolwiek usiłował ci wmówić, że jest inaczej.

– Ben...

– Idź – odpowiada, po czym podchodzi do mnie, podaje lornetkę stojącej za mną Violi i bierze mnie w ramiona. – Żaden ojciec nie mógłby być bardziej dumny – słyszę jego głos tuż przy moim uchu.

– Nie – odpowiadam niewyraźnie. – To niesprawiedliwe.

– Fakt. – Odsuwa się. – Ale na końcu drogi czeka nadzieja. Pamiętaj o tym.

– Nie idź – mówię.

– Muszę. Niebezpieczeństwo jest tuż.

– Bliżej i bliżej – mówi Viola, z lornetką przy oczach.

*Patataj, pataTAJ.*

– Zatrzymam go. Zyskacie trochę czasu. – Ben spogląda na Violę. – Opiekuj się Toddem. Dajesz mi słowo?

– Daję panu słowo – odpowiada Viola.

– Ben, proszę – szepczę. – Proszę.

Po raz ostatni ściska mnie za ramiona.

– Pamiętaj – mówi. – *Miej nadzieję.*

I nie mówi już nic więcej, tylko się odwraca i zbiega z cmentarnego pagórka na drogę. Gdy jest już na dole, odwraca się i widzi, że nadal na niego patrzymy.

– Na co czekacie? – krzyczy. – Wiejcie!

## Jaki w tym sens?

Nie powiem, co czuję, kiedy zbiegamy po drugiej stronie wzgórza, oddalając się od Bena, tym razem już na zawsze, bo jak po tym ma jeszcze być jakieś życie?

Życie to uciekanie, a kiedy przestaniemy uciekać, może właśnie po tym poznamy, że życie wreszcie się skończyło.

– Chodź, Todd! – woła Viola, oglądając się przez ramię. – Proszę, pośpiesz się!

Nic nie mówię.

Biegnę.

Zbiegamy z pagórka, wracamy nad rzekę. Znowu. Drogę mamy teraz po przeciwnej stronie. Znowu.

Zawsze to samo.

Rzeka jest głośniejsza niż była, płynie z szumem, dość wartko, ale kogo to obchodzi? Co z tego wynika? Życie nie jest sprawiedliwe. Nie jest.

Nigdy.

Jest durne i bez sensu i składa się tylko z cierpienia i bólu i ludzi, którzy chcą ci zrobić krzywdę. Nie możesz niczego ani nikogo pokochać, bo wszystko zostanie ci odebrane albo zniszczone i człowiek zostaje sam i ciągle musi walczyć, ciągle musi uciekać, byle tylko przeżyć.

W życiu nie ma co liczyć na nic dobrego. Nic dobrego, nigdzie.

Jaki w tym, kuźwa, sens?

– Sens jest taki – mówi Viola, zatrzymując się w połowie gęstego, kolczastego zagajnika, żeby walnąć mnie *naprawdę mocno* w ramię – że Benowi zależało na tobie na tyle, żeby być może oddać za ciebie życie, a jeśli po prostu się **PODDASZ** – wykrzykuje to słowo – to dajesz do zrozumienia, że jego poświęcenie jest funta kłaków warte!

– Au – odpowiadam, rozcierając ramię. – Ale czemu on musiał się poświęcić? Dlaczego musiałem go stracić po raz drugi?

Dziewczyna podchodzi do mnie, staje blisko.

– Wydaje ci się, że tylko ty kogoś straciłeś? – pyta wściekłym szeptem. – Zapomniałeś, że moi rodzice też nie żyją?

Tak, zapomniałem o tym.

Zapomniałem.

Nic nie mówię.

– Teraz mam już tylko ciebie – ciągnie Viola tym samym gniewnym tonem. – A ty masz tylko *mnie*. I ja też jestem wściekła, że on odszedł, i jestem wściekła, że moi rodzice zginęli, i jestem wściekła, że w ogóle przyszło nam do głowy lecieć na tę planetę, ale tak już jest i szlag mnie trafia, że zostaliśmy całkiem sami, ale nic na to nie poradzimy.

Nadal nic nie mówię.

Ale Viola stoi tam i patrzę na nią, przyglądam się jej tak *naprawdę*, chyba po raz pierwszy, odkąd ją zobaczyłem kulącą się obok kłody tam na bagnach, kiedy myślałem, że jest Szpaklem.

Całe wieki temu.

Nadal jest w miarę czysta po dniach, któreśmy spędzili w Węglarskich Wzgórzach (to było jeszcze wczoraj, zaledwie wczoraj), ale na policzkach ma smugi ziemi i jest chudsza niż wcześniej i ma sińce pod oczami, a jej włosy są potargane i splątane, jej ręce są umazane czymś czarnym jak sadza, na koszuli ma z przodu zieloną plamę, bo raz się przewróciła w trawę, a na wardze skaleczenie w miejscu, gdzie walnęła ją gałąź, kiedy uciekaliśmy z Benem (i nie został nam już ani jeden opatrunek, żeby się tym zająć), i patrzy na mnie.

I mów mi, że ona jest wszystkim, co mi zostało.

A ja jestem wszystkim, co jej zostało.

I po trosze czuję, co to za uczucie.

Barwy mojego Szumu robią się inne.

Jej głos łagodnieje, ale tylko trochę.

– Bena już nie ma i Manczego nie ma i mojego taty i mamy też nie ma – mówi. – I szlag mnie trafia, że tak jest. Szlag mnie trafia. Ale dotarliśmy



prawie do końca drogi. Jesteśmy już prawie na miejscu. A jeśli ty się nie poddajesz, to i ja nie.

– Czy wierzysz, że na końcu drogi jest nadzieja? – pytam.

– Nie – odpowiada krótko Viola, odwracając wzrok.

– Nie, nie wierzę, ale i tak tam idę. – Mierzy mnie wzrokiem. – A ty? Idziesz ze mną?

Nie muszę odpowiadać. Śpieszymy dalej.

Ale...

– Powinniśmy po prostu iść drogą – mówię, przytrzymując nie wiadomo którą gałąź.

– Ale armia – protestuje Viola. – I konie.

– Oni wiedzą, dokąd zmierzamy. My wiemy, dokąd zmierzają. Wygląda na to, żeśmy wszyscy obrali tę samą trasę do Przystani.

– I usłyszymy ich, gdy się będą zbliżać – przytakuje Viola. – A drogą będzie najszybciej.

– Drogą będzie najszybciej.

A potem ona stwierdza:

– Więc, kuźwa, idźmy drogą i postarajmy się dotrzeć wreszcie do Przystani.

Uśmiecham się, tak troszkę.

– Powiedziałaś „kuźwa” – mówię. – Poważnie, powiedziałaś „kuźwa”.

No więc idziemy, kuźwa, drogą, tak szybko, jak pozwala nam zmęczenie. To nadal ta sama pylista, kręta, czasem błotnista droga wzdłuż rzeki, co przez mile i mile wcześniej, a wokół nas rozciąga się ten sam liściasty, wypełniony drzewami Nowy Świat.

Gdybyście dopiero co wylądowali tutaj i nic nie wiedzieli o niczym, naprawdę moglibyście pomyśleć, że to Eden.

Wokół nas rozpościera się szeroka dolina. Jej dno, po którym płynie rzeka, jest płaskie, ale po bokach zaczynają się wznosić odległe wzgórza. Oświetla je tylko blask księżyca, nie widać ani śladu odległych osad, a w każdym razie takich, gdzie paliłyby się jakieś światła.

Przed nami nie ma też ani śladu Przystani, ale stoimy w najbardziej

płaskim punkcie doliny i nie widzimy zbyt wiele z tego, co się znajduje za zakrętami drogi, czy to przed nami, czy za nami. Obie strony rzeki nadal pokrywa las i aż chciałoby się pomyśleć, że cały Nowy Świat opustoszał, wszyscy go opuścili, pozostawiając po sobie tylko tę drogę.

Idziemy dalej.

I dalej.

Dopiero kiedy nad doliną przed nami zaczynają się pojawiać pierwsze smugi zorzy, zatrzymujemy się, żeby uzupełnić zapasy wody.

Pijemy. Słysząc tylko mój Szum oraz płynącą wartko rzekę.

Żadnego stukotu kopyt. Żadnego innego Szumu.

– Wiesz, to znaczy, że musiało mu się udać – mówi Viola, nie patrząc mi w oczy. – Bez względu na to, co zrobił, powstrzymał tego człowieka na koniu.

Potakuję tylko mruknięciem i kiwnięciem głowy.

– I nie słyszeliśmy żadnych strzałów.

Znów mruczę potakująco i kiwam głową.

– Przepraszam, że wcześniej na ciebie nakrzyczałam – mówi Viola. – Chciałam tylko, żebyś biegł dalej. Nie chciałam, żebyś się zatrzymywał.

– Wiem.

Opieramy się o dwa drzewa nad brzegiem rzeki. Drogę mamy za plecami, a po przeciwnej stronie nurtu widać jedynie więcej drzew, zaś dalej wznosi się przeciwległe zbocze doliny, a nad nim jest już tylko niebo, które robi się coraz jaśniejsze i bardziej niebieskie i większe i bardziej puste, aż w końcu nawet gwiazdy zaczynają z niego znikać.

– Kiedy odlatywaliśmy statkiem zwiadowczym – mówi Viola, patrząc wraz ze mną na rzekę – było mi naprawdę smutno, że muszę zostawić przyjaciół. To było tylko kilkoro dzieciaków z innych czuwających rodzin, ale i tak strasznie żałowałam. Sądziłam, że przez całe siedem miesięcy będę jedyną osobą w moim wieku na tej planecie.

Wypijam trochę wody.

– Ja nie miałem żadnych przyjaciół w Preitistown.

Viola odwraca się do mnie.

– Jak to żadnych przyjaciół? Musiałeś mieć przyjaciół.

– Miałem kilku przez jakiś czas, chłopców starszych ode mnie o parę miesięcy. Ale kiedy chłopcy stają się mężczyznami, przestają się odzywać do chłopców. – Wzruszam ramionami. – Byłem ostatnim chłopcem. W końcu zostaliśmy już tylko ja i Manczi.

Viola spogląda w górę, na gasnące gwiazdy.

– To głupia zasada.

– Fakt.

Nie mówimy już nic więcej. Jesteśmy tam sami, tylko ja i Viola nad brzegiem rzeki. Odpoczywamy, podczas gdy nad nami wstaje świt.

Tylko ja i ona.

Po minucie wstajemy, zaczynamy się szykować do dalszej drogi.

– Moglibyśmy jutro dotrzeć do Przystani – mówię. – Jeśli będziemy szli dalej.

– Jutro. – Viola kiwa głową. – Mam nadzieję, że po drodze znajdziemy coś do jedzenia.

Teraz jej kolej, żeby ponieść torbę, więc przekazuję jej nasz bagaż. Słońce wyłania się zza krawędzi doliny, gdzie wygląda to tak, jakby rzeka płynęła prosto w nie, a gdy światło trafia wzgórze po przeciwnej stronie rzeki, coś przykuwa moją uwagę.

Viola odwraca się natychmiast, zaalarmowana iskrą w moim Szumie.

– Co?

Oślaniam oczy przed wschodzącym słońcem. Na szczycie odległych wzgórz widać podnoszącą się smużkę kurzu. I ta smużka się porusza.

– Co to takiego? – pytam.

Viola wygrzebuje z torby lornetkę i spogląda przez nią.

– Źle widzę – mówi. – Drzewa zasłaniają.

– Ktoś podróżuje?

– Może to ta druga droga. Ta odnoga, którą nie poszliśmy. Przez minutę lub dwie patrzemy na smugę kurzu, która nadal się podnosi, zmierza w kierunku Przystani w powolnym tempie odległej chmury. Dziwnie jest ją widzieć, nie słysząc żadnych dźwięków.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz jest armia – mówię. – Jak daleko byli za nami.

– Może Węglarskie Wzgórza zbyt zażarcie się broniły. – Viola kieruje lornetkę w górę rzeki, żeby popatrzeć w kierunku, z którego przyszliśmy, ale droga biegnie zbyt płasko i zanadto się wiję. Widać tylko drzewa. Drzewa, niebo i spokój, i milczącą smugę kurzu, co sunie wzdłuż wierzchołków odległych wzgórz.

– Powinniśmy ruszać – mówię. – Zaczynam się trochę bać.

– To chodźmy – odpowiada Viola, jakoś tak cicho.

Wracamy na drogę.

Żeby znów uciekać.

Nie mamy ze sobą żadnego prowiantu, więc na śniadanie jemy żółte owoce, które Viola wypatrzyła na kilku mijanych drzewach i zaklina się, że je jadła w Węglarskich Wzgórzach. Te same owoce służą nam za obiad, ale są lepsze niż nic.

Znów myślę o nożu, który mam za plecami.

Czy mógłbym zapolować, gdyby był czas?

Ale nie ma czasu.

Gnamy przed siebie, podczas gdy południe zmienia się w popołudnie. Świat nadal jest opustoszały i niepokojący. Tylko ja i Viola biegniemy dnem doliny, nigdzie nie widać żadnych osiedli, żadnych karawan ani wozów, nie słychać żadnych odgłosów głośniejszych niż dźwięk rzeki, która huczy coraz głośniej, aż w końcu ciężko nawet usłyszeć mój Szum, a jeśli chcemy rozmawiać, musimy podnosić głos.

Ale jesteśmy zbyt głodni, żeby rozmawiać. I zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. I zbyt często biegniemy, żeby rozmawiać.

Więc podążamy dalej.

A ja odkrywam, że patrzę na Violę.

Smuga kurzu na szczycie odległego wzgórza towarzyszy nam, wyprzedzając nas powoli, w miarę jak dzień chyli się ku zachodowi, aż w końcu znika w oddali. Patrzę, jak Viola zerka na nią, gdy tak śpieszymy naprzód. Patrzę, jak biegnie obok mnie, krzywiąc się, bo bołą ją nogi. Patrzę, jak je rozciera, gdy się zatrzymujemy, i patrzę, jak pije wodę z butelek.

Teraz, gdy ją zobaczyłem, nie umiem przestać jej widzieć.

Viola to spostrzega.

– Co?

– Nic – odpowiadam i odwracam wzrok, bo ja też nie wiem.

Zakręty na rzece się skończyły, bo dolina z obu stron robi się coraz bardziej stroma i wąska. Gdy teraz się oglądamy do tyłu, widzimy kawałek drogi, którą przyszlismy. Nie widać jeszcze ani armii, ani żadnych jeźdźców. Ta cisza jest niemal straszniejsza, niż gdyby zewsząd otaczał nas Szum.

Zapada zmierzch, słońce kryje się w dolinie za nami, zachodzi ponad miejscem, gdzie znajduje się armia, gdziekolwiek to jest, i ponad tym, co tam w tyle pozostało z Nowego Świata. Ciekawe, co się stało z mężczyznami, którzy walczyli przeciwko armii, oraz z tymi, którzy do niej dołączyli.

I ciekawe, co się stało z kobietami.

Viola biegnie przede mną.

Patrzę, jak biegnie.

Tuż po zmroku docieramy w końcu do kolejnej osady, jeszcze jednej, gdzie są nabrzeża i pomosty na rzece. Ta też jest opuszczona. Liczy raptem pięć domów rozmieszczonych wzdłuż krótkiego odcinka drogi, a przy jednym z nich w dobudówce mieściło się coś, co wygląda na mały sklep wielobranżowy.

– Czekał no – mówi Viola, przystając.

– Kolacja? – pytam, łapiąc oddech.

Ona kiwa głową.

Potrzeba jakichś sześciu kopniaków, żeby otworzyć drzwi sklepu, a choć w środku ewidentnie nikogo nie ma, ja i tak rozglądam się nerwowo, oczekując, że ktoś mnie skarci. Wewnątrz są głównie puszki, ale udaje nam się znaleźć bochenek czerstwego chleba, trochę poobijanych owoców oraz kilka pasków suszonego mięsa.

– Ten chleb i owoce nie mają więcej niż dzień czy dwa – mówi Viola między jednym a drugim kęsem. – Musieli uciec do Przystani albo wczoraj, albo przedwczoraj.

– Plotki o armii robią swoje – mówię. Nie przeżółtem swojego

suszonego mięsa wystarczająco dokładnie, nim je połknąłem, zaczynam kaszleć i odrobina wraca.

Napełniamy brzuchy, na ile się da, po czym upycham resztę prowiantu w torbie Violi, która teraz wisi u mnie na ramieniu. Przy okazji w oko wpada mi notes. Nadal tam jest, nadal owinięty w plastikową folię, nadal z dziurą na wylot w kształcie noża.

Sięgam do wnętrza folii, przejeżdżam opuszkami palców po okładce. Jest miękka w dotyku i nadal wydziela słaby zapach skóry.

Notes. Pamiętnik mojej matki. Przebył ten cały szmat drogi razem z nami. Przetrwał ranę, którą mu zadano. Zupełnie jak my.

Podnoszę wzrok na Violę.

Ona znów to spostrzega.

– Co? – pyta.

– Nic. – Wkładam notes z powrotem do wyładowanej jedzeniem torby. – Chodźmy.

Z powrotem w drodze, znowu z biegiem rzeki, znowu w kierunku Przystani.

– Wiesz, to powinna być już ostatnia noc – mówi Viola. – Jeśli doktor Snow miał rację, dotrzemy tam jutro.

– No – potwierdzam – i świat się zmieni.

– Znowu.

– Znowu – przytakuję.

Idziemy jeszcze parę kroków.

– Zaczynasz czuć nadzieję? – pyta Viola zaciekawionym głosem.

– Nie – odpowiadam, zaciemniając mój Szum – A ty?

Jej brwi się uniosły, ale kręci głową.

– Nie, nie.

– Ale i tak tam idziemy.

– Tak – odpowiada Viola. – Choćby się waliło i paliło.

– Pewnie doczekamy się jednego i drugiego – odpowiadam.

Słońce zachodzi, księżycy znów wschodzą i są mniejszymi rogalikami niż ubiegłej nocy. Niebo nadal jest czyste, gwiazdy błyszczą w górze, świat tak samo cichy, słychać tylko coraz głośniejszy szum rzeki.

Nadchodzi północ.

Piętnaście dni.

Piętnaście dni do...

Do czego?

Idziemy przez całą noc, niebo przesuwa się powoli nad nami, stopniowo przestajemy rozmawiać, w miarę jak kolacja się spala i znów ogarnia nas zmęczenie. Tuż przed świtem natrafiamy na dwa przewrócone wozy na drodze. Wszędzie wokół rozsypane jest ziarno, a na poboczu leży kilka koszy.

– Nawet nie zadali sobie trudu, żeby wszystko uratować – mówi Viola. – Zostawili połowę na ziemi.

– Równie dobre miejsce na śniadanie, jak każde inne.

– Odwracam jeden z koszy do góry dnem, zaciągam go w miejsce, gdzie z drogi widać rzekę, i siadam na nim.

Viola podnosi drugi kosz, przynosi go i siada obok. Na niebie widać smugi światła, słońce wkrótce wzejdzie, droga prowadzi prosto ku niemu i rzeka też płynie prosto ku świtowi. Otwieram torbę i wydaję trochę sklepowego jedzenia, podaję część Violi i sam jem to, co mam. Pijemy wodę z butelek.

Na moich kolanach leży otwarta torba. Są w niej nasze ocalałe ubrania oraz lornetka.

I notes.

Czuję obok siebie ciszę Violi, czuję, jak mnie przyciąga i sprawia, że w piersi, żołądku i głowie mam pustkę, i przypominam sobie ból, który kiedyś czułem, kiedy podchodziła za blisko, ten ból, który kojarzył się ze smutkiem, który kojarzył się ze stratą, tak jakbym spadał, spadał w nicość, który sprawiał, że się napinałem i miałem ochotę płakać, sprawiał, że autentycznie *płakałem*.

Ale teraz...

Teraz już nie.

Spoglądam na nią.

Na pewno wie, co jest w moim Szumie. Jestem jedyną osobą w pobliżu, a ona staje się coraz lepsza i lepsza w czytaniu go, mimo że

rzeka stała się teraz tak głośna.

Ale Viola siedzi tam, jedząc w milczeniu, czekając, aż coś powiem.

Czekając, aż zapytam.

Bo oto, co sobie myślę.

Kiedy wszędzie słońce, to będzie dzień, kiedy dotrzemy do Przystani, dzień, kiedy trafimy w miejsce pełne tylu ludzi, ilu nigdy nie widziałem w całym swoim życiu, miejsce wypełnione taką ilością Szumu, że nigdy nie masz szans być sam, chyba że wynaleźli lek, a w takim wypadku ja będę jedyną Szumiącą osobą i to będzie wręcz jeszcze gorsze.

Dotrzemy do Przystani, staniemy się częścią miasta.

Już nie Todd i Viola, siedzący nad rzeką o wschodzie słońca i jedzący śniadanie niczym dwoje jedynych ludzi na całej planecie.

Tam będą wszyscy, wszyscy razem.

To może być nasza ostatnia szansa.

Odwracam wzrok od Violi, żeby móc się odezwać.

– Pamiętasz te różne głosy, którymi potrafisz mówić?

– Tak – odpowiada cicho. Wyjmuję notes.

– Sądzisz, że udałoby ci się naśladować głos z Prentisstown?



## Usłyszałem głos dziewczęcia

*Najdroższy Toddzie – czyta Viola, naśladowując akcent Bena najlepiej jak potrafi. A wychodzi jej to cholernie dobrze. Mój najdroższy synu.*

*Moja mama. Głos mojej mamy. Splatam ręce na piersi i patrzę w dół, na rozsypane ziarno.*

*Zaczynam pisać ten pamiętnik w dniu twoich narodzin, w dniu, w którym po raz pierwszy znalazłeś się w moich ramionach zamiast w moim brzuchu. Na zewnątrz kopiesz równie często jak w środku! I jesteś najpiękniejszą rzeczą, jaka się kiedykolwiek wydarzyła w całym, calutkim wszechświecie. Jesteś najpiękniejszą rzeczą tu na Nowym Świecie i nic w Nowej Elizabeth nie może się z tobą równać, to na bank.*

*Czuję, jak się czerwienię, ale słońce jeszcze nie wzeszło, więc tego nie widać.*

*Szkoda, że twój tatko nie może cię zobaczyć, Todd, ale Nowy Świat i Pan nasz sprawili, że choroba zabrała go pięć miesięcy temu i oboje będziemy musieli poczekać, aż go spotkamy na tamtym świecie.*

*Wyglądasz jak on. No dobrze, niemowlęta wyglądają głównie jak niemowlęta, ale powiadam ci, że wyglądasz jak on. Będziesz wysoki, Todd, bo twój tatko był wysoki. Będziesz silny, bo twój tatko był silny. I będziesz przystojny, oj tak, będziesz przystojny jak nie wiem co. Wszystkie dziewczyny z Nowego Świata będą za tobą szaleć.*

*Viola przewraca kartkę, a ja nie patrzę na nią. Wyczuwam, że ona też na mnie nie patrzy, a nie chciałbym akurat w tej chwili zobaczyć uśmiechu na jej twarzy.*

*Bo znów dzieje się ta dziwna rzecz.*

*Jej słowa nie są jej słowami i wydobywając się z jej ust brzmią jak kłamstwo, ale tworzą nową prawdę, malują inny świat, w którym moja mama mówi wprost do mnie. Viola mówi nieswoim głosem, a ten inny*

świat, przynajmniej przez chwilę, jest cały dla mnie, jest tworzony tylko dla mnie.

Pozwól, że ci opowiem o miejscu, gdzie się urodziłeś, synu. Nazywa się Nowy Świat i to cała planeta zbudowana z nadziei...

Viola urywa, tylko na sekundę, po czym kontynuuje.

Wylądowaliśmy tu prawie dokładnie dziesięć lat temu, szukając nowego sposobu na życie, życie czyste, proste, uczciwe i dobre, pod każdym względem inne od życia na Starym Świecie. Chcieliśmy stworzyć miejsce, gdzie ludzie będą mogli żyć bezpiecznie i w pokoju, z Bogiem jako przewodnikiem, miłując swych bliźnich.

Bywało ciężko. Nie chcę zaczynać tej opowieści od kłamstwa, Todd. Nie mieliśmy tutaj letko...

Och, kto to widział, piszę „letko”, zwracając się do syna. Kłania się życie kolonisty, jak sądzę: nie ma czasu na piękne słówka i łatwo spaść do poziomu tych ludzi, co to radośnie za pominają o manierach. Ale „letko” nikomu jeszcze nie zrobiło krzywdy, nieprawdaż? W porządku, postanowione. To mój pierwszy błąd wychowawczy. Mów „letko”, ile ci się żywnie spodoba, Todd. Obiecuję, że nie będę cię poprawiać.

Viola krzywi usta, ale nic nie mówię, więc czyta dalej.

No więc Nowy Świat doświadczył Nową Elizabeth trudami i chorobami. Istnieje tutaj coś, co zwie się Szum i mężczyźni mają z tym kłopot od czasu lądowania, ale najdziwniejsze jest to, że ty i inni chłopcy z osady będziecie z tym żyć od urodzenia, więc ciężko będzie wam wytłumaczyć, jak wyglądało życie wcześniej i czemu teraz jest tak trudne, ale radzimy sobie, jak potrafimy najlepiej.

Mężczyzna nazwiskiem David Prentiss, który ma syna tylko trochę starszego od ciebie, Todd, i który należy do tych z nas, co się wyróżniają zmysłem organizacyjnym – zdaje się, że był jednym z czuwających na statku, który nas tu przywiózł, jeśli mnie pamięć nie myli...

Viola znów robi pauzę, ale tym razem to ja czekam, aż ona coś powie. Nic nie mówi.

Przekonał Jessikę Elizabeth, naszą panią burmistrz, aby założyć tę małą osadę po drugiej stronie rozległych bagnisk, tak, aby Szum reszty Nowego

Świata nigdy nie mógł do nas dotrzeć, chyba że mu na to pozwolimy. W Nowej Elizabeth nadal słyhać potwornie dużo Szumu, ale przynajmniej to ludzie, których znamy, ludzie, którym ufamy W większości.

Ja uprawiam kilka pól zboża na północ od osady. Odkąd zmarł twój tatko, nasi bliscy przyjaciele Ben i Cillian pomagają mi, bo sąsiednia farma należy do nich. Nie mogę się doczekać, aż ich poznasz. Czekaj, przecież już ich poznałeś! Już trzymali cię na ręku i powiedzieli ci „cześć” więc patrz tylko, jesteś na świecie od jednego dnia i już masz dwóch przyjaciół. To dobry początek, synu.

Co więcej, jestem przekonana, że będziesz sobie świetnie radził, bo przyszedłeś na świat dwa tygodnie przed terminem. Najwidoczniej zdecydowałeś, że masz już dość i chcesz zobaczyć, co ta planeta ma ci do zaoferowania. Nie dziwię ci się. Niebo jest tak wielkie i błękitne, drzewa tak zielone i to jest świat, gdzie zwierzęta mówią do ciebie, naprawdę mówią, i możesz nawet mówić do nich, i jest tu tyle cudowności, tyle rzeczy, które na ciebie czekają, Todd, że niemal nie mogę znieść myśli, że to wszystko nie dzieje się dla ciebie już teraz, że będziesz musiał zaczekać, aby ujrzeć całe bogactwo możliwości, te wszystkie rzeczy, które możesz robić. Viola bierze oddech i mówi:

– Tutaj tekst się urywa i jest mała przerwa, a potem słowo Później, tak jakby coś jej przerwało. – Spogląda na mnie. – Dobrze się czujesz?

– Tak, tak. – Przytakuję prędko, nadal z założonymi rękami. – Czytaj dalej.

Robi się coraz jaśniej, słońce wschodzi. Odwracam się od niej, tak trochę.

Viola czyta.

Później.

Przepraszam, synu, musiałam przerwać na minutkę, bo odwiedził nas nasz sługa Boży, Aaron.

Kolejna pauza, kolejne zwilżenie warg.

Mamy szczęście, że jest z nami, choć muszę przyznać, że ostatnimi czasy mówi rzeczy, z którymi nie całkiem się zgadzam, na temat rdzennych mieszkańców Nowego Świata. Nazywają się oni Szpacle, nawiasem mówiąc, i stanowili dla nas WIELKIE zaskoczenie, bo z początku byli tak nieśmiali, że ani

twórcy wyjściowego planu kolonizacji na Starym Świecie, ani nasi zwiadowcy w ogóle nie wiedzieli, że oni tu są!

To bardzo sympatyczne stworzenia. Są od nas inni, może prymitywni, i nie mają żadnego mówionego ani pisanego języka, a w każdym razie nie zdołaliśmy niczego takiego odkryć, ale nie zgadzam się z tymi ludźmi, którzy uważają, że Szpakle to zwierzęta, a nie inteligentne istoty. Zaś Aaron ostatnimi czasy mówi w kazaniach o tym, że Bóg nakreślił linię oddzielającą nas od nich i...

No cóż, to chyba nie jest coś, nad czym powinnam się rozwodzić w pierwszym dniu twojego życia, prawda? Aaron wierzy całym sercem w to, co wierzy, był dla nas wszystkich wzorem pobożności przez te wszystkie długie lata, a na wypadek, gdyby ktoś kiedyś znalazł ten pamiętnik i go czytał, chcę podkreślić, że to dla mnie zaszczyt, że przyszedł tutaj i pobłogosławił cię w pierwszym dniu twojego życia. Jasne?

Ale w pierwszym dniu twojego życia powiem też, że radość płynąca z władzy to coś, o czym powinieneś się dowiedzieć, zanim zrobisz się dużo starszy. To jest ta rzecz, która odróżnia mężczyzn od chłopców, choć nie w taki sposób, o jakim myśli większość mężczyzn.

I tylko tyle pozwolę sobie powiedzieć. Wścibskie oczy i tak dalek.

Och, synu, tyle jest cudów na świecie. Nie pozwól, aby ktokolwiek ci wmawiał, że jest inaczej. Tak, życie tu na Nowym Świecie bywa trudne i przyznam ci się nawet, bo skoro już zaczęłam, musi to być uczciwy początek, no więc powiem ci, że omal nie popadłam w rozpacz. Sprawy w osadzie są trochę zbyt skomplikowane, żebym mogła to wszystko teraz wyjaśnić, są rzeczy, których sam już wkrótce się dowiesz, czy będę tego chciała, czy nie, mieliśmy też kłopoty z brakiem żywności, z chorobami i było nam wystarczająco ciężko, zanim jeszcze straciłam twoją tatę, i omal się poddałam.

Ale się nie poddałam. Nie poddałam się ze względu na ciebie, mój śliczny, śliczny chłopcze, mój cudowny synu. Być może zmienisz ten świat na lepsze. Obiecuję zawsze cię wychowywać z miłością i nadzieją i przysięgam, że zobaczysz, jak ten świat zmienia się na lepsze. Przysięgam.

Bo kiedy dziś rano po raz pierwszy wzięłam cię w ramiona i karmiłam cię

moim własnym mlekiem, czułam do ciebie tyle miłości, że było to prawie jak ból, prawie jakbym nie mogła już tego wytrzymać przez choćby jedną sekundę.

Ale tylko prawie.

I zaśpiewałam ci piosenkę, którą mnie śpiewała moja matka, a jej śpiewała jej matka. Oto słowa.

I tutaj, ku mojemu zaskoczeniu, Viola śpiewa.

Autentycznie śpiewa.

Moja skóra pokrywa się gęsią skórą, a klatkę piersiową przygniata ciężar. Viola musiała usłyszeć całą melodię w moim Szumie i oczywiście słyszała, jak śpiewał ją Ben, bo piosenka wypływa teraz z jej ust, dźwięcząc tak czysto i donośnie jak głos dzwonu.

Głos Violi zmienia świat w głos mojej mamy, śpiewający piosenkę.

Pewnego ranka o bladej godzinie

Usłyszałem głos dziewczęcia w dolinie

Ach, nie oszukuj mnie

Ach, nie opuszczaj mnie

Jak mogłeś tak skłamać biednej dziewczynie?

Nie jestem w stanie na nią patrzeć.

Nie jestem w stanie na nią patrzeć.

Przykładam dłoń do głowy.

To smutna piosenka, Todd, ale jest to również obietnica. Nigdy cię nie oszukam i nigdy cię nie opuszczę i przyrzekam ci to, abyś ty pewnego dnia mógł przyrzekać to samo innym i wiedzieć, że to prawda.

O proszę, Todd! Właśnie płaczesz. Obudziłeś się z pierwszego snu pierwszego dnia i płaczesz w swoim łóżeczku, obudziłeś się i prosisz świat, żeby do ciebie przyszedł.

A więc na dzisiaj muszę zakończyć moje pisanie. Wzywasz mnie, synku, więc idę.

Viola przestaje czytać i słyszeć już tylko rzekę oraz mój Szum.

– Jest tego więcej – mówi po chwili, widząc, że nie podnoszę głowy. Przewraca strony. – Dużo więcej. – Spogląda na mnie. – Chcesz, żebym czytała dalej? – Patrzy z powrotem na notes. – Chcesz, żebym

przeczytała to, co jest na samym końcu?

Na końcu.

Przeczytać ostatnią rzecz, jaką napisała moja mama w ostatnich dniach przed...

– Nie – mówię szybko.

*Wzywasz mnie, synku, więc idę.*

W moim Szumie już na zawsze.

– Nie – mówię raz jeszcze. – Zostawmy to na razie.

Zerkam na Violę i widzę, że jej twarz jest ściągnięta, równie smutna jak mój Szum. Jej oczy są mokre, a podbródek trzęsie się ledwie dostrzegalnie – ot, leciutkie drżenie widoczne w blasku wczesnoporanego słońca. Widzi, że patrzę, wyczuwa w moim Szumie, że ją obserwuję, i odwraca się przodem do rzeki.

I tam, tamtego ranka, w blasku tamtego wschodzącego słońca, coś sobie uzmysławiam.

Uzmysławiam sobie coś ważnego.

Tak ważnego, że aż wstaję, gdy w pełni to do mnie dociera.

Wiem, co ona myśli.

*Wiem, co ona myśli.*

Nawet *patrząc* na jej plecy, wiem, co ona myśli i czuje i co się dzieje w niej w środku.

To, jak się odwróciła, to, jak trzyma głowę i dłonie i notes na kolanach, to, jak leciutko sztywnieje, gdy słyszy to wszystko w moim Szumie.

Umiem to odczytać.

Umiem ją odczytać.

Bo myśli o tym, że jej rodzice też przybyli tutaj z taką samą nadzieją, jak moja mama. Zastanawia się, czy nadzieja na końcu naszej drogi jest równie fałszywa, jak ta, która czekała na końcu drogi mojej mamy. I bierze słowa mojej mamy, i wkłada je w usta swoich własnych rodziców i słyszy jak mówią, że ją kochają i tęsknią za nią i życzą jej wszystkiego, co najwspanialsze. I bierze piosenkę mojej mamy i splata ją ze wszystkim innym, aż piosenka staje się częścią jej własnego smutku.

I boli ją to, ale ten ból jest w porządku, chociaż wciąż boli. Jest dobry, choć boli.

Boli ją.

Wiem o tym wszystkim.

Wiem, że to prawda.

Bo umiem ją odczytać.

Umiem czytać w jej Szumie, choć ona żadnego Szumu nie ma.

Wiem, kim ona jest.

Znam Violę Eade.

Podnoszę dłonie, przykładam je do skroni, usiłując jakoś ogarnąć to wszystko.

– Violu – szepczę drżącym głosem.

– Wiem – odpowiada cicho, obejmując się ciasno ramionami, nadal nie patrząc na mnie, tylko w przeciwną stronę.

I patrzę na nią, siedzącą tam, a ona patrzy na rzekę i czekamy, aż słońce wzejdzie na dobre, i każde z nas wie.

Każde z nas zna to drugie.

# 39

## Wodospad

Słońce powoli wznosi się wyżej, a rzeka jest głośna. Patrzymy na nią i teraz widzimy, jak pędzi w dół ku wylotowi doliny, pieniąc się i tworząc małe kaskady.

To Viola przerywa zakłętę milczenie, które zapadło między nami.

– Wiesz, co to musi być, prawda? – pyta. Wyjmuje lornetkę i spogląda w dół rzeki. Słońce świeci ponad wylotem doliny. Viola musi osłonić dłońią szkła.

– Co takiego? – pytam.

Dziewczyna wciska jeden czy dwa guziki, po czym patrzy znowu.

– Co tam widzisz? – pytam.

Podaje mi lornetkę.

Spoglądam w dół rzeki, na kaskady, na pianę i dalej...

Aż do samego końca.

Kilka kilometrów dalej rzeka urywa się w powietrzu.

– Jeszcze jeden wodospad – mówię.

– Wygląda na dużo większy niż ten, który widzieliśmy, kiedy byliśmy z Wilfem – odpowiada Viola.

– Droga jakoś go ominie – mówię. – Raczej nie mamy się czym martwić.

– Nie o to mi chodzi.

– A o co?

– Chodzi mi o to – tłumaczy, marszcząc brwi, bo ją ciut zirytowała moja tępota – że u podnóża tak wielkiego wodospadu na pewno znajduje się miasto. Jakbyś musiał wybierać na pierwszą osadę dowolne miejsce z całej planety, to dolina u stóp wodospadu, gdzie ziemia jest żyzna, a woda pod ręką, będzie z kosmosu wyglądać idealnie.

Mój Szum troszkę przybiera na sile, ale tylko troszkę. Bo kto



odważyłby się mieć nadzieję?

– Przyszań – mówię.

– Założę się, o co tylko chcesz, żeśmy ją znaleźli – mówi Viola. – Założę się, że gdy dotrzemy do tego wodospadu, zobaczymy ją w dole.

– Jeśli pobiegniemy – odpowiadam – możemy tam dotrzeć w godzinę. Może nawet szybciej.

Viola spogląda mi w oczy po raz pierwszy, odkąd zaczęła czytać notes mojej mamy. I mówi:

– Jeśli pobiegniemy?

A potem się uśmiecha.

Autentycznie się uśmiecha.

I ja też wiem, co to znaczy.

Łapiemy nasze nieliczne klamoty i ruszamy.

Szybciej niż wcześniej.

Moje stopy są zmęczone i obolałe. Stopy Violi na pewno też. Mam pęcherze, całe ciało mnie boli, a przede wszystkim boli mnie serce od tego wszystkiego, za czym tęsknię i od tego wszystkiego, czego już nie ma. I serce Violi też.

Ale biegniemy.

Rany, jak my biegniemy.

Bo może (zamknij się...)

Może (nie myśl tego...)

Może na końcu drogi naprawdę jest nadzieja.

Gdy tak pędzimy, rzeka staje się coraz szersza i mniej kręta, a ściany doliny są coraz bliżej i bliżej; ta po naszej stronie przybliżyła się tak bardzo, że droga zaczyna biec trawersem po pochyłości. W powietrzu unosi się mgła rozpylonych kropeł. Nasze ubrania, twarze i ręce robią się mokre. Ryk przemienia się w grzmot, wypełnia cały świat, niemal jak coś fizycznego, ale nie jest to nieprzyjemne. To takie uczucie, jakby nas obmywał, jakby zmywał Szum.

I myślę: *Błagam, niech u stóp wodospadu będzie Przyszań.*

*Błagam.*

Bo widzę, że Viola ogląda się na mnie, gdy biegniemy, a na jej twarzy

widać radość, i co rusz przynagła mnie ruchami głowy oraz uśmiechami, i myślę sobie, że nadzieja może być tym, co cię pcha do przodu, może być tym, co pozwala ci wytrwać, ale że jest też niebezpieczna, że jest bolesna i ryzykowna, że to jak rzucenie wyzwania światu, a czy świat kiedykolwiek pozwala nam wygrać?

Błagam, niech Przyszań tam będzie.

Błagam błagam błagam.

Droga w końcu zaczyna się letko wznosić, biegnie teraz nieco powyżej rzeki, a woda z furją przewala się między skałami. Między nami a nią nie ma już lasu, tylko zbocze wzgórza, które wznosi się po naszej prawej stronie, coraz bardziej stromo. Dolina się zwęża i kończy, a dalej przed nami są już tylko rzeka i wodospad.

– Jeszcze tylko kawałek – woła Viola, która mnie wyprzedziła i biegnie.

Włosy podskakują jej na karku, blask słońca zalewa wszystko.

A potem...

A potem, na skraju przepaści, droga dociera do krawędzi i nagle skręca ostro w dół i w bok.

I tam się zatrzymujemy.

Wodospad jest olbrzymi, ma spokojnie pół kilometra szerokości. Woda z rykiem przewala się przez krawędź, piniąc się z białą furją, posyłając mgłę kropel setki metrów niżej, w głąb przepaści, a także w górę i wszędzie wokół, sprawiając, że przemakamy do nitki, a wszędzie wokół pojawiają się tęcze, gdy poranne słońce przeświecila wodny pył.

– Todd – mówi Viola i ledwo ją słyszę.

Ale nie muszę.

Wiem, co ma na myśli.

Za wodospadem dolina znów się rozszerza, rozległa jak niebo ponad nami, i płynie przez nią rzeka, która zaczyna się ponownie u podnóża wodospadu, gdzie z hukiem burzy się biała piana, która dalej wygładza się i uspokaja i zmienia się z powrotem w bystry nurt.

I wpływa do Przystani.

Przyszań.

To musi być Przyszań.

Rozpościera się pod nami niczym zastawiony stół.

– Jest – mówi Viola.

I czuję, jak jej palce owijają się wokół moich. Wodospad po naszej lewej, na niebie wodny pył i tęcze, poranne słońce przed nami, dolina poniżej. I Przyszań, która tam czeka.

Jakieś trzy, może cztery kilometry dalej w tej niższej dolinie. Ale jest tam. Kuźwa, jest.

Spoglądam w bok, tam, gdzie droga zakręca ostro i opada, wcinając się w zbocze doliny po naszej prawej stronie, a później zbiega stromymi wyzgakami, aż w końcu u stóp wzgórza ponownie dochodzi do rzeki.

I wraz z nią dociera do Przyszani.

– Chcę zobaczyć – mówi Viola, puszczając moją rękę i wyciągając lornetkę. Patrzy przez nią, wyciera pokryte kroplami szkła i patrzy znowu. – Jest piękna – mówi i na tym poprzestaje, a potem już tylko na przemian patrzy i ociera krople z lornetki.

Po minucie, nie mówiąc nic więcej, podaje mi lornetkę i po raz pierwszy spoglądam na Przyszań.

Pył wodny jest tak gęsty, że mimo wycierania szkła nie sposób rozróżnić ludzi ani innych szczegółów, ale są tam najróżniejsze budynki, głównie otaczające coś, co wygląda jak duży kościół pośrodku, ale widać też inne duże budynki, a także porządne drogi, obsadzone drzewami i rozchodzące się od środka do innych grup budynków.

Musi tam być wszystkiego co najmniej pięćdziesiąt budynków.

Może nawet sto.

To największa rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem w calutkim życiu.

– Muszę powiedzieć – krzyczy Viola – że jest trochę mniejsza niż się spodziewałam.

Ale tak naprawdę jej nie słyszę.

Patrzę przez lornetkę na drogę biegnącą wzdłuż rzeki i widzę coś, co prawdopodobnie jest blokadą, a z obu stron najwyraźniej rozciąga się ufortyfikowana palisada.

– Szykują się – mówię. – Szykują się do walki.

Viola patrzy na mnie, zaniepokojona.

– Myślisz, że Przystań jest wystarczająco duża? Myślisz, że będziemy tu bezpieczni?

– To zależy, czy pogłoski o armii są prawdziwe, czy nie.

Oglądam się instynktownie do tyłu, tak jakby armia tylko czekała za nami, żebyśmy się ruszyli. Patrzę w górę, na zbocze doliny. Byłby z niego niezły widok.

– Przekonajmy się – mówię.

Biegniemy kawałek z powrotem, szukając miejsca, gdzie da się łatwo wspiąć, znajdujemy je i pniemy się do góry. Moje nogi wydają się lekkie, a Szum czystszy niż przez ostatnie dni. Smutno mi ze względu na Bena, smutno mi ze względu na Cilliana, smutno mi ze względu na Mancziego i smutno mi ze względu na to co spotkało mnie i Violę.

Ale Ben miał rację.

U podnóża największego wodospadu czeka nadzieja.

I w sumie może aż tak bardzo nie boli.

Wspinamy się wyżej, mijając drzewa. Zbocze ponad rzeką jest strome, musimy się łąpać pnączy i przytrzymywać kamieni, żeby wdrapać się na tyle wysoko, aby móc popatrzeć do tyłu, wzdłuż drogi, aż w końcu pod nami rozciąga się cała dolina.

Nadal mam przy sobie lornetkę i spoglądam w dół rzeki oraz na drogę, ponad wierzchołkami drzew. Ciągłe muszę wycierać szkła z osiadających kropelek.

Patrzę.

– Widzisz ich? – pyta Viola.

Patrzę na rzekę tam, gdzie maleje w oddali, wstecz i wstecz i wstecz.

– Nie – odpowiadam.

Patrzę.

I znowu.

I...

Tam.

W dole, na najniższym zakręcie drogi w najgłębszej partii doliny, w najgłębszym cieniu, gdy się spojrzysz prosto pod słońce – tam są.

Masa, która może być tylko armią maszerującą naprzód, tak daleko, że wygląda niczym ciemna woda wlewająca się do wyschniętego łożyska rzeki, i tylko po ruchu rozpoznaję, że to oni. Z tej odległości ciężko dostrzec szczegóły – nie widzę pojedynczych ludzi i chyba nie widzę koni.

Tylko masę, masę, która sunie drogą.

– Jak liczna jest? – pyta Viola. – Jak bardzo urosła?

– Nie wiem – odpowiadam. – Trzystu ludzi? Czterystu? Nie wiem. Jesteśmy za daleko, żeby...

Urywam.

– Jesteśmy za daleko, żeby to poznać. – Znów posyłam jej uśmiech. – Całe mile.

– Prześcignęliśmy ich – mówi Viola, również zaczynając się uśmiechać. – Uciekaliśmy, oni nas gonili i prześcignęliśmy ich.

– Dotrzemy do Przystani i ostrzeżemy tego, kto tam rządzi – odpowiadam, mówiąc szybciej, a mój Szum wzbiera ekscytacją. – Ale mają przygotowane linie obrony, dojazd jest wąski, a armia co *najmniej* o dzień drogi stąd, może nawet dzień i noc, i przysięgam, że to nie może być tysiąc ludzi.

Przysięgam.

(Ale.)

Viola uśmiecha się najbardziej zmęczonym, najszcześniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem. Znów bierze mnie za rękę.

– Prześcignęliśmy ich.

Ale potem znów przypominam sobie, jakie ryzyko wiąże się z nadzieją, i mój Szum lekko szarżeje.

– No cóż, jeszcześmy tam nie dotarli i nie wiem, czy Przystań będzie w stanie...

Ale Viola kręci głową.

– Nie-e – mówi. – Prześcignęliśmy ich. Słuchaj mnie i ciesz się, Toddzie Hewitt. Tyle czasu spędziliśmy uciekając przed armią i proszę, uciekliśmy im.

Patrzy na mnie z uśmiechem, oczekując jakiejś odpowiedzi.

Mój Szum jest rozbrzęczany i szczęśliwy i ciepły i zmęczony i pełen ulgi i ciągle jeszcze ciut zaniepokojony, ale myślę sobie, że może ona ma rację, może wygraliśmy i może powinienem ją objąć, gdyby mi nie było z tym dziwnie, i odkrywam, że wśród tych wszystkich myśli autentycznie zgadzam się z nią.

– Prześcignęliśmy ich – mówię.

A wtedy Viola obejmuje mnie i przyciąga mocno do siebie, tak jakbyśmy mieli spaść, i po prostu stoimy tam na mokrym zboczu wzgórza i oddychamy przez momencik.

Viola już nie do końca pachnie kwiatami, ale nie przeszkadza mi to.

Patrzę w dół i wodospad jest pod nami, huczy nieprzerwanie, Przystań migocze poza podświetloną zasłoną z kropel, a jasne słońce odbija się od odcinka rzeki przed kaskadami, upodabiając ją do błyszczącego węża z metalu.

Pozwalam, żeby mój Szum skrzył się małutkimi ognikami radości, a moje spojrzenie powędrowało z powrotem wstecz, wzdłuż rzeki, i...

Nie.

Wszystkie mięśnie w moim ciele gwałtownie się kurczą.

– Co? – pyta Viola, odskakując.

Gwałtownie odwraca głowę, żeby spojrzeć tam, gdzie ja.

– Co? – pyta ponownie. A potem widzi.

– Nie – mówi. – Nie, to niemożliwe. Rzeką sływa łódź.

Na tyle blisko, że widać ją bez lornetki.

Na tyle blisko, że widać strzelbę i szatę.

Na tyle blisko, że widać blizny i słuszny gniew.

Wiosłując płynie ku nam, zbliża się niczym dzień Sądu.

Aaron.

## 40

# Ofiara

– Zobaczyl nas? – pyta Viola napiętym głosem. Kieruję lornetkę na niego. Sylwetka Aarona, ogromna i przerażająca, wypełnia cały obiektyw. Wciskam kilka guzików, żeby go oddalić. Nie patrzy w naszą stronę, po prostu wiosłuje jak maszyna, żeby dołynąć łodzią do brzegu rzeki, a stamtąd dotrzeć do drogi. Jego twarz jest poszarpana i przerażająca, cała w krwawych strupach – dziura w policzku, nowa dziura tam, gdzie wcześniej był jego nos, a pod tym wszystkim nadal to samo spojrzenie, pełne furii, gotowe pochłaniać i niszczyć, spojrzenie bez litości, spojrzenie, które nie zgaśnie, które nigdy, nigdy nie zgaśnie.

*Wojna czyni z ludzi potwory* – słyszę głos Bena. W naszą stronę zmierza potwór.

– Chyba nas nie zobaczył – mówię. – Jeszcze nie.

– Damy radę mu uciec?

– Ma strzelbę – mówię – a stąd widać całą drogę aż do Przystani.

– To nie drogą. Przez drzewa.

– Między nami a tą drogą w dół nie rośnie ich aż tyle. Będziemy musieli pobiec szybko.

– Potrafię szybko biegać – odpowiada Viola.

I rzucamy się w dół zbocza, zsuwając się po liściach i mokrych pnączach, w miarę możliwości przytrzymując się głązów. Wokół rośnie niewiele drzew i nadal widzimy rzekę, widzimy wiosłującego Aarona.

A to znaczy, że on również nas zobaczy, jeśli tylko spojrzy w odpowiednie miejsce.

– Pośpiesz się! – przynagła Viola.

W dół...

I w dół...

I już zsuwamy się na drogę...

I łądujemy w błocie na poboczu...

I gdy wybiegamy na drogę, on zniknął z pola widzenia, nadal jest w górze rzeki...

Ale tylko na sekundę...

Bo oto jest...

Nurt niesie go szybko ku nam...

W dół rzeki...

Już widać go jak na dłoni...

I patrzy prosto na nas.

Ryk wodospadu jest tak głośny, jakby mógł nas pożreć, ale i tak to słyszę.

Usłyszałbym go nawet, gdybym był po drugiej stronie planety.

– TODD HEWITT!

I Aaron sięga po strzelbę.

– Leć! – krzyczę.

Viola podrywa się do biegu, a ja tuż za nią. Kierujemy się w stronę tego ostrego zakrętu, za którym droga opada w dół, ku zygzakom.

Piętnaście kroków, może dwadzieścia dzieli nas od krawędzi, za którą znikniemy z widoku...

Biegniemy tak, jakbyśmy spędzili ostatnie dwa tygodnie odpoczywając...

Łup łup łup podeszew o drogę...

Oglądam się przez ramię...

I widzę, jak Aaron próbuje ująć strzelbę jedną ręką...

Usiłuje ją utrzymać prosto, równocześnie nie tracąc kontroli nad łodzią...

Ta chybotze się na wzburzonych falach, rzucając nim w tył i w przód...

– Nie da rady strzelać! – krzyczę do Violi. – Nie da się równocześnie wiosłować i strze...

TRZASK!

Pecyna błota wylatuje z powierzchni drogi przede mną, tuż obok stóp Violi...



Krzyczę, Viola też, i oboje pochylamy się instynktownie...

Biegnać coraz szybciej i szybciej...

Łup łup łup...

Biec biec biec biec biec huczy mój Szum, niczym rakietą...

Nie oglądać się...

Pięć kroków...

Biec biec...

Trzy...

TRZASK!

I Viola pada...

– NIE! – krzyczę...

A ona przewraca się, lecąc przez ostry zakręt, potykając się spada po drugiej stronie, wali się na ziemię i turla...

– NIE! – krzyczę znowu i skaczę za nią...

Potykając się zbiegam po stromiźnie...

Gnam do niej, a ona nadal się stacza...

Nie...

Nie to...

Nie teraz...

Nie teraz, gdy...

Proszę, nie...

A ona stacza się aż do paru niskich krzaków rosnących obok drogi i wpada na nie...

I zatrzymuje się, twarzą do ziemi.

A ja pędzę do niej, sam ledwo utrzymuję równowagę, ale już klękam na ściółce i łapię ją i przewracam na wznak, szukając krwi, szukając postrzału, i powtarzam: – *Nie nie nie nie nie...*

I jestem niemal ślepy z wściekłości, rozpaczony oraz świadomości, że nadzieja była fałszywa, i nie nie nie...

A Viola otwiera oczy...

Otwiera oczy i łapie mnie i mówi:

– Nie trafił mnie, nie trafił mnie.

– Nie trafił? – pytam, potrząsając nią z lekka. – Jesteś pewna?

– Po prostu upadłam – odpowiada. – Przysięgam, czułam, jak ta kula przeleciała tuż obok mojej głowy i upadłam. Nic mi nie jest.

A ja dyszę ciężko, ciężko, ciężko.

– Dzięki Bogu – mówię. – Dzięki Bogu.

I świat wiruje, a mój Szum się burzy.

A Viola już dźwiga się na nogi, ja też, stajemy w krzakach i patrzymy na zakręt oraz na drogę pod nami.

Wodospad z hukiem przewala się przez skalną krawędź po naszej lewej stronie, a zarówno za nami, jak i przed nami są zakręty: droga zaczyna zygzakować i zbiega tymi stromymi serpentynami aż do podnóża wodospadu.

Na całym tym odcinku nie ma żadnej osłony.

Żadnych drzew, tylko niskie kolczaste zarośla.

– Wystrzela nas jak kaczki – mówi Viola, spoglądając do tyłu, na górną część drogi. Nie widzimy Aarona, który bez wątplenia zmierza teraz ku brzegowi rzeki, brodząc przez ryczącą wodę. Wcale bym się nie dziwił, gdyby stąpał po wodzie.

– TODDZIE HEWITT! – słyszymy znowu. Słabo, bo ryk wodospadu go zagłusza, ale krzyk i tak wydaje się wypełniać cały wszechświat.

– Nie ma się gdzie ukryć – mówi Viola, rozglądając się i patrząc w dół.  
– Dopiero aż tam niżej.

Ja również się rozglądam. Zbocza są zbyt strome, droga zbyt odsłonięta, a tereny wokół serpentyn – pokryte zbyt niską roślinnością.

Nie ma gdzie się skryć.

– TODDZIE HEWITT!

Viola wskazuje w górę.

– Moglibyśmy się wspiąć do tamtych drzew na szczycie wzgórza.

Ale zbocze jest tak strome, że już słyszę, jak nadzieja znika z jej głosu.

Odwracam się gwałtownie, nadal się rozglądając...

I wtedy widzę.

Ścieżynkę, wąziutką jak nie wiem co, ledwo ją w ogóle widać. Odbija od pierwszego zakrętu drogi i wiedzie w stronę wodospadu. Po kilku metrach znika, ale patrzę dalej, w kierunku, w którym mogłaby biec.

Aż do ściany urwiska.

Aż do miejsca niemal pod samym wodospadem. Do półki skalnej, która jest prawie niewidoczna. Półki skalnej pod wodospadem.

Cofam się o kilka kroków, wychodzę z krzaków na drogę. Ścieżynka znika. Półka skalna też.

– Co tam jest? – pyta Viola.

Znów wchodzę w krzaki.

– Tam – mówię, wskazując ręką. – Widzisz?

Viola mruży oczy, spoglądając tam, gdzie pokazuję. Wodospad rzuca na półkę nieco cienia, tak że miejsce, gdzie ścieżynka się kończy, jest ciut ciemniejsze.

– Stąd to widać – mówię – ale z drogi nie. – Patrzę na nią. – Schowamy się.

– On cię usłyszy – odpowiada Viola. – Pójdzie za nami.

– Nie usłyszy mnie w tym huku, chyba że zacznę krzyczeć w swoim Szumie.

Jej czoło się marszczy. Dziewczyna spogląda w dół, na drogę do Przystani, a potem w górę, tam, skąd lada chwila wyłoni się Aaron.

– Jesteśmy tak blisko – mówi.

Ujmuję jej ramię i zaczynam ciągnąć.

– Chodź. Tylko dopóki on nie pójdzie dalej. Tylko do zapadnięcia zmroku. Przy odrobinie szczęścia pomyśli, żeśmy zawrócili i pobiegli w stronę tamtych drzew u góry

– Jeśli nas znajdzie, będziemy w pułapce.

– A jeśli pobiegniemy w stronę miasta, on nas zastrzeli. – Spoglądam w jej oczy. – To szansa. Mamy szansę.

– Todd...

– Chodź ze mną – mówię, zaglądając jej w oczy tak głęboko, jak tylko potrafię, wylewając z siebie tyle nadziei, ile jestem w stanie przywołać. *Och, nie opuszczaj mnie.* – Przrzekam, że dziś wieczorem doprowadzę cię do Przystani. – Zaciskam dłoń na jej ramieniu. *Och, nie oszukuj mnie.* – Przrzekam ci to.

Viola patrzy na mnie, słuchając tego wszystkiego, po czym

gwałtownie kiwa głową, jeden jedyny raz, i biegniemy w stronę ścieżynki, zbiegamy w miejsce, gdzie ścieżynka się urywa, przeskakujemy przez krzaki, żeby dotrzeć tam, gdzie powinna być jej dalsza część, i...

– TODDZIE HEWITT!

Aaron jest już prawie przy wodospadzie...

A my złazimy na łeb, na szyję po stromej skarpie nad brzegiem wody, mając ponad sobą równie strome wzgórze...

Zsuwamy się w dół aż na krawędź przepaści...

Która jest zaraz przed nami...

Docieram na jej skraj i nagle muszę się odchylić, oprzeć o Violę, bo urwisko opada pionowo w dół...

Viola łapie mnie za koszulę i przytrzymuje...

A woda z hukiem spada tuż przed nami na głazy daleko poniżej...

A półka, która przebiega pod wodospadem, jest tuż...

Żeby tam dotrzeć, trzeba przeskoczyć ponad pustką...

– Nie widziałem tego odcinka – mówię, podczas gdy Viola łapie mnie w pasie, żebyśmy oboje nie zlecieli.

– TODDZIE HEWITT!

On jest tak blisko, tak blisko...

– Teraz albo nigdy, Todd – mówi mi do ucha Viola.

Potem mnie puszcza...

I przeskakuję...

Jestem w powietrzu...

Wodny pył przelatuje nad moją głową...

I ląduję...

Odwracam się...

A ona skacze za mną...

Łapię ją i oboje spadamy razem do tyłu, na skalną półkę...

I leżymy tam oddychając...

I nasłuchując...

Przez sekundę słyszymy teraz tylko ryk wody nad sobą...

A potem, niewyraźnie, ponad tym wszystkim:

– TODDZIE HEWITT!

I nagle mam wrażenie, jakby Aaron był o całe kilometry stąd.

A Viola leży na mnie, dysząc jej prosto w twarz, a ona dyszy w moją.

I patrzymy sobie w oczy.

I jest zbyt głośno, żeby dało się usłyszeć mój Szum.

Po sekundzie Viola opiera się dłońmi o skałę, odpycha się i wstaje.

Spogląda przy tym w górę i jej oczy się rozszerzają.

Słyszę, jak mówi:

– O rany.

Przekręcam się na wznak i patrzę w górę.

O rany.

Półka skalna nie jest taką sobie zwykłą półeczką. Sięga daleko, *daleko* pod wodospad. Stoimy u wejścia do tunelu, który ma jedną ścianę ze skały, a drugą ze spadającej wody, która leje się z jednostajnym rykiem, biała, czysta i tak wartka, że jej płaszczyzna wydaje się niemal jednolita.

– Chodź – mówię i ruszam półką w dół. Podeszwy ślizgają mi się z lekka. Skały są mokre i śliskie i trzymamy się najbliższej skalnej ściany jak się da, jak najdalej od huczacej wody.

Zgiełk jest niesamowity. Zagłusza wszystko, niczym coś realnego, czego można posmakować i dotknąć.

Tak głośny, że niweczy Szum.

Tak głośny, że nigdy nie czułem w sobie takiej ciszy jak tu.

Złazimy półką dalej, pod wodospadem, po nierównych skałach, mijając stawki wypełnione zieloną mazią glonów. Są tu też korzenie zwieszające się ze sklepienia, należące do nie wiadomo jakich roślin.

– Czy to ci nie przypomina stopni? – krzyczy Viola; ryk prawie zagłusza jej głos.

– TODDZIE HEWITT!! – słyszymy jakby z odległości miliona kilometrów.

– Załapał, gdzie jesteśmy? – pyta Viola.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nie sądzę.

Ściana urwiska nie jest idealnie pionowa, więc biegnąca wzdłuż niej półka zakręca. Oboje jesteśmy przemoczeni do nitki, woda jest zimna i trudno się przytrzymywać korzeni, żeby zachować równowagę.

A potem półka nagle opada niżej i rozszerza się, i teraz wyraźniej widać stopnie wykute w kamieniu. Wygląda to niemal jak schody prowadzące w dół.

Ktoś był tu przed nami.

Schodzimy, a woda huczy kilkanaście centymetrów od nas.

Docieramy na dno.

– Kurczę – mówi Viola za moimi plecami i od razu zgaduję, że patrzy w górę.

Tunel otwiera się gwałtownie, a równocześnie półka się rozszerza, przybierając formę kawerny zrobionej z wody. Skały sięgają wysoko ponad naszymi głowami, a kaskada wody spada z hukiem za nimi niczym ściana, zakrzywiająca się jak ruchomy, żyjący żagiel, który osłania urwisko oraz półkę pod naszymi stopami.

Ale „kurczę” wzięło się z czego innego.

– To kościół – mówię.

To kościół. Ktoś ułożył lub wyrzeźbił kamienie, sporządzając z nich cztery rzędy prostych ławek, między którymi pośrodku biegnie przejście, a wszystkie stoją przodem do wyższego kamienia. To ambona, ambona z płaską powierzchnią, gdzie kaznodzieja może stanąć i głosić kazanie, podczas gdy za jego plecami leje się z rykiem jaśniejąca biała ściana wody, poranne słońce zmienia ją w zasłonę z gwiazd, wypełniając pomieszczenie migoczącymi odblaskami tańczącymi na każdej lśniącej, mokrej powierzchni. A z tyłu na skale widnieje wyrzeźbione kółko, wokół którego orbitują dwa mniejsze kółka – Nowy Świat i jego księżyc, nowy dom kolonistów, tchnący nadzieją na Boże błogosławieństwo, jakimś sposobem pomalowany na wodoodporną biel i praktycznie świecący tam na skalnej ścianie, nad nami, rozświetlający cały kościół.

Kościół pod wodospadem.

– Pięknie tu – mówi Viola.

– Jest opuszczony – odpowiadam, bo po pierwszym szoku, żeśmy trafili do kościoła, widzę, że kilka ławek zostało zwalonych i nikt ich nie naprawił, a na skalnych ścianach widnieją napisy, niektóre wyryte

narzędziami, inne wypisane tą samą wodoodporną farbą, którą pomalowano płaskorzeźbę Nowego Świata, i w większości bezsensowne. P.M. + M.A. i Willz & Chillz na zawsze i Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy coś tam coś tam.

– To dzieciaki – mówi Viola. – Zakradają się tutaj, mają tu swoją kryjówkę.

– Tak? Dzieciaki robią takie rzeczy?

– Na statku mieliśmy nieużywany przewód wentylacyjny, do którego włąziliśmy w sekrecie – odpowiada, patrząc na malunki. – Pobazgraliśmy go bardziej niż ci tutaj.

Wchodzimy głębiej, rozglądając się z otwartymi ustami. Punkt, gdzie rzeka napotyka urwisko, musi być z dziesięć metrów nad nami, a półka szeroka na co najmniej pięć metrów.

– To musiała być naturalna kawerna – mówię. – Widać znaleźli ją i pomyśleli, że to rodzaj cudu.

Viola obejmuje się ramionami.

– A potem odkryli, że nie sprawdza się za dobrze jako kościół.

– Za mokro tu – przytakuję. – Za zimno.

– Założę się, że zrobili tu kościół krótko po wylądowaniu – ciągnie dziewczyna, patrząc w górę, na biały wizerunek Nowego Świata. – Założę się, że to było w pierwszym roku. Wszystko piękne i pełne nadziei. – Odwraca się, chłonąc widok. – Zanim dotarło do nich, jaka jest rzeczywistość.

Ja też się powoli obracam. Świetnie rozumiem, co ci ludzie sobie myśleli. To, jak słońce prześwieca przez wodospad, przemieniając strugi wody w jaśniejącą biel, i jest tu tak głośno, a zarazem tak cicho, że nawet bez ambony i ławek czulibyśmy się jak w kościele, jakby to miejsce było święte nawet wówczas, gdyby nigdy nie zobaczył go żaden człowiek.

A potem spostrzegam, że dalej, za ławkami, nie ma już nic. Półka się urywa i jest tylko pięćdziesięciometrowa przepaść, a na dole skały.

Czyli tutaj będziemy musieli zaczekać.

Tutaj będziemy musieli się kryć, pełni nadziei. W kościele pod wodą.

– Toddzie Hewitt! – Ledwie słyszalny okrzyk niesie się tunelem ku

nam.

Violę wstrząsa dreszcz.

– Co teraz?

– Poczekamy do zmroku – odpowiadam. – Wtedy się stąd wykradniemy, licząc, że nas nie zauważy.

Siadam na jednej z kamiennych ławek. Viola siada obok mnie. Zdejmuje torbę przez głowę i stawia na spągu.

– A co jeśli on znajdzie tę dróżkę? – pyta.

– Miejmy nadzieję, że nie.

– A jeśli znajdzie?

Sięgam za plecy i wyjmuję nóż.

Nóż.

Patrzemy na niego oboje. Blask wody odbija się od niego, kropelki już osiadają na jego klindze i łączą się w większe krople, sprawiając, że nóż świeci jak mała pochodnia.

Nóż.

Nic nie mówimy, po prostu patrzemy, jak świeci pośrodku kościoła.

– Toddzie Hewitt!

Viola spogląda w górę, na wejście do kawerny, podnosi dłoń do twarzy i widzę, jak zaciska zęby

– Czego on w ogóle chce? – wścieka się nagle. – Jeśli armii chodzi o ciebie, to czego on chce ode mnie? Czemu do mnie strzelał? Nie rozumiem.

– Wariaci nie potrzebują powodu – odpowiadam.

Ale mój Szum przypomina sobie to, co widziałem dawno temu na bagnach, wizję Aarona składającego Violę w ofierze.

Znak, tak ją nazwał. Dar od Boga.

Nie wiem, czy Viola to słyszy, czy też sama sobie przypomniła, bo mówi:

– Nie wydaje mi się, że bym to ja miała być złożona w ofierze.

– Co?

Dziewczyna odwraca się do mnie ze zdezorientowaną miną.

– Nie wydaje mi się, że bym to miała być ja – mówi. – Kiedy z nim



byłam, cały czas faszerował mnie jakimś świństwem, żebym spała, a kiedy się budziłam, to w jego Szumie ciągle widziałam dziwaczne rzeczy, rzeczy, które nie miały żadnego sensu.

– On jest szalony – odpowiadam. – Bardziej szalony niż większość ludzi.

Viola już nic więcej nie mówi, tylko patrzy na wodospad. A potem wyciąga rękę i ujmuje moją dłoń.

– TODDZIE HEWITT!

Czuję, jak jej ręka podskakuje w tym samym momencie, w którym moje serce zabiło szybciej.

– Jest bliżej – mówi. – Przybliża się.

– Nie znajdzie nas.

– Znajdzie.

– Wtedy poradzimy sobie z nim. Oboje patrzymy na nóż.

– TODDZIE HEWITT!

– Znalazł półkę – mówi Viola, łapiąc mnie za ramię i ściskając mocno.

– Jeszcze nie.

– Byliśmy już prawie na miejscu – rzuca, a głos jej się lekko załamuje. – Prawie.

– Dotrzemy tam.

– TODDZIE HEWITT!

Tym razem słycać go zdecydowanie wyraźniej.

Znalazł tunel.

Zaciskam nóż w rękę i spoglądam na Violę, która patrzy prosto w górę, wzdłuż tunelu, z takim strachem, że coś aż zaczyna mnie boleć w piersi.

Mocniej ściskam nóż.

Jeśli on jej choćby dotknie...

I w moim Szumie wyświetla się lawina obrazów od samego początku naszej podróży: Viola, kiedy jeszcze nic nie mówiła, Viola, kiedy mi powiedziała swoje imię, Viola, kiedy rozmawiała z Hildy i Tamem, kiedy naśladowała akcent Wilfa, kiedy Aaron ją chwycił i porwał, kiedy się obudziłem w domu doktora Snow i ona tam była, kiedy złożyła Benowi

obietnicę, kiedy czytała głosem mojej mamy i sprawiła, że świat się zmienił, choćby tylko na chwilę.

Wszystko, przez cośmy przeszli.

To, jak płakała, kiedy zostawiliśmy Mancziego.

Jak mi powiedziała, że jestem wszystkim, co ma.

Kiedy odkryłem, że potrafię ją czytać, mimo ciszy.

Kiedy myślałem, że Aaron postrzelił ją na drodze.

To, jak się czułem podczas tych okropnych kilku sekund.

Jakie to byłoby uczucie ją stracić.

Ten ból, niesprawiedliwość, poczucie krzywdy.

Ta wściekłość.

I to, jak pragnąłem, żebym to ja był na jej miejscu.

Patrzę na nóż, który trzymam w ręku.

I uświadamiam sobie, że ona ma rację.

Uświadamiam sobie, co od samego początku było prawdą, nieważne, jak bardzo szalona się wydaje.

Ona nie jest ofiarą.

Nie jest.

*Jeśli jeden z nas upada, wszyscy upadamy*

– Wiem, czego on chce – mówię, wstając.

– Co? – pyta Viola.

– TODDZIE HEWITT!

Teraz już bez żadnych wątpliwości schodzi tunelem ku nam.

Nie ma dokąd uciekać.

Nadchodzi.

Viola również wstaje, a ja przesuwam się, tak żeby stanąć między nią a tunelem.

– Przykucnij za którąś z ławek – mówię. – Ukryj się.

– Todd...

Odsuwam się od niej, ale nie puszczam jej ręki do momentu, gdy jestem już za daleko, żeby nadal ją trzymać.

– Dokąd idziesz? – pyta Viola z narastającym napięciem. Patrzę z powrotem tam, skąd przyszliśmy, w górę wodnego tunelu.

Aaron będzie tu lada chwila.

– TODDZIE HEWITT!

– On cię zobaczy! – mówi Viola.

Unoszę przed sobą nóż.

Nóż, który wywołał tyle kłopotów. Nóż, który kryje w sobie tyle mocy.

– Todd! – mówi Viola. – Co ty wyprawiasz?

Odwracam się do niej.

– On nic ci nie robi – mówię. – Nie wtedy, kiedy będzie wiedział, że ja wiem, czego on chce.

– A czego chce?

Patrzę na nią, stojącą między ławkami, biała planeta i księżyc świecą nad nią, patrzę na jej twarz i mowę ciała, gdy dziewczyna stoi tam, obserwując mnie, i odkrywam, że nadal wiem, kim ona jest, że nadal jest Violą Eade, że milczenie nie oznacza pustki, że nigdy nie oznaczało pustki.

Spoglądam jej prosto w oczy.

– Powitam go jak mężczyzna – mówię.

I chociaż jest za głośno, żeby usłyszała mój Szum, chociaż nie jest w stanie odczytać moich myśli, odwzajemnia moje spojrzenie.

I widzę, że rozumie.

Prostuje się.

– Nie będę się chować – mówi. – Jeśli ty się nie chowasz, to ja też nie.

I to jest wszystko, czego mi potrzeba. Kiwam głową.

– Gotowa? – pytam.

Viola spogląda na mnie.

Przytakuje stanowczo, jeden jedyny raz.

Odwracam się z powrotem w stronę tunelu.

Zamykam oczy.

Biorę głęboki oddech.

I, wykorzystując każdą odrobinę powietrza w płucach oraz każdą nutkę Szumu w mojej głowie, spinam się... I krzyczę najgłośniej jak potrafię:

– AARONIE!!!!!!!

Potem otwieram oczy i czekam na niego.

## Jeśli jeden z nas upada

Najpierw widzę jego stopy, ślizgające się trochę na stopniach, schodzące niezbyt szybko. Teraz, gdy już wie, że tu jesteśmy, nie śpieszy się.

Trzymam nóż w prawej ręce, a lewą mam wyciągniętą w bok, również w pogotowiu. Stoję w przejściu między dwoma rzędami ławek, na tyle blisko środka kościoła, na ile to możliwe. Viola czeka kawałek za mną, w jednym z rzędów.

Jestem gotów.

Uświadamiam sobie, że naprawdę jestem gotów. Wszystko, co się wydarzyło, sprowadziło mnie tutaj, w to miejsce, z tym nożem w ręku, i mam coś, o co warto walczyć.

Kogoś.

A jeśli mam wybór między nim a nią, to nie mam żadnego wyboru, a armia może się wypchać sianem. No więc jestem gotów.

Bardziej niż kiedykolwiek.

Bo już wiem, czego on chce.

– No chodź – mówię pod nosem.

Widać już nogi Aarona, potem jego ręce – w jednej niesie strzelbę, drugą przytrzymuje się ściany, żeby zachować równowagę.

A potem jego twarz.

Jego straszną, straszną twarz.

W połowie rozszarpaną, z dziurą w policzku, przez którą widać zęby, z jamą w miejscu nosa, która ziele pustką i sprawia, że Aaron prawie nie przypomina człowieka.

I uśmiecha się.

I dopiero teraz czuję przypływ strachu.

– Todd Hewitt – mówi.

Brzmi to niemal jak powitanie.

Podnoszę głos, żeby było mnie słychać mimo huku wody, starając się, żeby nie dygotał.

– Możesz odłożyć tę strzelbę, Aaronie.

– O, doprawdy? – pyta, szerzej otwierając oczy, gdy widzi stojącą za mną Violę. Nie oglądam się na nią, ale wiem, że stoi przodem do Aarona, wiem, że demonstruje mu całą swoją odwagę.

I przez to czuję się silniejszy.

– Wiem, czego chcesz – mówię. – Domyśliłem się.

– Doprawdy, młody Toddzie? – pyta Aaron i widzę, że nie może się powstrzymać, zagląda w mój Szum, w to, co jest w stanie wychwycić mimo huku.

– Ona nie jest ofiarą – mówię.

On nic nie odpowiada, po prostu wchodzi do kościoła, zerkając na krzyż w górze, na ławki i ambonę.

– I ja też nie jestem ofiarą – ciągnę.

Jego złowróżbny uśmiech staje się szerszy. Rana w policzku rozdziera się jeszcze bardziej, zaczyna z niej ciec krew, mieszając się z warstewką wody na skórze.

– Sprytny umysł to sojusznik szatana – mówi i zgaduję, że to jego sposób potwierdzenia, że mam rację.

Staję pewniej i odwracam się, by go obserwować, gdy podchodzi do ambony, wkraczając do tej połowy kościoła, która jest bliżej przepaści.

– To ty – ciągnę. – Ofiarą masz być ty.

I otwieram przed nim mój Szum, nagłaśniając go tak bardzo, jak tylko się da, aby zarówno Aaron, jak i Viola mogli zobaczyć, że mówię prawdę.

Bo to, co Ben mi pokazał, kiedy opuszczałem naszą farmę, to, w jaki sposób chłopiec w Prentisstown staje się mężczyzną, przyczyna, dla której chłopcy, którzy stali się mężczyznami, nie rozmawiają z chłopcami, którzy nadal są chłopcami, przyczyna, dla której chłopcy, którzy stali się mężczyznami, są współwinnymi zbrodni popełnionych w Prentisstown, to...

To...

I zmuszam się, żeby to powiedzieć na głos...

To zabicie innego mężczyzny.

Własnymi rękami.

Wszyscy ci mężczyźni, którzy zniknęli, którzy *próbowali* zniknąć.

Tak naprawdę wcale nie zniknęli.

Pan Royal, mój dawny nauczyciel, ten, co to się rozpił, a potem zastrzelił, wcale się *nie* zastrzelił. Został zastrzelony przez Seba Mundy w dniu jego trzynastych urodzin. Seb musiał stanąć sam jeden i nacisnąć spust, na oczach reszty mężczyzn z Prentisstown. Pan Gault, którego stado owiec przejęliśmy, kiedy zniknął dwie zimy temu, tylko *próbował* zniknąć. Został wytropiony przez burmistrza Prentissa, gdy uciekał przez bagna, a burmistrz Prentiss postąpił zgodnie z prawem Nowego Świata i dokonał jego egzekucji, tylko zrobił to tak, że poczekał do trzynastych urodzin pana Prentissa juniora, po czym kazał synowi torturować pana Gaulta, zamęczyć go na śmierć bez niczyjej pomocy.

I tak dalej, i tak dalej. Mężczyźni, których znałem, zabici przez chłopców, których znałem, aby oni sami mogli się stać mężczyznami. Jeśli ludzie burmistrza akurat dysponowali pojmanym uciekinierem, którego można było wykorzystać na trzynaste urodziny kolejnego chłopca, to świetnie. Jeśli nie, po prostu brali kogoś z Prentisstown, kogo nie lubili, i *twierdzili*, że zniknął.

Życie jednego mężczyzny oddawano chłopcu, aby je zakończył, własnymi rękami.

Jeden mężczyzna umiera, drugi się rodzi.

Wszyscy w zмовie. Wszyscy współwinni.

Poza mną.

– O mój Boże – słyszę głos Violi.

– Ale ze mną miało być inaczej, co nie? – mówię.

– Ty byłeś ostatni, Toddzie Hewitt – odpowiada Aaron. – Ostatni żołnierz w doskonałej Bożej armii.

– Nie wydaje mi się, aby Bóg miał cokolwiek wspólnego z waszą armią – odpowiadam. – Odłóż strzelbę. Wiem, co muszę zrobić.

– Ale czy jesteś posłańcem, Toddzie? – pyta Aaron, przekrzywiając głowę, podczas gdy jego niemożliwy uśmiech rozszerza się jeszcze bardziej. – Czy też oszustem?

– Czytaj mnie – odpowiadam. – Czytaj mnie, jeśli nie wierzysz, że jestem w stanie to zrobić.

Aaron stoi teraz przy ambonie, twarzą do centralnej nawy i do mnie. Sięga swoim Szumem ku mnie, przekrzykując huk wodospadu, naciskając, chwytając się, czego tylko może. Słyszę: ofiara i doskonałe dzieło Boga i męczeństwo świętego.

– Być może, młody Toddzie – odpowiada.

Po czym odkłada strzelbę na ambonę.

Przełykam ślinę i mocniej ściskam w rękę nóż.

Ale potem Aaron spogląda na Violę i śmieje się z cicha.

– Nie – mówi. – Dziewczynka spróbowałaby skorzystać z okazji, nieprawdaż?

Po czym, ot tak, zrzuca strzelbę z półki do wody.

Broń spada tak szybko, że nie widzimy nawet, kiedy znika.

Już jej nie ma.

A więc zostaliśmy tylko ja i Aaron.

I nóż.

Aaron rozkłada ramiona i uświadamiam sobie, że przybrał swoją pozę kaznodziei, tę, którą zwykł przybierać na swojej własnej ambonie, w Prentisstown. Opiera się o głaz, wyciąga dłonie w górę i podnosi oczy na biały, migoczący dach z wody ponad nami.

Jego wargi poruszają się bezgłośnie.

Modli się.

– Jesteś wariatem – mówię.

Spogląda na mnie.

– Jestem błogosławiony.

– Chcesz, żebym cię zabił.

– Błąd, Toddzie Hewitt – odpowiada, dając krok ku mnie środkiem nawy. – Nienawiść jest kluczem. Nienawiść jest motorem. Nienawiść to ogień, który oczyszcza żołnierza. Żołnierz musi nienawidzić.



Daje jeszcze jeden krok naprzód.

– Nie chcę, żebyś mnie zabił – ciągnie. – Chcę, żebyś mnie zamordował.

Cofam się o krok.

Nadal błyska zębami w uśmiechu.

– Być może chłopiec jest mocny tylko w głębie.

– Dlaczego? – pytam, cofając się jeszcze bardziej. Viola również się cofa i schodzi w bok, pod płaskorzeźbę przedstawiającą Nowy Świat. – Dlaczego to robisz? Na litość, jaki w tym jest sens?

– Bóg wskazał mi moją drogę – odpowiada Aaron.

– Żyję tu już prawie trzynaście lat – mówię – i zawsze słyszałem tylko mężczyzn.

– Bóg działa rękami mężczyzn – oznajmia Aaron.

– Zło też – wtrąca Viola.

– Ach – mówi Aaron. – To coś przemówiło. Wypowiada słowa pokusy, aby stłumić...

– Zamknij się – przerywam. – Nie waż się do niej mówić.

Minąłem już ostatni rząd ławek. Zbaczam w prawo, zaś Aaron podąża za mną, tak że powoli zataczamy krąg. Ręce Aarona nadal są wyciągnięte, mój nóż w górze, Viola trzyma się za. moimi plecami, a wodny pył pokrywa wszystko. Kawerna powoli obraca się wokół nas, półka nadal jest śliska, a ściana wody lśni bielą, rozświetlona przez słońce. I ten ryk, nieustanny ryk.

– Ty byłeś ostatecznym sprawdzianem – oznajmia Aaron. – Ostatni chłopiec. Ten, który nas dopełnia. Gdy znajdziesz się w armii, nie będzie tam już żadnego słabego ogniwa. Będziemy prawdziwie błogosławieni. Jeśli jeden z nas upada, Toddzie, wszyscy upadamy. I wszyscy musimy upaść. – Zaciska pięści i znów podnosi wzrok. – Abyśmy mogli się odrodzić! Abyśmy mogli wziąć ten przeklęty świat i przebudować go...

– Nie zrobiłbym tego – mówię, a on nachmurza się, że mu przerwano. – Nikogo bym nie zabił.

– Ach tak, Toddzie Hewitt – mówi Aaron. – I właśnie dlatego jesteś tak szczególny, nieprawdaż? Chłopiec, który nie potrafi zabijać.

Ryzykuję zerknięcie do tyłu, na Violę, która znajduje się za mną i nieco z boku. Krok za krokiem, nadal idziemy po łuku.

A Viola i ja jesteśmy już prawie przy wylocie tunelu.

– Ale Bóg domaga się ofiary – ciągnie Aaron. – Bóg domaga się męczeństwa. A jakaż może być lepsza ofiara dla szczególnego chłopca niżli posłaniec, którego ustami Bóg przemawia?

– Nie wydaje mi się, żeby Bóg ci cokolwiek mówił – odpowiadam. – Chociaż jestem w stanie uwierzyć, że chce cię widzieć martwego.

Oczy Aarona stają się tak szalone i puste, że przechodzi mnie dreszcz.

– Będę świętym – odpowiada, a w jego głosie tli się ogień. – To moje przeznaczenie.

Dotarł do końca nawy i nadal idzie za nami, mijając ostatni rząd ławek.

Viola i ja nadal się cofamy. W pobliże wylotu tunelu.

– Ale jak zmotywować chłopca? – ciągnie Aaron, a oczy ma jak dwie dziury. – Jak go wprowadzić w wiek męski?

I jego Szum otwiera się przede mną, głośny niczym grzmot.

Wytrzeszczam oczy.

Żołądek zjeżdża mi aż do pięt.

Garbię się, nagle czując falę słabości.

Widzę to. To tylko fantazja, kłamstwo, ale kłamstwa mężczyzn są równie wyraziste jak ich prawdy i widzę je w każdym szczególe.

Zamierzał zamordować Bena.

To tak planował mnie zmusić, żebym go zabił. Tak by to zrobili. Żeby udoskonalić swoją armię i zrobić ze mnie zabójcę, zamierzali zamordować Bena.

I zmusić mnie, żebym patrzył.

Sprawić, żebym znienawidził Aarona na tyle, żeby go zabić.

Mój Szum zaczyna grzmieć na tyle głośno, że to słyhać.

– Kuźwa, ty gno...

– Ale wtedy Bóg zesłał znak – ciągnie Aaron, spoglądając na Violę, jeszcze bardziej wytrzeszczając oczy. Krew leje się z dziury w jego

policzku, a jama w miejscu nosa rozszerza się i napina. – Dziewczyna. Dar niebios.

– Nie patrz na nią! – wrzeszczę. – Nie waż się nawet na nią *patrzeć!*  
Aaron odwraca się z powrotem do mnie, wciąż się uśmiechając.

– Tak, Todd, tak – odpowiada. – Oto twoja ścieżka, oto ścieżka, którą podążysz. Chłopiec o miękkim sercu, chłopiec, który nie umie zabijać. Za co mógłby zabić? Kogo by chronić?

Kolejny krok do tyłu, kolejny krok bliżej tunelu.

– A kiedy jej przekłęte, diabelskie milczenie zanieczyściło nasze bagna, pomyślałem, że Bóg zesłał mi ofiarę, którą sam będę mógł złożyć, ostatni przykład zła, które się ukrywa i które będę mógł zniszczyć w akcie oczyszczenia. – Przekrzywia głowę. – Ale potem wyszedł na jaw jej prawdziwy cel. – Spogląda na nią i z powrotem na mnie. – Todd Hewitt ma w zwyczaju chronić bezbronnych.

– Ona nie jest bezbronna – odpowiadam.

– A potem *uciekłeś*. – Oczy Aarona rozszerzają się jakby w udawanym zdumieniu. – Uciekłeś zamiast dopełnić swego przeznaczenia. – Znow spogląda w górę, ogarnia wzrokiem kościół. – A to uczyni zwycięstwo nad tobą jeszcze słodszy.

– Jeszcze nie wygrałeś – mówię.

– Nie? – Aaron znow się uśmiecha. – Chodź, Todd. Chodź do mnie z nienawiścią w sercu.

– *Przyjdę* – mówię. – Zrobię to.

Ale daję kolejny krok do tyłu.

– Byłeś już blisko, młody Toddzie – ciągnie Aaron. – Tam na bagnach, z nożem w górze, gdy miałem zabić dziewczynę, ale nie. Ty się wahasz. Ranisz, lecz nie zabijasz. A potem wykradam ci ją, a ty ją tropisz, wiedziałem, że tak właśnie zrobisz, cierpiąc z powodu rany, którą ci zadałem, ale potem znow ponosisz klęskę. Poświęcasz swojego ukochanego psa, żeby tylko jej nie spotkała krzywda, pozwalasz, żebym mu skręcił kark, zamiast zrobić to, do czego jesteś przeznaczony.

– Zamknij się! – wołam.

Aaron wyciąga ku mnie puste ręce.

– Oto jestem, Toddzie – mówi. – Zrób, co do ciebie należy. Stań się mężczyzną. – Schyla głowę, aż w końcu patrzy na mnie nie z góry, a z dołu. – *Upadnij.*

Krzywię się z pogardą. Prostuję się.

– Ja już jestem mężczyzną – odpowiadam.

I mój Szum mówi to samo.

Aaron gapi się na mnie. Tak, jakby mnie świdrował wzrokiem na wylot.

A potem *wzdycha.*

Normalnie jakby był *rozzarowany.*

– Jeszcze nie mężczyzna – mówi, a wyraz jego twarzy się zmienia. – Może nigdy.

Nie cofam się.

– Szkoda – dodaje.

A potem rzuca się na mnie...

– Todd! – krzyczy Viola...

– Uciekaj! – wrzeszczę... Ale się nie cofam... Ruszam do przodu...

I zaczyna się walka.

Ja szarżuję na niego, on rzuca się na mnie, ja mam nóż w ręku, ale w ostatniej sekundzie odskakuję w bok, pozwalając, by zderzył się ze skalną ścianą...

Aaron odwraca się gwałtownie, warcząc wściekle, zamierza się na mnie, a ja daję nura i wymierzam cios nożem w jego rękę, rozcinając przedramię, ale nawet go to nie spowalnia...

A on zamierza się na mnie drugą ręką i trafia w żuchwę...

Lecę do tyłu...

– Todd! – woła ponownie Viola...

Przewracam się do tyłu na ostatnią ławkę, ląduję z łomotem...

Ale patrzę w górę...

Aaron odwraca się w stronę Violi...

Ta stoi u podnóża schodów...

– Leć! – wrzeszczę...

Ale ona trzyma oburącz wielki płaski kamień i z grymasem oraz

gniewnym stęknieniem ciska nim w Aarona. Ten uchyla się i próbuje go odbić jedną ręką, ale kamień trafia go prosto w czoło. Aaron potykając się robi na oślep kilka kroków w stronę tunelu, w stronę przodu kościoła, dalej od dziewczyny i ode mnie...

– Chodź! – krzyczy do mnie Viola...

Zrywam się pośpiesznie...

Ale Aaron też już się odwrócił...

Krew cieknie mu po twarzy...

Rozwarł usta do krzyku...

Rzuca się do przodu jak pająk, łapiąc Violę za prawą rękę...

Ona z furią wymierza mu cios lewą pięścią, brudząc ją krwią ciekącą z jego twarzy...

Ale on nie puszcza...

Wrzeszcząc, biegnę ku nim...

Z nożem w górze...

Ale znów opuszczam go w ostatniej chwili...

I po prostu na niego wpadam...

Łądujemy na schodach; Viola bardziej z tyłu, ja upadam na Aarona, on grzmoci mnie pięściami po głowie, a potem prędko wysuwa do przodu tę swoją okropną twarz i wygryza mi kawałek skóry z odsłoniętej szyi...

Odskakuję z wrzaskiem, waląc go pięścią na odlew...

Cofam się prędko w głąb kościoła, trzymając się za krwawiącą szyję...

Aaron znów rusza na mnie, jego pięść leci naprzód...

Trafia mnie w oko...

Moja głowa odskakuje w tył...

Potykając się, krok za krokiem między rzędami ławek, docieram z powrotem na środek kościoła...

Jeszcze jeden cios pięścią...

Podnoszę rękę z nożem, żeby go zablokować...

Ale obracam ostrze bokiem...

A Aaron uderza mnie znowu...

Niemal tracąc równowagę, uciekam przed nim po mokrej skale...

Środkiem nawy, w stronę ambony...

I jego pięść po raz trzeci trafia mnie w twarz...

Czuję, jak wybija mi dwa zęby...

I prawie upadam...

A potem upadam...

Moje plecy i głowa uderzają o gładz będący amboną...

I upuszczam nóż.

Który ze szczękiem toczy się w stronę przepaści.

Tak samo bezużyteczny jak zawsze.

– *Twój Szum zdradza prawdę!* – wrzeszczy Aaron. – *Twój Szum zdradza prawdę!* – Podchodzi teraz do mnie, staje nade mną. – *Od momentu, gdy przestąpiłem próg tego świętego miejsca, wiedziałem, że tak będzie!* – Zatrzymuje się przy moich stopach i gapi się w dół, na mnie; jego zacisnięte pięści są czerwone od mojej krwi, a twarz – umazana jego własną.

– *Nigdy nie staniesz się mężczyzną, Toddzie Hewitt! Nigdy!*

Kątem oka widzę, że Viola rozpaczliwie szuka następnych kamieni...

– *Już jestem mężczyzną* – odpowiadam, ale upadłem, upuściłem nóż, głos mi się załamuje, a dłoń przyciska krwawiącą ranę na szyi.

– *Okradasz mnie z mojej ofiary!* – Jego oczy przemieniły się w płonące diamenty, a Szum jarzy się tak wściekłą czerwienią, że brakuje tylko tego, aby woda zaczęła parować z jego ubrania. – *Zabiję cię.* – Skłania głowę w moją stronę.

– *I umrzesz wiedząc, że zabiłem ją powoli.*

Zaciskam zęby.

Zaczynam się, kuźwa, dźwigać na nogi.

– *No chodź, jeśli zamierzasz to zrobić* – warczę.

Aaron wydaje okrzyk i robi krok w moją stronę...

Wyciąga ręce, by mnie pochwycić...

Podnoszę twarz, by stanąć naprzeciw niego...

I wtedy Viola WALI go w bok głową kamieniem, który ledwo jest w stanie udźwignąć...

Aaron się potyka...

Zatacza się w stronę ławek, przytrzymuje się jednej z nich...

I znów się potyka...

Ale nie upada.

Kuźwa, nie upada.

Zatacza się, lecz staje między mną a Violą, prostując się, plecami do Violi, ale górując nad nią – krew cieknie mu teraz strumieniem z rany na boku głowy, ale jest, kuźwa, tak koszmarnie wysoki...

To naprawdę potwór.

– Ty nie jesteś człowiekiem – stwierdzam.

– Mówiłem ci już, młody Toddzie – odpowiada niskim, straszonym głosem, podczas gdy z jego Szumu promieniuje ku mnie furia tak czysta, że w zetknięciu z nią omal nie zataczam się do tyłu. – Jestem świętym.

Robi zamach w stronę Violi, nawet na nią nie patrząc, i trafia ją prosto w oko, odrzucając ją do tyłu. Viola z krzykiem pada pada pada, potykając się o ławkę, mocno uderzając głową o kamienie...

I nie wstaje.

– Viola! – krzyczę...

I przeskakuję obok niego...

A on mnie nie zatrzymuje...

Dopadam do niej...

Jej nogi leżą w poprzek kamiennej ławki...

A głowa na spągu...

Cieknie z niej strumyczek krwi...

– Viola! – mówię i dźwigam ją...

A jej głowa opada bezwładnie do tyłu.

– VIOLA! – wrzeszczę...

A za sobą słyszę niski, głuchy dźwięk...

Śmiech.

Aaron się śmieje.

– Od zawsze było wiadome, że ją zdradzisz – mówi. – Zostało to przewidziane.

– ZAMKNIJ SIĘ!

– A czy wiesz, *dlaczego?*

– ZABIJĘ CIĘ!

Aaron zniża głos do szeptu...

Ale czuję, jak ten szept przeszywa moje całe ciało dreszczem...

– Już *upadłeś*.

A mój Szum rozpala się czerwienią. Czerwieńszą niż kiedykolwiek wcześniej. Morderczą czerwienią.

– Tak, Toddzie – syczy Aaron. – Właśnie tak.

Delikatnie kładę Violę na spągu, po czym staję twarzą do niego.

A moja nienawiść jest tak wielka, że wypełnia całą kawernę.

– Chodź, chłopcze – ciągnie. – Dostąp oczyszczenia.

Spoglądam na nóż...

Leżący w kałuży wody...

Pod skalną półką, obok ambony, za Aaronem...

Tam, gdzie go upuściłem...

I słyszę, jak mnie wzywa...

*Weź mnie* – szepcze...

*Weź mnie i użyj* – kusi...

A Aaron rozkłada szeroko ręce.

– Zamorduj mnie – mówi. – Stań się mężczyzną.

*Nigdy mnie nie odkładaj* – mówi nóż...

– Przepraszam – szepczę, choć nie wiem, kogo i za co...

Przepraszam...

I skaczę...

Aaron stoi bez ruchu, ręce rozłożył szeroko, jakby chciał mnie objąć...

Zderzam się z nim ramieniem...

On się nie broni...

Mój Szum wrzeszczy czerwono...

Upadamy za amboną, na skalną półkę...

Ja jestem na górze...

On nadal się nie broni...



Zaczynam tłuc pięściami w jego twarz...  
I jeszcze...  
I jeszcze...  
I jeszcze...  
Rozwalając ją jeszcze bardziej...  
Rozwalając ją na krwawe, ohydne kawałki...  
Nienawiść wylewa się ze mnie przez pięści...  
I dalej go grzmocę...  
Dalej tłukę...  
Czuję, jak pękają kości...  
I łamią się chrząstki...  
A jeden z moich ciosów miażdży oko...  
Aż w końcu już nie czuję dłoni...  
Ale nadal go tłukę...  
A jego krew pryska na mnie i wszędzie wokół...  
Tak samo czerwona jak czerwień mojego Szumu...  
A potem odchylam się do tyłu, nadal siedząc na nim, nadal pokryty  
jego krwią...  
A on się śmieje, wciąż jeszcze się śmieje...  
I charczy:  
– Tak – przez połamane zęby. – Tak...  
A we mnie wzbiera czerwień...  
I nie jestem w stanie jej powstrzymać..  
I nienawiść...  
I spoglądam na nóż...  
Leżący zaledwie metr dalej...  
Na skalnej półce...  
Za pulpitem...  
Nóż mnie wzywa...  
Wzywa...  
I tym razem wiem...  
Tym razem wiem...  
Użyję go.

I rzucać się po niego...

Wyciągając dłoń...

Mój Szum jest tak czerwony, że ledwo co widzę...

Tak – mówi nóż...

Tak.

Weź mnie.

Ujmij w rękę tę moc...

Ale inna ręka chwyta go przede mną...

Viola.

A gdy padam, czuję, że coś we mnie wzbiera...

Coś wzbiera w moim Szumie...

Gdy ją tam widzę...

Gdy widzę, że jest żywa...

Coś wzbiera i zagłusza czerwień...

I mówię: – Viola.

Po prostu: – Viola.

A ona podnosi nóż.

Rozpęd pcha mnie ku przepaści, obracam się, żeby spróbować złapać równowagę i widzę, jak ona podnosi nóż, widzę, jak daje krok do przodu. Upadam na mokrą skalną półkę, moje palce się ześlizgują i widzę, jak Aaron siada, widzę, że ma teraz tylko jedno oko, które gapi się na Violę, gdy ta wznosi nóż, a potem go opuszcza i nie mogę jej powstrzymać, a Aaron próbuje wstać, zaś Viola jest już nad nim, a ja zderzam się ramieniem z półką i omal się nie przewracam jak długi i patrzę, a to, co pozostało z Szumu Aarona, emanuje gniewem i strachem, i woła: – Nie...

Woła: – Nie ty...

A Viola podnosi rękę...

Podnosi nóż...

A ostrze opada...

W dół...

W dół...

Aż wbija się prosto w bok szyi Aarona...

Tak mocno, że czubek wychodzi z drugiej strony...

I towarzyszy temu chrupnięcie, to chrupnięcie, które pamiętam...

Siła ciosu jest tak wielka, że Aaron się przewraca...

A Viola wypuszcza z rąk nóż...

Daje krok do tyłu.

Twarz ma zbiełałą.

Przez ryk wody słyszę, jak dyszy.

Podpieram się rękami...

I patrzymy.

Aaron się dźwiga.

Odpycha się od podłoża, jedną ręką szarpie nóż, ale nie udaje mu się go wyciągnąć z szyi. Jego ocalałe oko jest szeroko otwarte, a język wystaje z ust.

Dźwiga się na kolana.

A potem staje na nogi.

Viola wydaje cichy okrzyk i cofa się.

Cofa się, aż staje tuż obok mnie.

Słyszymy, jak on próbuje przełknąć.

Próbuje oddychać.

Daje krok do tyłu, ale zatacza się na ambonę.

Spogląda w naszą stronę.

Jego język puchnie i się wiję.

Aaron próbuje coś powiedzieć.

Próbuje mi coś powiedzieć.

Próbuje wypowiedzieć słowo.

Ale nie może.

Nie może.

A jego Szum to same szaleńcze kolory i obrazy i rzeczy, których nigdy nie będę w stanie wypowiedzieć.

Napotyka mój wzrok.

I jego Szum gaśnie.

Gaśnie bez śladu.

Nareszcie.

Grawitacja przejmuje władzę nad jego ciałem i Aaron osuwa się w bok.

Dalej od ambony.

Za krawędź przepaści.

I znika za ścianą wody.

Zabierając nóż ze sobą.

## Ostatnia droga do Przystani

Viola siada obok mnie tak gwałtownie i szybko, jakby upadła.

Oddycha ciężko i gapi się w przestrzeń, w miejsce, gdzie przed chwilą stał Aaron. Blask słońca przenikający przez wodospad rzuca na jej twarz fale migotliwego światła, ale to jedyne, co się w niej porusza.

– Viola? – rzucam, przykucając prędko obok niej.

– Nie ma go – mówi dziewczyna.

– Tak – potwierdzam. – Nie ma go. A ona tylko oddycha.

Mój Szum łomocze niczym roztrzaskujący się statek kosmiczny, pełen czerwieni i bieli i tylu różnych rzeczy, że czuję się tak, jakby coś mi rozrywało głowę.

Ja bym to zrobił.

Zrobiłbym to dla niej.

Ale zamiast tego...

– Ja bym to zrobił – mówię. – Byłem gotów to zrobić.

Viola spogląda na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Todd?

– Sam bym go zabił. – Podnoszę z lekka głos. – Byłem gotów to zrobić!

I wtedy podbródek Violi zaczyna się trząść, nie tak, jakby miała wybuchnąć płaczem, tylko autentycznie trząść się, a potem jej ramiona też, jej oczy otwierają się coraz szerzej, trzęsie się coraz bardziej, a z mojego Szumu nic się nie wydobywa i wszystko nadal tam jest, ale dochodzi coś nowego i jest to coś dla niej i łapię ją i przyciągam do siebie i przez chwilę kołyszemy się w przód i w tył, żeby mogła się trząść tak długo, jak zechce.

Nie odzywa się przez długi czas, tylko cicho jęczy, a ja przypominam sobie, co się ze mną działo tuż po tym, jak zabiłem Szpakla, jak czułem

to chrupnięcie przebiegające wzdłuż ramienia, jak ciągle miałem przed oczami jego krew, widziałem raz po raz, jak ginie.

Nadal to widzę.

(Ja bym to zrobił.)

(Byłem gotów.)

(Ale nóż przepadł.)

– Zabijanie wygląda całkiem inaczej niż opowiadają – mówię do czubka jej głowy. – Całkiem, ale to całkiem inaczej.

(Ale ja bym to zrobił.)

Viola nadal się trzęsie i tuż obok nas nadal huczy potężny wodospad, słońce stoi wyżej na niebie, do kościoła wpada mniej światła, a my jesteśmy cali mokrzy i zakrwawieni, zakrwawieni i mokrzy.

I zamarznięci i dygoczący.

– Chodź – mówię, wstając. – Przede wszystkim musimy się wysuszyć, dobra?

Pomagam jej wstać. Idę wziąć torbę, która nadal leży na podłodze między dwoma rzędami ławek, po czym wracam do Violi i wyciągam rękę.

– Słońce jest już wysoko – mówię. – Na zewnątrz będzie ciepło.

Dziewczyna przez chwilę patrzy na moją rękę, potem ją ujmuje.

Ale ujmuje.

Obchodzimy ambonę, nie mogąc się powstrzymać przed spoglądaniem tam, gdzie leżał Aaron. Pył wodny z wodospadu już zmył jego krew.

(Ja bym to zrobił.)

(Ale nóż.)

Czuję, jak moja dłoń dygocze w jej dłoni i nie wiem, które z nas trzęsie się bardziej.

Docieramy do stopni i dopiero w połowie ich wysokości Viola odzywa się pierwszy raz.

– Niedobrze mi – mówi.

– Wiem – odpowiadam.

Przystajemy, ona wychyla się bardziej w stronę wodospadu i rzyga.

Jak kot.

Tak właśnie to wygląda, gdy w prawdziwym życiu kogoś zabijasz.

Viola przechyla się do przodu, włosy ma mokre i splątane. Pluje.

Ale nie podnosi wzroku.

– Nie mogłam ci na to pozwolić – mówi. – On by wygrał.

– Zrobiłbym to – mówię.

– Wiem – odpowiada, z twarzą zasłoniętą włosami, patrząc na wodospad. – Dlatego to zrobiłam.

Wypuszczam oddech.

– Powinnaś była mi pozwolić.

– Nie. – Nadal pochylona, podnosi głowę. – Nie mogłam ci pozwolić. – Ociera usta i ponownie odkasłuje. – Ale nie tylko o to chodziło.

– Więc o co? – pytam.

Viola spogląda mi w oczy. Jej własne są szeroko otwarte i przekrwione od rzygania. I starsze niż wcześniej.

– *Chciałam* to zrobić, Todd – mówi, marszcząc czoło.

– *Chciałam* to zrobić. *Chciałam* go zabić. – Przyciska dłoń do twarzy. – O mój Boże – mówi, łapiąc oddech. – O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże.

– Przestań – mówię, łapiąc jej rękę i odciągając dłoń. – Przestań. Był złym człowiekiem. Był szalonym złym człowiekiem...

– Wiem! – krzyczy Viola. – Ale wciąż go widzę. Wciąż widzę, jak nóż się wbija w jego...

– Dobra, w porządku, chciałaś tego. – Uciszam ją, zanim rozklei się jeszcze bardziej. – No i co z tego? Ja też. Ale on cię *zmusił*, żebyś tego chciała. Tak to rozegrał, żeby było: albo on, albo my. To dlatego był złym człowiekiem. Nie to, co zrobiłaś ty albo ja. To, co on zrobił. Rozumiesz?

Viola podnosi na mnie wzrok.

– Zrobił tylko to, co zapowiedział – mówi nieco ciszej. – Sprawił, że upadłam.

Znów wydaje jęk i przyciska dłoń do ust, a w jej oczach wzbierają łzy.

– Nie – mówię stanowczo. – Nie, poczekaj, powiem ci, jak ja to widzę, dobra?

Spoglądam w górę, na wodę i tunel, i sam nie wiem, co myśleć, ale ona tam jest i widzę to i nie wiem, co ona myśli, ale wiem, co ona myśli i widzę ją i chwije się na krawędzi i patrzy na mnie i błaga, żebym ją ocalił. Ocalił ją, tak jak ona ocaliła mnie.

– Oto, co myślę – mówię i mój głos jest silniejszy, i napływają do mnie myśli, myśli, które przenikają do mojego Szumu niczym wyszeptana prawda. – Myślę, że może wszyscy upadają – mówię. – Myślę, że może wszyscy upadamy. I nie wydaje mi się, żeby to było pytanie.

Letko pociągam za jej rękę, żeby się upewnić, że mnie słucha.

– Myślę, że pytanie brzmi, czy potrafimy się później podnieść.

Tymczasem woda leje się z szumem, dygoczymy z zimna i od wszystkiego innego, a ona wpatruje się we mnie, zaś ja czekam z nadzieją.

Aż w końcu widzę, jak Viola cofa się znad krawędzi.

Widzę, jak z powrotem podchodzi do mnie.

– Todd – mówi i to nie jest pytanie.

To tylko moje imię.

Oto, kim jestem.

– Chodź – mówię. – Przystań czeka.

Ponownie biorę ją za rękę i wspinamy się z powrotem po schodach. Wracamy na bardziej płaską część półki, ponownie mijamy jej zakręty, pomagając sobie nawzajem, żeby nie stracić równowagi na śliskich kamieniach. Skok z powrotem na skarpe jest tym razem trudniejszy, bo jesteśmy przemoczeni i słabi, ale biorę rozpęd i skaczę, a potem łapię Violę, gdy niezgrabnie upada obok mnie.

I już jesteśmy na słońcu.

Odpočzywamy w nim przez dłuższy czas, obsychając z najbardziej mokrej mokrości. W końcu zbieramy się do kupy i wspinamy na skarpe, po czym przedzieramy się przez kolczaste zarośla, żeby dotrzeć na ścieżkę, a ścieżką wracamy do drogi.

Spoglądamy w dół ze wzgórze, na biegnącą zygzakami trasę.



Nadal tam jest. Przystań nadal tam jest.

– Ostatni kawałek – mówię.

Viola pociera ramiona, żeby się ciut bardziej podsuszyć. Przygląda mi się uważnie, mrużąc oczy.

– Ciągłe obrywasz po twarzy, wiesz?

Obmacuję twarz. Oko już mi trochę zapuchło, zauważam też, że w ustach z boku mam dziurę, gdzie straciłem kilka zębów.

– Dzięki – mówię. – Nie bolało, póki żeś tego nie powiedziała.

– Przepraszam. – Uśmiecha się letko, po czym dotyka własnego ciemienia i krzywi się.

– Jak tam? – pytam.

– Boli – odpowiada – ale przeżyję.

– Jesteś niezniszczalna, ty – mówię.

Ona znów się uśmiecha.

A potem w powietrzu słychać dziwny odgłos, zipSNIK, i Viola letko chwyta oddech, wydaje z siebie ciche och.

Przez sekundę patrzymy sobie w oczy w słońcu, oboje zaskoczeni, choć nie wiemy dlaczego.

A potem wędruję za jej spojrzeniem w dół.

Viola ma krew na koszuli.

To jej własna krew.

Świeża krew.

Wylewa się z małego otworu na prawo od jej pępka.

Viola dotyka krwi, po czym unosi palce.

– Todd? – mówi.

A potem przewraca się do przodu. Łapię ją, zataczając się z lekka w tył pod jej ciężarem. I podnoszę wzrok.

Patrzę na szczyt urwiska za nią, tam, gdzie zaczyna się droga.

Pan Prentiss junior. Na koniu. Z wyciągniętą ręką. Trzyma pistolet.

– Todd? – mówi Viola, z twarzą przyciśniętą do mojej piersi. – Ktoś mnie chyba postrzeliły Todd.

Nie mam słów.

Nie mam słów, ani w głowie, ani w Szumie.

Pan Prentiss junior uderza łydkami swojego konia i zmusza go, żeby zszedł powoli drogą ku nam.

Nadal celuje z pistoletu.

Nie ma dokąd uciekać.

A ja nie mam mojego noża.

Świat przewija się tak jaskrawo i wolno jak najgorszy ból. Viola zaczyna ciężko dyszeć w moich ramionach, pan Prentiss junior zjeżdża drogą, a w moim Szumie wzbiera świadomość, że już po nas, że tym razem nie ma ucieczki, że jeśli świat chce cię dorwać, to będzie cię tropił tak długo, aż cię załatwi.

A kim ja jestem, żeby móc to naprawić? Kim jestem, żeby móc to zmienić, skoro świat tak bardzo tego chce? Kim jestem, żeby zatrzymać koniec świata, jeśli ten robi wszystko, żeby nadejść?

– Chyba chce, żebyś ją przeleciał, Todd – mówi z drwiną pan Prentiss junior.

Zaciskam zęby.

Mój Szum wzbiera czerwienią i purpurą. *Jestem, kuźwa, Todd Hewitt.*

Tak, do pioruna, oto kim jestem.

Patrzę mu prosto w oczy, świdrując go moim Szumem, i cedzę ochryple:

– Bądź łaskaw do mnie mówić *panie Hewitt,*

Pan Prentiss junior wzdryga się, autentycznie *wzdryga się* z lekka i mimowolnie ściąga wodze, przez co jego koń na moment przysiadła na zadzie.

– Daj spokój, no – pada nieco mniej pewnym siebie głosem. I wie, że obaj to słyszymy. – Ręce do góry – mówi. – Zabieram cię do mego ojca.

A ja robię zadziwiającą rzecz.

Najbardziej zadziwiającą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Ignoruję go.

Ostrożnie pomagam Violi klęknąć na ziemi.

– Piecze, Todd – mówi cicho.

Kładę ją, upuszczam torbę i ściągam koszulę. Zwijam ją i przyciskam do rany.

– Trzymaj to mocno, słyszysz? – mówię, a gniew wzbiera we mnie jak lawa. – To zajmie tylko chwilkę.

Podnoszę wzrok na Davy’ego Prentissa.

– Wstawaj – mówi. Jego koń nadal jest podenerwowany i strzyże uszami, wyczuwając bijące ode mnie gorąco. – Nie będę powtarzał dwa razy, Todd.

Wstaję.

Ruszam naprzód.

– Powiedziałem, ręce do góry – mówi Davy. Jego koń rży, cofa się i przestępuje z nogi na nogę.

Maszeruję ku niemu.

Szybciej.

Potem biegnę.

– Zastrzelę cię! – krzyczy Davy, wymachując pistoletem i próbując opanować konia, którego Szum krzyczy wniebogłosy: **Szarża! Szarża!**

– Nie zastrzelisz! – wołam, podbiegając do samego konia i ciskając mój Szum prosto w niego..

WAŻ!

Koń staje dęba.

– Niech cię szlag, Todd! – wrzeszczy Davy. Koń pod nim kręci się w miejscu, a on bezskutecznie próbuje go opanować jedną ręką, tą, w której nie trzyma pistoletu.

Doskakuję, płaską dłońią z całej siły walę konia w łopatkę i odskakuję do tyłu. Koń rży i znowu staje dęba.

– Już nie żyjesz! – krzyczy Davy.

Koń pod nim obraca się wokół własnej osi, rzucając się i przysiadając na zadzie.

– Masz rację tak jakby w połowie – mówię.

Teraz widzę moją szansę...

Koń rży głośno i potrząsa łbem...

Czekam...

Davy ściąga wodze...

Uchylam się...

Czekam...

– Cholerny koń! – krzyczy Davy.

Próbuje znów szarpnąć wodzami...

Koń znowu zatacza krąg...

Czekam...

Koń mija mnie, a Davy chwyci się nisko w siodle...

I oto moja szansa...

Moja pięść już czeka w górze..

ŁUP!

Trafiam go prosto w twarz jak młotem...

Przysięgam, że poczułem, jak jego nos łamie się pod moją pięścią...

Davy krzyczy z bólu i wypada z siodła...

Upuszcza pistolet na ziemię...

Odskakuję...

Stopa Davy'ego więźnie w strzemieniu...

Koń znów staje dęba...

Płaską dłońią walę go w zad, najsilniej jak umiem...

I koń ma już dość.

Wbiega z powrotem na wzgórze, gna drogą, oddalając się od nas, a Davy, którego stopa nadal tkwi w strzemieniu, obija się pięknie o kamienie, gdy wleczony jest w pyle w górę zbocza.

Pistolet leży na ziemi...

Ruszam, żeby go podnieść...

– Todd? – słyszę.

I nie ma czasu.

W ogóle nie ma czasu.

Niemal nie myśląc, zostawiam pistolet i biegnę z powrotem do Violi, która leży na skraju zagajnika.

– Ja chyba umieram, Todd – mówi.

– Nie umierasz – odpowiadam, wsuwając rękę pod jej ramiona, a drugą pod jej kolana.

– Zimno mi.

– Nie, kuźwa, nie umierasz! – mówię. – Nie dzisiaj!

I wstaję, trzymając ją w ramionach, i mam przed sobą drogę, która wiedzie zygzakiem do Przystani. I to nie będzie dostatecznie szybko. Ruszam prosto w dół. Na skróty przez zarośla.

– Dalej! – mówię głośno, gdy mój Szum się zapomina, a w całym wszechświecie istnieje tylko ruch moich nóg.

*Dalej!*

Biegnę.

Przez zarośla... Przez drogę...

Potem znów przez zarośla...

Ponownie przez drogę, która wiję się serpentynami...

W dół i w dół...

Ziemia obsuwa mi się spod butów, przeskakuję nad krzakami...

Potykam się o korzenie...

*Dalej.*

– Trzymaj się – mówię do Violi. – Trzymaj się, słyszysz mnie?

Viola pojękuje za każdym razem, gdy lądujemy twardo...

Ale to znaczy, że nadal oddycha.

W dół...

I w dół...

*Dalej.*

*Błagam.*

Ślizgam się na paprociach...

Ale nie upadam...

Droga i zarośla...

Nogi mnie bolą od stromizny...

Zarośla i droga...

W dół... *Błagam...*

– Todd?

– Trzymaj się!

Jestem już u podnóża wzniesienia i nadal biegnę.

Viola jest tak lekka w moich objęciach.

Tak lekka.

Biegnę dalej do miejsca, gdzie droga ponownie dociera do rzeki,

droga do Przystani. Wszędzie wokół nas pojawiają się drzewa. Rzeka szumi.

– Trzymaj się! – powtarzam, biegnąc drogą, tak szybko, jak tylko nogi są w stanie mnie nieść.

*Dalej.*

*Proszę.*

Mijam zakręty i następne zakręty...

Więcej drzew i skarpę rzeczną...

Przed sobą widzę umocnienia, które wcześniej wypatrzyłem ze wzgórza przez lornetkę; gigantyczne drewniane X wznoszące się długim rzędem po obu stronach drogi, która przechodzi przez otwór w tej palisadzie.

– NA POMOC! – krzyczę, gdy się zbliżamy. – RATUNKU!

Biegnę.

*Dalej.*

– Chyba nie dam rady... – mówi Viola i słyhać, że traci oddech.

– Tak, DASZ! – krzyczę! – NIE WAŻ się poddawać!

Biegnę.

Palisada jest coraz bliżej...

Ale nikogo tam nie ma.

Nikogo tam nie ma.

Przebiegam przez otwór na drugą stronę.

Zatrzymuję się wystarczająco długo, żeby się odwrócić.

*Nikogo nie ma.*

– Todd?

– Jesteśmy prawie na miejscu – mówię.

– Już nie dam rady, Todd... I jej głowa opada do tyłu.

– Nieprawda, DASZ RADE! – krzyczę jej prosto w twarz. – OBUDŹ SIĘ,

Viola Eade! Otwórz te cholerne oczy!

I Viola próbuje. Widzę, że próbuje.

Jej oczy się otwierają, tylko trochę, ale się otwierają.

A ja znowu biegnę, tak szybko, jak tylko jestem w stanie.

I krzyczę: – NA POMOC! NA POMOC!

Błagam.

– NA POMOC!

A ona zaczyna łąpać ustami powietrze.

– RATUNKU!

Błagam, nie.

I nie widzę NIKOGO.

Domy, które mijam, są pozamykane i puste. Droga zmienia się z polnej w wybrukowaną, a wokół nadal nie ma nikogo.

– NA POMOC!

Moje stopy uderzają o chodnik...

Droga wiedzie do wielkiego kościoła przed nami, drzewa się kończą, dzwonnica błyszczy ponad rynkiem. I tam też nikogo nie ma.

Nie.

– NA POMOC!

Wpadam na rynek, przebiegam go, rozglądając się na wszystkie strony, nasłuchując...

Nie.

Nie.

Jest pusto.

Viola ciężko oddycha w moich ramionach.

A Przyszań jest pusta.

Docieram na środek rynku.

Nie widzę ani nie słyszę żywej duszy.

Znów się obracam.

– NA POMOC! – krzyczę.

Ale nie ma nikogo.

Przyszań jest zupełnie pusta.

Nie ma tu żadnej nadziei.

Viola letko wysuwa się z moich objęć i muszę przykleknąć, żeby ją złapać. Moja koszula obsunęła się z jej rany; przytrzymuję ją dłonią.

Nie mamy nic więcej. Torba, lornetka, notes mojej mamy – uświadamiam sobie, że wszystko zostało na zboczcu wzgórza.

Ja i Viola jesteśmy wszystkim, co mamy, wszystkim, co nam

pozostało na świecie.

A ona tak strasznie krwawi...

– Todd? – mówi, cicho i niewyraźnie.

– Błagam – mówię. Łzy napływają mi do oczu, a głos się łamie. – Błagam.

*Błagam błagam błagam błagam błagam...*

– No cóż, skoro prosisz tak ładnie – odzywa się głos z przeciwnej strony rynku, nawet nie wznosząc się do krzyku.

Podnoszę wzrok.

Za rogu kościoła wyjeżdża pojedynczy koń.

A na nim siedzi pojedynczy jeździec.

– Nie – szepczę.

Nie. Nie.

– Tak, Todd – odpowiada burmistrz Prentiss. – Obawiam się, że tak.

Wolno, niemal leniwie podjeżdża ku mnie przez rynek. Sprawia wrażenie równie chłodnego i nieporuszonego co zawsze, na jego ubraniu nie widać ani plamki potu, ma nawet rękawice do konnej jazdy. I wyczyszczone buty.

To niemożliwe.

Nie ma takiej możliwości.

– Jakim cudem pan tu jest? – pytam, podnosząc głos. – Jak?...

– Każdy wie, że do Przystani prowadzą dwie drogi – odpowiada. Jego głos jest spokojny i jedwabisty, niemal drwiący, ale nie całkiem.

Ten kurz, który widzieliśmy. Ten kurz wczoraj, który przemieszczał się w kierunku Przystani.

– Ale jak? – pytam, tak oszołomiony, że ledwo jestem w stanie wykrztusić słowa. – Armię dzieli od nas przynajmniej dzień drogi...

– Czasem pogłoski o armii są równie skuteczne, jak sama armia, mój chłopcze – odpowiada. – Warunki kapitulacji były nadzwyczaj korzystne. Jednym z nich było opróżnienie ulic, tak abym mógł cię tutaj osobiście powitać. – Odwraca się, by popatrzeć wstecz, w kierunku wodospadu. – Aczkolwiek, rzecz jasna, spodziewałem się, że to mój syn cię tutaj przyprowadzi.



Rozglądam się po rynku i teraz widzę twarze, twarze wyglądające oknami, zza uchylonych drzwi.

Widzę też jeszcze czterech jeźdźców, którzy wyłaniają się zza kościoła.

Spoglądam znów na burmistrza Prentissa.

– Aha, teraz jestem już *prezydent* Prentiss – mówi. – Zapamiętaj to sobie.

I wtedy coś sobie uświadamiam. Nie słyszę jego Szumu. Nie słyszę *niczyjego*.

– Nie – mówi. – Nie sądzę, byś słyszał, choć to interesująca historia i zupełnie inna, niż mógłbyś przypu...

Viola znów wyślizguje mi się z rąk, a ten ruch sprawia, że z jej ust wyrывa się bolesne westchnienie.

– Błagam! – mówię. – Ratujcie ją! Zrobię wszystko, co pan każe! Dołączę do armii! Ja...

– Cierpliwość jest kluczem do szczęścia – odpowiada burmistrz, który teraz wreszcie zaczyna sprawiać wrażenie poirytowanego.

Zgrabnie zeskakuje z wierzchowca i zaczyna pomalutku ściągać rękawice, jeden palec za drugim. I już wiem, żeśmy przegrali. Wszystko stracone. Wszystko skończone.

– Jako świeżo wybrany prezydent tej naszej pięknej planety – mówi burmistrz, wyciągając rękę, jakby chciał mi po raz pierwszy pokazać świat – pozwól, żebym jako pierwszy powitał cię w jego nowej stolicy.

– Todd? – szepcze Viola. Oczy ma zamknięte. Przytulam ją mocno.

– Przykro mi – szepczę. – Tak mi przykro. Wbiegliśmy prosto w pułapkę.

W przepaść za krańcem świata.

– Witajcie – mówi burmistrz – w Nowym Prentisstown.

**KONIEC TOMU I**

